

Jeffrey Deaver

Dar języków



Przełożyła: Agnieszka Fulińska
Wydanie oryginalne: 2000
Wydanie polskie: 2003

*Dla Diany Kenne,
która jest natchnieniem wymagającym krytykiem,
częścią moich książek, częścią mojego życia. Z miłością...*

Podziękowania

Pragnę szczególnie gorąco podziękować Pamelii Dorman z wydawnictwa Viking za redaktorski upór i cierpliwość (nie mówiąc już o odwadze), które skłaniają autorów do dążenia do podobnego poziomu doskonałości, jaki ona osiągnęła w swojej pracy. Wyrazy wdzięczności kieruję do Deborah Schneider, drogiej przyjaciółki i najlepszej agentki na świecie. I do całej ekipy Viking/NAL, zwłaszcza do Elaine Koster, Michaeli Hamilton, Joego Pitmana, Cathy Hemming, Matthew Bradleya (który setki razy zdobył tytuł Combat Publicist) i Susan O'Connor. Moja wdzięczność nie byłaby pełna, gdybym nie wspomniał o wspaniałych ludziach z wydawnictwa Curtis-Brown w Londynie, zwłaszcza Dianie Mackay i Vivienne Schuster, oraz ze znakomitego brytyjskiego wydawnictwa Hodder & Stoughton - Carolyn Mays, Sue Fletcher i Peterze Lavery. Dziękuję również Cathy Gleason z Gelfman-Schneider. Dzięki i „hej” dla Traccy, Kerry, Davida, Taylora, Lisy, Caseya oraz Bryana Dużego i Bryana Małego.

ŚRODA

Pierworodni

*Na początku było Słowo, a Słowo było
u Boga, a Bogiem było Słowo.*

Ewangelia św. Jana (1,1)



Rozdział 1

Po północy niebo zakrył całun chmur, ale nie spadła ani kropla deszczu.

Pod tym zadziwiająco ciepłym kwietniowym niebem mężczyzna brodził wśród dzikiej marchwi i bladej turzycy. Zmierzał w stronę niewielkiego kamiennego budynku ze zwietrzałego, cielistoróżowego granitu, usadowionego na wzgórzu porośniętym różnymi gatunkami sosen.

Zatrzymał się na chwilę, po czym podszedł do metalowych drzwi i wyciągnął z niewielkiej torby młotek i dłuto, oglądając się przy tym za siebie w kierunku polany. Nie było na niej nikogo, tylko dwie sowy dziobały coś na wpół zakopane wśród krokusów, których kielichy wznosiły się w górę niczym dłonie w błagalnym geście. Odwrócił się do budynku, przyłożył dłuto do kamienia i zaczął stukać. Raz, drugi, dziesiąty. Dźwięczne uderzenia rozlegały się głośno w nocnej ciszy.

Przez pół godziny pracował młotkiem i dłutem wzdłuż całych drzwi. Kamień kruszył się, kawałki odpadały. Rozległ się grzmot. Wiosenne niebo rozjarzyło się językami białego ognia. Stłumiony dźwięk grzmotu przetoczył się powoli, po czym ucichł.

Deszcz wciąż nie padał.

A gdy usłyszał, że Łazarz nie żyje, Jezus wrócił do Betanii i udał się do grobu, i stanął przed kamieniem zamykającym grób. Spojrzał w niebo i rzekł: „Ojcze, dziękuję ci, żeś wysłuchał mych słów”.

Aaron Matthews był wysokim, szpakowatym mężczyzną o silnym, szczupłym, żyłystym ciele. Wyglądał na jednego z tych ludzi, którym nie sprawia przyjemności ani jedzenie, ani alkohol, aż dziwne, co ich utrzymuje przy życiu. Pocił się obficie w panującej duchocie, przerwał więc pracę, by zdjąć koszulę, i zabrał się na powrót do obtłukiwania kamienia, poszukiwania jego słabych miejsc.

Wkrótce granit wokół zawiasów był na tyle osłabiony, że mógł użyć łomu. Wyważył drzwi. Upadły z trzaskiem i Matthews wszedł do środka.

Rozbłysło światelko zapalniczki; ruszył wzdłuż szeregu niewielkich drzwi. Przez chwilę miał wrażenie, że trafił wprost do Piekła Dantego, że to Wergiliusz przysłał go do tej żałobnej jaskini, upstrzonej celami oszołomionych grzeszników, zgiętych wpół, skazanych na wieczność w dusznym zamknięciu.

Wreszcie znalazł to, czego szukał: maleńką tabliczkę z wypisanymi drobnymi literami imieniem i nazwiskiem: Peter Matthews. Te drzwi również były zamknięte, ale puściły po kilkunastu uderzeniach młota.

Matthews popchnął je, po czym wyciągnął ostrożnie rękę i dotknął gęstych ciemnych włosów młodzieńca. Chwycił go za rękę i wyciągnął z krypty, po czym wziął mocno w ramiona. Przez kilka chwil leżeli na podłodze, twarz przy twarzy, policzki ojca gorące, syna - zimne.

I nakazał Jezus, żeby odsunęli kamień z grobu, i zawołał donośnym głosem: „Łazarzu, wyjdź”.

Wziął chłopca na ręce i chwiejnym krokiem ruszył ku furgonetce zaparkowanej na cmentarnej ścieżce. Spojrzał na jego twarz. Czyżby się poruszył? Zastanowiło go to. Nachylił się. Czyżby poczuł oddech na policzku?

„Łazarzu wyjdź”

I tak, tak!

Człowiek, który był zmarły, ożył znów.



Otworzył furgonetkę i ostrożnie złożył ciało młodzieńca z tyłu samochodu.

Matthews przejechał między kamiennymi kolumnami u wejścia na cmentarz i wkrótce mknął już po szosie. Zmierzał przez dolinę Shenandoah w głąb masywu Blue Ridge, wjeżdżając coraz wyżej na wzgórza, aż światła miast, a później odosobnionych domostw przygasły. Kilka mil od cmentarza skręcił na bitą drogę i posuwał się powoli tunelem o ścianach ze szczywołu i sosen.

Tuż za przełęczą, gdzie droga przechodziła między dwoma stromymi, porośniętymi dziką winoroślą wzgórzami, rozciągała się płytka czarna doliny. Pomiędzy chropowatymi pniami drzew widać było gromadkę niskich, podniszczonych budynków.

Matthews zatrzymał furgonetkę i rozejrzał się ostrożnie w poszukiwaniu intruzów, chociaż nie spodziewał się włamania. Ogrodzenie było pod napięciem, którego wartość przekraczała dozwoloną, a dziesięciu akrów terenu strzegło pięć potężnych rottweilców, tak dzikich i złych, jak to tylko możliwe, o zębach ostrych niczym z obsydianu. Polowały stadem i raz lub dwa razy w tygodniu rozszarpywały jelenie, które zabłąkały się w pobliżu, gdy brama była otwarta.

Same zabudowania miały powierzchnię dziesięciu tysięcy stóp kwadratowych i były zbieraniną rozpadających się parterowych budynków, dormitoriów i kaplic, w większości połączonych ze sobą, zbudowanych z desek, gontów, pustaków i stiuków. Całość przypominała wymarłe miasto w Kolorado.

Katedra wśród Sosen - tak jego ojciec nazwał to miejsce, gdy nabył je lata temu. I tak nadal głośiła zniszczona tabliczka. Mnóstwo niewielkich pokoi, gorących i dusznych latem, koszmarnie posępnych zimą. Główna kwatera mieszkalna składała się z piętnastu nędznych pokoi bez kanalizacji. Była tu również trzypiętrowa kaplica i pięćdziesiąt opuszczonych pokoi gościnnych.

Enklawa nawiązywała do wielkiej tradycji zielonoświątkowych i fundamentalistycznych obozów odnowy religijnej rozrzuconych po całej dolinie Shenandoah. Gdy WPA założyło tu park narodowy, wykupiło większość ziemi od drobnych wspólnot kościelnych i zniszczyło niektóre zabudowania, ale nie wszystkie. Spacerując po leśnym rezerwacie w Blue Ridge, można było się natknąć na opuszczony obóz, o którym Departament Parków Narodowych nie miał nawet pojęcia. Namioty rozpadły się, a krzesła i krucyfiksy leżały rozrzucone niczym świadectwo jakiegoś średniowiecznego pogromu. Taki widok powodował, że człowiek tylko rzucał okiem na swoich towarzyszy i ruszał szybko przed siebie, nie zatrzymując się dla nabrania oddechu, byle tylko wieczorem rozbić namiot jak najdalej od tego miejsca.

Matthews pojechał dalej, ku bramie, a jego wzrok spoczął na makabrycznym, wysokim na osiem stóp posągu anioła. Rzeźbę tę wykonał jego ojciec wiele lat temu. Szalony starzec pokrwawił sobie ręce, naginając winorośl i gałązki forsycji tak, by utworzyły pożądaną kształt. Teraz wszystko rozpadało się, obrzydliwe niczym korzeń mandragory pokryty bladą pajęczyną mchu i zgniłych liści. Skrzydła opadły, a twarz, niegdyś piękna, przypominała maskę kościotrupa.

Zaparkował przed największym budynkiem, wysiadł i otworzył boczne drzwiczki furgonetki. Sięgnął do środka i wyciągnął ciało. Błyskawica znów przecięła niebo, potem błysnęło się jeszcze kilka razy, ale grzmoty nadal były dziwnie stłumione. Niosąc ciało, popchnął bramę ramieniem i pozwolił, by zamknęła się za nim. Ostrożnie, upomniał samego siebie.

Ostrożnie. Aaron Matthews wierzył, że umarli - podobnie jak ci, którzy mieli niedługo umrzeć, oraz ci, którzy mieli wkrótce powstać z martwych - zasługują na najwyższy szacunek.

Rozdział 2

Zatrzymując samochód na parkingu, dziewczyna poczuła ulgę, że gabinet znajduje się poza centrum. Nikt nie będzie tędy przechodził w drodze do sklepu albo szkoły, nikt



nie zobaczy jej samochodu zaparkowanego przed gabinetem psychiatry.

Hej, spójrzcie no! Oto i nasza ulubiona wariatka...

Brawa dla Szalonej Megan.

Gdy silnik ucichł, spojrzała na swoje ciuchy, swoje codzienne ciuchy: niebieskie levisy, ciemna dżinsowa bluza, martensy. Ulga niespodziewanie znikła. To ubranie nie wyglądało jak należy. Poczuła zażenowanie i żal, że nie włożyła przynajmniej spódnicy. Spodnie za obszerne, koszula zbyt wymięta, rękawy dużo za długie, a skarpetki czerwone jak zupa pomidorowa.

Co on o mnie pomyśli?

Że jestem wariatką.

Zdjęła z szyi drewnianą pacyfę i cisnęła ją na tylne siedzenie. Przeczesała włosy palcami, odgarnęła je z twarzy. Czerwone knykcie wydały jej się wielkie jak piłeczki golfowe. Na palcach jednej dłoni miała cztery pierścionki, na drugiej trzy. Zbyt młodzieżowo. Zostawiła tylko dwa, pozostałe wrzuciła do schowka na rękawiczki.

Może powinnam odjechać? Wycofać się?

Westchnęła. Nic z tego. Megatarapaty.

Spoko. Wał przed siebie. Brawa dla Szalonej Megan.

Przycisnęła guzik domofonu i chwilę później drzwi zabrzęczały. Wnętrze gabinetu doktora Jamesa Petersa nie zrobiło na niej wrażenia. Było ciasne i duszne. Szczegóły, powtarzał jej Joshua, Joshua artysta, Joshua, który namawiał ją, żeby poważnie zajęła się malarstwem.

„Przyglądaj się szczegółom - powiedział na pierwszej lekcji. - Musisz patrzeć jak artysta. Jak się tego nauczysz, cała reszta przyjdzie sama”.

Tu było mnóstwo szczegółów: sporo kopert z rachunkami do wysłania przy drzwiach (pocieszające - znaczy, że ma dużo pacjentów). Tandetne meble (może nie bierze bardzo dużo). Wiele książek wyglądających na nudne (pewnie jest inteligentny). Wzięła kolorowe czasopismo sprzed trzech tygodni, którego zawartość wcale jej nie interesowała, i usiadła na podniszczonej kanapie.

Zanim zaczęła czytać artykuł o Julii Roberts, otworzyły się wewnętrzne drzwi i stanął w nich lekarz.

- Ty jesteś Megan? - spytał, unosząc brwi i posyłając jej zawodowy uśmiech. - Peters.

Był mniej więcej w wieku jej ojca, przystojny. Gęste włosy. Spodziewała się, że będzie łysy i z kocią bródką.

- Hej. - Ścisnęła rozpaczliwie zwinięte w rulon „People”.

- Wejdz. - Gestem wskazał drzwi.

Weszła do gabinetu.

Pokój był pomalowany na ciemnozielono - przyjemny odcień. Do wyboru miała jedno z kilku zwykłych krzeseł lub skórzaną kozetkę.

Hmm... Szalona Megan wybiera krzesło.

Usiadła, a doktor tymczasem grzebał przez chwilę w biurku, aż wreszcie znalazł czystą kartę.

- Nie jestem zbyt dobrze zorganizowany. Może to oznaka wielkiego umysłu.

Megan czuła się w obowiązku odpowiedzieć.

- Dziękuję, że mnie pan przyjął tak szybko.

- Nie ma sprawy.

Zadzwoiła wczoraj, żeby się umówić. Po tym, co stało się w poniedziałek (jak powinnam to nazwać? wypadek, sytuacja, to coś?), Wydział Spraw Socjalnych Hrabstwa Fairfax skontaktował się z jej ojcem i dał mu namiary na Petersa. Tatuś przekazał informacje córce.

Lekarz rozłożył kartę i zaczął pisać.

- Panna Megan Collier?

- Nie, to mój ojciec nazywa się Collier. Ja używam nazwiska matki. McCall. - Prze-



chyliła się na krześle, krzyżując nogi. Pokazały się pomidorowe skarpetki. Ustawiła stopy równo na podłodze, powtarzając w myśli, że ma ich nie ruszać.

Spojrzał na nią.

- Na początek kilka szczegółów. Biorę sto dziesięć za sesję. Wolałbym, żebyś płaciła osobno za każde spotkanie, jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

Kłopotu nie sprawi, pomyślała Megan, ale to trochę chamskie.

- No, Bett dała mi czek.

- Bett?

- Matka. - Megan sięgnęła po portfel.

- Później. Masz polisę ubezpieczeniową?

Znów sięgnęła po portfel.

- W porządku. - Przyglądał się jej przez chwilę z lekkim uśmiechem. - Oto plan gry. Zajrzemy dziś wstępnie do twojego umysłu i zobaczymy, co się da zobaczyć. Jeśli uznamy, że chcemy działać dalej, zaczniesz regularne wizyty, gdy tylko wrócę z konferencji w przyszłym tygodniu.

Uklucie w sercu. Czyli jak się okaże, że jestem całkiem chora lub coś takiego?

- Oj, ta mina spanikowanego pacjenta. Myślisz, że znajdziemy coś okropnego, coś mrocznego? No cóż, niewykluczone. Ale jeśli tak się zdarzy, rzucimy na to nieco światła i gdy skończymy, nie będzie już takie mroczne.

Tłumaczył jej dalej, że nawet jeśli nie zechce się z nim spotykać, będzie musiała skorzystać z jakiejś pomocy. Gdy znaleziono ją pijaną na pomoście miejskiej wieży ciśnień w poniedziałek wieczór, popełniła wykroczenie.

- Duże złe wilki ze spraw socjalnych mogą kazać ci się leczyć z powodu nadużywania alkoholu. Albo posłać cię do sądu dla nieletnich. A uwierz mi, że nie masz na to ochoty.

Wypadek...

- W porządku - powiedziała cicho. Jej wzrok padł na przewodnik leżący na biurku.

- Wybiera się pan na zachód?

- Na tę konferencję, o której wspominałem. W Kalifornii.

- Cudownie. Zawsze chciałam tam pojechać. Mam hopla na punkcie Janis Joplin.

Był pan kiedyś w North Beach?

- Wiedziałem, że kogoś mi przypominasz. Takie same jasne włosy. Oczywiście jesteście ładniejsza. Śpiewasz bluesa?

- Chciałabym.

- North Beach? - ciągnął z entuzjazmem. - Grant Street? Jasne, że tam byłem. Ta konferencja jest w Los Angeles, ale kocham północ. Hrabstwo Marin, Sausalito. Jestem w głębi duszy hipisem. Ty nie możesz pamiętać hipisów.

- Za to - odpowiedziała z równym entuzjazmem - widziałam „Woodstock” osiem razy. - Żałowała teraz, że zdjęła pacyfę.

Szalona Megan czuje się nieco mniej szalona.

W tej chwili jego uśmiech gaśnie i Peters znów staje się lekarzem. Megan poczuła rozczarowanie, jak wtedy gdy ten chłopak w klubie unikał jej wzroku.

- Opowiedz mi teraz prawdę... o wieży ciśnień. Usiłowałaś zrobić sobie krzywdę?

Nagła zmiana tematu ją zaskoczyła. Przełknęła ślinę i poczuła absolutną pustkę w głowie.

- Nie - odrzekła w końcu.

- No więc co się stało? Zaciągnęli cię tam piraci?

- No dobra, to było tak. Wyszłam z tą dziewczyną, którą poznałam w barze. Miała ze sobą nieco towaru. Chyba wzięłam kilka tabletek, nie wiem, co to było. Nigdy tego nie robię. Tak się po prostu stało.

- Piłaś?

- Odrobinę southern comfort, to wszystko. No, może nieco więcej niż odrobinę.

- Drink Joplin. Za słodki dla mnie. - Spojrzał znowu na jej jasne proste włosy.



Skinęła głową, a gdzieś w jej wnętrzu rozległo się kolejne cichutkie brzęknięcie, tym razem wyrażające uspokojenie i zadowolenie.

Podniósł palec.

- Niezgodność numer jeden. Twój ojciec mówił, że nigdy nie pijesz.

- No, on to tak widzi. Ale fakt, nigdy nie byłam tak wstawiona.

Zapisał coś i przez chwilę patrzył jej w oczy.

- Na kogo patrzę? Kim jest ta Megan McCall, która siedzi naprzeciwko mnie? Kim jest prawdziwa Megan McCall?

Uczucie spokoju minęło.

- Czy nie powinnam leżeć na kozetce?

- Jeśli tak będzie ci wygodniej.

Zobaczy pomidorowe skarpetki.

- Lepiej będę siedzieć. - Wciągnęła głęboko powietrze i roześmiała się nerwowo. - No dobra, moja tajemna opowieść... Rodzice się rozwiedli. Mieszkam z Bett. Ona ma firmę. To firma remontowa, nic więcej, ale Bett mówi, że jest architektem wnętrz, bo to brzmi lepiej. Tate ma farmę w Prince William. Kiedyś był znanym prawnikiem, ale teraz klienci do niego nie walą drzwiami i oknami. Testamenty, sprzedaże domów, takie tam. Zatrudnia ludzi do pracy na farmie.

- A jak układają się twoje związki z ludźmi? Zbyt gwałtownie, zbyt chłodno czy w sam raz?

- W sam raz.

- Aha. - Skinął głową.

Zanotował kilka słów na kartce, choć równie dobrze mogło to być po prostu bazgranie. Może nudziła go. Może robił listę zakupów. Co kupić po spotkaniu z Szaloną Megan.

Żeby wypełnić ciszę, opowiedziała mu o dorastaniu, o śmierci obojga dziadków ze strony matki i dziadka ze strony ojca, o szkole, przyjaciółkach. O ciotce Susan, bliźniaczce matki, unieruchomionej w łóżku, odkąd Megan pamięta. Nic z tego nie wydawało jej się ważne, spodziewała się więc, że dla niego będzie jeszcze mniej istotne.

- Z Bett układa mi się nieźle. - Zawahała się. - Tylko ona jest trochę śmieszna... przejmuję się tą swoją firmą, a równocześnie wierzy we wszystkie te bzdury z New Age. Wyluzuj, zrelaksuj się, spoko. To wszystko jest dość mętne. Ale daje mi kasę, płaci ubezpieczenie samochodu. Sporo matek tego nie robi. Nie kłóćmy się.

- Rozmawiacie ze sobą? Przetrawiacie różne sprawy, jak mawiała moja babcia?

- Jasne... No, może niezbyt często. To znaczy - ona dużo milczy. I często nie ma jej w domu.

- A jak z ojcem?

Wzruszyła ramionami.

- W porządku. Zabiera mnie na koncerty. Rozumiemy się. Ale nie mamy wielu tematów do rozmowy. On by chciał, żebym z nim uprawiała windsurfing, no więc pojechałam raz, ale to strasznie bezsensowny sposób spędzania czasu. Wolę poczytać książkę albo coś takiego. Zna pan Garcíę Marqueza? Właśnie czytam „Jesień patriarchy”.

W jego oczach pojawiła się isierka entuzjazmu.

- Rany. Zmyślasz?

- Nie, ja...

- „Miłość w czasach zarazy”. Najwspanialszy romans, jaki kiedykolwiek napisano. Czytałem to trzy razy.

Kolejne przyjemne ukłucie.

Szalona Megan ma jakieś punkty za normalność.

- Opowiedz mi coś więcej o swoim ojcu.

- Hmm, no, on jest nadal bardzo przystojny... rozumie pan, jak na faceta po czterdziestce. Ma niezłą kondycję. Spotyka się z mnóstwem kobiet, ale nie wygląda na to, żeby zamierzał się ustatkować. Choć mówi, że chciałby mieć rodzinę.

- Naprawdę?



- No. Bez przerwy. Ale skoro tak, to czemu spotyka się z dziewczynami o imieniu Barbie?

- Żartujesz!

- Żartuję. Ale wyglądają jak Barbie. - Oboje się roześmiali.

Chwilę później uśmiech zniknął z twarzy lekarza; spojrzął na zegarek, a następnie na czyjaś teczkę leżącą na biurku. Teczkę innego pacjenta, jak zauważyła.

- Pewnie chciałby pan wiedzieć - odezwała się Megan chłodno - czy kiedykolwiek dotykał moich piersi albo dobierał się do mnie. - Z satysfakcją dostrzegła, że znów zwrócił na nią uwagę.

- A robił to?

- Nie. Zresztą może robił, ale ja nie pamiętam.

- Stłumiona pamięć? Naoglądałaś się zbyt dużo Oprah Winfrey. Opowiedz mi o ich rozwodzie.

- Właściwie to nie pamiętam, jak byli razem. Rozeszli się, gdy miałam trzy lata.

- Wiesz dlaczego?

- Za wcześnie się pobrali. Tak mówi Bett. Potem okazało się, że nie pasowali do siebie.

Gdy opowiadała o tym, jak mało wie o rozpadzie ich małżeństwa, znów uciekł gdzieś myślami. Zabolało ją to, głos uwiązał jej w gardle. W pokoju zapanowało milczenie.

- Chciałby pan usłyszeć o moich fantazjach? - spytała nagle, zaskakując samą siebie.

Chwycił przynętę niczym ryba. Natychmiast podniósł wzrok.

- No pewnie.

- Ostrzegam tylko, że może pan być zszokowany. To dotyczy seksu.

- Spróbujmy - odpowiedział. - Nie tak łatwo mnie zaszokować.

Gładko obciętym paznokciem lewej ręki potarł złamany paznokieć prawej. Dwa razy dotknął obrączki. Pochylał głowę, ale wciąż na nią patrzył.

- Dziwnie się czuję - powiedziała Megan - gdy pan tak na mnie patrzy.

- Spróbuj na kozetce. Stamtąd nie będziesz widzieć mojej paskudnej gęby.

Do diabła ze skarpetkami. Położyła się na twardej kanapie. Bluzka opięła się jej na piersiach. Miały stwardniałe od zimna sutki. Doktor przechylił lekko głowę: nie patrzył na skarpetki.

Oparła się, wyginając lekko plecy, żeby bawełna opięła się na ciele.

Szalona Megan zamyka oczy.

- Jestem w ciemnym pokoju. Bardzo dużym. Jak świetlica w szkole albo coś w tym rodzaju. W środku jest mężczyzna. Starszy ode mnie. Ubrany na czarno. Jest wyższy ode mnie i... silny. Nie niebezpieczny, ale bardzo silny. No, może i jest niebezpieczny. To taka część tej fantazji, o której niewiele wiem.

- Przypomina kogoś, kogo znasz?

- Nie. Nie widzę jego twarzy. Nie pozwala mi na to. Pozostaje w cieniu. Częściowo dlatego to wszystko jest takie podniecające. Chowam się przed nim. To gra. Jakby w chowanego. Słyszę, jak podchodzi do mnie, czuję dreszcze. Wie pan, dostaję takiego...

- Mów dalej.

- Zakrętu. Trochę wstyd mi o tym opowiadać.

- Nie ma problemu, Megan, mów.

Zauważyła u swoich stóp brązową lampkę, w której kloszu odbijała się twarz doktora. Siedział wychylony i wbijał w nią spojrzenie.

- Ten facet zbliża się do mnie. I jakby wydzieliał z siebie ciepło czy coś takiego. Czuję to wszędzie. Na piersiach, no wie pan, wszędzie. Wie pan, kiedy najczęściej zdarza mi się tak fantazjować?

- Poddaję się.

- W nocy. W łóżku. Bett nie włącza klimatyzacji. Zawsze jest strasznie gorąco, a ja



śpię bez przykrycia. I... - Megan utkwiała wzrok w lampie u swoich stóp. Doktor wpatrywał się w jej twarz, trzymając pióro nieruchomo w dłoni. - Mam wtedy na sobie to samo co w rojeniach. Na co dzień noszę byle jakie ciuchy. Takie jak dzisiaj. Ale to nie prawdziwa ja.

- Nie?

- Nie. Podobają mi się seksowne ciuchy. Zazwyczaj mam na sobie halkę i majtki. Czasem tylko majtki. Satynowe albo jedwabne. Takie z Victoria's Street. Lubię ich dotyk. Nieważne, w każdym razie jak wyobrażam sobie, że ten facet zbliża się do mnie, to... się dotykam.

Utkwiła wzrok w kulistym, połączanym odbiciu lekarza.

- Mów dalej - powiedział spokojnie.

- Dotykam wszystkich miejsc, a on mnie ściga. - W swoim lustrze widziała, jak jego klatka piersiowa unosi się i opada. Zapisał coś, ale bez widocznego zainteresowania. - Dotykam piersi i wsuwam palce między nogi. Potem wyobrażam sobie, że on mnie obraca i całuje, rozumie pan, tak naprawdę głęboko, po czym podnosi moją koszulę i ściąga mi majtki. Nadal go nie widzę, zasłania mi oczy dłonią. Nie da się go powstrzymać. Pragnę go, a on o tym wie. Jest już nagi i czuję jego... wie pan co, napiera na mnie.

W zniekształconym jak przez rybnie oko odbiciu w lampie dostrzegła, że przestał notować.

- A potem obraca mnie i patrzę w inną stronę - szepnęła - a on obejmuje mnie i ścisną moje piersi, ścisną je mocno i ugniata. Nie robi nic więcej, po prostu nie puszcza mnie. Nie mogę się poruszyć. Trzyma mnie i ociera się. Czasami owijam się prześcieradłem i wtedy jest naprawdę ciasno. I myślę o nim, jak jest tam tuż za mną, o tym, jak mnie trzyma i ociera się. Pieszczę się coraz intensywniej... jestem już gotowa, wystarczają mi dwie, trzy minuty, żeby dojść.

Megan uniosła dłonie i klepnęła się lekko po dżinsach.

- To wszystko - dodała. - Okropne, prawda?

- Co okropne?

- Tak fantazjować. Że ten facet mnie ściga.

- Mnie się całkiem podobało. - Uśmiechnęła się. - Uważasz, że to okropne?

- No, niezbyt feministyczne.

- Fantazje rzadko są poprawne politycznie.

- Ja czasami czuję wstyd.

- Dlaczego?

- Nie wiem - odpowiedziała, spuszczać wzrok. - Po prostu czuję.

Doktor odchylił się na krześle i przypatrywał się jej.

- Czy czujesz wstyd między innymi dlatego, że zmyśliłaś to wszystko?

Serce jej skacze. Oczy mrużą się, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

Szalona Megan przyłapaną na gorącym uczynku.

- Spokojnie - odezwał się doktor Peters. - W moim gabinecie nie ma ławki kar. Nigdy tak nie fantazjowałaś, prawda? Nie podczas masturbacji.

Nie odpowiedziała. Miała ochotę wybuchnąć płaczem, nie potrafiła wykrztusić słowa. Potrząsnęła głową i usiadła.

- Ejże, ejże... rozluźnij się, młoda damo. - Uśmiechnął się.

- Jak...?

- A więc zmyśliłaś to wszystko, tak?

Potaknęła.

Doktor nie sprawiał wrażenia zaskoczonego ani zasmuconego.

- No, już. Weź chusteczkę. To, co zrobiłaś, może być bardzo pomocne.

- To, że nakłamałam? - Pociągnęła nosem.

- Czy nazwałem cię kłamczuchą? To przecież jest fantazja. Wymyślona przez siebie opowieść. Nie miała na celu cię podniecić - jak większość fantazji - ale nie była pozbawiona celu. Jakiego, twoim zdaniem?



- Nie... nie wiem.
- Może chciałaś do mnie dotrzeć? Nawiązać jakiś kontakt?
- Może.

Wróciła mżawka i w gabinecie zrobiło się duszno. Czuło się ciężki zapach wilgotnych włosów i ubrań, ale powietrze pozostało chłodne. W pokoju pociemniało.

Megan gapiła się w sufit.

- Cofnijmy się w czasie - zaproponował. - Do... kiedy to było? W poniedziałek? Do wieży ciśnień. Miałaś jakieś szczególne zmartwienie? Dlaczego poszłaś pić?

- Miałam koleżankę. Przyjaźniłyśmy się w szkole. - Czuła, jak wzbiera w niej płacz, więc umilkła.

- Tak? - Doktor Peters nie wygłupiał się już.

- Annę Devoe.

Zmarszczył brwi.

- Mam wrażenie, że słyszałem to nazwisko. I co się stało?

Megan przetarła oczy.

- Popełniła samobójstwo w zeszłym miesiącu. W Great Falls.

Zrozumiała, że właśnie dlatego urznęła się w poniedziałkowy wieczór. Dziewczyna, z którą piła, lubiła zaglądać do butelki, to jasne. A Bobby zadrezczał ją, odkąd się rozstali. A potem Bett nie wróciła na noc do domu ani nie zadzwoniła, jak obiecała... tak, to wszystko było ważne. Ale to śmierć Anne wracała do niej. Ludzie, jak można tak zrobić? Rzucić się do wody? Wyobraźnia Megan wciąż powtarzała tę scenę: Anne unosząca się w krystalicznie czystej wodzie, oświetlona od dołu błękitnym światłem, jej piękne włosy otaczają nieruchomą głowę niczym dym.

Śmierć posrebrzyła jej oczy.

Szczegóły...

- Megan?

- O co pan pytał?

- Czy byliście sobie bliskie.

- Dosyć bliskie. Wszyscy lubili Anne.

- Wpisujemy to na listę.

- Listę?

- Spraw, o których musimy porozmawiać. Miałaś jakieś inne przyjaciółki? Jesteś typem towarzyskim czy raczej samotnikiem?

- Chyba raczej samotnikiem. Jest Amy Walker. Najbliższa. To coś takiego jak miłość połączona z nienawiścią.

- Często z nią rozmawiasz?

- Prawie codziennie. Przez pewien czas byłam na nią wściekła, bo odbiła mi chłopaka. Steviego Biggsa. - Roześmiała się. - Ale on i tak był dupkiem. Tak naprawdę nie obchodzi mnie to. Pogodziłyśmy się.

- A co z chłopakiem?

Megan znów się roześmiała.

- To krótka historia. Przez jakiś czas spotykałam się z Joshua. On mieszka w dystrykcie i jest superartystą. Ale zerwaliśmy. No dobra, to on mnie rzucił. W zeszłym roku. Jest czarny i miał jakieś problemy rasowe, tak mi się wydaje. Pojawił się znowu, ale ja trzymam się na dystans. A potem jakieś kilka tygodni temu zerwaliśmy z Bobbym.

- Bobby? A to kto?

Tym razem jej śmiech był gorzki.

- Tego to ja rzuciłam. Choć zazwyczaj oni mnie rzucają.

- O co poszło?

- Po prostu nie nadawał się dla mnie. To jest coś, co się wie.

- Spotykasz się z nim? Z tym Bobbym?

- Nie. Było, minęło.

- Ktoś inny na horyzoncie?



Potrząsnęła przecząco głową.

- Jakież szczególne kłopoty z rodzicami?

- Nie - odpowiedziała lekko.

- A więc powiedz mi - przez jego twarz przebiegł lekki uśmiech - czemu unikasz rozmowy o nich?

- Nie unikam. - Nagle poczuła, że zaraz spyta, czemu zaprzeczyła, że unika rozmowy o rodzicach. - Kocham ich - dodała szybko. - Oni też mnie kochają. Układa nam się, no, jak w pudełeczku.

- Jak w pudełeczku. Jakie są twoje najwcześniejsze wspomnienia związane z matką?

- Co?

- Szybko.

Megan zamknęła oczy i wybrała jedno.

- Bett ubiera się na randkę, maluje twarz, spogląda w lustro i pstryka w zmarszczkę, jakby miała nadzieję, że zniknie. Zawsze tak robi. Jakby twarz była dla niej najważniejsza.

- A co ty myślisz, patrząc na nią? - W jego ciemnych oczach tlił się ogień. Wszystko w niej zamarło. - Nie wahaj się. Mów!

- Dziwka.

- Doskonale. A teraz wspomnienia związane z ojcem. Szybko.

- Niedźwiedzie. - Megan wciągnęła powietrze i podniosła rękę do ust. - Nie... muszę pomyśleć.

Ale zanim zdążyła zmienić temat, doktor już odbił piłeczkę.

- Niedźwiedzie? W zoo?

- Nie. Nieważne.

- Opowiedz o tym.

- Nie...

- Opowiedz, Megan - zbeształ ją łagodnie.

- To nie były prawdziwe niedźwiedzie.

- Zabawki?

- Niedźwiedzie w bajce.

- Dlaczego sprawia ci to taki kłopot?

Szalona Megan zrobiła to. Teraz nie ma wyjścia.

- Miałam jakieś sześć lat, chyba tak? - powiedziała w końcu. - Spędzałam weekend z tatą. On mieszka w takim dużym domu, który wybudowali z Bett, gdy byli małżeństwem. Sąsiadów nie ma w odległości kilku mil. Dom stoi pośrodku pól kukurydzianych, panuje tam cisza i jest dość niesamowicie. Czułam się dziwnie, jakbym się czegoś bała. Poprosiłam, żeby przeczytał mi książkę. Zrobił śmieszny minę i powiedział, że nie ma żadnych książek dla dzieci. Zrobiło mi się strasznie przykro. Moja szkolna przyjaciółka... Michelle... Jej rodzice też się rozwiedli, ale jej ojciec miał masę książek i zabawek. Rozpłakałam się i zapytałam, czemu nie ma żadnych książek dla mnie. Wyglądał na zakłopotanego i poszedł do starej stodoły, gdzie mnie nawet nie wolno było chodzić, pobył tam przez dłuższą chwilę i wrócił z książeczką. Miała tytuł „Szepczące niedźwiedzie”. Tylko, że to nie była naprawdę książka dla dzieci. Dowiedziałam się później, że to były europejskie baśnie ludowe.

- Pamiętasz tę opowieść?

- Tak.

- Po tylu latach?

- Po tylu latach - powiedziała, uciekając przed wzrokiem doktora, i spojrzała na zegar.

Rozdział 3

Na skraju lasu znajdowało się miasteczko. Jego mieszkańcy byli szczęśliwi, wie



pan, o co chodzi, jak we wszystkich bajkach, zanim wszystko się popsuje. Ludzie łąza po ulicach, śpiewają, idą na targ, jedzą obiad w rodzinnym gronie.

No i pewnego dnia z lasu wyszły dwa wielkie niedźwiedzie, stanęły pod miastem ze spuszczoneymi łbami i wydawało się, że coś do siebie szepczą.

Z początku nikt nie zwracał na nie uwagi. Potem jednak ludzie przerywali swoje zajęcia i usiłowali podsłuchać, co mówią niedźwiedzie. Ale nie mogli. W nocy niedźwiedzie wróciły do lasu. Pewna kobieta oznajmiła, że wie, o czym rozmawiały, że naśmiewały się z mieszkańców miasteczka. I wtedy każdy zaczął dostrzegać, że wszyscy pozostali dziwnie chodzą, śmiesznie mówią i głupkowato wyglądają; skończyło się na wzajemnym wyśmiewaniu, no i wszyscy oszaleli.

Dobra, no więc następnego dnia niedźwiedzie znów wyszły z lasu i zaczęły szeptać. Bla, bla, bla, wie pan, o co chodzi. Po czym wróciły do lasu. A pewien stary człowiek oznajmił, że wie, o czym mówiły. Plotkowały. Wyjawiały sekrety mieszkańców. Tej nocy ludzie w miasteczku wrócili do domów, pozamykali wszystkie okna i drzwi i wstydzi się wyjść na rynek, pójść do restauracji czy kawiarni, jak czynili to do tej pory.

No a trzeciego dnia niedźwiedzie znów wyszły z lasu ze zwieszonymi głowami. W końcu jakiś mężczyzna krzyknął: „Wiem, co one robią! Zamierzają zaatakować wioskę! Uciekajmy!”. I ludzie spakowali się i uciekli. Rozeszli się na cztery strony świata, a ich miasteczko opustoszało.

Tate czytał mi to tylko raz, ale wciąż pamiętam ostatnie zdania. Brzmiały one tak: „A czy wiecie, o czym naprawdę szeptały niedźwiedzie? No cóż, o niczym. Nie domyśliście się? Przecież niedźwiedzie nie umieją mówić”.

- Ta opowieść cię przygnębiła? - spytał doktor.

- Tak.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Może dlatego, że wszyscy wynieśli się z tego miłego miasteczka i zmarowali sobie życie bez powodu.

- Co się stało, gdy twój ojciec skończył czytać?

Megan zawahała się.

- To wszystko. - Wzruszyła ramionami. - Bett przyjechała i zabrała mnie do domu.

- Dlaczego to wywarło na tobie takie wrażenie? Jeśli chcesz wiedzieć, co o tym myślę, to nie uważam tego za najwybitniejszą baśń na świecie.

- Nie wiem. Myślę, że byłam wściekła, bo tak naprawdę to nie była bajka dla dzieci.

- Bawiła się guzikiem bluzki.

- Nie idzie ci łatwo, Megan?

- Chyba nie.

- Łatwiej by ci było spisywać uczucia? Wielu moich pacjentów tak robi. Tam jest papier. - Sięgnęła po kilka kartek i położyła je na broszurze, którą jej podsunął jako podkładkę. Niechętnie wzięła do ręki pióro.

Wpatrywała się w kartkę.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Powiedz, jak się czujesz.

- Nie wiem, jak się czuję.

- Ależ wiesz. Pomyśl o Amy. Co czułaś, kiedy odbiła ci chłopaka? Co wtedy czułaś? Zamrugła oczami.

- Spróbuj, Megan. Wyobraź sobie najgorsze możliwe uczucia, a potem zejdz głębiej. Nienawidziłaś jej, prawda?

Megan rozłożyła ręce i dotknęła paciorków na poduszce.

- Mówiłam już. To nie było nic wielkiego.

- Przestań tłumić to w sobie. Wściekłaś się?

Niechętnie skinęła głową.

- Opowiedz mi o tym.

- Tak, wściekłam się! - Usta jej drżały, z trudem łapała oddech. Zatrzęsa się ze



złości.

- Co chciałaś zrobić?
- Ja...
- Nie przerywaj.
- Chciałam wrzeszczeć. Nie chciałam jej już nigdy widzieć.
- Co pragnęłaś jej powiedzieć?
- Chciałam wrzasnąć: Ty suko! Jak mogłaś mi to zrobić?
- Świetnie. Zapisz to.

Spojrzała na kartkę. Papier wpatrywał się w nią niczym wielkie zachmurzone okno. Jeśli tam wejdzie, może już nigdy nie wrócić.

- Powiedz jej to - szepnął doktor Peters, nachylając się.

Megan nie ruszała się przez dłuższą chwilę. Słyszała oddech doktora i swój własny. A potem nagle słowa zaczęły płynąć, cały jej gniew na widok Amy flirtującej ze Steviem; przypomniała sobie, jak przestała do niej dzwonić, gdy zobaczyła ich razem na meczu zeszłej jesieni...

Drżącą ręką podała mu zapisaną kartkę i poczerwieniała z zadowolenia na widok jego promiennej twarzy.

- Świetnie, Megan. Doskonale. Znakomicie. - Po czym zniemacka wskazał znów na papier. - A teraz rodzice. Każde z osobna. Najpierw matka. Zejdź jak najgłębiej - szepnął.

- Nic mi nie przychodzi do głowy!
- Wybierz coś konkretnego. Dlaczego tak się na nią gniewasz?

Zacisnęła pięść.

- Dlatego że...

- Dlaczego?

- Nie wiem. Bo ona jest... Ona włóczy się z tymi wszystkimi facetami. Jakby myślała, że potrafi ich zauroczyć.

- No i co? Dlaczego cię to denerwuje?

- Nie wiem!

- A ja myślę, że wiesz - odparł.

- Ona jest po prostu kobietą interesu, a bawi się w ten szajs. Nie jest królową z bajki, choć bardzo by chciała.

- Udaje niezwykłą? Dlaczego, jak sądzisz?

- Żeby być szczęśliwą. Chce na zawsze pozostać piękna i młoda. Wydaje jej się, że ten dupek Brad uczyni ją szczęśliwą. Ale tak nie będzie.

- Jest zachłanna? To chcesz powiedzieć?

- Tak! - krzyknęła Megan. - O to właśnie chodzi! Ja nic jej nie obchodzę. Miała do mnie zadzwonić w niedzielę, ale pojechała do Brada...

- Swojego chłopaka?

- Tak. Pojechała tam i nie zadzwoniła. To Bobby przyszedł w poniedziałek wieczorem do szpitala, wtedy gdy zabrali mnie z wieży. To on kazał policji wezwać Bett. Tak samo się działo, gdy byłem dzieckiem. Zawsze zostawiała mnie samą.

- Zupełnie samą?

- Nie, z kimś. Najczęściej z wujkiem.

- Wujkiem?

- Mężem cioci Susan. Ona przez większość życia chorowała. Bett spędzała mnóstwo czasu u niej w szpitalu, jak byłem mała. A wujek Harris opiekował się mną. Był całkiem miły, ale...

- Ale tęskniłaś za matką?

- Chciałam, żeby była ze mną. Mówiła, że to tylko na jakiś czas, bo ciocia Susan jest naprawdę chora. To znaczy, że niedługo umrze. Mówiła, że były sobie bardzo bliskie, tak bliskie, jak to tylko możliwe. Są bliźniaczkami. - Megan otarła łzy. - Ale ja ciągle zastanawiałam się, dlaczego miała tyle uczuć dla niej? Pragnęłam, żeby była tak blisko



ze mną.

- Czy on cię kiedykolwiek dotknął? - zapytał łagodnie doktor. - Twój wujek?
- Nie. Był naprawdę miły. To wszystko przez to, że chciałam, by to moja mama albo tata byli przy mnie, bawili się ze mną, czytali mi książki. Czułam się taka samotna.
- Ale nie pozwalając sobie na gniew. Dlaczego?
- Bo mama robiła coś dobrego. Moja ciocia jest świetną kobietą. Kocham ją, a ona naprawdę jest bardzo chora, powinna mieć przeszczep serca, ale nie przeżyłaby operacji.

- Co jeszcze?
- Chciałam, żeby mama była ze mną, ale czułam się winna.
- Dlaczego?
- Ciocia bardziej jej potrzebowała. Wiesz, wujek Harris popełnił samobójstwo.
- Naprawdę?
- Było mi żal cioci, ale... - Stłumiła szloch.
- Ale co? Mów dalej, Megan, idzie ci świetnie. Powiedz to.
- Ja prawie... prawie się z tego ucieszyłam. To znaczy, nie tak naprawdę... Ale pomyślałam, że może mama będzie teraz spędzać ze mną więcej czasu. - Megan płakała.
- Było mi żal cioci, ale bardzo potrzebowałam matki. - Oblała się rumieńcem.

- Miałaś wtedy trzy lata? I pamiętasz, że właśnie tak się czułaś?
- Wiem tyle, że byłam smutna i samotna. Myślę, że później wymyśliłam dlaczego. Pióro spadło jej z kolan na podłogę. Doktor pochylił się i położył je z powrotem na kartce papieru. Wzięła je w drżące palce. Łzy kapały na papier.

- Powiedz jej to - odezwał się doktor. - Powiedz jej, że jest zachłanna. Że odwróciła się od własnej córki, żeby zająć się siostrą.

- Ale - zdołała wydusić z siebie Megan - to ja byłam zachłanna.
- Oczywiście, że tak. Byłaś dzieckiem, miałaś prawo być zachłanna. Rodzice są po to, by zaspokajać potrzeby dzieci. To ich zadanie. Powiedz jej, co czujesz. - Nachylił się, ścisnął ją za rękę i powiedział łagodnie: - Idzie ci świetnie.

Czuła, że w mrocznym pokoiku kręci jej się w głowie - niezwykle ciemne oczy doktora wwiercały się w nią, czuła chłód na skórze od emocji i wilgotnego ubrania, czuła pożądanie i strach.

A przede wszystkim rozpierał ją gniew.

Skończyła list i upuściła kartkę na podłogę. Spadała jak blady liść. Doktor nie zwrócił na nią uwagi.

- A teraz ojciec.

Megan zamarła, potrząsnęła głową.

- Następnym razem, proszę.

- Nie. Teraz.

Mięśnie brzucha miała napięte, twarde jak deska. W końcu zapytała cicho:

- Dlaczego on nie chce się ze mną widywać? Nie walczył nawet o warunki opieki.

Widuję się z nim co dwa, trzy miesiące.

- Wściekasz się o to?

Pełne wahania drżenie.

- Tak.

- Powiedz mu o tym.

- Ale...

- Powiedz!

Zaczęła pisać. Zapominając o gramatyce i ortografii, wylewała swoje myśli. W końcu pióro się zatrzymało.

- O co chodzi, Megan? Dlaczego nic nie mówisz?

- Eee nic.

- Co ja słyszę? Pasja minęła. Coś nie w porządku. Coś w sobie tłumisz. Szepczące niedźwiedzie. To coś w związku z tą bajką. Tak?



- Nic.
- Znajdź to miejsce, które najbardziej boli. A potem zejdź głębiej. Szalona Megan nie znieś tego dłużej. Chce, żeby ją zostawiono w spokoju. Ale doktor przybliżył się. Ich kolana się zetknęły.
- No, mów dalej. O co chodzi? O tę bajkę, prawda? O niedźwiedzie.
- Nie. Sama nie wiem, o co chodzi...
- Chcesz mi to powiedzieć. Musisz mi to powiedzieć. - Ukłękął i chwycił ją za rękę.
- Dotknij tego, co najbardziej boli. Dotknij! Ojciec przeczytał ci bajkę. Doszedł do ostatniego zdania. „Niedźwiedzie nie umieją mówić”. Odkłada książkę. Co się teraz dzieje? Megan wyprostowała się. Drżąc, wpatrywała się w podłogę.
- Idę na górę, żeby się spakować.
- Matka przyjeżdża, żeby cię zabrać. Zacisnęła powieki aż do bólu.
- Już jest. Słyszę samochód na podjeździe.
- Wchodzi do domu. Ty jesteś na górze, a twoi rodzice na dole. Rozmawiają?
- Tak. Mówią coś, czego z początku nie słyszę. Potem podchodzę bliżej, przekradam się na półpiętro.
- Słyszysz ich?
- Tak.
- Co mówią?
- Nie wiem.
- Co mówią? - Głos doktora wypełnił cały gabinet. - Powiedz mi!
- Mówią o tym, że ktoś umarł, o pogrzebie.
- Pogrzebie? Czyim?
- Nie wiem. Ale jest w tym coś złego. Coś bardzo złego.
- Jest coś jeszcze, prawda, Megan? Mówią coś jeszcze.
- Nie! - krzyknęła z rozpaczą. - Tylko pogrzeb.
- Megan, powiedz mi.
- Ja...
- Proszę. Dotknij tego miejsca, które boli.
- Tato powiedział... - Megan czuła, że zaraz zemdleje. Starła się powstrzymać łzy.
- Nazwał mnie...
- Jak?
- Mówili o mnie. I mój tata powiedział... - Wdychała ciężko powietrze, które paliło ogniem jej gardło i płuca. Doktor zamrugał zaskoczony, gdy wrzasnęła: - Tato krzyknął: „Wszystko byłoby inaczej, gdyby nie ona, gdyby to cholerne dziecko nie zawadzało. Wszystko zniszczyła!”.
- Megan złożyła głowę na kolana i rozplakała się. Doktor objął ją ramieniem. Czuła, że gładzi ją po głowie.
- Co poczułaś, gdy to usłyszałaś? - Otarł gwałtowny potok łez.
- Nie wiem. Rozplakałam się.
- Czułaś się zdradzona?
- Potaknęła.
- Porzucona?
- Tak! - załkała.
- Chciałaś uciec?
- Chyba tak.
- Chciałaś mu pokazać, tak? „Jeśli tak o mnie myśli, to ja się mu odpłacę. Ucieknę”.
- Tak właśnie myślałaś, prawda?
- Kolejne potaknięcie.
- Chciałaś znaleźć się w jakimś miejscu, gdzie ludzie nie byliby zachłanni, kochaliby cię, mieli dla ciebie odpowiednie książki, czytali ci i rozmawiali z tobą.
- Wypłakiwała się w papierową chusteczkę.



- Powiedz mu to, Megan. Wyrzuć to z siebie. Wyrzuć to tak, żebyś mogła na to popatrzeć.

Pisała, dopóki łzy nie przysłoniły jej całkowicie papieru. Wtedy mokra kartka spadła na podłogę, a ona oparła się o ramię doktora i płakała.

- Świetnie, Megan - oznajmił. - Doskonale.

Ścisnęła go mocniej, niż kiedykolwiek przytulała kochanka, wcisnęła głowę w jego ramię. Przez chwilę oboje trwali w bezruchu. Ona zamarła, przytulając go z gorączkową intensywnością. Jego mięśnie napięły się lekko i przez moment sądziła, że odczuwa ten sam smutek co ona - z tego powodu, że nie zobaczą się przez następny tydzień. Chciała się uwolnić, żeby ujrzeć znów jego łagodną twarz, ale on wciąż trzymał ją mocno, tak mocno, że poczuła ból w ramieniu.

Niepokojące, niemal podniecające ciepło rozlało się po jej ciele.

Wtedy ją puścił. Uśmiech zamarł na jej twarzy, gdy zobaczyła jego dziwną minę.

Wyraz przerażającego triumfu.

- O co chodzi? - spytała. - Co jest nie tak?

Nie odpowiedział.

Chciała powtórzyć pytanie, ale nie mogła wykrztusić słowa. Język wypełnił jej opuchnięte usta. Naciskał na suche zęby. Wzrok zmętniał. Chciała znów coś powiedzieć, ale nie dawała rady.

Patrzyła, jak doktor wstaje i otwiera płócienną torbę leżącą na podłodze za biurkiem. Odłożył do niej strzykawkę.

- Co...? - zaczęła, po czym zauważyła na ramieniu, w miejscu, skąd rozchodził się ból, małą kropelkę krwi.

- Nie! - Chciała go znów błagać, żeby powiedział, co robi, ale słowa ginęły w bełkocie. Usiłowała krzyczeć, ale wychodził jej tylko szept.

- Nie jest pan doktorem Petersem...

- Jestem. Ale to nie jest moje prawdziwe nazwisko - odpowiedział.

- Kim... kim pan jest?

- Naprawdę nazywam się Aaron Matthews. Bóg przysłał cię do mnie. - Podszedł do niej i przykucnął, ujął jej głowę w ręce i położył na kozetce.

Szalona Megan przekroczyła granicę szaleństwa.

- Zaśnij - powiedział Matthews głosem, który brzmiał łagodniej niż kiedykolwiek głos jej ojca. - Zaśnij.

- Nie! - Usiłowała go kopnąć, chciała wołać o pomoc.

I wtedy, w ostatnich chwilach przytomności, zrozumiała - tak jak czasem nagle pojmuje się pointę dowcipu - że stało się coś bardzo, bardzo złego.

Wyobraź sobie to, co najgorsze, i zejdź głębiej.

Otworzyła usta do krzyku, ale wydobył się z nich tylko słaby szept. Powieki ciążyły jej teraz tak samo jak język. Czuła, że zapada się w koszmar strachu, wyzwolony przez dźwięczny głos tego mężczyzny, który nachylił się nad nią i zaczął śpiewać. To była piosenka zapamiętana z dawnych lat. Jezus mnie kocha, to wszystko, co wiem.

Z każdą nutą jej przerażenie rosło, aż z łaski narkotyku albo lęku w pokoju zapłonowała ciemność, a Megan opadła w ramiona mężczyzny.

Rozdział 4

Sto trzydzieści lat temu Martwy Reb wędrował przez to pole.

Być może tą samą ścieżką szedł dziś ten wysoki, szczupły mężczyzna. Tate Collier poczuł dreszcz i obejrzał się przez ramię. Potem roześmiał się w duchu i miażdżąc mokre od deszczu kolby i łodygi kukurydzy - pozostałości po ubiegłorocznych zbiorach - przedzierał się dalej przez pole, przyglądając się drobnuteńkim pęknięciom w rurze nawadniającej, która miała dać znacznie więcej wody niż w zeszłych latach. Uznał, że trzeba ją będzie wymienić w przyszłym tygodniu, i zastanawiał się, ile to może kosztować.



wać.

Tate miał na sobie prążkowany garnitur od Brooks Brothers, żółtą kurtkę przeciwdeszczową i kalosze, jako że przyjechał tu prosto ze swojej kancelarii w centrum, gdzie spędził właśnie godzinę, tłumacząc Mattie Howe, że wytaczanie sprawy gazecie „Advocate” z Prince William tylko dlatego, że dokładnie opisała jej aresztowanie za prowadzenie pod wpływem alkoholu, było przedsięwzięciem z góry skazanym na niepowodzenie. Pozbył się jej grzecznie i popędził na swoją dwustuakrową farmę.

Spojrzał na zegarek. Jedenasta czterdzieści pięć. Pół godziny do przybycia gości. I znowu pojawiło się uczucie niepokoju. Może wróci do domu i odbierze wiadomość, że odwołali wizytę. Wślizgnie się wtedy na powrót do swojego biura, gdzie będzie miał święty spokój, włoży do odtwarzacza nową płytę Mary-Chapin Carpenter i napisze kodycył, który obiecał przygotować na zeszły tydzień.

Szedł wzdłuż plastikowej rury aż do Zakątka Jacksona położonego w niższej części farmy i przypomniał sobie, jak dziadek, Sędzia, opowiadał mu o Martwym Rebie, kołyszając się w fotelu stojącym na werandzie jego domu w Burke, ubrany w farmerskie spodnie khaki, białą koszulę i szerokoskrzydły słomiany kapelusz.

Młody szeregowiec, uczestnik wielkiego eksperymentu armii Konfederacji, dostał kulę z muszkietu między oczy w pierwszej bitwie pod Bull Run. Wedle wszelkich praw miłosierdzia i fizjologii powinien był paść trupem na linii ognia. Ale on tylko odrzucił muszkiet, wstał i ruszył na wschód, aż dotarł do wielkiego lasu otaczającego zakurzone miasteczko Manassas. Tam mieszkał przez pół roku, pozbawiony zmysłów, niechlujny, jego skóra stała się ciemna niczym niewolnika, żywił się wysysanymi jajkami i dziećmi porwanymi z kołysek (to, że odżywiał się ludzkim mięsem, było tylko legendą, zaznaczył Sędzia w ustnym przypisie, zanim pociągnął opowieść dalej). Martwy Reb był osobiście odpowiedzialny za to, że tego lata i jesieni w lasach Centreville po zmroku całkowicie ustał ruch pieszy - aż wreszcie go odnaleziono, całkiem nagiego i rzeczywiście martwego; siedział sztywno w miejscu, które kiedyś miało się stać farmą Colliera.

Tate pomyślał o Martwym Rebie dlatego, że widział jego widmo tego ranka, gdy wyglądał spomiędzy pachnących kwaśno bukszpanowych desek niedaleko od domu.

Wielmożny pan C. Tate Collier, radca prawny, nie uznawał zabobonów. Ale farmer Tate Collier rzucał solą przez lewe ramię i odczuwał nienaturalny niepokój, gdy jego dzierżawcy siali przy pełni księżyca. Mógłby przysiąc, że widział ducha zagląającego przez okno salonu. Kiedy wyszedł na werandę, duch oczywiście zniknął.

Wyprostował się i przetaił szkiełko zegarka.

Dwadzieścia minut do spotkania.

Rozluźnij się, powiedział sobie. Rozluźnij się.

Wpatrując się w mglistą mżawkę, Tate dostrzegał w odległości mili dom, który zbudował prawie dwadzieścia lat temu. Wyglądał jak miniaturowa Tara, biały niczym obłok, z dwiema kolumnami doryckimi. Była to jedyna słabostka w życiu Tate'a, opłacona pieniędzmi ze spadku; miał nadzieję, że błyskotliwość i talent młodego prokuratora zostaną w końcu odpowiednio wynagrodzone, mimo że nędzne pensje prawników stanowych są powszechnie znane. Dom o sześciu sypialniach wciąż jęczał pod jarzmem hipoteki.

Kiedy dwadzieścia lat temu sędzia Charles Collier zapisał żyzną piedmondzką ziemię Tate'owi, opuszczając w testamencie z nigdy nieujawnionych powodów ojca Tate'a, młody człowiek uznał, że pragnie rodzinnej posiadłości. Przez jeden sezon nie uprawiał dwuakrowej działki i w kolejnym roku wybudował na niej dom. Budynek stanął między dwiema stodołami, w samym środku łąki usianej kępkami rudbekii i koniczyny, pomiędzy kilkoma hikorami o gorzkich orzechach, pięknymi amerykańskimi bukami i sosnami.

Patrząc na takie dopiero co zaorane pola, niektórzy ludzie wyobrażają sobie centra handlowe lub miejskie zabudowania, inni zaś góry pieniędzy, które można wycisnąć z ziemi w porze żniw, niektórzy natomiast zapewne po prostu przejeżdżają obok, nie zwracając na nie uwagi. Tate Collier dostrzegał w tym widoku zbawienny spokój; coś, czego dokonał - choć nie było jego dziełem - coś, co pozwoli mu wieść spokojną eg-



zystencję: w ciszy rosnącej rośliny. Sprawiało mu to przyjemność, ale i uczyło pokory. A także - zwłaszcza przez ostatnie kilka lat - przyprawiało o rozpacz. Był bowiem człowiekiem, który pragnął, żeby go zostawiono w spokoju; chciał poświęcić się wyłącznie uprawie ziemi. I nawet gdy to szwankowało - susza, grad, zawirowania na rynku - Tate spał spokojnie, pewien, iż w sercu ziemi nie istnieje zło.

A to już nie byle co.

Kwietniowy wiatr chwycił pelerynę i szarpnął nią. Tate zapiął dwa guziki i spojrzał akurat w stronę domu, gdy zgasło światło na schodach.

Megan przyjechała. To by było tyle, jeśli chodzi o odwołanie wizyty.

Zerknął raz jeszcze na rurę i ruszył w stronę domu, powłócząc nogami w ciężkich kaloszach na niezaoranym polu.

Jak Martwy Reb.

Nie, pomyślał, nie tak dramatycznie. Raczej jak nieruchawy czterdziestoczterolatek, którym się stał.

Entymemat jest ważnym narzędziem używanym w oficjalnych debatach.

Jest to rodzaj sylogizmu („Wszystkie koty widzą w ciemności. Północ jest kotem. A zatem Północ widzi w ciemności”), ale skróconego. Doświadczeni negocjatorzy, tacy jak Tate Collier, często posługują się tym środkiem, ale działa on tylko w sytuacji, gdy mówca i jego publiczność się rozumieją. Muszą wiedzieć, że mowa jest o kocie, muszą uzupełniać brakujące informacje, żeby nie zaburzyć logiki.

Jakie porozumienie może istnieć między mną, moją byłą żoną i Megan? - zastanawiał się Tate, podchodząc do domu. Marne.

Może żadne.

Umysł Betty Susan McCall jest dla niego równie obcy, jak jego dla niej. Jeśli nie liczyć jej niespodziewanego pojawienia się w poniedziałkowy wieczór, nie widział ekszony prawie od dwóch lat, a ich rozmowy telefoniczne ograniczały się do wymiany praktycznych uwag dotyczących córki i kilku niezmiennych wątków finansowych, typowych dla ludzi, którzy rozwiedli się przed piętnastu laty. Przypomniawszy sobie, jak Bett wychynęła z olśniewającego zachodu słońca dwa dni temu, przynosząc wiadomość, że policja znalazła Megan pijaną na szczycie wieży ciśnień w Fairfax. Z początku nawet nie rozpoznał swojej byłej żony - wyglądała jak ciało o twarzy przesłoniętej woalem, płynące ku niemu po lśniącej tafli jeziora.

Ich trójka nie siedziała przy wspólnym stole w tym rodzinnym domostwie od ponad dziesięciu lat. Ale w wybuchu rodzicielskiej troski Tate zaproponował, żeby się spotkali. Bett była zaskoczona, Megan oszołomiona. Tate zastanawiał się teraz, co go opętało.

Zbliżając się do domu, zauważył, że wszystkie światła zostały zgaszone. Uznał, że to sprawka Megan, ale nie miał pojęcia, dlaczego to zrobiła. To nie mogła być Bett: nie miała kluczy od domu. Ale gdy dotarł do domu, zobaczył, że na podjeździe nie stoi żaden samochód, ani Megan, ani Bett.

Wszedł do wnętrza, w którym odbijało się echo. Na stoliku przy drzwiach dostrzegł klucze Megan i rzucił swoje obok, rozglądając się po mrocznym holu. Jedyne światło w tym przestronnym wnętrzu wpadało zza jego pleców - mdłe światło dnia wlewające się przez drzwi.

Co to za hałas?

Przechylił głowę. Wilgotny, kleisty dźwięk rozchodził się skądś na parterze. Monotonnemu kapaniu towarzyszyły słabe, wygłodniałe jęki.

Poczuł dreszcz lęku na karku.

- Megan?

Dźwięk ustał na chwilę, po czym powrócił wraz z gardłowym wdechem. Było w nim coś rozpaczliwego. Tate poczuł mrowienie strachu na całym ciele.

Zatrzymał się. Jeszcze ten zapach... Coś cierpkiego i dojrzałego.

Krew. Jak zapach gorącego rusztu. Krew i mięso.



- Megan! - krzyknął, tym razem zaniepokojony.
Dźwięk ustał, ale zapach stawał się coraz silniejszy, przyprawiał o mdłości.
Tate pomyślał o broni. Miał pistolet, ale zostawił go w zamkniętej stodole.
Nie, nie ma na to czasu. Musi coś zrobić. Rusz się. Ale już!
Zmusił się do zrobienia kroku w głąb wnęki, chwycił leżący na biurku nóż do papieru i zapalił światło.

I roześmiał się głośno.

Jego dwuletni dalmatyńczyk leżał na podłodze tyłem do niego, żując coś pracowicie. Tate położył nóż na barze i podszedł do psa. Uśmiech zamarł na jego ustach.

Co to jest? Zmrużył oczy.

Nagle pies rzucił się na niego z dzikim, wściekłym warczeniem. Tate krzyknął przerażony i odskoczył, uderzając łokciem o kant stołu. Pies natychmiast zostawił go w spokoju i powrócił do swojego łupu.

Tate okrążył zwierzę i zatrzymał się zaskoczony. Między zakrwawionymi łapami psa leżała kość, z której zwisały strzępy mięsa. Podszedł ciut bliżej. Łeb psa zakołysał się złowrogo, powstrzymując Tate'a w pół kroku. Oczy zwierzęcia błyszczały nienawistną zazdrością. W gardle rozległo się głucho warczenie, a czarne wargi uniosły się, odsłaniając zakrwawione żółte kły.

Jezu...

Co to jest? - zastanawiał się Tate, czując mdłości. Może jakieś zwierzę dostało się do domu? Resztki były tak poszarpane, że nie potrafił ich zidentyfikować.

- Zostaw - rozkazał Tate.

Ale pies nie przestawał bronić swojego łupu, z jego gardła dobiegało charkliwe warczenie.

- Do nogi!

Pies spuścił głowę i przeżuwał dalej, zerkając złowroźnie na Tate'a. Kość trzeszczała głośno.

- Do nogi!

Brak reakcji.

Tate stracił cierpliwość i obchodząc psa, sięgnął do obroży. Zwierzę skoczyło jak oszalałe, rzucając się na niego z obnażonymi zębami. Tate cofnął rękę akurat na czas, żeby ocalić palce.

Zobaczył zakrwawione resztki. Wołowa kość udowa. Hodowca, od którego Tate kupił dalmatyńczyka, ostrzegał, że kości to niebezpieczne smakołyki. Uznał, że widocznie Megan po drodze coś kupiła dla psa. Czasami przywoziła sztuczne kości lub gumowe zabawki.

Tate wykonał odwrót strategiczny, wymknął się do holu. Zaczeka, aż pies zaśnie i wtedy wyrzuci tę przeklętą kość.

Podszedł do schodów prowadzących do przyziemia, gdzie mieściła się sala na wielkie rodzinne przyjęcia i spotkania, które niegdyś planował urządzać: goście grali by w bilard, popijali przy barze daiquiri i jedli kurczaki z grilla. Przyjęcia i spotkania nigdy się nie odbyły, a sala ziała pustkami, ale Megan często zniknęła w tych katakumbach podczas swoich weekendowych wizyt.

Zszedł na dół i zajrzał do wszystkich pomieszczeń. Nic. Zatrzymał się i przechylił głowę, nasłuchując. Na górze ponownie rozległo się warczenie psa. Podenerwowane i złowrogie.

- Megan, czy to ty? - Baryton Tate'a rozległ się potężnym echem.

Czuł złość. Dziewczyna i jej matka spóźniały się już dwadzieścia minut. To on zadał sobie wysiłek, żeby je tu zaprosić, a one tak się odwdzięczyły...

Warczenie nagle ucichło. Tate nasłuchiwał kroków na parterze, ale żaden dźwięk się nie rozległ. Wspiął się po schodach i raz jeszcze popatrzył na mżawkę. Udał się do starej stodoły, wszedł do środka i zawołał Megan. Brak odpowiedzi. Rozejrzał się sfrustrowany po tym niesamowitym pomieszczeniu, wyrównał przekrzywioną stertę starych egzem-



plarzy „Wallace’s Farmer” i spojrzął na ścianę - na zatłuszczoną plakietkę z cytatem z Seamana Knappa, działacza społecznego z przełomu wieków, który zreorganizował okoliczne rolnictwo. Dziadek Tate’a przepisał - w celach dydaktycznych - epigramat tym samym starannym pismem, którym wypełniał księgi i dzienniki farmy.

Człowiek może wątpić w to, co słyszy.
Może wątpić także w to, co widzi.
Ale nie może zwątpić w to, co robi.

Tate wyszedł z powrotem na dwór.
- Megan? - zawołał.

Potem jego wzrok padł na starą ławkę ogrodową i Tate pomyślał o pogrzebie.
Nie, powiedział sobie. Nie myśl o tym. Pogrzeb był tysiąc lat temu. To wspomnienie bardziej martwe niż Martwy Reb, a odgrzebywanie go napawa cię nienawiścią do samego siebie.

Ale oczywiście nadal o tym myślał. Wyobrażał sobie, czuł, smakował wspomnienie. Pogrzeb. Ławka ogrodowa, japońskie lampiony, Bett i trzyletnia Megan...

Na trawie sterta cukierków haloweenowych sprzed tygodnia, upalny listopadowy dzień dawno temu...

Nie myślał o tym dniu od lat, do chwili gdy Bett zjawiła się na jego progu z wieścią o Megan i wieży ciśień.

Deszcz znów się rozpadał, Tate ruszył więc do domu i wspiął się na piętro.
- Megan?

Usłyszał bulgot wody w toalecie: zbiornik był popsuty i woda lała się w nieskończoność, dopóki nie trąciło się spłuczki.

Drzwi do łazienki, pierwsze po lewej, były otwarte, ale w środku panowała ciemność. Tate wszedł powoli i wzdrygnął się na widok swojego zaniepokojonego wyrazu twarzy w lustrze. Poruszył spłuczka i po krótkiej chwili woda przestała cieknąć, a w domu zapanała niesamowita cisza, przerywana jedynie jękami wiatru i szczękaniem zębów psa wgrzającego się w zakrwawioną kość.

Wyszedł na korytarz; we wszystkich pokojach było ciemno, choć pamiętał, że rano zostawił włączoną lampkę nocną. Wyczuł jakiś zapach - znał go, ale nie potrafił zidentyfikować. Może perfumy Megan. Wszedł do jej pokoju i zapalił światło. Pusto. Pościel była lekko zmięta, jakby Megan usiadła na niej na chwilę, lecz poza tym w pokoju nic się nie zmieniło.

Zgasił światło i zaglądał do kolejnych pokoi, które były równie puste, po czym wszedł do własnej sypialni i zapalił światło. Też pusto.

Słodki zapach znów owiał jego twarz. Spojrzął pod nogi. Na podłodze leżał biały kwiat. Schylił się i go podniósł. Kielich lilii. Słodka woń otoczyła go, tłumiąc nawet bogactwo zapachów farmy o tej porze roku - świeżego nawozu i czerwonej wirginijskiej ziemi.

Jak ten kwiat się tu dostał?

Może to sprawka Megan. Bezwiednie powiódł palcami po gładkich płatkach. Ale gdzie ona jest?

Położył kwiat na szafce nocnej. Podskoczył, gdy usłyszał trzask drzwiczek samochodu.

Rozdział 5

Kobieta weszła do domu, w którym była gospodynią przez pięć lat, i przystanąła z wahaniem w gotycko sklepionym holu, tak jakby nigdy wcześniej nie widziała tego miejsca

- Bett.



Weszła powoli dalej, posyłając Tate'owi oficjalny uśmiech i zatrzymała się przy legowisku psa. Dalmatyńczyk podniósł głowę z warknięciem.

- O rany, Tate...

- Megan dała jej kość, a suka teraz za nic jej nie chce oddać. Wejdźmy tutaj.

Zamknął drzwi do komórki i przeszli do salonu.

- Rozmawiałaś z nią? - zapytał.

- Z Megan? Nie.

- Nie ma jej w domu. Wpadła tutaj. Ale jej samochodu nie ma.

- Co?

- Musiała znów wyjechać.

- Zostawiła wiadomość?

- Nie.

- Och. No cóż. - Bett zamilkła.

Tate skrzyżował ramiona i przestępował z nogi na nogę. Podeszedł do okna, wyjrzał ku przesłoniętej przez deszcz stodole. Wrócił.

- Kawy?

- Nie, dziękuję.

Bett przez chwilę siedziała w milczeniu, po czym wstała i zaczęła przyglądać się wyszukanemu kominkowi, który Tate wybudował kilka lat temu. Dotknęła zaprawy i po drapała paznokciem kamień. Zmrużyła oczy, oglądając półkę nad kominkiem.

- Ładny - powiedziała. - Kamień polny jest drogi.

Usiadła ponownie. Tate przyglądał się jej z drugiego końca pokoju. Betty Susan McCall wyglądała egzotycznie. Było w niej coś, co rzadko spotykało się w Wirginii - tajemnicze celtyckie piękno. Na Południu jest mnóstwo kusicielek i wyuzdanych kowbojek, no i oczywiście całe stada matron, ale nie czarodziejki. Była teraz bizneswoman z północnej Wirginii, ale pod tą fasadą ukrywała się wciąż tajemnicza młoda kobieta, którą po raz pierwszy zobaczył, jak śpiewała folkową piosenkę w zadymionym mieszkaniu na obrzeżach Charlottesville dwadzieścia trzy lata temu. Wysokim, chrapliwym głosem śpiewała a capella pieśń wielorybniczą.

Minęło jednak wiele lat od czasu, kiedy jakakolwiek kobieta zdołała go tak usidlić, tym bardziej więc zwiększył czujność. Natychmiast na powierzchnię zaczęły wypływać ponure wspomnienia z czasów, kiedy się rozwodzili.

Zastanawiał się, jak utrzymać dystans w ciągu całej tej nieprzyjemnej rodzinnej sprawy.

Bett oderwała wzrok od kominka i mebli, teraz oceniała tapety i sztukaterie. Podążał za jej spojrzeniem, doszedł do wniosku, że uznała to miejsce za mało przytulne i surowe. Przydałoby się więcej mebli, nowe zasłony, żywszy kolor ścian. Poczł zakłopotanie.

Po dwóch ciągnących się w nieskończoność minutach Bett się odezwała.

- No cóż, skoro nie ma jej samochodu, to pewnie po coś pojechała.

Tate wyjął butelkę wina z baru w drugim końcu pokoju.

- Napijesz się? - spytał, przypominając sobie poniewczasie, iż Bett rzadko piła alkohol, a już na pewno nie popołudniu. Odstawił butelkę.

- Czemu nie? - odpowiedziała, zdejmując buty.

Przeszła do kuchni i wróciła z dwoma dużymi kieliszkami.

Pierwsze wrażenie, jakie odniósł, było takie, że Tate Collier nareszcie poukładał sobie sensownie życie. Koniec z głupimi blondynkami. Nareszcie.

Ta kobieta miała ze czterdziestkę, była ładna. Miała ruchliwe oczy zdradzające inteligencję. Kobiety, z którymi spotykał się Tate, były zazwyczaj o połowę młodsze od niego i zapewne z trzy razy głupsze.

Detektyw Dimitri Konstantinatis, sam po dwóch rozwodach, wiedział doskonale, co to znaczy mieć niewłaściwą partnerkę, ucieszył się więc, że najnowsza przyjaciółka



Tate'a to ktoś godzien tego faceta.

Konnie wszedł do salonu i wyciągnął rękę w jej stronę. Potrząsnął energicznie dłonią zaskoczonych kobiety.

- Witaj, Konnie - powiedział Tate. - Widzę, że nabierasz ciała.
- Cham.
- Poznaj Bett. Moją była żoną. Konnie to stary kumpel z prokuratorskich czasów.
- Czołem.

Ach. Jego była. Konnie słyszał o niej to i owo, ale nie wyglądała na w połowie tak szaloną jak w opowieściach Tate'a. Sprawiali wrażenie dobranej pary.

Tak jakby pozory mogły cokolwiek powiedzieć o małżeństwie.

Bett zmierzyła policjanta spojrzeniem; sprawiała wrażenie skonsternowanej. Konnie przypominał wielkiego motocyklistę w średnim wieku i był przyzwyczajony do takich reakcji.

- Konnie jest... kim ty właściwie jesteś? Jak brzmi ten dumny tytuł, który ci przysługuje?

- Policja stanowa, okręg Fairfax i Prince William, wydział do spraw nieletnich, detektyw w randze sierżanta.

- Starzejący się glina, tyle to wszystko znaczy - mruknął Tate.
- No więc, panie radco, twoja córka spóźnia się na obiad, tak?
- Półtorej godziny.

Konnie dostrzegł niepokój w oczach Bett. W oczach Tate'a też, aczkolwiek tu ujrzał coś innego niż strach o zaginione dziecko. Nie wiedział jednak co.

- Znów za bardzo się martwisz, Tate. - Wyciągnął w jego stronę palec i zwrócił się do Bett: - Ten facet był największym prokuratorskim cykorem w całym stanie. Musieliśmy go nocą odprowadzać do samochodu.

- Przynajmniej potrafiłem znaleźć swój samochód - odparował Tate.

Jednym z powodów, dla których Konnie kochał Tate'a, było to, że prawnik żartował z picia Konniego. A policjant najbardziej na świecie szanował ludzi z jajami.

Bett uśmiechnęła się niepewnie.

Tate i Konnie pracowali często razem w czasach, gdy Tate był prokuratorem stanowym. Poważny detektyw na ogół milczał i trzymał się na dystans przez pierwsze pół roku ich współpracy; nigdy nie opowiadał o sobie. Później, tej nocy, kiedy seryjny morderca i gwałcień, do którego skazania doprowadzili, został „zwolniony horyzontalnie”, jak mówiło się w bloku śmierci, Konnie po pijanemu objął Tate'a i oznajmił, że ta egzekucja uczyniła ich braćmi krwi.

- Jesteśmy związani.

- Związani? Co to za pijacka, poetycka, przesłodzona kupa gówna? - ryknął w odpowiedzi równie pijany Tate.

Od tego czasu byli serdecznymi przyjaciółmi.

Kolejne pukanie do drzwi wejściowych. Gdy się otworzyły, do domu wszedł służbiec wyglądający mężczyzna w tanim, obwisłym, szarym garniturze. Stał wyprostowany przed Tate'em i spojrzał mu prosto w oczy.

- Panie Collier, jestem Ted Beuridge. Z wydziału do spraw nieletnich.

Tate przedstawił Beuridge'a Bett, podczas gdy Konnie przełączał kanały telewizyjne, zafascynowany telewizorem bez pilota.

Beuridge był uprzejmy i profesjonalny, ale najwyraźniej nie miał ochoty tu przychodzić. To Konnie sprawił, że zniknięcie Megan nabrało wagi. Kiedy Tate zadzwonił, Konnie powiedział mu, że jeszcze za wcześnie, żeby składać raport o zaginięciu; musiały minąć dwadzieścia cztery godziny, chyba że osoba nie miała szesnastu lat, była upośledzona umysłowo albo szczególnie narażona na niebezpieczeństwo. Mimo to Konnie zupełnie przypadkiem zapomniał uzyskać zgodę przełożonego i sprawdził w innych biurach, czy numer rejestracyjny samochodu Megan nie pojawił się w doniesieniach o wypadkach. A także zażądał danych o wszystkich pacjentach o nieznanym tożsamości



przyjętych do okolicznych szpitali.

Beauridge denerwował się i zasugerował, że może lepiej byłoby najpierw uzyskać zgodę na prowadzenie sprawy. Konnie odpowiedział, że to z pewnością świetny pomysł, myśląc w duchu: trzeba mieć jaja. I nic nie zrobił. Gdy otrzymał negatywne raporty, zastanowił się przez dziesięć sekund, po czym zadzwonił do Tate'a i burknął:

- Może wstąpię do ciebie i zrobię jakieś notatki. Nie, nie, nie powstrzymuj mnie. Fakt, roboty jest od cholery. Ale mimo tego ulewnego deszczu przyjadę i złożę wizytę stukniętemu farmerowi. - Po czym zabrał ze sobą Beauridge'a, żeby dać młodzieńcowi lekcję prawdziwej policyjnej roboty. Tate wprowadził ich do salonu.

- Napiją się panowie kawy albo...? - zapytała, ale głos jej zamarł, a ona roześmiała się z zakłopotania na widok miny Tate'a. Konnie przypuszczał, że właśnie uświadomiła sobie, iż to nie jest jej dom od wielu, wielu lat.

Policjanci odmówili.

Konnie skinął na Beauridge'a, który niedbale zaczął pytać o dziewczynę. Tate i Bett odpowiadali w miarę swoich możliwości. Potem detektyw uniósł wzrok znad notatnika.

- Jakies kłopoty z alkoholem? Z narkotykami?

Zanim Tate zdążył odpowiedzieć, odezwała się Bett.

- Absolutnie nie.

- No, niezupełnie - dodał ostrożnie Tate. - Powinniście wiedzieć, że coś się stało w tym tygodniu. - Opowiedział im o wieży ciśnień.

- To było wielkie nieporozumienie - oznajmiła Bett, spoglądając na Tate'a z wyraźnym gniewem. - Zupełnie nie w jej stylu. Nie powinniście wyciągać z tego pochopnych wniosków.

- Udała się w tej sprawie do psychiatrii - wtrącił Tate.

- Czy on kiedykolwiek wspominał któremuś z was o tym, że mogłaby planować ucieczkę?

- Dziś miała pierwszą wizytę. Zamierzaliśmy z nią o tym porozmawiać. Dlatego właśnie umówiliśmy się na obiad.

- Dzwoniliście do niego? Zapytaliście, kiedy wyszła?

- Odezwała się automatyczna sekretarka.

Tate nagle przypomniał sobie coś, co Megan powiedziała tej nocy, kiedy odwiedzili ją w szpitalu, po tym, jak straż pożarna zdjęła ją z wieży ciśnień.

- Mówiła, że zerwała z chłopakiem. Między innymi dlatego piła.

- Kim był ten chłopak?

- Mówiła, jak miał na imię, prawda? - spytała Bett.

- Chyba Bobby.

- Skin albo inny taki?

- Nigdy go nie widziałam - odrzekła chłodno Bett. - Ale nie przypuszczam. Megan nie zakochałaby się w kimś takim.

- Jego nazwisko?

Potrząsnęła głową.

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia.

Konnie przeniósł wzrok na Tate'a, ale on również nie potrafił sobie przypomnieć nazwiska chłopaka, i był zmuszony przyznać, że nawet nie wiedział, że córka miała chłopaka.

- Jakies ślady walki? - Konnie rozejrzał się po holu.

- Nie.

- A co z alarmem?

- Wyłączyłem. Dopiero co przyjechałem do domu.

- Jest przycisk alarmu, na wypadek gdyby ktoś zaczął się w domu?

- Tak. I zadbałem, żeby o nim wiedziała.

- Zostawiła tu klucze od domu - wtrąciła Bett. - Ale zabrała kluczyki do samochodu.

- Czy mogło być tak - zastanawiał się na głos Konnie - że ktoś ukradł jej torebkę,



zabrał klucze i włamał się tutaj?

Tate zastanowił się nad tą hipotezą.

- Właściwie tak. Ale na jej prawie jazdy jest adres Bett. Skąd włamywacz miałby wiedzieć o tym domu? Może miała przy sobie coś z moim adresem, ale nie mam pojęcia co.

- Czy zginęły jakieś jej rzeczy?

- Nie wiem. Nie przyszło mi do głowy sprawdzić.

- Nie wpadajmy w panikę - powiedział Konnie. - Może pokazałbyś mi pokój Megan?

Kiedy Tate prowadził Konniego na górę, z dołu dochodziła gładka paplanina Beau-ridge'a.

- Na pewno nie ma się czym martwić, pani Collier...

- Nazywam się McCall.

Na piętrze Tate wprowadził detektywa do pokoju Megan, po czym wrócił do własnego. Konnie spojrzął na niego przez korytarz i dostrzegł, że prawnik patrzy na podłogę i dotyka czegoś leżącego na nocnej szafce, marszcząc brwi.

Detektyw rozejrzał się szybko po pokoju, następnie przyklęknął i ruchami zadziwiająco zgrabnymi jak na tak dużego mężczyznę przejrzał wedle listy wszystkie ulubione skrytki nastolatków: pod szufladami, komodami, koszami na śmieci, między materacami, w pudełkach z zapadkami, w zasłonach, poduszkach i kołdrach.

Cóż my tu mamy? Konnie wyprostował się i obejrzał dokładnie znalezisko.

Po czym zawołał Tate'a do pokoju i pokazał mu otwarte szuflady oraz szafę Megan.

- Te szuflady są prawie puste. Zazwyczaj są w nich ubrania?

Tate zastanawiał się z wyrazem niepokoju na twarzy.

- Tak, na ogół są pełne.

- Możesz stwierdzić, czy brakuje jakiejś torby lub walizki?

- Walizki? Nie... Zaczekaj. Nie ma jej starego plecaka. - Tate zastanawiał się nad tym przez chwilę. Po czym skinął głową w kierunku swojego pokoju. - Odkryłem coś. W mojej sypialni.

- Ja też coś znalazłem - odpowiedział Konnie, tonem nieskorym do przekomarzań.

- Co? - spytał Tate.

- Spokojnie, panie radco. Chodźmy na dół.

Rozdział 6

- Uciekła? - szepnęła Bett.

Cała czwórka siedziała w salonie, niczym nieznajomi na cocktail-party, twarzami do siebie, wyprostowani, niepewni, wyczekujący chwili, gdy wreszcie poczują się dobrze w swoim towarzystwie. Konnie ciągnął opowieść.

- Ale wszyscy powinniście uznać to za dobrą wiadomość. Wiemy, że nie stało się nic paskudnego. A reguła jest taka, że większość uciekinierów wraca z własnej woli mniej więcej po miesiącu.

Bett wpatrywała się przez okno w zamgloną ciemność.

- Miesiąc - oznajmiła, jakby odpowiadała na pytanie w teleturnieju. - Nie, nie. Ona by nie uciekła. Nie tak bez słowa.

Konnie zerknął w stronę Beauridge'a i zauważył, że Tate dojrzał to spojrzenie.

- Bardzo mi przykro, ale ona coś powiedziała, proszę pani. - Podał Bett jedną z kartek, które znalazł na górze. - Zostawiła listy do was obojga. Pod poduszką.

- Dlaczego pod poduszką? - spytała Bett. - To nie ma najmniejszego sensu.

- Żebyście nie znaleźli ich od razu - wyjaśnił Konnie. - To dało jej trochę czasu. Nie pierwszy raz to widzę.

- Czy to jej pismo?

Bett przytaknęła.

- Bett - przeczytała na głos, po czym podniosła wzrok. - Zwraca się do mnie po



imieniu. Dlaczego? - Zaczęła od początku i czytała dalej martwym, upiornym głosem: - Bett... nie obchodzi mnie, czy to cię zaboli... Nie obchodzi mnie, jak bardzo to zaboli...

Spojrzała bezradnie na swojego byłego męża i czytała dalej w milczeniu. Skończyła, oparła się na kanapie, kurcząc się do rozmiarów dziecka.

- Pisz, że mnie nienawidzi - szepnęła. - Nienawidzi czasu, który spędzałam z siostrą. Ja... - Złękniona, zraniona, potrząsnęła głową i umilkła, wpatrując się w drugą kartkę papieru, którą trzymał Konnie.

Detektyw podał ją Tate'owi.

Wziął papier. Konnie zauważył, że kartka była poplamiona. Przez łzy? Przez deszcz? Tate nie zaczął czytać na głos. Konnie zajrzał mu przez ramię i przeczytał:

Tate,

to jedyny sposób, żeby ci to powiedzieć - nienawidzę cię za to, co mi zrobiłeś! Nie słuchasz mnie. Gadasz, gadasz i gadasz, aż Bett nazywa cię złotoustym diabłem, którym zresztą jesteś, ale nigdy mnie nie słuchasz. Nie wiesz, czego pragnę. Nie wiesz, kim jestem. Przekupujesz mnie, płacisz mi i masz nadzieję, że sobie pójdę. Powinam była uciec, gdy miałam sześć lat, tak jak chciałam. I nigdy nie wracać.

Zawsze chciałam to zrobić. Dalej chcę. Uwolnić się od ciebie. Ty też tego chcesz, nie? Pozbyć się swojego niewygodnego dziecka?

Siedział z wytrzeszczonymi oczami, zaschło mu w ustach, powietrze w płucach paliło. Przyłapał się na tym, że wpatruje się w Bett.

- Tate? Wszystko w porządku? - odezwał się Konnie.

- Czy mógłbym jeszcze raz rzucić na to okiem, pani McCall? - spytał Beuridge.

Podawała mu sztywną kartkę.

- Czy to jej papier?

Bett potaknęła.

- Dostała ode mnie na Gwiazdkę.

Bett odpowiadała cicho na pytania, których nikt nie zadawał.

- Moja siostra była ciężko chora. Często zostawiałam Megan pod opieką innych. Nie wiedziałam, że czuła się aż tak opuszczona... Nigdy się nie skarżyła.

Konnie zauważył niedbałe pismo Megan. W kilku miejscach pióro podarło papier w gniewie. Przeczytał jeszcze raz list do Tate'a. Detektyw pracował w Nietletnich od dwóch lat. Nie był to jego wybór, ale musiał niechętnie przyznać, że nauczył się sporo, odkąd zaczął. Rodzice - w stopniu znacznie większym niż jakikolwiek podejrzany, oskarżony, skazany czy świadek - są mistrzami świata w oszukiwaniu samych siebie. To powszechnie wiadomo. Za tymi listami kryło się znacznie więcej, niż Tate i Bett mogliby wyjaśnić.

Teraz Konnie zapytał Tate'a, co odkrył w sypialni.

- Zabrała z szuflady szafki nocnej czterysta dolarów - wyjaśnił.

- Nonsens - wybuchnęła Bett. - Ona nigdy nie wzięłaby...

- Zniknęły - odpowiedział Tate. - A tylko ona tu była.

- Co z kartami kredytowymi? - spytał Konnie.

- Jest podpisana na moich: Visa i MasterCard - odpowiedziała Bett. - Pewnie ma je ze sobą.

- To dobrze - oświadczył Konnie. - To łatwy sposób śledzenia zbiegów. Możemy ustanowić połączenie. W ciągu dziesięciu minut będziemy wiedzieli, że coś kupiła.

Beuridge nerwowo zaczął się kiwać w przód i w tył. Jego wyglansowane buty przyciągały wzrok. Konnie go zignorował.

- Wsadzimy to do rejestru uciekinierów - ciągnął. - Jeśli zostanie zatrzymana za cokolwiek na wschodnim wybrzeżu, powiadomiamy nas. Mogę dostać jakieś jej zdjęcie?

Tate uświadomił sobie, że wszyscy patrzą na niego.

- Jasne - powiedział szybko i zaczął szukać. Zaglądał na półki i do szuflad, ale nie znalazł żadnych zdjęć.

Beuridge patrzył niepewnie na Tate'a; Konnie wiedział, że zarówno ściany, jak



i portfel młodego funkcjonariusza są pełne rodzinnych fotek. Nawet sam Konnie trzymał w portfelu zdjęcie byłej żony, schowane za polisą ubezpieczeniową. Prawnik przekopał cały salon i zniknął w komórce. Wrócił po chwili ze zdjęciem w ręku: Tate i Megan na plaży.

- Ładna dziewczyna - powiedział detektyw. Uświadomił sobie, że przez wszystkie lata przyjaźni z Tate'em nigdy nie widział jego córki.

Konnie wyciągnął z kieszeni kilka pomiętych kartek.

- Znalazłem coś jeszcze. Schowane pod łóżkiem. Kim jest doktor Peters?

- Psychiatrą, o którym wspominaliśmy. Jak się o nim dowiedziałeś?

- Dlaczego miała czek wypisany na jego nazwisko?

- Ciągle go ma? - Bett zastanawiała się na głos, patrząc na Tate'a. - Miała mu zapłacić.

- Był podarty i owinięty kolejną kartką papieru. Wepchnięty między sprężyny materaca.

- Podarty? - wymamrotała Bett.

Konnie podał jej karteluszki. Przerzuciła te skrawki podartego papieru.

- To jest czek, który jej dałam. Nie rozumiem.

- Spróbuj jeszcze raz, Tate.

Podszedł do telefonu i wykręcił numer. Tym razem, dzięki Bogu, ktoś podniósł słuchawkę.

- Dzień dobry, doktorze, tu Tate Collier. Dzwonię w sprawie Megan. - Streścił całą historię, po czym zamilkł na chwilę, czekając. Udzielił kilku monosylabowych odpowiedzi. Położył słuchawkę, i wpatrywał się w telefon.

- Tate? - odezwała się Bett.

Odwrócił się do wpatrzonej w niego trójki.

- Nie zgłosiła się do niego.

- Co?

- Megan nie stawiała się na spotkanie. Zadzwoiła i powiedziała, że musi wyjechać z miasta. I że jeszcze zadzwoni, żeby umówić się na inny termin. - Tate uświadomił sobie, że wciąż ścisza słuchawkę. Puścił ją.

- Okłamała nas.

Policjant odjechał popołudniem.

Deszcz ustał, ale atmosfera była gęsta niczym podgrzana krew. Bett i Tate stali teraz na werandzie sami - ona ze skrzyżowanymi ramionami, on podparty pod boki - i patrzyli za znikającym samochodem patrolowym. Tate miał podwinięte rękawy. Sprawiali wrażenie odpowiedzialnej, porządnej podmiejskiej pary zbliżającej się do dwudziestej rocznicy ślubu, żegnającej partnerów od tenisa, którzy odjeżdżają napełnieni koktajlami i solidnym lunchem.

Była żona Tate'a przysunęła się bliżej do niego. Miała już z powrotem buty na nogach.

- To nie mogło się stać - wymamrotała.

- Wszystko będzie dobrze.

- Wiem - odrzekła szybko Bett.

Wilgotne powietrze przytłaczało ich, wypełniało płuca. W kwietniu było ciepłe i oszałamiające. Ten wariacki upał nie chciał dać spokoju.

- Powinniśmy zadzwonić do mojej matki? - zapytał. - Albo do twojej siostry?

Tate miał również młodszego brata w Minnesocie, z którym rozmawiał raz na kilka miesięcy. Nie zamierzał jednak jeszcze nikomu o tym mówić. Nie z powodu tego, że zasiałoby to niepokój, ale dlatego że wymagałoby zbyt wielu tłumaczeń, a w tej chwili trudno było cokolwiek wyjaśnić.

- Nie - powiedziała Bett, a Tate odetchnął z ulgą. - Zaczekajmy kilka dni. Nie chciałabym nikogo niepotrzebnie niepokoić. - Westchnęła. - To zupełnie do niej niepodobne.



- Bett spojrzała na list do siebie, po czym wsunęła go głęboko do torebki.

Tate Collier odziedziczył po sędzi kilka talentów. Jednym z nich była łatwość wyśławiania, innym, znacznie rzadszym, umiejętności odczytywania przyszłości z oczu. Często na twarzy pojawiała się - zaledwie na ułamek sekundy - zapowiedź tego, co miało się zdarzyć, ale czasem to wystarczało. Teraz zauważył, że nadzwyczajnie fiołkowe źrenice jego ekszony zwężają się, i natychmiast wiedział, o co poprosi. I mimo że wcześniej zakładał, iż los przeznaczył mu spokojny wiosenny wieczór - huśtawka, szklaneczka whisky, dalmatyńczyk skaczący wysoko za nietoperzami - Tate ruszył za nią bez wahania, gdy zeszła z werandy. Bett była w połowie drogi na podwórze, gdy odwróciła się, najwyraźniej przygotowana na rozczarowanie - i zobaczyła go tuż za sobą na ścieżce, z rękami w kieszeniach.

Nagle, bez żadnego powodu, Tate przypomniał sobie napis na desce przed kościołem w Manassas, który widział kiedyś z samochodu. Głosił: „Jeśli Bóg jest twoim drugim pilotem, zamieńcie się miejscami”. Poszli razem na podwórze.

Bett McCall zatrzymała się na niestrzyżonym trawniku, który wyraźnie prosił się o kosiarkę, i wpatrywała się w białą plamę żywiołowego dalmatyńczyka swojego byłego męża. Suka porzuciła wreszcie kość i skakała teraz po trawie, znów w doskonałym nastroju.

Bett zatrzymała się, widząc, jak Tate zdąża z rękami w kieszeniach ku kępie drzew w pobliżu stodoły. Jej wzrok spoczął na starej szopie, bardzo obcej, a zarazem bardzo znajomej. Potem zniemacka jej serce zadrżało, gdy przyłapała się na wpatrywaniu w zniszczoną ławkę ogrodową, którą razem z Tate'em kupili u Searsa; użyli jej tylko raz - podczas stypy po pogrzebie. Piętnaście lat temu. Dlaczego ona jeszcze tam stoi? Nie rozumiała, jak mógł być tak pozbawiony serca, żeby nadal jej używać.

Pogrzeb...

To był niezwykle ciepły listopad - zupełnie jak ten męczący kwietniowy upał, pomyślała. Ujrzała siebie z tamtego dnia, jak staje na ławce, żeby zawiesić japoński lampion, czekając na przybycie gości. Dom był jeszcze w budowie i nie mieli światła na podwórzu. Odwróciła się na moment i ujrzała, że Tate wychodzi z domu blady jak śmierć. Wszedł na trawnik w pobliżu, a jej serce krzychało: Co się stało? Co się dzieje? Co on zamierza mi powiedzieć?

Dziś Tate przeszedł obok ławki, nie zaszczycając jej spojrzeniem, i zatrzymał się koło bukszpanu pokrytego gęstym kwieciem.

- Masz teraz dużo pracy? - zapytała. - Dużo klientów?

- Tak. Sporo. W przyszłym miesiącu aż cztery sprawy. Dwa testamenty i zarząd powierniczy, sporo przeterminowane. A jedna to kodycył. - Skinął głową w kierunku domu, gdzie zapewne trzymał tę przeraźliwą stertę dokumentów. Za czasów ich małżeństwa dom był zasypany aktami prawnymi w czerwonych oprawach, po czterdzieści, pięćdziesiąt stron każdy. Sąd Najwyższy Stanu Wirginia. Wiele dotyczyło spraw zagrożonych wyrokiem śmierci. Mimo że Tate był miejscowym prokuratorem, często występował w Richmond w imieniu innych hrabstw, wyrabiając sobie markę specjalisty od trudnych przypadków - czyli kary głównej. Był także potrzebnym pistoletem do wynajęcia.

Śmierć, zauważyła Bett, zawsze czaiła się w tle ich związku. Niekończąca się walka siostry Susan z poważną chorobą serca, samobójstwo jej szwagra Harrisa. Śmierć rodziców i ojca, a potem dziadka Tate'a - wszystko raptem w ciągu czterech lat. Nie wspominając już o „młynie śmierci” w jego pracy, jak określała to Bett, zdecydowana przeciwniczka kary śmierci.

Jej eksmaż kopnął stertę kolb kukurydzianych.

- O czym myślisz?

Bett zawahała się przez chwilę.

- Coś tu nie gra.

- Nie gra?



- Myślę, że jej się coś przytrafiło.

Zatrzymał się na chwilę, po czym wiedziony jakimś niewytłumaczalnym impulsem, pomaszerował prosto do stodoły, gdzie powiesił marynarkę na różowym wieszaku, którego obecność w tym miejscu była trudna do wytłumaczenia. Bett podeszła do wejścia, oparła się o pogryziony przez korniki słup i ciągnęła:

- Coś mi się przypomniało.

- Yhm?

- Pod łóżkiem Megan znalazłam torbę. W środku była mydelniczka.

Tate uniósł brew.

- To taki nasz żart. W łazience nigdy nie było porządnej mydelniczki. Megan twierdziła, że mydło robi się obrzydliwe. No więc kupiła tę wiktoriańską mydelniczkę na moje urodziny. To w przyszłym tygodniu. Dołączyła kartkę. - Bett poczuła, że łyzy kręcą jej się w oku na wspomnienie taniej supermarketowej poezji. - Megan nie kupiłaby prezentu i kartki, żeby potem uciec. Nie tak. Nie ona.

- To niewiele pomoże - odparł Tate.

- Megan i ja nie jesteśmy stuprocentowymi przyjaciółkami. Mamy problemy. Oczywiście, że mamy. Ale zasługuję na coś więcej niż ten przeklęty list. Na coś więcej niż ucieczka.

Przypominała sobie Megan i nie potrafiła wyobrazić sobie spojrzenia, postawy, słów córki, która napisałaby ten okrutny list i znikła - nie z własnej woli, nie bez czyjejś pomocy. Megan nigdy nie była bita, zawsze o nią dbano, zawsze ją kochano.

Prawie zawsze.

Ale, na miłość boską, kto dostaje wiele więcej?

- Chcę ją odnaleźć, Tate. Nie mam prawa cię o to prosić. Ale potrzebuję twojej pomocy. Nie dam rady sama.

Milczał. Grzebał w jakimś pudle.

Co on robi?

Przypomniało jej się ich zerwanie. Nic nie powiedział. To było okropne, te długie chwile milczenia, które wydawały się godzinami, choć tak naprawdę trwały zapewne zaledwie kilka minut. Albo sekund.

Od dnia pogrzebu, przez wszystkie te lata aż do dziś, nie wypowiedział do niej więcej niż czterysta, może pięćset słów. Ile miejsca by to zajęło? Dwie strony z podwójną interlinią?

Tak jakby ona była o wiele lepsza. Też zachowywała się jak niemowa. Milczeniem odpowiedziała również na rozwód. Zwróciła się do swoich newage'owych książek, mitów, baśni. Wycofała się do własnego legowiska, do piwnicy, do księgarni. Teraz jednak Bett milczała z innego powodu. Nie z gniewu czy smutku, ale z poczucia siły. Po prostu patrzyła na niego.

Nie znalazł tego, czego szukał, w jednym pudle, zabrał się więc do szperania w następnym. Rzucił jej przelotne spojrzenie i grzebał dalej.

- Bett, przypuszczalnie nic się nie stało. To dorosła młoda kobieta, która wyrwała się sama z domu na kilka dni. Kupiła ci prezent, w porządku. Ale może zerwanie z tym Bobbym było dla niej zbyt ciężkim przeżyciem. Ona niedługo wróci. Słyszałaś, co mówił Konnie.

Kiedy jej mąż mówił tym tonem, powolnym i rozważnym, Bett dostrzegła w nim coś, o czym zawsze wiedziała: miał zadatki na człowieka, który jak nikt inny mógłby być perfidny i potrafić manipulować innymi. Gdyby był zachłanny, stałby się bogatszy niż Bill Gates, gdyby był zły, byłoby to zło Hitlera lub Mansona, najgorszy rodzaj zła. Zło, które przenika do serc i zabija od środka. Kiedyś była gotowa potaknąć mu, zanim jeszcze skończył mówić, ugiąć się pod ciężarem jego elokwencji.

Ale tego wieczora powiedziała po prostu:

- Wybacz, Tate, ale to mnie nie przekonuje.

Uśmiechnął się niespodzianie i przez krótki straszliwy moment myślała, że z niej



kpi. Ale nie, on po prostu znalazł to, czego szukał - zniszczoną skórzaną kurtkę. Wyciągnął ją triumfalnie ze skrzyni. Skąd ona ją pamiętała? Ach tak, z czasu jego studiów.

- Boisz się mnie, prawda? - spytała.

Tate włożył kurtkę. Rozwiązał krawat i rozpiął górny guzik eleganckiej białej koszuli.

- Jak to wygląda? - zapytał. - Trochę ciasna, ale nie najgorzej jak na starego człowieka. Och, oczywiście, że tak. Nawet bardzo. Prawda wygląda tak, że nie mam ochoty się angażować. Mam teraz jakoś ułożone życie. Robię to, co chcę robić, spotykam się z ludźmi, których chcę widzieć. Nie chcę, żeby cokolwiek to zburzyło, więc owszem, śmiertelnie się ciebie boję. Ciebie i przeszłości.

Zaniemówiła na chwilę.

Zaczął grzebać w kolejnej skrzyni.

- Rozmawiałaś ze swoim narzeczonym?

Brad Moore wyjechał z miasta. Solidny, porządny Brad... zaproponował, że wróci, gdy tylko usłyszał o wieży ciśnień, ale Bett uparła się, że nie powinien przerywać podróży służbowej. Z wielkim trudem wypowiedziała następne zdanie.

- Wolałabym, żebyś to był ty.

Oderwał wzrok od skrzyni. Uczciwe spojrzenie, które zmusiło ją do kolejnego wyznania.

- Jest coś jeszcze. Tamtej nocy - przed wieżą ciśnień - byłam... poza domem. Nie wróciłam. Zasnęłam. Megan było bardzo przykro, że nie zadzwoniłam, nie powiedziałam jej, dokąd jadę.

- Byłaś u tego twojego, no jak on się nazywa? Brada?

Przytaknęła.

- Myślę, że to mogło popchnąć ją do picia w poniedziałek. Ona nie przepada za Bradem.

Tate nie odpowiedział, tylko wyciągnął starą i zniszczoną szewską ławeczkę, usiadł na niej i ściągnawszy eleganckie buty i skarpety, zaczął masować sobie stopy. Jakby zamierzał wyjść na pole i trochę popracować.

A więc to tak, pomyślała zrezygnowana Bett.

Również gdy byli małżeństwem, czuła nadciągającą nieuchronną porażkę. Chciał, żeby odeszła. Mógł równie dobrze wskazywać palcem na jej samochód. Na razie. Uważaj na siebie. Miłego dnia. Zarzuciła torebkę na ramię i zaczęła zmierzać ku wyjściu. Ale nagle stanęła w miejscu.

- Och, Tate... Gdybym choć przez chwilę potrafiła być taka jak ty.

- Jak ja? - Zdziwiony, podniósł wzrok.

- Gdybym umiała oczarować cię słowami, zmusić do pomocy... Dałabym wszystko za to, żebyś zrobił, co chcę, ale nie potrafię. Mogę tylko prosić. Mogę tylko powiedzieć ci, czego potrzebuję, i modlić się, żebyś mi pomógł. Widzisz, z tobą nie da się rozmawiać. Przegram każdą debatę. Taki już jesteś. A ja nie.

Mówiła to, patrząc na ławkę ogrodową. Przypominała sobie wieczór po pogrzebie, większość gości już wracała do domu. Megan leżała w łóżku. Bett zdejmowała japoński lampion, a listopadowa noc była nadal dziwnie balsamiczna, w powietrzu czuło się piękny, smutny zapach rozkładających się liści. Tate krążył wokół niej niczym duch, z oczyma utkwionymi w ziemi. Usiadła na ławce ogrodowej.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

A ona pomyślała znowu: Co się dzieje, co się dzieje?

Dziś następne słowa jej eksmęża wymazały tamto wspomnienie, ale zarazem zakorenziły je mocniej w jej duszy.

- Bett, nie musisz namawiać mnie do czegokolwiek. Jak myślisz, dlaczego wkładam swój strój bojowy?

Wciągał suche robocze skarpety i wysokie, czarne skórzane buty, które wreszcie odnalazł.

Spojrzała na niego zmieszana, potrząsnęła głową.



- Zadzwoń do biura - ciągnął - i wezmę kilka dni urlopu. A ty też lepiej znajdź jakieś wygodne buty. Zawsze podobałaś mi się w szpilkach, ale mam przeczucie, że sporo się dziś nachodzimy.

- O czym ty mówisz, Tate?

- Mówię, że będziemy jej szukać. Razem.

Rozdział 7

Aaron Matthews wprowadził samochód Megan na parking w Viennie, wielkiej stacji przesiadkowej szybkiej kolei, piętnaście mil na zachód od Dystryktu Kolumbii.

Było południe, toteż tę część parkingu, z dala od pociągów, zapełniały samochody pozostawione przez podróżnych.

Nie zdejmując chirurgicznych lateksowych rękawiczek, Matthews wysiadł z niebieskiego forda tempo dziewczyny i otworzył bagażnik. Przyjrzał się Megan, zwiniętej w pozycji embrionalnej, nieprzytomnej, skrępowanej sznurem konopnym.

Była bardzo blada. Zanim zabrał się do dalszej roboty, przyłożył rękę do jej piersi i upewnił się, że wciąż oddycha. Podszedł do swojego szarego dodge'a caravana, zaparkowanego w szeregu innych samochodów, i otworzył boczne drzwiczki, po czym szybko zarzucił na Megan koc i przeniósł ją z samochodu do furgonetki. Czuł potrzebę szybkiej ucieczki ze swoim łupem, ale nie mógł się powstrzymać przed rzuceniem na nią jeszcze raz okiem. Wreszcie wrzucił jej plecak do furgonetki, zatrzasnął drzwi i wprowadził samochód Megan na miejsce parkingowe po furgonetce. Między przednimi siedzeniami tempa umieścił zniszczony rozkład jazdy Amtraka, który posłużył Megan jako podkładka, gdy pisała listy do rodziców i Amy, i na którym znalazły się dzięki temu odciski jej palców. Dotykał tego rozkładu - podobnie jak papieru, który ukradł z pokoju Megan w domu Bett McCall - tylko w rękawiczkach.

Bóg uśmiechnął się dzisiaj do mnie, doszedł do wniosku Matthews. Tego ranka stał wśród bukszpanu w pobliżu domu Colliera od szóstej do ósmej, żeby upewnić się, że prawnik pojedzie jak co dzień do biura. Pojechał. Ale potem, gdy około jedenastej trzydzieści Matthews powrócił już z Megan w bagażniku, odkrył, ku własnemu zaskoczeniu, że Collier również powrócił. Na szczęście ubrany w pelerynę prawnik kierował się ku polom. Gdy zniknął z pola widzenia, Matthews dostał się do środka dzięki kluczom Megan, rzucił dalmatyńczykowi kość, żeby czymś go zająć, umieścił w odpowiednich miejscach listy i podarty czek, po czym odjechał ku stacji metra.

Pozostało już tylko kilka luźnych wątków, które trzeba będzie poprzecinać.

Matthews udał się do eleganckiej dzielnicy Fairfax i zatrzymał się koło krytej gontem skrzynki na listy przy końcu długiego podjazdu. Na skrzynce widniał wypalony napis: Państwo Walker. Wrzucił do skrzynki list, który Megan napisała do swojej przyjaciółki Amy podczas sesji terapeutycznej.

Stąd ruszył do Oakton, dzielnicy przyczep kempingowych w leśnej części miasta. Minął parking, widząc, że świeci pustkami. Mężowie pracują, żony robią porządki i słuchają niekończącego się ćwierkania Sally Jessye reklamującej w telewizji kolejne produkty.

Zaparkował w błocie, z dala od innych przyczep, i ostrożnie wysiadł z samochodu. Bardzo powoli skierował się ku domostwu na samym skraju parkingu.

Nie jesteś doktorem Petersem, odezwał się w jego umyśle głos Megan.

Tak się składa, Megan, odpowiedział jej w myślach, że jestem. Dobrze wiesz, że wszyscy odgrywamy w życiu różne role. Na przykład ty jesteś kochanką i córką, a teraz moim jeńcem. Cóż, jeśli Aaron Matthews jest id, to doktor James Peters jest ego. A kto jest superego? Zobaczysz...

Przez kilka lat Matthews rzeczywiście zarabiał na życie jako terapeuta. Potrafił snuć opowieści o stopniach uzyskanych na Harvardzie i Columbii, o pracy w nowojorskim od-



dziale Cornell Medical Center i w Bellevue. Miał sprawny umysł, który z łatwością tworzył takie historie; doskonale pamiętał, komu którą opowiedział. Wszyscy niezmiennie mu wierzyli, Matthews był nieprzeciętnie uzdolnionym kłamcą.

To, że nie miał papierów, nie oznaczało jednak, że nie był dobry. Weźmy chociażby tę kobietę z przyczepy, do której właśnie się podkradał. Kiedy spotkał ją w barze miesiąc temu, natychmiast rozpoznał klasyczną osobowość graniczną, gotową rozłożyć nogi - i zrobić niemal wszystko - jeśli tylko wystuka się odpowiedni kod, który w jej przypadku był mniej więcej równie zagadkowy jak PIN karty bankomatowej.

Drzwi były zamknięte.

Zastukał w szybę i zajrzał do środka.

- Idź sobie - zawołała kobieta.

Zobaczył ją przez szybę w drzwiach. Przypominała nieco Megan, choć była o kilka lat starsza. Długie, proste włosy. Mopsowata twarz w typie Janis Joplin. Pod brudnym podkoszulkiem rysowały się znaki pozostawione przez dziecko odebrane dawno przez ojca, ale nie jej męża: obwisłe, zmęczone piersi, ciemne sutki.

Wyjął z kurtki kuchenny nóż i wsunął ostrą jak brzytwa hartowaną stal do tylnej kieszeni.

Zapukał. Trzeba załatwić to szybko i sprawnie.

- Cześć - powiedział Aaron Matthews.

- Idź sobie. Nienawidzę cię.

- Emily - szepnął i posłał jej zakłopotane spojrzenie.

- Nienawidzę cię! Za to, do czego mnie zmusiłeś! - wykrzyczała to przez zamknięte drzwi.

Zmusiłeś mnie. No cóż. Nie było to dokładnie tak. Matthew dał jej miłość, dał jej uwagę, dał jej solidne pieprzenie, a ona w zamian oddała mu przysługę. Chodziło tylko o to, żeby zagadać Megan w barze i upić ją na tyle, by straciła przytomność w parku. Potem zadzwoniła do ojca Megan, udając pracownika socjalnego hrabstwa, i nakazała mu, żeby umówił Megan z doktorem Petersem w sprawie terapii uzależnieniowej.

- Spieprzaj stąd! - warknęła kobieta.

Ludźmi zagniewanymi znacznie trudniej się manipuluje niż smutnymi. Ale Matthews nigdy nie cofał się przed wyzwaniem. Zaśpiewał: „Kocham cię tu, kocham cię tam...”.

- Ona mogła umrzeć! Co to było za świństwo, które jej dałam? To nie było zwykłe valium, co?

- Laudanum. I southern comfort. W sam raz dla nastolatki. „Kocham cię w noc, kocham cię w dzień, za twoją miłość wszystko ci dam”.

- Przestań! - powiedziała Emily.

- Wieża ciśnień to był wypadek. Nikt nie mógł przypuszczać, że wlezie na samą górę.

- Spadaj. Żałuję, że kiedykolwiek cię spotkałam. Jesteś zerem.

Kiedy zagadnął ją w barze, twierdziła, że jest aktorką. Przechylił głowę i się roześmiał.

- O co chodzi? - spytała, uśmiechając się, rumiana od słodkich kamikadze, które piła.

- O twoje imię. Pochodzi od łacińskiego aemulus. Naśladowca, przedrzeźniacz. Jak aktor.

- Spadaj! - Emily się śmiała.

- Kiedy to prawda. - Pocałował ją w usta. I była jego. Rozłożone nogi, rozłożone serce, rozłożona dusza.

Teraz powoli otworzył zewnętrzne drzwi i oparł głowę o okno. Wpatrywał się w jej oczy.

- Twoja dusza... - tak zwróciłby się do tłumów zgromadzonych na polach za Katedrą wśród Sosen, trzymając mikrofon i przechadzając się po niskiej estradzie. - Twoja dusza zostanie strawiona przez ogień. A co wzniesie się do nieba? Nic, oprócz martwego



popiołu twojego życia... Teraz módl się. Chcę, żebyś modliła się ze mną! Chcę, żebyś się modliła, chcę, żebyś się modliła, chcę...

...żebyś otworzyła drzwi - rozkazał. - Chcę, żebyś otworzyła drzwi. - Odnalazł jej oczy przez szparę w szybie i nie spuszczał z niej wzroku.

- Ona mogła umrzeć.

Emily twierdziła, że chce, by ktoś pokochał ją za jej talent aktorski. Za jej umysł. Za jej dowcip. Ale Aaron Matthews wiedział, że naprawdę wcale nie tego pragnęła. Widział jej prostą twarz, zapadający się trójkąt dekoltu i napięty czarny stanik, żaloszny makijaż na rozstępach na piersi, jej łapczywe usta ssące jego fiuta. I wiedział, niczym chirurg, gdzie należy przyłożyć skalpel. Taki właśnie miał talent.

- Myślę tylko o tobie, Emily. Chciałbym leżeć przy tobie, słuchać twoich słów.

Wydeła usta.

- Powinieneś mi powiedzieć, co jej dawałam. Zostałabym na miejscu, żeby jej pilnować.

Matthews przedstawił się Emily jako detektyw z towarzystwa ubezpieczeniowego i powiedział, że Megan i jej ojciec spreparowali zeznanie. Potrzebował dowodu, że dziewczyna pije i że jej ojciec składa fałszywe oświadczenia w sprawie jej terapii przeciwważeniowej. Kiedy mówisz ludziom, że działasz z pobudek finansowych, prawie zawsze ci uwierzą.

Milczał. Dwadzieścia sekund później otworzyła drzwi.

- Wszystko z nią w porządku? Z Megan?

- Wszystko dobrze.

- Polubiłam ją, jest miła. Czułam się jak ostatnia, robiąc jej to.

- To bardzo miła dziewczyna. - Matthews musiał przyznać jej rację.

- No więc teraz przestaniesz do mnie dzwonić czy co? Po to przyszedłeś? Żeby pieprzyć się ze mną, a potem oznajmić, że wszystko skończone? - W jej głosie pobrzmiwała gorączka, szaleństwo.

- Kocham cię - powiedział. I dostrzegł, że zadrżała z niechętnego radości.

Aaron Matthews również drżał. Przyglądał się jej szyi, językowi, lśniącym jasnym włosom, które teraz wiązała w koński ogon, żeby zająć czymś ręce.

On trzymał własne ręce za plecami, ponieważ nadal miał na nich cienkie lateksowe rękawiczki.

- Zaczniemy od propozycji układu - powiedział.

Te słowa stanowiły początek jednego z jego najpopularniejszych i najbardziej wstrząsających kazań.

Emily roześmiała się krótko, niepewnie i spojrzała na niego wzrokiem kogoś, kto podejrzewa, że cały świat chce z niego zrobić balona.

- Od propozycji układu - powtórzył.

- O co ci chodzi, Aaron?

- Założenie: Anioł śmierci krąży tuż nad twoją głową...

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - Zapięła guzik bluzki.

- ...i za chwilę umrzesz - ciągnął Matthews. Jego ręka powędrowała do noża w kieszeni.

Emily odsunęła się. W zasięgu wzroku miała różne przedmioty, ale jeszcze nie telefon. Matthews wiedział doskonale, gdzie stoi staroświecki aparat.

- Aaron, o co chodzi?

- Twoja dusza pójdzie do piekła.

- O czym ty mówisz? - W jej głosie pobrzmiwała teraz nuta skruchy. - Przepraszam, że trzymałam cię na zewnątrz. - Wskazała na drzwi, po czym przybrała pozę rozpaczliwej nieśmiałości. - Byłeś dla mnie niedobry. Nie lubię facetów, którzy są dla mnie niedobrzy. - Mówiła dziewczęcym tonem, który przybierała czasem, gdy się z kimś kochała. Teraz brzmiało to żalosznie.

Propozycja. W Katedrze wśród Sosen spojrzałby diabłu prosto w oczy i powiedział:



„Moi drodzy przyjaciele, Bóg ma dla was propozycję. Założenie: Idziecie do piekła. Możecie Go przekonać, żeby tak się nie stało? Co możecie powiedzieć, żeby przekonać Go, żeby postąpił inaczej?”. Potem Matthews zszedłby między słuchaczy i podtykałby im mikrofon do ust. A oni by zastygli! Milczeli jak zakłęci! Jak dajesz komuś szansę zbawienia nieśmiertelnej duszy, to powinien wymyślić zdanie lub dwa.

- Posłuchaj, nie wiem, co...

Przeciął linię telefoniczną długim stalowym ostrzem. Emily przyglądała się temu z lękiem.

- O Boże, o Boże, co ja zrobiłam? - Skuliła się w kłębek.

Usiadł koło niej na tapczanie, wciągnął zapach jej perfum. Była bezwładna jak szmata.

Spojrzenie diabłu prosto w oczy.

- Dam ci szansę wywinięcia się aniołowi śmierci. Przekonaj go.

- Nie...

- Anioł nadlatuje. Właśnie kołysz się nad twoją głową. - Nachylił się i wbił wzrok w kobietę. - Daję ci szansę ocalenia życia.

Usiłowała krzyknąć, ale natychmiast ostrze noża znalazło się w jej ustach. Zamarła. Matthews przycisnął jej język nożem.

Założenie...

- Postanowiłem cię zabić - oznajmił Matthews oficjalnym tonem. - Przekonaj mnie, żebym tego nie robił.

Wciągnął do płuc powietrze wpadające przez okno. Czuło się w nim bogactwo wiosennej roślinności i wilgoć ziemi - krokusy właśnie zaczynały kwitnąć. Wiosna, odnowa. Chrystus wyszedł ze śmierdzącego grobu w niedzielę dwa tysiące lat temu.

Odsunął nóż.

- Jesteś chory! - krzyknęła Emily. - Wiedziałam to w chwili, gdy cię poznałam! Wiedziałam! Jesteś rąbnięty i chory!

- Dlaczego miałbym cię nie zabijać?

- O Boże...

- Można mnie przekonać - zapewnił ją łagodnie. - Spróbuj.

Krzyknęła głośniej.

- Powiem ci, dlaczego chcę cię zabić, jeśli to pomoże. Powód jest taki, że wiesz o związku między mną i Megan.

- Zrobię wszystko. Och, proszę, Aaron...

- Błagasz. To nie ma nic wspólnego z przekonywaniem. Przekonaj mnie, żebym cię nie zabijał. - Na jego twarzy pojawił się grymas zniechęcenia.

- Pozwól mi żyć... Jestem dobrą chrześcijanką. W głębi serca.

- Och, pierwszy konkretny argument. - Matthews pokiwał głową, jakby rozważał te słowa. - Zastanówmy się nad tym. „Jestem dobrą chrześcijanką”. Moja odpowiedź brzmi tak: jeśli to prawda, to żyjesz w łasce Pana. To jeszcze bardziej przekonuje mnie, żebym cię zabił.

- Nie! - krzyknęła.

- Widzisz, Emily? Słowa mają znaczenie, wywołują efekt. Powiedziałaś coś bezmyślnie i widzisz, co się stało. A teraz pomyśl!

- Co - załkała - co chciałbyś usłyszeć?

- Przykład? Mogłabyś powiedzieć, że wyprowadzisz się do innego stanu. Spójrz na swoje życie: mieszkasz w brudnej przyczepie, nie masz rodziny, masz wszawą pracę. Mogłabyś wyjechać do Teksasu lub na Florydę. Po prostu zniknąć.

Emily wpatrywała się w nóż, na którym widniały kropelki jej śliny.

- Mogłabyś też powiedzieć, że ryzykuję, zabijając cię. Te wszystkie kłopotliwe szczegóły. Pozbycie się ciała...

Jęknęła.

- Już dobrze, dobrze. - Płakała. - Wyjadę. Dokąd tylko zechcesz.



Potrząsnął głową.

- Ja już to przemyślałem.

Włosy kleiły się jej do twarzy. Ostrze tańczyło przed oczami.

- Mogłabyś napisać list, w którym wyznasz, że upicie Megan było twoim pomysłem. Nie odważyłabyś się nikomu powiedzieć, bo w przeciwnym razie też wylądowałabyś w więzieniu.

- Dlaczego - wykrztusiła - ktokolwiek miałby iść do więzienia?

- Przyjmijmy to za pewnik - odrzekł z uśmiechem. - A teraz powiesz mi, gdzie mieszka twoja matka. Albo twój brat. Będą zakładnikami.

- Nie mam brata! - krzyknęła chrapliwym, przerażonym głosem. - Nie mam!

Matthews przyglądał się kobiecie uważnie, gładząc ją po włosach. Wdychanie jej szczególnego, słodkawego zapachu - oznaki strachu - sprawiało mu przyjemność. Potrząsnął głową.

Zaczął szeptać.

- Czy wiesz, co powiedział Arystoteles? Że człowiek, który broni się rękami, a nie słowami, jest żaloszny. Ponieważ nasza zdolność mowy i przekonywania jest dowodem naszej wyższej natury.

- Nie wiem... - łkała Emily - nie wiem, co powiedzieć.

- To widać.

Teraz wszystko potoczyło się szybko. Nóż człowieka w ręku Boga jest bronią, przed którą nie ma obrony. Emily krzyknęła raz, gdy ostrze przecięło jej gardło, a potem tylko walczyła, błagając o miłosierdzie, gdy krew tryskała wkoło.

Kiedy straciła przytomność i upadła na plecy, Matthews pochylił się nad nią i powoli wsunął nóż do jej ust. Odczekał chwilę, aż minie mu erekcja, a kiedy to nie nastąpiło, chwycił wciąż drgający koniuszek jej języka w lewą dłoń.

Nóż w jego prawej ręce sam z siebie, niczym wskaźnik na tarczy do wrózenia, zaczął poruszać się w przód i w tył.

Rozdział 8

Korytarz pachniał jak w każdej szkole średniej - potem, laboratorium chemicznym, środkami dezynfekcyjnymi.

Instynktowny niepokój, jaki wywołało w nim to miejsce, rozbawił Tate'a. Nauka szła mu łatwo, ale cały swój czas poświęcał Klubowi Debat, nauczyciele więc bez przerwy zamykali go w świetlicy za opuszczone lekcje i nieodrobione zadania. To, że przystawał przy drzwiach pokoju nauczycielskiego, cytując na głos z pamięci Cyncerona lub Johna Calhouna, nic nie pomagało.

Biuro kierownictwa szkoły Megan nie było przytulne. Składało się z niewielkich bok-sów o przepierzeniach wyłożonych tkaniną równie niebieską jak farba olejna na ścianach.

Dyrektorka, tęga kobieta w średnim wieku, ubrana w czerwony kostium, wysłuchiła opowieści Bett bez cienia emocji.

- Myślę państwo, że uciekła? - spytała.

- Mieliśmy nadzieję, że pani porozmawia z kimś z jej przyjaciół.

Twarz kobiety przybrała ostrożny wyraz, cechujący często personel szkolny, jakby podejrzewała wszystkich o pedofilię.

- Nie bardzo możemy to zrobić. Kim są jej przyjaciele? I kto miałby z nimi rozmawiać? Nie mamy detektywów wśród personelu.

- Może moglibyśmy zobaczyć jej szafkę? - spytał Tate.

- Niestety nie.

- Dlaczego?

- Potrzebna jest jej zgoda. Albo nakaz sądowy.

- To śmieszne - powiedziała Bett.



- Takie jest prawo.

Bett spojrzała na swojego byłego męża, który na próżno przebiegał w myślach sprawozdania Sądu Najwyższego w poszukiwaniu wypadków pogwałcenia prawa do prywatności uczniów.

- No cóż - rzekł swoim najbardziej adwokackim tonem - istniały podobne wypadki. Bett wzdygnęła się.

Tate zerknął na teczkę leżącą przed dyrektorką. Kobieta zapisywała właśnie nieobecność Megan. Nie było rubryki „ucieczka”, dlatego pióro zawahało się przy punkcie: „Powody nieobecności”.

- Zatem nie może nam pani pomóc?

- Obawiam się, że nie.

Już na korytarzu Bett szepnęła:

- Suka. I to ona ma zajmować się uczniami! To nią należałoby się zająć.

Tate pociągnął żonę w bok od głównego korytarza.

- Przejdźmy się.

- Że co?

- Chodź za mną.

Tate przyglądał się ścianom. Mruczając coś pod nosem, Bett podążyła za nim, nie rozglądała się specjalnie. Minęli otwarte drzwi i zajrzeli do zatłoczonej klasy.

- Ktoś z nich musiał ją znać. Niewykluczone, że nawet wiedzą, dokąd mogła pojechać. Niech to! Strasznie to deprymujące.

Gdy poprowadził ją kolejnym korytarzem, Bett rozejrzała się dookoła.

- Dokąd idziemy?

- Dwieście pięćdziesiąt osiem.

- Co?

Zatrzymał się i wskazał szafkę, zamkniętą na niewielką kłódkę szyfrową.

- To szafka Megan - wyjaśnił, podchodząc bliżej. - Numer był w jej tezcze.

- Ach tak. Możesz zdobyć nakaz sądowy?

Wystarczyły dwa kopnięcia.

- O Boże - szepnęła Bett, zerkając w głąb korytarza. Wybuchnęła śmiechem. - Naprawdę to zrobiłeś!

- Podaj mi torebkę.

Wrzucił całą zawartość szafki do dużej torby Bett i oboje skierowali się szybko do najbliższego wyjścia.

- Zastanawiałem się nad precedensami prawnymi - powiedział, gdy już znaleźli się poza budynkiem - i uznałem, że nie mamy wystarczających powodów, żeby dostać nakaz.

Siedzieli na przednich siedzeniach jego samochodu, torbę położyli między sobą. Z radia sączyły się dźwięki Vivaldiego.

Zaparkowali mercedesa - ironia miejsca nie umknęła uwadze Tate'a - na okolicznej ścieżce zakochanych, w miejscu, gdzie młodzież nocą zabawiała się guzikami i smakowała rozgrzany makijaż i Clearasil.

Tate grzebał w zawartości dziewczęcej szafki. Nie było tego wiele. Znalazł podręczniki, zeszyt do chemii, zeszyt roczną lekturę z francuskiego, kilka kolorowych pism - „InterView”, „Details”, „Rolling Stone”. I jeszcze jedną książkę: „Kazirodztwo” pióra Anais Nin.

- A to co, u diabła? - zapytała Bett.

Tate wzruszył ramionami. Nie powiedział jej, że czytał recenzję, i że książka opisywała seksualne przygody Nin z własnym ojcem.

Zeszyty Megan zawierały trochę notatek z lekcji, ale znacznie więcej bazgrołów: zawiłych rysunków przedstawiających pnącza, macki i pnie drzew, wszystko mroczne i niesamowite.



Znaleźli również torbę papierową. Tate otworzył ją i wyciągnął paczuszkę opakowaną w srebrny papier.

Bett przełknęła ślinę.

- Kolejny prezent urodzinowy.

- Ale nie dla ciebie. Spójrz. - Na kartce widniały słowa: Dla Bobby'ego od SWK.

- Od kogo?

- Sam Wiesz Kogo - podsunął Tate i otworzył prezent. Wpatrywał się w niego przez chwilę. - No cóż.

Bett wzięła do ręki kasetę wideo. „Maraton orgii. Twoje ulubione gwiazdy dla dorosłych. Całe dwie godziny”. Roześmiała się ponuro i przetarła oczy.

- To żart.

- Być może.

- Na pewno - powiedziała z przekonaniem.

- Oczywiście.

- Może to nawet czysta kasetka.

- Może. - Tate wyciągał kolejne pisma i kartki papieru z nieczytelnymi notatkami.

Potem znalazł kartkę o wymiarach pięć na siedem cali.

- O Boże - powiedziała Bett, zabierając mu papier.

Rysunek był makabryczny: mocna kreska przedstawiała gwiazdy i księżyc, kościste dłonie i twarz mężczyzny wykrzywioną bólem. Krople na jego czole mogły być krwią lub potem.

- To okropne.

Było okropne. Ale też bardzo dobre; przyciągające i odpychające zarazem. Na odwrocie autor napisał: „Dla Megan” i narysował serce przebite strzałą. Nie była to typowa walentynka - anatomicznie dokładny rysunek, z bijącego serca tryskała obficie krew.

- Kto jej to przysłał? Nieczytelny podpis.

- Kto mógł jej przysłać coś takiego? - dopytywała się Bett. - To musi być groźba.

- Dotykaj tylko krawędzi - ostrzegł ją.

- Dlaczego?

- Chcemy wiedzieć, kto to przysłał. Poproszę Konniego, żeby sprawdził odciski palców i porównał z bazą...

- Z czym?

- Z Automatycznym Systemem Identyfikacji Odcisków Palców. Bazą danych. Może uda się ustalić, kto...

Urwał, gdy Bett wyjęła kopertę, w której przysłała kartka. Na jej ustach pojawił się dziewczęcy uśmiech.

- Och. - Tate spojrzał na adres nadawcy. - Masz rację. Tak będzie szybciej.

- Im dłużej na to patrzę... - Bett wpatrywała się w rysunek. - To wygląda jak drzewo, ale potem zmienia się w żyłę czy coś takiego. A tutaj jest język i zęby. Nie podoba mi się to. - Wsunęła kartkę do koperty i wrzuciła do torebki.

- I pozbądźmy się tego świństwa. - Wskazała kasetę porno.

Mógłby jej przypomnieć te noce wiele lat temu, kiedy wymykali się z college'u na północne seanse filmowe w miejskim kinie i kochali się w ostatnim rzędzie, podczas gdy na ekranie pryszczaci kochankowie obściskiwali się w romantyczny i absolutnie cenzuralny sposób.

Otworzył okno i wrzucił kasetę do kosza na śmieci.

- To wszystko, nic już nie ma? Sprawdź w torbie.

Zajrzał do papierowej torby, w której znalazł kasetę. Zmiał i wyrzucił do kosza całą torbę, uznając, że nie widzi powodu, dla którego Bett miałaby się dowiedzieć o wielkiej paczce prezerwatyw przewiązanej ładną, czerwoną wstążką i opatrzonej liścikiem do Bobby'ego od Sam Wiesz Kogo.

Rower.



Tylko to przychodziło mu do głowy, gdy myślał o relaksie. Włożyć kombinezon, wrzucić górski rower na bagażnik starego volva i pojechać na zachód w góry Shenandoah.

Wdzierać się na niewyobrażalnie strome wzgórza, tak żeby płuca wołały o powietrze, a nogi pedałowały jak szalone na niskim biegu.

Ale zamiast tego zdrowego, rozsądnego sposobu na dręczący go niepokój, Joshua LeFevre pozwolił swojemu doskonałemu ciału opaść na kanapę, mruczał przy tym: „Cholera, cholera, cholera”.

Jeszcze raz wykręcił numer telefonu.

Po drugim dzwonku odezwał się mechaniczny głos, który przeciągał sylaby: „Heja. Sorki, nie ma mnie w chacie. Zostaw namiary, to przekręcę. A na razie miłego dnia?”.

I podobnie jak już trzy razy tego popołudnia nie zostawił wiadomości.

Gdzie ty się, u diabła, podziewasz, Megan?

Nastrój LeFevre'a pogorszył się jeszcze bardziej, gdy przypomniał sobie, jak przyniosła sekretarkę do jego mieszkania i kazała mu nagrać najlepszą nawijkę, na jaką było go stać. „Heja. Megan nie ma, wozi się z ziomalami. Nagraj się - wróci na kwadrat, to oddzwoni”.

Przypomniał sobie też, jak siedzieli razem zeszłego lata, a on oznajmił jej, że nie mogą się już spotykać.

- Dlaczego? - zapytała z prawdziwej ciekawości. Poczł wówczas kompletną pustkę w głowie. Potem wrócił do domu, dręczyło go poczucie winy i tęsknota, zadzwonił więc do niej. Przez pół godziny, kiedy wracał do siebie, zdążyła zmienić nagranie. Wymazała go ze swojego życia. Zapewne o tym samym pomyślała, gdy tylko znów została sama - w każdym razie przypuszczalnie znalazło się to gdzieś na wysokim miejscu na liście - a to podpowiadało mu, że jest znacznie silniejszą osobowością, niż on kiedykolwiek się stanie.

LeFevre zsunął się z kanapy i przeszedł po zagraconych pokojach, szukając jakichś ciuchów. Włożył spodnie od dresu, skarpety i trójkolorową kamizelkę Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Jego mieszkanie znajdowało się niedaleko Kapitolu na południowym wschodzie miasta. Była to zaniedbana dzielnica, niezbyt bezpieczna, ale LeFevre był do niej przywiązany. Wprowadził się tu pięć lat temu, tuż po skończeniu drugich studiów. Mógł zamieszkać w pobliżu trzysypialniowego domu matki na DuPont Circle albo w ośmiosypialniowej willi ojca w Great Falls, a może nawet wynająć mieszkanie nad galerią w Georgetown, gdzie regularnie wystawiał swoje prace. Właściciel często mu to proponował.

Ale on lubił to miejsce. Z przyjemnością wieczorem siedział na schodkach i popijając piwo, przyglądał się ludziom przechadzającym się z psami (psów było tu mnóstwo, wielkich, złych, obronnych bestii), rozmawiał z panem Sanchezem albo Williamsonami, których czternastoletnia córka bez skrępowania - ale z cichym, pełnym szacunku flirciarskim zainteresowaniem - przyglądała się muskulaturze LeFevre'a.

Mieszkanie było wymarzone dla niego. Okna dwóch sypialni, z których jedną zamienił na pracownię, wychodziły na północ. Sufity były wysokie i - rzecz zdumiewająca - działała kanalizacja. Było to najbliższe cyganerii, co mógł mu zaoferować dystrykt, i Joshua kochał to miejsce. Zwłaszcza teraz, gdy ciepłe wiosenne powietrze, ciężkie od zapachów Potomacu i kwitnących wiśni, mieszało się z oparami terpentyny i oleju lnianego w jego pracowni.

Ścisnął kierownicę roweru potężnymi dłońmi; jego skóra miała dokładnie ten sam brązowy odcień co siodełko.

Megan...

Gdzie jesteś?

LeFevre ponownie spojrzął na zegarek. Druga trzydzieści. Miała zadzwonić przed południem. Gdy minęła godzina, a on nie otrzymał od niej żadnej wiadomości, zaczął się niepokoić. Teraz niemal się bał.



Megan McCall była kobietą o prawdziwie kamiennej twarzy - przez lata doprowadziła iluzję łagodności do perfekcji. Ale gdy stawała się za spokojna lub zbyt radosna, LeFevre wiedział, że coś jest zdecydowanie nie w porządku - martwiła się, bała, coś ją dręczyło lub kipiała złością. Gdy więc usłyszał, że się upiła, miała „kłopoty”, zamierzała „może pójść do tego, wiesz, terapeutę, to nic takiego”, pomnożył to wszystko odpowiednio i doszedł do wniosku, że wydarzyło się coś bardzo, bardzo złego.

A teraz zniknęła.

A może po prostu wystrychnęła go na dudka?

Przychodziło mu do głowy jedynie to, że mogła domyślić się w końcu prawdziwej przyczyny ubiegłorocznego zerwania i we wściekłości zgodziła się na dzisiejsze spotkanie, po czym wystawiła go do wiatru, żeby się odpłacić.

Czuł się głupio, myśląc o tamtej przyczynie - miała postać niewysokiej, czterdziestoletniej kobiety o ostrych rysach, która siedziała w tej chwili w przestronnym biurze, gdzie pełniła funkcję zastępcy dyrektora Wydziału Mieszkań i Urbanistyki. Emma Vinton LeFevre.

Wtedy LeFevre przytoczył inne powody zerwania. Megan jest młodsza o dwanaście lat (uczennica liceum, na miłość boską), poza tym różnica rasowa (no dobra, kto się tym dziś przejmuje), za rok ona wyjedzie do college'u w innym stanie, a on już nigdy jej nie zobaczy (oj, tak), będzie dla niej przeszkodą w rozwijaniu jej własnych talentów (to prawda)...

Ale nie. Prawdziwą przyczyną była jego matka.

Zastępczyni dyrektora nie miała prawie nic przeciwko różnicy wieku, a zupełnie nic przeciwko kwestiom rasowym - była tak politycznie poprawna jak to możliwe. Ale Megan miała wadę, której nie dało się wymazać niczym głosu na taśmie w automatycznej sekretarce.

Była córką Tate'a Colliera.

A zatem LeFevre uległ woli matki, porozmawiał poważnie z Megan, okłamał ją i zerwał związek.

Przez kilka następnych miesięcy poświęcił się pracy i malował z pasją, której nie czuł od czasu studiów w Paryżu. Ale zawsze... zawsze nadchodził zmierzch i malarskie światło gasło dosłownie i w przenośni. LeFevre spędzał samotnie w ciszy wieczory. Siedział w pracowni, palił skręta, wypijał piwo, gapił się na płótno, nad którym pracował cały dzień, i zastanawiał się, czy spodobałoby się Megan. Czy uznałaby, że za dużo przypomina poprzednie? Może było za niebieskie, za blade, za płaskie? A może zbyt wspaniałe, żeby wyrazić to słowami?

Czasami patrzył na obraz i widział tylko jej twarz.

Taki był Joshua LeFevre, przystojny, dobrze zbudowany czarny mężczyzna, którego ciało budziło zachwyt zarówno kobiet, jak i mężczyzn, artysta, który miał za sobą kilkanaście wystaw w dystrykcie oraz Nowym Jorku, i zamożną matkę z politycznymi koneksjami, a także bogatego ojca niezmiennie wymienianego w zestawieniach „Forbesa”, przyjaciół w Anglii, Paryżu, New Haven, SoHo i Aspen.

Oto człowiek, który mógłby zdobyć serce każdego.

Oto człowiek, który pożył tylko jednej, konkretnej kobiety.

A kiedy się załamał i zadzwonił do niej w zeszłym tygodniu, powiedziała mu lekkim (zbyt lekkim?) tonem, że znów jest wolna. Właśnie rozstała się z Bobbym, jakimś chłopakiem ze szkoły. Mówiła dalej, paplała coś, zmieniając temat, ale LeFevre złapał przynętę.

- A więc - zapytał, a serce mu waliło - może się zobaczymy? Co powiesz na środę? Długie milczenie.

- Może. Jeszcze nie wiem.

- Proszę.

- No dobrze. Ale...

- Nie będę cię już ukrywał - powiedział z emfazą. - Przyjdiesz na kolację i spotka-



cie się.

- Już to słyszałam, Josh.
- Tym razem tak będzie. Naprawdę.

A potem ten telefon. Wykręcił numer urzędu federalnego, wyobrażając sobie jak zawsze szalony monolit biurowca z filmów Terry'ego Gilliana.

- Mamo, posłuchaj. Ta dziewczyna bardzo dużo dla mnie znaczy. Wiem, co powiesz. Ale ona rzadko widuje się z ojcem. On nie ma przyznanej opieki, a ona nosi inne nazwisko.

Cisza po drugiej stronie linii.

W końcu wiceminister LeFevre ugięła się przed ponowofalowym, miejskoprymitywnym artystą LeFevrem i właśnie w tej chwili - w przerwach między telefonami do Białego Domu i na Kapitol - przygotowywała eleganckie wieczorne przyjęcie dla ich trójki i jeszcze kilkorga przyjaciół. Dłonie LeFevre'a - które zawsze pozostawały suche, gdy zjeżdżał na rowerze górskim w dół zbocza z prędkością czterdziestu pięciu mil na godzinę - spływały potem na myśl, że Megan mogłaby nie przyjechać.

Czy ona to zrobiła? Wykiwała go? Czy kiedykolwiek jeszcze do niego zadzwoni?

Spojrzał na zegarek.

LeFevre wsiadł na rower i wyjechał na środek pokoju, lekko naciskając hamulec. Pozostał tam, balansując idealnie, wykonując mięśniami drobne ruchy pozwalające stać w miejscu.

Dziesięć sekund później rozległ się głośny dźwięk dzwonka. Zeskoczył z roweru i pognął do drzwi, otwierając je na oścież.

I zamarł z ręką na klamce.

Tak.

Wpuścił tych dwoje do środka i wskazał miejsce na kanapie, pośpiesznie odgarniając na bok sterty ubrań.

Miał świadomość, że w pokoju panuje bałagan, że powinien być w szoku na widok osławionego Tate'a Colliera, który wmaszerowuje do jego mieszkania z żoną u boku. Ale wcale nie był.

Gdzie ty się, u diabła, podziewasz, Megan? - kołatało mu w głowie.

Debata to nie tylko słowa.

Tate Collier nigdy nie stawał na podium - ani podczas Turnieju Debatowego Amerykańskiego Towarzystwa Sądowiczego, ani podczas procesu czy rozprawy apelacyjnej - nie patrzył swojemu oponentowi i sędziom prosto w oczy. Mówcy, którzy rozumieją innych ludzi, zawsze pokonają tych, którzy ich nie rozumieją, niezależnie od tego, jak doskonale operują faktami.

Twarz Joshuy LeFevre'a wyrażała tego wieczora wrogość. Podobnie jak mocne, napięte ramiona i masywne palce spoczywające na atletycznych biodrach.

Tate pożałował nagle, że nie podał nazwiska młodzieńca Konniemu, który przysłałby tu uzbrojonych policjantów na rewizje.

Z kolei Bett, sama dwa razy mniejsza od LeFevre'a, wcale nie czuła strachu.

- Czy pan wysłał to mojej córce? - Pokazała mu kartkę.

LeFevre ochoczo potaknął, wyraźnie nabierając do niej sympatii, po czym zadał przedziwne pytanie:

- Gdzie ona się podziewa?

Tate, który studiował dialekty w ramach swojego przygotowania retorycznego do debat i ustnych dyskusji, rozpoznał ślad akcentu ze środkowej Anglii.

Nie spuszczać oczu z Bett, LeFevre ciągnął:

- Megan miała zadzwonić do mnie trzy godziny temu. Idziemy dziś wieczorem na kolację. - I dodał z odcieniem zdenerwowania w głosie: - Kucharka mojej matki właśnie wkłada kaczkę do piekarnika.

- Kaczkę? - wypalił Tate. Żarty sobie stroi?



Najwyraźniej nie.

Jego akcent był karaibski, ale i z Karoliny. Świadczył o wykształceniu. A więc może to nie był diler narkotyków i zabójca. Ale niechęć we wzroku, jaki LeFevre skierował na Tate'a, była niezaprzeczalna.

- Powinna zjawić się tu o siódmej, ale miała zadzwonić w południe.

Tate zauważył właśnie, że ściany mieszkania zawieszono były rysunkami i obrazami podobnymi do tego na kartce, którą znaleźli w szafce Megan. Większość była nawet lepsza od tamtego obrazka. I podobnie niepokojąca.

- Jak dobrze pan ją zna? - spytała Bett.

Na twarzy młodzieńca pojawił się nagły wyraz bólu. Tate znał odpowiedź, zanim padła z ust LeFevre'a.

- Spotykaliśmy się w zeszłym roku.

Oto jak zrozumiał to Tate: ból, ponieważ go zostawiła. Poczucie zdrady. Nigdy nie powiedziała o nim rodzicom. No cóż, Tate również czuł się zraniony. Czyżby Megan naprawdę myślała, że on lub Bett mieliby coś przeciwko czarnoskóremu chłopakowi?

Ale najwyraźniej w jego uczuciach było coś więcej, niż dostrzegł Tate. LeFevre odezwał się do niego:

- Jestem pewny, że pan bardzo się tym wszystkim martwi. - Jak w talk-show Arsenio Halla.

No dobra, pomyślał Tate, przejdźmy do rzeczy.

- Ma mi pan coś do powiedzenia? - spytał spokojnie. - Może Megan wspominała coś o swoim dzieciństwie.

Niewygodne dziecko...

Znowu pudło.

- Tak, mam panu coś do powiedzenia. - Tate zauważył, że LeFevre ulega emocjom i że nie czuje się dobrze z gniewem. - Pan wie... Czy pan wie, dlaczego zerwaliśmy?

- Nie wiedziałem nawet, że było co zrywać. A więc odpowiedź brzmi: nie.

- Podoba się panu moja kamizelka? Podobają się panu jej kolory? Przeszkadzają panu, prawda?

Tate skrzyżował ramiona i czekał. Czuł zakłopotanie.

- To przez to, czyją jest córką - powiedział LeFevre.

- Przez nas? - spytała Bett. - Przecież my nie...

- Nie, nie przez was - przerwał jej zapalczywie LeFevre. Zabrzmiało to jak kwestia w teatrze telewizji. Wysunął palec w stronę Tate'a. - Przez niego. I przez sprawę Early'ego.

- Że co? - Tate wpatrywał się w wielkie, ciemne oczy młodzieńca.

- Och tak, wszystko o tym wiem, człowieku.

- No więc w czym problem? - spytał Tate, śmiejąc się. Przyglądał się czerwieni, zieleni i żółci, które okrywały potężną klatkę piersiową, i dodał: - To bardzo ładna kamizelka.

Bett spojrzała pytająco na byłego męża, który westchnął i odezwał się do niej:

- Jakiś czas temu policjant w hrabstwie Fairfax został zabity przez syna bogatego biznesmena. Złapał dzieciaka w parku z otwartą butelką. Wywiązała się walka...

- Niech pan opowie o rasowym aspekcie.

- Nie było żadnego rasowego aspektu - odpowiedział wyniośle Tate.

- Zawsze jest jakiś rasowy aspekt. Chodzi tylko o to, czy chce się go zauważać, czy nie.

- Och, na litość boską - wybuchnął Tate - ofiara była czarna, sprawca był biały. Tyle w kwestii rasowej.

- Niech pan dokończy opowieść.

Tate wzdrygnął się.

- Policjant był lektorem w kościele i prowadził grupę młodzieżową w dystrykcie. Pracował w parku na nadgodzinach, chciał rozmawiać z nastolatkami o ich problemach.



Niestety miał również...

- Tu zaczyna się zmyślanie - wtrącił LeFevre.
- ...tendencję do zaczepiania dziewczyn w patrolowanych parkach. Jeśli znalazł skręta albo butelkę, proponował, że ich nie zaaresztuje, jeśli coś dla niego zrobią. Chodziło o seks.

- Brednie. Nigdy tego nie udowodniono.
- Pozwalam sobie nie zgodzić się - powiedział Tate. - Zdaniem sędziego dowody były wystarczające.

- Większość przysięgłych była biała.
- Znalazłem dwoje świadków, którzy mieli dość ikry, żeby zeznawać. Dziewczyna powiedziała, że tej nocy widziała, jak glina ściągał bluzkę i stanik z czternastolatki. Drugi świadek...

- Świadkowie też byli biali. Oboje.
- Drugi świadek widział, jak policjant napastuje kilka innych dziewczyn. Early kazał mu przestać, bo inaczej powiadomi jego przełożonych. Policjant wyciągnął spluwę, a Early mu ją wyrwał. Pistolet wystrzelił. Ława przysięgłych uwierzyła w tę historię. Został uniewinniony.

- Czy pan wie, przez co przechodziła jego żona podczas procesu? - zapytał LeFevre. - Wie pan, jak czuły się jego dzieci? Czarny facet i białe kobiety. O Boże. - LeFevre potrząsnął głową z niesmakiem.

- Fakty pozostają faktami.
- Ta opowieść nie była prawdziwa - zaprotestował LeFevre. - Moja matka jest w zarządzie Stowarzyszenia na rzecz Równouprawnienia Kolorowych w dystrykcie. Ona wie. Zamówili raport i nie znaleźli w nim żadnych dowodów na to, o co go oskarżyliście.

- Nadal nie rozumiem. Co to wszystko ma do waszego zerwania? - zapytała Bett.
Odpowiedział Tate.

- Nie chciałeś chodzić z córką takiego zacofanego gościa jak ja?
Młody mężczyzna zawahał się przez chwilę. Tate zauważył w jego oczach niepewność i zrozumiał, że młodzieniec nie do końca podpisuje się pod poglądami, które zapewne wyznawała jego matka. Kolejna wersja „Romea i Julii”.

Nie, LeFevre po prostu najwyraźniej nie potrafił dłużej podtrzymać gniewu.
- Nie mam pojęcia, czy jest pan zacofany, czy nie - powiedział z namysłem. - Ale uległ pan uprzedzeniom, żeby wypuścić na wolność zabójcę.

Owszem, Donnie Early był zabójcą, myślał Tate. Pociągnął za spust i przez to zginął człowiek. Temu nie da się zaprzeczyć. Po prawdzie chłopak był tylko bogatym białym zasrańcem z kłopotami alkoholowymi. Ale czasami z woli systemu nawet mali biali zasrańcy, którzy zabijają ludzi, wychodzą na wolność.

Tate mógł usadzić młodzieńca jednym szybkim pytaniem, czy aby nie było również zbrodnią obciążać córkę grzechami ojca. Ale w debacie nie chodzi tylko o słowa i nie tylko o logikę. Chodzi również o pragnienia. Tate potrzebował pomocy tego młodego człowieka i to natychmiast. A więc po prostu uśmiechnął się i powiedział:

- Nie mogę przeprosić za to, co zrobiłem, Joshua. Broniełem Early'ego w miarę swoich możliwości, tak samo jak broniłbym ciebie w sprawie z paragrafu 7, gdybyś dostał podwyżkę o pięć centów mniejszą niż jakaś kobieta. Ale wysłuchaj mnie teraz. Myślę, że martwisz się o Megan tak samo jak my. Boimy się, że coś się jej przydarzyło, a policja nic nie robi. Pomożesz nam czy nie?

- O Boże.
To był głos Bett. Tate szybko odwrócił się do niej.
Wskazywała na obraz przedstawiający nagą dziewczynę otoczoną pnączami i gałęziami, której twarz mogła wyrażać ból albo rozkosz cielesną.

Tą dziewczyną była Megan.
LeFevre zwrócił się ku płótnu i spojrzął na nie z miłością. Po chwili odezwał się:
- Była moją najlepszą modelką. Dobra, powiedzcie, co mogę zrobić. Ale też musicie



mi pomóc. Jestem malarzem, a nie prywatnym detektywem.

Rozdział 9

Tydzień od poniedziałku, pomyślał.

Włączył się po korytarzach budynku, w którym - kiedyś obliczył to bardzo dokładnie - spędził niemal połowę dorosłego życia.

Zdarte linoleum, beżowe szafki na akta, zapach plastiku, środków czyszczących i potu, metalowe biurka przekazywane z pokolenia na pokolenie, równie dobrze mogłyby to być siedziba administracji gimnazjum. W rzeczywistości zaś było to główne biuro wydziału policji stanowej, mieszczące się wśród gęstej zabudowy przy Chain Bridge Road.

Dimitri Gregor Konstantinatis, sierżant wedle rangi - bynajmniej nie detektyw, jak przedstawił się Bett McCall, ale tylko skromny śledczy - skinął zaaferowanym policjantom, którzy powitali go przyjaznymi spojrzeniami. Te ostatnie, całkiem niedawno zdołał przekonać o tym samego siebie, nie skrywały już nienawiści.

W wydziale do spraw nieletnich wcisnął się do swojego maleńkiego boksu i usiadł przy biurku, które w zestawieniu z jego posturą naprawdę sprawiało wrażenie przeznaczonego dla dzieci.

Wielką dłonią spracowaną niczym dłoń rybaka, którym nigdy nie był, przyciągnął szarą teczkę, otworzył ją, starannie wygładził i podpisał na wierzchu. McCall, Megan.

Wywołał na monitor swojego compaqa raport jednej z trzech grup operacyjnych, które wysłał, żeby sprawdziły parkingi na lotnikach Dullesa i National oraz na stacji metra w Viennie. Właśnie w tym ostatnim miejscu znaleźli pół godziny temu samochód Megan.

Gdy drukarka wypluwała raport, Konnie rzucił okiem na kalendarz i znów pomyślał: tydzień od poniedziałku.

Skończy się czas jego zawieszenia - formalnie, wedle kalendarza, w niedzielę, ale ponieważ data wypadła akurat w dzień wolny, okres wydłużono o dwadzieścia cztery godziny (mimo iż rzadko brał wolne w soboty i niedziele). Odbędzie się przesłuchanie, podczas którego okaże się, że w trakcie tego niekończącego się dwuletniego czyścica całował i lizał dokładnie to, co należało, i zostanie przywrócony do stopnia porucznika. A posada głównego detektywa w wydziale kryminalnym - posada, o której marzył od czasów akademii, posada, której poświęcił mnóstwo godzin swojego życia - będzie znowu jego.

Koniec dwóch lat nudy, dwóch lat wstydu, dwóch lat spojrzeń rzucanych przez innych policjantów, usiłujących pogodzić ten śmieszny przydział z jego opinią najlepszego bodaj śledczego od ciężkich przestępstw w stanie Wirginia. Koniec najgorszych dwóch lat w jego życiu. (No dobra, były jeszcze te dwa poprzednie lata - tyle że on niewiele z nich pamiętał).

Tydzień od poniedziałku.

A tymczasem - ku swemu zaskoczeniu - właśnie trafił na pierwszą sprawę w wydziale do spraw nieletnich, która obudziła w nim dawne podniecenie. Poczł znów potrzebę zdejmowania kolejnych warstw niewiadomej, składania danych w konkretne fakty i poszlaki, spekulowania i dedukowania - wszystko po to, żeby opracować profil. Posługiwania się w przesłuchaniach klasyczną metodą POZ (Pobudki - Obiekt - Zachowanie) w celu zmuszenia podejrzanego do współpracy. Wyrwania się z biura, żeby rozmawiać z ludźmi, wgłębiać się w sprawy istotne.

Konnie pochylił się nad raportem grupy operacyjnej i czytał, dopóki nie uświadomił sobie, że boli go brzuch. Marynarka wpijała mu się w pas. Zawsze zapinał guziki ciemnego garnituru, który nosił niezmiennie do białej koszuli i ciemnego krawata. Rozpiął je.

Napisał raport o samochodzie Megan. Było to pobieżne badanie - tylko wstępna ekspertyza, wykluczająca zdaniem policjantów bójkę. W samochodzie znaleźli aktual-



ny rozkład jazdy Amtraka. Raport stwierdzał, że rozkład był wielokrotnie przeglądany, ale nie zaznaczono żadnych nazw miejscowości ani numerów połączeń. Konnie chciał przeprowadzić dalsze badania, ale żeby uzyskać na to zgodę, musiał wprowadzić przypadek do oficjalnych akt. Z formalnego punktu widzenia nie dało się tego zrobić, dopóki nie miną dwadzieścia cztery godziny od zniknięcia Megan. Będzie musiał się postarać o przydział numeru dla sprawy Megan, a dla siebie - o prowadzenie tej sprawy.

Zadzwoił do Identyfikacji i zażądał, żeby posłali grupę do domu Bett McCall i zabrali stamtąd cokolwiek, na czym znajdowałyby się odciski palców dziewczyny, a następnie nakazał oddziałowi kryminalistycznemu obejrzeć dokładnie jej samochód i postarał się, żeby ninhydriną sprawdzono odciski palców na rozkładzie jazdy. Zapewnił wszystkie grupy, że do wieczora prześle im oficjalny numer akt sprawy.

Teraz zdążył do biura F. Wellinga Dobbsa, młodego kapitana, który stał na czele kilku wydziałów, w tym również do spraw nieletnich. Zwierzchnik Konniego był elegancki i cierpki, świetny policjant. Był też o piętnaście lat młodszy od Konniego.

- Właśnie miałem cię wezwać - powiedział elegancki młody człowiek.

- Kapitanie, proszę spojrzeć, co tu mamy. Znaleźli samochód tej McCall. Był...

- Co to jest? Ach, ta sprawa Colliera? To ten facet, który był kiedyś prokuratorem stanowym?

- To on. Widział pan moją notatkę. On...

- Ona uciekła.

- Może. To jedna...

- Zostawiła listy. - Dobbs strzepnął pyłek z munduru. - Oczywiście, że uciekła.

- Znaleźliśmy jej samochód na stacji w Viennie.

- A więc podróżuje Amtrakiem. Jedzie do Nowego Jorku. Sprawa, jakich jest tysiące rocznie. Zepsuta dzieciarnia z Fairfax. Oczywiście nie powiedziałem tego.

- Znaleźli rozkład jazdy Amtraka w samochodzie.

- No popatrz, popatrz. - Młody oficer miał oczy jastrzębia... albo sępa.

- Dlaczego zostawiła go w samochodzie, jeśli zamierzała z niego korzystać?

- Zapomniała. Albo wiedziała, którym pociągiem pojedzie. Albo chciała wziąć nowy z dworca. Union Station jest zaledwie o kilka stacji od Vienny.

Coś w głębi duszy podpowiedziało Konniemu, żeby nie wspominać o zleconych ekspertyzach.

Dobbs był dwa razy szybszy, niż wskazywała jego potężna budowa. Potarł oczy.

- Jak znaleźli samochód?

Cholera.

Przez ostatnie dwa lata Konnie nauczył się kontrolować gniew. Nie było to łatwe. Nie miał charakteru, miał gniew. Przyznawał się do tego. Nie można mieć łagodnej natury i ścigać facetów, którzy gwałcą szesnastolatki. Wciągnął kilka razy głęboko powietrze i uniósł czarne brwi.

- Wiesz, o co pytam, Konnie. Ile grup wysłałeś?

- Trzy.

- Jezu Chryste!

W religijnym kraju, gdzie co drugi dom trzyma się wiernie słowa Pańskiego, a pytanie o „wybór” oznacza, do którego odłamu protestantyzmu należysz, takie wykrzykniki są rzadkością.

Spokojnie, pomyślał Konnie.

Tydzień od poniedziałku.

- Kim on jest, twoim kumplem?

- Collier i ja pracowaliśmy razem.

- No.

Konnie nie był pewny, czy miało to oznaczać „No to co?” czy „No tak, to tłumaczy twoje idiotyczne zachowanie”.

- Jej rodzice są bardzo zmartwieni - ciągnął sierżant.



- No cóż, zmartwieni rodzice to jeszcze nie powód do wszczęcia dochodzenia.
- Tak jest, jeszcze nie powód. - Konnie zastanawiał się czasem, gdzie podziewał się gniew, gdy nie było go tam, gdzie powinien się znajdować.

- Zapomnij o tym. Mam tu prawdziwy problem.

Na biurku wylądowała kolejna teczka. W środku nazbierało się materiałów na ćwierć cala. Konnie domyślił się, że sprawa była w toku jako ważna od jakiegoś miesiąca bądź też jako mniej ważna od trzech miesięcy.

- Sprawa Devoe. Dziewczyny, która zabiła się w marcu. Konnie przypomniał sobie nastolatkę, która wskoczyła w przeraźliwy nurt Great Falls i potłukła się na śmierć o kamienie.

Samobójstwo nastolatki. Dla Konniego najcięższy rodzaj pracy w wydziale. A statystyki wykazywały, że problem stawał się coraz poważniejszy w skali stanu i całego kraju.

- Jest coś dziwnego w jej śmierci.

- Nie pamiętam dokładnie - odpowiedział Konnie.

Ale pamiętał, włącznie z twarzą dziewczyny na zdjęciu z autopsji. Pulchny Dobbs, mimo całego reżimu dodatków z aminokwasami i lecytyną, nie miał w sobie nic z Konniego Konstantinatisa, który był ucieleśnieniem trzech kluczowych cech detektywa specjalizującego się w ciężkich przestępstwach: uporu, przywiązywania wagi do szczegółów i doskonałej pamięci.

Chciał jednak wiedzieć, do czego dokładnie zmierza jego przełożony. Zapytał więc, mrużąc oczy:

- Nie było tam jakiegoś listu?

Dobbs znalazł w teczce fotokopię. List zaczynał się od słów: „Byłam w miejscach, w których wolałabym nigdy nie być. Byłam w miejscach, do których, jak sądzę, nie trafiłabym wrócić...”.

Konnie nie czytał dalej.

- Ślady bójki? - spytał.

- Na twoim miejscu wyprasowałbym garnitur, Konnie - odpowiedział Dobbs. - Jej rodzice są przekonani, że tego nie zrobiła.

Coś w pamięci Konniego poruszyło się, ale nie zaskoczyło.

Czekał.

- Złożyli raport. A raczej ich prawnik złożył. Jest tutaj. - Wskazał szarą teczkę, dokładnie taką samą jak ta, którą Konnie właśnie przydzielił sprawie Megan.

- Co mam zrobić?

- Potrzebujemy wstępnego ustalenia, czy istnieją przesłanki, że padła ofiarą zabójstwa.

Konnie mógłby zauważyć, że z technicznego punktu widzenia samobójstwo jest odmianą zabójstwa - taką, w której przestępca i ofiara są akurat tą samą osobą. Ale pomyślał: tydzień od poniedziałku.

- Dlaczego?

- Ponieważ dostaliśmy rozkaz. - Dobbs uśmiechnął się, mimo że nie miał takiego zamiaru.

- Ale według ekspertyzy medycznej było to samobójstwo, prawda?

- Będziesz to miał na piątek rano.

- Na pojutrze? - spytał zaskoczony Konnie.

Uśmiech ustąpił miejsca autentycznemu poirytowaniu.

- Potrzebuję świadków, zeznań, całego tego kitu. Ślicznie i czysto. Wykreśl wszystko z kalendarza i weź się do tego.

- No cóż, prawdę mówiąc, myślałem, że zajmę się sprawą McCall.

- Nie ma takiej sprawy. Dziewczyna uciekła. Jestem już prawie wkurzony, że wysłałeś trzy zespoły na przeszukiwanie parkingów. A nawet jestem całkowicie wkurzony. Kapitan nie byłby wkurzony, gdyby zaginęła córka jakiegoś polityka...



Bingo.

Devoe.

Jej ojciec był członkiem parlamentu stanowego i ważnym biznesmenem w Fairfax. Bogaty i wpływowy. Zamknij cholerną gębę na kłódkę, powiedział sobie Konnie. Dobbs ma dać ci rekomendację - albo ją cofnąć - na rozprawie dotyczącej przywrócenia do dawnych obowiązków.

Spróbował więc podejścia tchórzliwego.

- Trochę się boję, czy to nie spali na panewce, a wtedy jej rodzina będzie się czuła jeszcze gorzej niż teraz. Radziłbym to zostawić. Mogę z nimi pogadać, jeśli pan chce. - Pozbawione jaj cudo, zganił sam siebie.

- Masz teczkę, Konnie. Pierwsza rzecz na piątek. Godzina dziewiąta. Zaangażowany jest szeryf hrabstwa, mamy też kogoś z VBI.

Czasami gniew całkowicie uspokaja.

- Wiem, że masz wątpliwości, funkcjonariuszu - powiedział Dobbs bez uśmiechu, ale i bez irytacji. - Ale przeczytaj akta. Zobaczysz, co tu jest dziwnego. Ta dziewczyna dostała stypendium do George Mason, jej chłopak właśnie dał jej pierścioneł, a na godzinę przed tym, jak się zabiła, kupiła cztery bilety na koncert Aerosmith. Tak nie zachowuje się ktoś, kto chce umrzeć. Chodzi mi o to, że morderstwo można upozorować na samobójstwo.

Czasami gniew każe mówić.

Konnie podniósł teczkę z napisem McCall, Megan.

- Tak jak porwanie można upozorować na ucieczkę.

Dobbs spuścił głowę i spojrzał na niego.

- Sprawa McCall nie ma żadnego priorytetu. Ani trochę. Zrozumiałeś? - Ton jego głosu był lodowaty.

Jasno i wyraźnie.

Znalazłszy się z powrotem w swoim pokoju, Konnie rzucił teczkę Devoe na biurko. Sięgnął po słuchawkę telefonu, żeby odwołać nakaz sprawdzania odcisków palców, gdy rozległ się dzwonek.

Detektyw w swojej pracy przyzwyczajają się do ironii losu. Łagodna żona, która nigdy nie miała w ręce broni, zabija męża, członka Stowarzyszenia Posiadaczy Broni, w chwili, gdy ten znowu narzeka, że ciągle dostaje to samo na śniadanie. Świątobliwy kaznodzieja zostaje przyłapany z ręką w majtkach czternastolatki. Wiceprezydent udzielający się w organizacjach na rzecz popierania rodziny pali skręty tuż po treningu drużyny gimnastycznej. Konnie nie był więc specjalnie zaskoczony, gdy podniósł słuchawkę i usłyszał:

- Wiesz, że płacę ci pensję? Gdyby nie ja, byłbyś inkasentem w elektrowni.

- Odpieprz się, Tate. Nie mam czasu dla farmerów.

- Nie chodzi o to, że chcę jakiejś przysługi.

Cholera. Niech to diabli. Konnie obawiał się odejścia od przekomarzania, obawiał się też ciągnięcia tego dalej.

- Złapali cię bez portek w zagrodzie dla owiec - burknął. - Znowu, Tate? Wiedziałem, że coś nie w porządku, gdy ostatnio w barze zamówiłeś woolite.

- Konnie, dzwonię w sprawie Megan. - Poważny ton Tate'a, tak nietypowy, przeszył wielkiego policjanta dreszczem.

- Czego się dowiedziałeś?

- Niczego.

- No tak, Tate. Czego potrzebujesz? Powiedz mi.

- Jakaś szansa na dzień urlopu?

Od czasu wypadku dwa lata temu - wypadku, który spowodował jego zawieszenie - Konnie postanowił, że nie opuści ani jednego wyznaczonego mu dnia pracy, tak bardzo pragnął, żeby jego akta były nienagane w chwili, kiedy będą rozpatrywać przywrócenie go na dawne stanowisko.



- Mam tyle dni urlopu, że nie wykorzystam ich przez tysiąc żywotów - odpowiedział.
 - Zapisz ten adres. Przyjeżdżaj jak najszybciej. Dzięki, Konnie.
- Gdy zapisywał ulicę i numer domu, rozdrażniła go tkliwość w głosie Tate'a, powiedział więc dla oczyszczenia atmosfery:
- Ale nie zamierzam tracić czasu na oglądanie twojej paskudnej facjaty. Czy twoja piękna żona też będzie?
 - Była żona, Konnie.
 - Wciąż to powtarzasz, Tate. Tym lepiej dla mnie. Do zobaczenia za pół godziny.
- O rany, pomyślał Konnie, odkładając słuchawkę.
Tydzień od poniedziałku.

Rozdział 10

- Policjant i artysta mierzyli się wzajemnie nieufnym wzrokiem.
- Tate spodziewał się zatargu między potężnym czarnym mężczyzną w barwach Afrykańskiego Kongresu Narodowego a ogorzałym Grekiem w wymiętym garniturze od J. C. Penneysa.
- Konnie wyczuwał w powietrzu zapach trawki, z grymasem na twarzy przyglądał się krótkim, potarganym dredom LeFevre'a i niezbyt przyjaznym tonem zapytał, skąd bierze się taka fryzura.
- LeFevre uśmiechnął się niepewnie.
- Z laboratorium genetycznego?
- Konnie mruknął coś pod nosem i wskazał palcem karalucha w błękitnej ceramicznej popielniczce pomalowanej w niesamowite wzory przez LeFevre'a.
- Potrzebujemy twojej pomocy, Konnie. Od piętnastu lat nie miałem do czynienia ze sprawą kryminalną.
 - Jesteś przekonany, że kiedyś byłeś w tym dobry, Tate. Ale nie byłeś. - I zwracając się do Bett, dodał: - Ratowałem jego tyłek przy każdej sprawie. Tak, moja pani, to powszechnie znany fakt.
- Bett nadal nie potrafiła odnaleźć się w tym ich przekomarzaniu się, więc milczała.
- Dobra, streszczę wam, co wiem. - Konnie opowiedział o samochodzie Megan i rozkładzie jazdy.
 - Amtrak - wyszeptała Bett. Na jej twarzy malowało się przerażenie. Nie dlatego, jak przypuszczał Tate, że ten dowód wskazywał na ucieczkę córki poza granice stanu, ale dlatego, że potwierdzał pełen gorczy list dziewczyny.
- Tate podszedł do zakratowanego okna i wyjrzał na nędzną ulicę. Odwróciwszy się, zobaczył, że wszyscy wpatrują się w niego pytająco, i natychmiast poczuł się nieco zbity z tropu. W klubie debatowym, przed ławą przysięgłych, przed sądami apelacyjnymi Tate Collier cierpiał na tremę. Przez całe życie walczył z nią: medytacją, betablokerami, valium i czarodziejskim lekiem znanym jako jim beam. Ale tak naprawdę nic nie pomagało. Oczywiście stawiał sobie wysokie wymagania. Bardzo wysokie. Kiedy Sędzia pojawiał się na procesie, zebraniu miejskim albo ślubie, uśmiechał się, przyjmował ten wyraz absolutnej pewności siebie i rozpoczynał mowę, która sprawiała wrażenie przygotowywanej od wielu dni. Chociaż zawsze była improwizowana. Nie było żadnych „hmm” czy wahań, przełykań śliny czy rumieńców.
- Tego popołudnia publiczność Tate'a składała się zaledwie z trojga osób, ale on czuł się, jakby stał przed Sądem Najwyższym, przypiekany na ogniu przez nieustępliwego sędziego Rehnquista.
- Podejrzewamy, że coś się jej przytrafiło, Konnie. Nie wiemy co, ale chcemy się dowiedzieć. Czy istnieje jakaś szansa na pomoc?
 - Ze strony wydziału? Zapomnij o tym.
 - Dlaczego?
 - Dlatego że zbiegłe siedemnastolatki się nie liczą. Wybacz, takie jest życie.



Nie mówił im wszystkiego. Tate dostrzegł to, ale nie skomentował.

- Ona nie uciekła - odezwał się LeFevre. - Dziś wieczorem była zaproszona na kolację u mojej matki.

Konnie wzruszył ramionami.

- No to co? Kilka nocy temu o mało co nie zanurkowała głową w dół z wieży ciśnień. Po czymś takim też straciłbym apetyt.

- Wątpię - odpowiedział Tate, zerkając na potężny brzuch Konniego.

Detektyw zignorował tę uwagę.

- Macie coś jeszcze? - zapytał.

Bett opowiedziała mu o mydelniczce i kartce urodzinowej. Konnie wpatrywał się w nią wyczekująco.

- Proszę mówić dalej - powiedział w końcu.

- To wszystko.

- To wszystko?

- I przeczucie - wtrącił Tate.

- Ach, tak, pradawne przeczucie. Możesz mi przypomnieć, w którym rozdziale podręcznika śledczego jest o tym mowa? Chyba w tym o tarocie, prawda? A może tym o astrologii.

Spoglądając niepewnie na Bett, Tate przypomniał sobie, że gdy ileś tam lat temu on i Konnie mieli podobne kłopoty, wylewali wiadra pomyj na swoje byłe żony. Był czas, na samym początku ich małżeństwa, kiedy Bett nie zrobiła najmniejszego ruchu, nie poradziwszy się kart, I Ching albo runów. Teraz jednak nie zareagowała na uwagi Konniego.

- Czego tak naprawdę ode mnie chcecie? - spytał policjant.

- Żebyś pomógł nam zaplanować śledztwo. Powiedział, co robić. Jesteś w tym dobry, Konnie. A my potrzebujemy eksperta.

- Przede wszystkim, zakładając, że nie uciekła, powiedzcie mi, co waszym zdaniem mogło jej się przytrafić?

- Sądzę, że ktoś przekonał ją, żeby z nim poszła. Namówił do napisania tych listów.

- Jakich listów? - zapytał LeFevre.

Tate zawahał się, po czym sięgnął do kieszeni i wyciągnął pomiętą kartkę. Podał ją malarzowi. Bett zrobiła tak samo. LeFevre przeczytał je z obojętną miną i oddał rodzicom.

- Kim może być nasz czarny charakter? - zapytał Konnie.

- Pamiętasz tę historię z wieżą ciśnień? Tamtej nocy, gdy była w szpitalu, powiedziała nam, że spotkała dziewczynę i że piły razem, włócząc się od baru do baru. Potem kupiły butelkę i poszły do parku.

- Żeby podrywać facetów - dodała Bett.

- Najpopularniejszy sport Ameryki - skomentował Konnie. - Co to był za bar?

- Nazywa się Coffee Shop.

Konnie parsknął.

- Cholera, Tate, to bar motocyklistów.

- Niemożliwe.

- A jednak, pani McCall.

- Myślicie więc, że uciekła z tą dziewczyną?

- Być może.

Konnie zanotował coś. Tate pamiętał z czasów, kiedy pracowali razem, że Konnie czasami zapisywał jakieś nic nieznaczące bazgroły po to tylko, żeby uspokoić swoich rozmówców, upewnić ich, że przykłada się do pracy. Miał tak niewiarygodną pamięć, że zapisywał wszystkie szczegóły w umyśle; pisanie spowalniało tylko proces myślowy.

- A co z tym chłopakiem, o którym wspominaliście po południu? Z tym Bobbym? Mógł mieć ze sprawą coś wspólnego?

- Wiesz, kto to jest? - zwróciła się Bett do LeFevre'a.

- Mówiła, że poznali się w szkole - odpowiedział. - To wszystko, co wiem. Nie roz-



mawialiśmy dużo przez ostatni rok.

- Usiłowaliśmy dowiedzieć się czegoś w szkole - powiedział Tate - ale nie byli skorzy do pomocy.

- No i nie znacie nazwiska - przypomniał im Konnie.

- W jej szafce nie było nic z nim związanego - powiedziała Bett.

- A jak dostaliście się do szafki? - rzucił niewinnie detektyw.

- Ach, ta szkoła... - Tate potrząsnął głową. - Zamek był wyłamany.

- Pilnuj swojego tyłka, Tate. Nie jesteś już na garnuszku stanu, ale nadal masz koncesję, którą mogą ci cofnąć. A niech to, jeśli z tą dziewczyną nie łączy się jakaś tajemnica. No dobra, na początek przekopcie jej pokój. Mam na myśli dosłownie... przekopanie, rozumiecie? Zakładajcie, że ukrywa coś, za co dostałaby lanie, gdybyście się dowiedzieli...

- Nigdy jej nie uderzyłam - oznajmiła urażona Bett.

- Żartuję, moja pani. Musisz się do mnie przyzwyczaić. A więc rzuciła tego Bobby'ego? Będzie trzeba z nim porozmawiać, mówię serio. Zatem dowiedzcie się, kto to jest. Ale ciągle brakuje wam jakiegoś solidnego tropu.

- Naprawdę jest coś takiego jak Coffee Shop? - spytał Tate. - Gdzie spotykają się gangi motocyklowe? Nie wstydzą się tego?

- Nie udawaj świętoszka, Tate. To ty powiedziałeś mi, gdzie można niedrogo wywać jakąś laseczkę.

Bett się poruszyła. LeFevre wysilił się na uśmiech. Najwyraźniej zapomniał, że Tate był postrachem ruchu praw obywatelskich w hrabstwie Fairfax.

- No dobra, oto co proponuję. Ty i twoja żona - przepraszam: ekszona - udacie się do tego baru i spróbujecie dowiedzieć się, kim była ta dziewczyna.

- Wiesz coś o niej? - zwrócił się Tate do żony.

Twarz Bett wyrażała ogrom niewiedzy.

- Niewiele. Chyba mówiła coś o jakiejś Emily. - Zwróciła się do LeFevre'a: - A ty?

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- Facet gada jak jakiś dyplomata. - Konnie roześmiał się, wskazując na LeFevre'a.

- I nie skopcie sprawy, Tate. Nazwiska wszystkich barmanów czy choćby ksywki. Pogadajcie w domach z tymi, którzy akurat mają wolne. Oni zawsze śpią długo, więc późne popołudnie to świetna pora na przesłuchanie. Są naćpani i zazwyczaj na kacu, mówią więc rzeczy, których wcale nie chcą powiedzieć.

Tate skinął głową.

- Mam znajomości na Union Station. Nie będzie łatwo, ale lepiej to dokładnie sprawdzić. Popytam się na dworcu. I na lotnisku. Do tego potrzeba odznaki, nie będą gadać z cywilami.

- A ja?

Konnie zmierzył LeFevre'a wzrokiem.

- Nie robimy nic w związku z samochodem. Może przejechałbyś się na stację w Vienne i poszukał kogoś, kto widział, jak wsiada do pociągu? Tylko włóż na siebie coś innego niż te łachy.

- Ubrałbym się jak policjant, ale nie mam wymiętego dziesięcioletniego garnituru - odparł LeFevre ostrożnie, ale wystraszył się własnej śmiałości, gdy zobaczył, jak twarz Konniego wykrzywia grymas.

Policjant roześmiał się jednak głośno i puścił oko do malarza.

Tate przyłapał się na tym, że wpatruje się w akt Megan. Miała piękne ciało. Uświadomił sobie, że się gapi i szybko odwrócił wzrok, dostrzegając niepokój na twarzy Bett.

- O co chodzi? - zapytał, czując się jak podglądacz.

- Mam nadzieję, że znajdziemy ją przed piątkiem - rzekła posępnym tonem. - Naprawdę mam taką nadzieję.

- A to dlaczego? - spytał Konnie.

- Bo to weekend wielkanocny, a ja chciałabym spędzić go razem z nią.



Konnie wzruszył ramionami i nie zauważył, że wzrok Bett powędrował ku Tate'owi, który też spojrział na nią przelotnie. Tate znów zerknął na portret Megan, ale w myślach ujrzał tylko jedno: list, który do niego napisała.

„Nazywa cię złotoustym diabłem, którym zresztą jesteś, ale ty nigdy do mnie nie mówisz, nigdy nie mówisz, nie mówisz...”.

Rozdział 11

Nie była zakneblowana. I to śmiertelnie ją przeraziło.

Megan otworzyła oczy i poczuła miękkie kołysanie furgonetki. Jechali chyba równą drogą, ale narkotyk, który dostała, sprawiał, że wszystko wokół się kołysało. W dół i w górę, i z boku na bok. Zamknęła ponownie oczy i odetchnęła głęboko, usiłując nie wymiotować.

W ustach nie miała knebla.

Chciała przestać o tym myśleć, ale nie potrafiła.

Ponieważ to znaczyło, że ten człowiek wszystko dokładnie przemyślał. Nie zakneblował jej, ponieważ wiedział, że narkotyk może wywołać wymioty i w rezultacie udusić Megan. Znaczyło również, że nie bał się jej wołania o pomoc - nie zamierzał nigdzie się zatrzymać.

A nikt nie zobaczy mnie w furgonetce, uświadomiła sobie, ponieważ okna są przyciemnione, może nawet lustrzane od zewnątrz.

Szczegóły, Josh...

Ten człowiek... jak on się nazywa? Matthews, tak. Matthews pomyślał o wszystkim. Listy, które kazał jej napisać, gabinet w ustronnej dzielnicy mieszkaniowej, osłonięty od ulicy krzewami. Widziała teraz jego dłonie na kierownicy. Nie miał już obrączki. To też był element kamuflażu, coś, co miało ją uspokoić.

Chciała płakać, krzyczeć, ale zmusiła się do zachowania całkowitego spokoju.

Bez ruchu. Niech nie wie, że się obudziła. Nie masz wiele, ale masz świadomość. Nie jesteś tak bezbronna jak przedtem. Prawie tak, ale nie całkiem.

Wyskoczyć, pomyślała. Jak szybko jedzie ta furgonetka? Nie potrafiła ocenić. Jazda była gładka i cicha, okna szczelnie zamknięte, toteż nie słyszała hałasu z szosy; równie dobrze mogli gnać autostradą. Było jasno - pewnie jeszcze środa - wokół powinny się znajdować inne samochody. Ludzie zobaczą, jak wyskakuje z furgonetki, zatrzymają się i zadzwonią po policję.

Co się stanie, jeśli otworzy drzwiczki i wyskoczy?

Załóżmy, że jest to jakaś główna szosa, I-66 albo I-95. Na pewno jedzie z dozwoloną prędkością - nie ryzykowałby zatrzymania z nią na tylnym siedzeniu. No więc jedzie pięćdziesiąt pięć mil na godzinę. Co będzie, jeśli wyskoczę? Bardzo źle?

Bardzo.

Ale jak bardzo? Przeżyję?

Połamane nogi. Skóra zdarta na asfalcie... Okropne. Oszpecenie na całe życie. Może też złamać kark.

Zaczęła zastanawiać się, dokąd on ją wiezie. Co zamierza? Gwałt, morderstwo? Zakopie ją żywcem, co czasem zdarza się porywaczom? Oszaleje, jeśli coś takiego się stanie, zabije się...

Megan wyobraziła sobie, że wyskakuje z samochodu. Wyciąga związane ręce, szarpie za klamkę i wypada. Jeśli on jedzie prawym pasem, a ona będzie miała szczęście, to pobocze porasta trawa. On oczywiście zahamuje odruchowo, gdy usłyszy otwieranie drzwiczek. Może zwolni do pięćdziesięciu albo czterdziestu pięciu. To już nie wydaje się aż tak szybko.

Zamknęła oczy, żeby złagodzić nieco nudności i uczucie kołysania.

Leżała zwrócona tyłem do bocznych drzwiczek. Czy są zamknięte na zamek?

Zaczęła się obracać, po czym zamarła. Nie, nie ruszaj się! Jeśli chcesz się przyjrzeć,



zaczekaj, aż zmieni pas albo skręci i wtedy przetocz się powoli w tamtą stronę.

Furgonetka wyglądała znajomo. Matka Amy miała taką samą. Dodge caravan. Nie otwierając oczu, Megan zaczęła sobie przypominać, jak w zeszłym miesiącu ona, Amy, Donna i Kelley pojechały do centrum handlowego w Fair Oaks. Uda jej się otworzyć drzwiczki. Pamiętała dokładnie, gdzie jest klamka.

Teraz zaczekaj. Tylko to możesz robić. Czekać.

Dziesięć długich minut później poczuła, że samochód przechyla się ostro w lewo, gdy Matthews zmienił pas. Udała, że ruch przewrócił ją na plecy. Przechyliła głowę w prawo. Dobra robota, pomyślała. Poruszała się dokładnie tak jak człowiek nieprzytomny, ostatnio oglądała taką scenę w filmie (cholera, to było o porwanej dziewczynie).

Nie myśl o tym. Przygotuj się na następną zmianę pasa.

Gdy znów zjechał na prawo, poruszyła podkurczonymi nogami zgodnie z ruchem samochodu i teraz leżała zwrócona twarzą ku bocznym drzwiczkom.

Minimalnie uniosła powieki. Tak, były tam: zamek i klamka. Ponieważ tylne siedzenia zostały złożone, klamka znajdowała się kilka cali od jej rąk. Te miała skrępowane, ale nie przywiązane do innej części ciała. Nie będzie musiała nawet się podnosić - wystarczy wyciągnąć ręce, podważyć bolec zamka i szarpnąć za klamkę. A potem skulić się, wysunąć nogi za drzwi i wytoczyć się, osłaniając głowę.

Okej. Zrób to. No już.

Naprawdę mam to zrobić?

Połamane nogi i blizny na całe życie albo gwałt bądź pogrzebanie żywcem?

Nagle Szalonej Megan przeszło przez myśl, że może zaczyna działać zbyt pochwytanie.

A jeśli on ma inne plany? Może po prostu chce wyciągnąć od Tate'a ze sto tysięcy dolarów? Będzie trzymał ją w bezpiecznym miejscu przez kilka dni, dostanie pieniądze i wszystko się skończy. A jeśli to nieszkodliwy wariat, który chce jej pokazać kolekcję oswojonych ptaków i pozwoli odejść?

Ale wtedy w pamięci Megan pojawiła się jego postać w gabinecie, jak nachyliła się i chwyciła ją za ramiona.

Chcesz mi to powiedzieć. Musisz mi to powiedzieć. Dotknij tego, co najbardziej boli. Dotknij! Ojciec przeczytał ci bajkę. Doszedł do ostatniego zdania. „Niedźwiedzie nie umieją mówić”. Odkłada książkę. Co się teraz dzieje?

I zrozumiała, że kimkolwiek jest ten człowiek, nie robi tego dla pieniędzy i nie jest jakimś pomyślnym. Zaplanował wszystko dokładnie. Jest niebezpieczny. Rany, to gwałt, on już ją molestował - jej duszę, serce.

Uciekaj stąd. Zaryzykuj.

Już!

Gdy jej ręce przesuwają się ku chłodnemu metalowi klamki, musiała zwalczyć falę nudności i zawrotów głowy. Serce nigdy jej tak mocno nie waliło.

Tak, dosięgnęła zamka! Wszystko gra!

Pociągnęła tak mocno, że gdy puściła metal, prawie złamała palec. Klamka ani drgnęła.

Ani na cholerny milimetr.

Odezwał się melodyjny głos Matthews'a.

- Pomyślałem, że możesz się nudzić tam z tyłu, dlatego zabrałem coś do oglądania.
- Sięgnął na siedzenie pasażera.

- Nie! - krzyknęła Megan.

- Te drzwiczki otwierają się tylko z zewnątrz - wyjaśnił. - Masz. To namalował mój ojciec. Pomyślałem, że ci się spodoba.

- Dlaczego mi to robisz? - krzyknęła.

Postawił małe, oprawione płótno koło niej, opierając je o ściankę furgonetki.

- Dlaczego? - Płakała, kołysząc się w przód i w tył, ukrywając twarz w dłoniach.

Nie zareagował, tylko spokojnie prowadził samochód, podziwiając widoki. Po kilku



minutach trochę się uspokoiła, otarła twarz o wykładzinę na podłodze furgonetki. Odwróciła się i spojrzała na obraz.

Zatkało ją. To było jak te średniowieczne malowidła, które widziała, gdy Tate zabrał ją do National Gallery, płaskie i pozbawione emocji: młoda kobieta przywiązana do drzewa na wzgórzu, na tle jasnoniebieskiego nieba. Tylko że autor nie miał pojęcia o malowaniu. Przypominało to dziecięce obrazki, ale nie było dziełem dziecka. Wykrzywiona twarz, nierówne ręce, niewłaściwe proporcje. Niemniej to nie dziwaczny rysunek był źródłem niepokoju, ale to, co przedstawiał. Kobieta miała na sobie białą suknię, podartą i ściągniętą do pasa. Ręce uniosła w modlitewnym geście, a nad jej głową widniała aureola. W jej piersi, boki i szyję wbite było pięć długich, czarnych strzał. Po różowym ciele spływały strumyczki krwi, a oczy wznosiły się ku niebu w bólu i ekstazie.

Megan zaczęła płakać.

Uświadomiła sobie coś, co przeraziło ją znacznie bardziej niż samo malowidło. Matthews postawił obraz na boku, tak żeby go dobrze widziała.

A to przypomniało jej, że istotnie jest człowiekiem, który myśli o wszystkim.

No tak, Konnie go ostrzegał.

Tate zmierzył wzrokiem rząd motocykli stojących przy krawężniku, młodych mężczyzn z otwartymi butelkami, które przechylali wyzywającym gestem, tatuaże, wojskowe buty, kamizelki.

Tak. To Coffee Shop.

Stojący u wejścia do obskurnego wnętrza ogromny, brodaty bramkarz gapił się na elegancką jedwabną bluzkę i wzorzystą spódnicę Bett z podejrzliwym rozbawieniem. W swoim stroju roboczym, skórzanej kurtce i wysokich butach, Tate przynajmniej nie wybijał się z tego tłumu w dżinsach, podkoszulkach, flanelowych koszulach, kowbojskich butach i skórzanych pasach.

Kilka starych ciem barowych pochylało się nad ladą, ale w większości byli to młodzi ludzie; tłoczyli się przy stołach, głośni, pijani, bardzo zadowoleni z siebie i odgłosów, jakie wydają.

Barman okazał się roslym mężczyzną w średnim wieku, ubranym w roboczą koszulę z podwiniętymi rękawami. Ręce miał czerwone od mycia naczyń, a twarz od popękanych naczyń krwionośnych. Dostrzegł w postaci Tate'a coś urzędowego, nabrał więc ostrożności.

- Coś podać? - spytał z nadzieją w głosie.

- Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

- Ach, tak. - Mężczyzna odwrócił się ku tacy pełnej szklanek, które nagle zaczęły wymagać umycia. Nie spojrzał już więcej na Tate'a ani Bett.

- Przyszliśmy w związku z Megan McCall - krzyknął Tate.

- Nie sądzę, żebym znał kogoś takiego. Kim jesteście? - Wzrok utkwiony w mydlniach.

- Jej rodzicami. Jak masz na imię?

- Hmm. Stony.

- No więc, Stony, wiemy, że ją znasz - spróbował Tate. - Nie o to pytamy. - Niepewne milczenie barmana stanowiło potwierdzenie blefu. - Chodzi tylko o to, czy ostatnio ją widziałeś?

Trzy szklanki zostały umyte z niezwykłą dokładnością.

- Nie, już od jakiegoś czasu nie. Od kilku tygodni, jak sądzę. Od miesiąca albo i dwóch. - Wzrok wbił w ścierkę.

Tate nachylił się, osłaniając ucho dłonią. Uśmiechnął się.

- Ale hałas. Muzyka. Chyba nie dosłyszałem. Miesiąc albo dwa, mówisz? Ale ona była tu w poniedziałek. Z inną dziewczyną. Chyba miała na imię Emily.

- Kilka dni temu, hę? No, człowieku, może i masz rację. - Wzrok przeniósł się na wilgotny dolarowy napiwek.



- Może i mam - powtórzył Tate z uśmiechem. - To dobre. Widziałeś którąś z nich od tego czasu? Megan albo Emily?

- Nie. - Jego wzrok tym razem powędrował ku szafie grającej, z której właśnie zaczął lecieć utwór Lynyrd Skynyrd.

- Od jak dawna ona tu bywała?

- A bo ja wiem.

- Nie wiesz. To chciałeś powiedzieć?

- A bo ja wiem.

- Nie masz też pojęcia - ciągnął Tate - gdzie któraś z nich mogłaby się znajdować, prawda?

- Przepraszam. Nie znam żadnej Emily.

Tate skinął palcem na wycofującego się barmana.

- Zaczekaj jeszcze chwilę, Stony, dobrze? Może znasz jakichś jej przyjaciół, którzy tu przychodzą?

- Nie, stowa, że nie. Przepraszam, ale nie mogę pomóc.

- Tak, Stony, ja też żałuję.

Przy bilardzie zaczęły się kłopoty, rozległy się podniesione głosy. Barman przyglądał się temu, szukając wymówki, żeby się oddalić i zająć przerywaniem bójki. Ale skończyła się, zanim się na dobre zaczęła.

- Wiesz, wszystkie te pytania... - Tate uśmiechał się. - Nie mają nic wspólnego z tym miejscem...

- To nie mój lokal.

- ...ani z tym, że Megan ma dopiero siedemnaście lat.

- Siedemnaście? - Twarz Stony'ego usiłowała wyrazić zaskoczenie, ale wyszło z tego tylko lekkie zdziwienie.

- Siedemnaście.

- Cóż, proszę pana - powiedział niepewnie ze wzrokiem utkwionym w mydlinach - jeśli ma dowód tożsamości...

- Megan nie miała fałszywego... - warknęła Bett.

Tate machnął ręką w jej stronę i skrzywił się lekko. Zamilkła.

- Dowód - zwrócił się znów do barmana. - Przyglądacie się mu dokładnie? Musicie, ponieważ wiadomo, że nieletnim nie podaje się alkoholu. W tym hrabstwie oznaczałoby to zamknięcie lokalu.

- Jeśli mają dowód, reszta mnie nie interesuje.

- Cóż, niestety to nie jest wszystko, co powinno cię interesować, Stony, jako że - o ile się nie mylę - prawo mówi, że powinieneś odmówić podania alkoholu każdemu, kogo uważasz za nieletniego, niezależnie od tego, czy ma dowód, czy nie. Spokojnie, przyjacielu, nie panikuj. Nie wybieram się do biura i nie zamierzam nic pisać.

- Biura?

Tate błysnął legitymacją prokuratora stanowego. Była nieważna od pięciu lat, ale założył, że Stony nie będzie przyglądał się dokładnie, gdy zobaczy imponującą pieczęć.

- Oto masz dowód tożsamości. Ale oczywiście tu nie jest podany mój wiek.

- Zrozum, ludzie przychodzą - powiedział Stony nieszczęśliwym tonem. - Mają dowody tożsamości, to ich obsługują. Nie pytam ich o życiorysy. Nie...

Tate nachylił się ku niemu.

- Spokojnie, Stony. Wszystko gra?

Dwie szklaneczki zostały nadziane na wirującą szczotkę i zatopione w wodzie do płukania. Uniósł się zapach chloru.

- Czego pan chce?

- Rozejrzyj się po sali. Widzisz tu kogoś, kto zna Megan?

Stony postąpił, jak mu nakazano, ale potrząsnął głową.

- Nie.

- W porządku. Powiedz mi w takim razie, co cię gnębi, Stony. Słyszę szum trybików.



- Nic.
- A zatem dzwonię do biura. I do Urzędu Skarbowego, ot tak dla hecy. I do Alcoholic Beverage Control, żeby sprawdzili procent alkoholu w butelkach. Wyglądają mi na lekko rozcieńczone.

Stony zerknął na nędzne mydliny.

- O rany, człowieku.

- Powiedz mi.

- Ten facet, który wychodził tuż przed tym, jak weszliście. Może go zauważyliście.

Tate jak przez mgłę przypomniał sobie wysokiego faceta około czterdziestki przeciskającego się przez drzwi, gdy podjechali.

- Co to za jeden?

- Był tu w zeszłym tygodniu. Pytał o Megan.

Bett zerknęła ku drzwiom.

- Zna go pan?

- Nie. Po prostu wszedł i zapytał o nią. A dziś pytał o jej przyjaciółkę. Amy Walker. Gdy pobiegli ku drzwiom, Stony nabrał odwagi.

- Wy wszyscy gliniarze... Słuchajcie, dzieciaki nie włączyłyby się po takich miejscach, gdyby ich rodzice lepiej się nimi zajmowali. Mój chłopak nie bywa w barach. Mój chłopak...

Wybiegli na dwór, ale słyszeli jeszcze, jak wołał:

- Gdybyście byli jak trzeba, nie musielibyście zaglądać w takie miejsca. Słyszycie mnie? Słyszycie mnie?

Dwaj rockersi powiedzieli im, w którą stronę odjechał samochód. Wyjątkowo grzecznie.

- Co to był za samochód? - spytał Tate.

- Gówniany stary datsun, pani wybaczy.

- Czerwony - podpowiedział drugi. - Trudno nie zauważyć.

- Pomarańczowy.

- Czerwony, pomarańczowy. Trudno nie zauważyć.

Wsiadli do mercedesa Tate'a i ruszyli gazem.

Wielkie niemieckie auto szybko dogoniło mniejszego datsuna - był pomarańczowy - milę dalej, ale Tate przyhamował i trzymał się pięćdziesiąt stóp w tyle.

- Widzisz go? - spytała Bett. - Kto to jest?

Tate wzruszył ramionami.

- Spisz tablicę.

- Co?

- Numer rejestracyjny.

Mercedes jechał szybko zniszczoną drogą. Kierowca datsuna siedział skulony nad kierownicą, raczej nie zauważył, że ktoś go śledzi. Jechał niedbale, a samochód podskakiwał na nierównej nawierzchni. Wyobraźnia Tate'a zerwała się ze smyczy i Tate pomyślał, że jeśli Megan jest w bagażniku, to bardzo się potłucze.

- Zwolnij trochę, Tate. Może nas zobaczyć. - Bett wychyliła się do przodu, mrużąc oczy, a jej kryształowe kolczyki podskakiwały na wybojach.

Jechali przez zapuszczone części hrabstwa Prince William. Mijali zaorane pola, gdzie kielki kukurydzy przedzierały się w milczeniu przez ciemnoczerwoną ziemię. Dawno opuszczone stodoły. Rozpadające się bungalowy, gdzie szybko więdły powojenne sny - maleńkie pudełka winylowo-aluminiowych domów. Chałupy i samochody na ceglach. Wjechali do Manassas. Miasteczko, w którym po raz pierwszy rozległ się przerażający wrzask bitewny rebeliantów, miało ciekawe dzielnice. Grant Avenue i Doctor's Row były pełne miniaturowych kopii Tary. Okoliczne farmy i cmentarz konfederacki stanowiły sielankowe zakątki. Ale ta część hrabstwa także była złowroga, szczególnie Park Manassas. Za prokuratorskich czasów Tate'a jego biuro zajmowało się kilkoma przypadkami



podpaleń - głównie stodół - i przemocy w rodzinie. Co jakiś czas zdarzały się napady na laboratorium produkujące PCP, a przez jakiś czas miasteczko było areną działań seryjnego zabójcy była.

Drogi były opustoszałe, a w powietrzu unosił się aromat drewna płonącego w piecach. Datsun minął znak stopu i po chwili zjechał na obszerny podjazd i stanął.

Za kępą drzew w niewielkim oddaleniu widać było bungalow. Rdzewiejący kanister na olej opałowy stał na podwórzu, a wydeptane plamy czerwonego błota były liczniejsze od kęp niestrzyżonej trawy.

Tate poczuł na sobie wzrok Bett.

- Wszystko przygotowane do zabawy w złodziei i policjantów. Och, Tate, to jest niesamowite.

- Chodźmy.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała.

Tate nie odpowiedział. Otworzył tylko schowek na rękawiczki i wyciągnął pistolet, który wrzucił tam, zanim wyjechali.

- Tate! - jęknęła. - Co ty wyprawiasz?

- Pomyślałem po prostu, że może się przydać.

Kilka lat temu, gdy oskarżał w pewnej sprawie jamajskiego dilerę narkotyków zamordowanego przy okienku baru drive-in sieci Wendy w Fairfax, Konnie zajrzał do jego biura.

- Hej, prawniku.

- Konnie.

- Najwyższy czas, żebyś załatwił sobie gnata.

- Nie rozumiem - odpowiedział Tate niewinnie.

- Cha, cha. Spluwę. Ile?

- Nie chcę broni.

- Do diabła, każdy chce broń - wyjaśnił Konnie. - To sprawdzony fakt. Kobiety chcą mieć broń, żeby odstrzelić gwałcielowi jaja. Faceci - żeby zastrzelić facetów z większymi kutasami. No więc ile? Ile chcesz za nią wydać.

Tate poddał się i nabył bardzo praktycznego, zupełnie nieseksownego colta 38 special, który teraz spoczywał w jego prawej dłoni. Wprawdzie był sześciokomorowy, ale Tate naładował go pięcioma nabojami. Jak nauczył go Konnie.

- Tate, nie... - odezwała się Bett.

Odwrócił się do niej.

- To mało prawdopodobne, że została porwana - powiedział spokojnie. - Ale jeśli tak było, może znaleźliśmy sprawcę.

- Zastrzelełeś kiedyś kogoś? - szepnęła chrapliwie.

Ale on znał lepsze pytanie: Czy kiedykolwiek w ogóle strzelał z pistoletu?

- Nie - brzmiała odpowiedź na oba pytania. - Chciałabyś tu zostać? - spytał.

Potrząsnęła głową ponuro, zaciskając zęby. Gniew rodził się ze strachu.

- Nie. Ale nie chcę, żebyś do kogokolwiek strzelał.

- Ta ewentualność znajduje się na samym dole mojej listy życzeń. Chodźmy, skarbie.

Zamrugała oczami - bardziej zaniepokojona tym czułym słówkiem niż widokiem broni w jego ręku.

Trzydzieści jardów, dwadzieścia, piętnaście.

Tate zatrzymał się i nasłuchiwał. Cisza w środku. Widok nędznego domku mroził mu krew. Często bywał w takich miejscach. Zbyt często. Gdy był prokuratorem stanowym, zawsze - w odróżnieniu od wielkomiejskich oskarżycieli - odwiedzał osobiście miejsca zbrodni. Takie miejsca detektywi określali mianem domu z Paragrafu 60, czyniąc aluzję do klauzuli o morderstwach w kodeksie karnym Wirginii. Strzały ze śrutówek, domowe kłopoty, zawiedzione uczucie, które spowodowało zbrodnię... Takie były motywy



związane z tymi domkami: małymi, brudnymi, milczącymi, kipiącymi niewypowiedzianą nienawiścią.

Gdy znaleźli się blisko bungalowu, gestem nakazał Bett, żeby zaczekała pod drzewem, a sam podszedł bliżej. Zajrzał przez jedno z okien i poczuł, jak skóra cierpie mu na widok tego, co zobaczył.

Przykucnął szybko i w milczeniu wycofał się do miejsca, gdzie stała Bett.

- Tate, o Boże, co z tobą?! Co się stało? Co widziałeś?

- W środku, na ścianie jest obraz Joshuy. Megan.

- Nie!

- Tylko że... On jest pocięty. Na paski.

Rozdział 12

Wewnętrzne drzwi otworzyły się bezszelestnie. Tate stał na niewielkiej zaśmieconej werandzie. Donice wypuszczające martwe pędy, zardzewiałe narzędzia, zapleśniała dykta, zwoje gnijącej wykładziny. W powietrzu unosił się ostry zwierzęcy zapach piżma i moczu. Podszedł do drzwi wejściowych i zajrzał przez zatłuszczoną szybę do zagracoanego korytarza.

Przekręcił klamkę. Drzwi nie były zaryglowane. Popchnął je i - Bogu dzięki - poruszyły się bezdźwięcznie na naoliwionych zawiasach. Tate odwrócił się i skinął na Bett, przesuając się powoli przez drzwi, które otworzyły się gwałtownie, pociągając za sobą Tate'a. Bett krzyknęła i pobiegła ku gankowi, podczas gdy dwaj mężczyźni, stojący tuż obok siebie, mierzyli się wzrokiem ponad progiem. Żaden z nich nie ruszał się przez chwilę. Potem Tate uniósł pistolet.

Zaskoczony mężczyzna krzyknął i dłonią prawie dwa razy większą od dłoni Tate'a wytrącił mu pistolet, który poszybował na stertę narzędzi ogrodniczych. Tate zapomniał o pistolecie i rzucił się na niego, uderzył go w brzuch i obaj upadli na podłogę korytarza. Szyba wyleciała z drzwi i roztrzaskała się wokół nich.

Mieszkaniec bungalowu był wysoki, miał sękatę i silne ręce i gęste szpakowate włosy. Powoli podniósł się, marszcząc brwi i obrzucając Tate'a wściekłym spojrzeniem.

Gdzieś w pobliżu odezwał się nieoczekiwanie łagodny dźwięk dzwonek poruszanych wiatrem.

- Kim, u diabła, pan...? - zaczął mężczyzna.

Ale prawnik skoczył i chwycił go za gardło, wciągając w głąb domu. Gdy przeciwnik się uwolnił, Tate porwał z podłogi pustą butelkę po whisky. Zmusił mężczyznę do wycofania się do salonu, wymachując mu przed oczami butelką jak szalenic. Wyglądało to jak idiotyczny taniec: zaatakowany odskakiwał od Tate'a, obaj krążyli wokół siebie w małym bungalowie. Regał przewrócił się i na podłogę posypały się książki.

- Gdzie ona jest? - krzyknął Tate, wymachując butelką.

Mężczyzna utrzymywał bezpieczną odległość, zupełnie jakby Tate był wściekłym psem. Złość zaczęła ustępować zaciekawieniu.

- Chciałeś mnie zastrzelić? O co, do cholery, tu chodzi?

- Gdzie? - Tate zagnał mężczyznę do kąta obok kominka, podszedł do niego, ale tamten miał już dość tej idiotycznej gonitwy.

Zatrzymał się i uniósł ręce.

- Powiedz mi, czego chcesz - zajęczał wyczerpany.

Tate uniósł butelkę.

- Na miłość boską.

- Tate, nie! - Nadbiegła Bett.

- Jeśli zrobisz jej krzywdę, zabiję cię - szepnął Tate.

Facet splunął na ziemię z wściekłością.

- Masz kurewski tupet, żeby tak mówić. Poza tym to ja byłem w szpitalu pierwszy w tamten poniedziałek, po tym jak wlaża na tę cholerną wieżę. A ty gdzie wtedy się



podziwiałeś?

Twarz Tate'a wyrażała bezbrzeżne zdumienie. Butelka upadła na podłogę.

Wysoki mężczyzna przeczesał włosy.

- Nie wiesz, kim jestem, prawda?

Bett podeszła, zabrała butelkę i postawiła ją na stole. Zaczęła zbierać książki.

- Ja wiem - odezwała się nagle.

Tate spojrział na nią.

- Pan jest Bobby. Jej chłopak.

Siedzieli razem, rozmawiając, otoczeni przez jakieś trzy tysiące książek.

Gdy dowiedzieli się, że gospodarz nazywa się Robert Carson, wyjaśniło się jego zainteresowanie literaturą.

- Pan jest jej nauczycielem angielskiego - szepnęła Bett z niesmakiem.

No tak, przypomniał sobie Tate, Megan powiedziała Joshui LeFevre'owi, że poznali się w szkole.

Tate słuchał opowieści Carsona i usiłował powstrzymać odruch wymiotny na myśl o Megan w uściskach tego mężczyzny.

- Zastanawia was to - odezwał się zgrzytliwie Carson, który sam sączył szkocką, ale im nie zaproponował drinka. - Mam przeszło dwa razy tyle lat co ona. - Roześmiał się. - Pan naprawdę wyciągnął pistolet. O Boże.

W przeciwieństwie do barmana Carson nie unikał ich spojrzeń. W jego oczach Tate nie dostrzegał cienia skruchy. Tylko inteligencję i coś jeszcze - może smutek.

- Musieliśmy być ostrożni. Nie mogliśmy zwyczajnie się spotykać, prawda? Ale to nie było tak, jak myślicie. To...

- Nie było tak, jak myślimy? - szepnęła z wściekłością Bett. - Ona chodziła do szkoły, była pańską uczennicą!

Carson tylko uniósł jedną z krzaczastych brwi.

- Kochałem ją - powiedział cicho.

Wszystko w nim było nieporządne, zbyt obszerne. Pasowałby do kabiny pilota w holowniku.

- Mówiła mi, że jest pan prawnikiem. - Carson mierzył Tate'a krytycznym wzrokiem. - Zastanawiam się, co by sobie pomyślała, wiedząc, że pan mnie zaatakował. To by ją całkiem rozłożyło, jak mówiła. Jak na córkę świetnego mówcy jej umiejętności wystawiania się są okropne. - Jego północny akcent był mocny, wyraźnie pozbawiony łagodnego zaśpiewu przy samogłoskach, charakterystycznego dla dialektu północnowirginijskiego. Carson dopił whisky i ponownie napełnił szklanekę. - To fantastyczna dziewczyna. Typ odkrywcy, bardzo uzdolniona. Pisywała wiersze, wiecie o tym?

- Nie wiedziałem - odparł Tate, za co został obdarzony cierpkim spojrzeniem, które zdradzało sporo łóżkowych rozmów Megan i Carsona o jej rodzicach.

- Dlaczego szukał pan jej przyjaciółki Amy? W tamtym barze.

- Amy? - Carson się roześmiał. - Och, ta dziewczyna z kolei to żywy ogień. Amy Walker... Dostałem od niej wiadomość. Powiedziała, że jeśli spotkam - cytuję - tę sukę Megan, mam jej powiedzieć, żeby poszła do diabła.

- Że co? - szepnęła Bett.

- Tak właśnie się wyraziła.

Czy Amy była kolejnym podbojem nauczyciela? Tate zastanawiał się, ile trzeba czasu, żeby pan Carson został postawiony w stan oskarżenia, a jego zdjęcie znalazło się na pierwszych stronach wszystkich lokalnych gazet. Ale nie to w tej chwili nurtowało go najbardziej.

- Martwiłem się o Megan i chciałem, żeby posłuchała tego, co miała do przekazania Amy.

- Dlaczego się pan martwił? - wtrąciła Bett.

- Z powodu tego telefonu. No i dlatego, że dalej bardzo mi na niej zależy. Ona ze



mną zerwała. Puściła mnie kantem, niech jej Bóg wybaczy. Powiedziała, że to było nie-dobre dla nas obojga.

- Też tak uważam - mruknęła Bett.

Tate uciszył ją ruchem ręki.

- No więc musiałem zabrać się i pójść - ciągnął Carson. - Nie żeby postąpiła nieuczciwie. Właściwe słowo to „nieuprzejmie”. Ona skończyła ze mną, o tak, ale mnie jeszcze nie przeszło. Znacie taki czas? Kiedy romans już prawie się skończył, ale jeszcze nie całkowicie? Zmierzch serca, tak to nazywam. Tak czy inaczej byłem dość podłamany, zadzwoniłem więc do niej i powiedziałem kilka rzeczy, których potem żałowałem. Oddałem jej wszystko, co tu zostawiła. - Wskazał głową pocięty obraz. - Prawie wszystko. Zrobiłem to w napadzie szału. Teraz tego żałuję. Może go jakoś posklejam. - Spojrzał na Tate'a. - A potem przydarzyła się ta historia z wieżą ciśnień i oprzytomniałem. Natychmiast poszedłem do szpitala zobaczyć, czy wszystko w porządku. Kazałem im was wezwać. Nie miała przy sobie tej kartki. No wiecie, w razie wypadku zadzwoń...

- Och. - Bett skrzyżowała ręce na kolanach.

- Dziękujemy - powiedział Tate.

- Nie ma za co. - Carson sączył whisky. - Poprosiłem Megan, żeby do mnie zadzwoniła po wizycie u tego doktora Petersa. Nie zadzwoniła. Z początku myślałem, że jest na mnie wściekła, że psychiatra dokopał się do czegoś. Ale chwilę później zadzwoniła Amy i to był szok.

- Odwołała wizytę - powiedział Tate. - Nie widziała się z lekarzem.

- To pewne? - Carson zmarszczył brwi.

- I po prostu wyjechała.

- To nie w jej stylu - powoli rzekł nauczyciel.

- Zdecydowanie nie - zgodziła się Bett.

- Nie rozmawiał pan z Amy? - spytał Tate.

- Nie. Nie było jej w domu, gdy zadzwoniłem. Ona przesiaduje sporo w Coffee Shop, dlatego tam wstąpiłem. Dlaczego Megan nie poszła do terapeuty?

- Nie wiemy. Skłamała, mówiąc, że się umówiła. Wcale nie zamierzała tam iść.

- Czyli mnie też okłamała. - Wzrok Carsona napotkał spojrzenie Tate'a; obaj mężczyźni poczuli ukłucie na myśl o zdradzie dziewczyny.

- Słyszał pan coś o jej przyjaciółce Emily? - spytała Bett.

- A to kto?

- Dziewczyna, z którą piła w poniedziałek. Tuż przed tym, jak wylądowała na wieży.

- Nigdy nie słyszałem o żadnej Emily. Jak państwo...? Czy państwo mnie śledzili?

- Tak.

Przyglądał im się przez chwilę, po czym potrząsnął głową, śmiejąc się.

- Gdy zobaczyłem pana z tym pistoletem, doszedłem do wniosku, że zamierza pan mnie załatwić. Pomyślałem: przyszła kryśka na matyska. Żegnaj... - Carson wstał, podszedł niedbałym krokiem do okna i wyjrzał na zewnątrz.

- Jeśli uciekła - odezwał się Tate - to gdzie, pana zdaniem, mogła pojechać? Do Nowego Jorku?

- Do Nowego Jorku? Nie sądzę. Raczej do Kalifornii. San Francisco. North Beach. Chciała być jak Janis Joplin. Wiecie o tym, prawda? Może pojechała na pielgrzymkę. Zawsze chciała zobaczyć to miejsce - Coffee Gallery - gdzie Joplin debiutowała. - Potrząsnął głową. - „Me and Bobby McGee”... To dlatego zaczęła bywać w tamtym okropnym miejscu. W Coffee Shop. Pić southern comfort, zupełnie jak Janis. Bobby McGee. Tak, wkładała całą duszę w tę piosenkę.

Tate zastanawiał się, czy mówił o piosenkarce, czy o Megan. W tej chwili nie zdziwiłby się, gdyby mu powiedziano, że dziewczyna wiodła sekretny żywot piosenkarki rockowej.

- Tak właśnie się zaprzyjaźniliśmy, rozmawiając o latach sześćdziesiątych. Dlatego mówiła mi Bobby. Zrozumcie, to naprawdę nie było tak, jak myślicie. Nie zachowuję się



w ten sposób wobec innych uczennic. Megan była wyjątkowa.

Tate nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Obawiamy się, że coś mogło jej się przydarzyć - odezwał się w końcu.

Carson natychmiast zareagował, alkoholowa mgiełka wyparowała z jego oczu.

Bett spojrzała na swojego byłego męża, który znów dokładnie wiedział, o co go poprosi. Sięgnął do kieszeni i podał Carsonowi list.

- Zostawiła nam to. Każdemu po jednym takim liście.

Carson przeczytał i potrząsnął głową.

- Nie podejrzewałbym jej o coś takiego. - Zastanowił się przez chwilę. - Była wściekła, owszem, ale przede wszystkim dezorientowana.

- Proszę - odezwała się Bett po chwili wahania. - Niech nam pan opowie.

- Nie rozumiała was. Dlaczego nie dawaliście jej takiej miłości, jakiej oczekiwała.

- Ależ my...

Carson uniósł rękę.

- Pani prosiła, więc opowiadam to, co mówiła. - Kolejny łyk whisky. - Który z nas jest lepszy dla niej, jak myślicie? Ja czy ten rastafarianin?

- Rasta...?

- Ma na myśli LeFevre'a - wyjaśnił Tate.

- Joshua pomaga nam w poszukiwaniach.

- Mówiła, że to dobry człowiek. Zamierzała do niego wrócić. Powinna. Choć nigdy bym jej tego nie powiedział. Ale jestem słaby. Wygodnie być słabym. Silni są bardzo samotni. - Carson postukał w prawie pustą szklanekę grubym palcem.

Dyskusja jest sztuką perswazji poprzez podsuwanie argumentów, popartych logiką i faktami, które podważają stanowisko oponenta. Jest w niej tyle szczegółów i strategii co w grze w szachy. Ale Tate Collier, który został mistrzem debat w wieku lat piętnastu, powracał często do techniki tak prostej, że rzadko wspomina się o niej w podręcznikach retoryki. Po prostu prosił oponenta o to, czego chciał.

Uprzejmie.

- Czy pan nam też pomoże?

- Jak? - zapytał Carson.

- Policja i szkoła uznali jej zniknięcie za ucieczkę. Nie przejmują się tym. Potrzebujemy kogoś, kto mógłby porozmawiać z jej kolegami, popytać w szkole. Sprawdzić, czy ktoś wie, dokąd pojechała, czy ktoś o nią pytał, czy ktoś ją śledził. Może są tacy, co znają tę Emily. Pan mógłby to zrobić.

Jeszcze Tate nie skończył, a Carson potrząsał już swoją dużą głową.

- Nie da rady. To dla mnie zbyt ryzykowne. To, co już wam opowiedziałem, wystarczyłoby, żeby zniszczyć moje życie. Jeśli ktokolwiek zorientuje się, że byłem z nią związany, z nią albo z kimkolwiek innym...

- Zależy panu na niej? - spytał Tate.

- Oczywiście.

- Nadal ją pan kocha?

- Tak, kocham.

Narzucająca się odpowiedź - doskonały chwyt retoryczny. Sprawić, żeby oponent odpowiadał „tak” na tyle często, że gdy zada się właściwe pytanie, zapewne również powie „tak”.

- Wyobraża pan sobie, jak bardzo się martwimy?

Carson skinął głową po krótkiej chwili.

- To czemu nie chce pan nam pomóc?

Bett znów chciała się odezwać, ale Tate kopnął ją w kostkę. Milczenie. Nierzadko najlepszy sprzymierzeniec perswazji. Po długiej chwili Carson się odezwał:

- Po prostu popytać w szkole?

- Tylko tyle.

Dotknął szklaneczką podbródka.



- Czy kiedykolwiek zastanawiali się państwo, dlaczego kogoś kochamy? Jaka jest tego logika, jak bardzo bezsensowne i destrukcyjne to może być?

Te pytania były nie tyle retoryczne, ile oczywiste, ponieważ rodzimy się, znając odpowiedź.

Tate nic nie odrzekł, tylko patrzył na niechlujnego mężczyznę.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie państwa znajdę.

Tate zapisał swój numer telefonu.

Szli do samochodu wśród kwaskowatego odoru metanu i dymu dobywającego się z pobliskiego śmietnika.

Tate z powrotem wsunął do kieszeni pistolet, który Bett podniosła na werandzie. Zauważył jej ponurą minę - usta ściągnęła w wąską kreskę.

- Bett?

Przeszła parę kroków i utkwiała wzrok w odległych wierzchołkach drzew.

- Myślałam właśnie o tym, jak okropnie się czułam w dniu, kiedy się urodziłam!

Tate grzebał nogą w błotnistej ziemi.

- Wydobywała się ze mnie, rozrywała mnie. Nienawidziłam tego! Ona wychodziła na świat, niszcząc moje ciało, zmieniając na zawsze moje życie.

Tate potaknął.

- Ale zdołałam zapomnieć ten ból. Zdołałam ją pokochać, usiłowałam nauczyć ją, jak żyć. Jak unikać błędów. A teraz to... - Skinęła głową ku bungalowowi. - Na miłość boską. Jej nauczyciel.

- Zerwała z nim - przypomniał jej Tate. - Wiedziała, że to nie jest dla niej dobre.

- Po prostu nie przypuszczałam, że jest do czegoś takiego zdolna. On jest starszy od niej o dwadzieścia pięć lat! No i pozowanie do tych obrazów...

- A wiesz co? - wtrącił Tate. - Ja właśnie pomyślałem, że dziś, przez te ostatnie kilka godzin, wreszcie stała się dla mnie żywym człowiekiem.

Tate znienacka, ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu, rozpaczliwie zapragnął poznać córkę lepiej. Uderzyła go potworna myśl, że gdyby umarła dziś rano, on chybaby oszalał z okropnego smutku i przerażenia. Jeśli mieliby znaleźć jej ciało teraz, za kilka dni, za miesiąc, albo gdyby nie znaleźli go nigdy, całkiem by się załamał. Byłaby to jedna z tych tragedii, które zmieniają człowieka na zawsze.

Prawnicy posługują się retorycznym chwytem, zwanym personifikacją - wykorzystują słowa tak, żeby ich klient wydawał się ludzki, a oponent znacznie mniej. „Mary Jones” zamiast „świadek” albo „ofiara”. Ławie przysięgłych zazwyczaj łatwiej być surowym dla kogoś nieznanego z nazwiska i ferować ostrzejsze wyroki za zbrodnie popełnione na żywych ludziach mających imiona i twarze.

To bardzo skuteczna sztuczka i wyjątkowo niebezpieczna.

Tate uświadomił sobie, że zazwyczaj myślał o Megan jako o „dziewczynie”. Rzadko używał jej imienia.

- Może masz rację - odrzekła powoli Bett. - Tyle tylko, że nie jestem pewna, czy ta Megan, której szukamy, jest tą Megan, którą znałam. Albo myślałam, że znam.

- Co? Myślisz, że ona może mieć jakieś wady? Że nie jest doskonała? Jak my? Nigdy. Bett się roześmiała.

- Mamy mnóstwo roboty - powiedział - jeśli chcemy znaleźć ją do piątku.

Bett skinęła głową i wzięła go pod ramię; ruszyli w stronę samochodu. Tate uprzytomnił sobie, że to ich pierwszy kontakt fizyczny od dziesięciu lat.

Rozdział 13

Nie, tato, proszę...

Aaronowi Matthewsowi z trudem udało się skrócić z bitej drogi w boczną, błotnistą. Nad nim wznosiły się ostre, okrutne szczyty, pokryte strzępami mgły. Była środa, późne



popołudnie - wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Senna Megan McCall siedziała obok niego. Po zatankowaniu we Front Royal wjechał w góry i przeniósł ją na przednie siedzenie, gdzie siedziała bezwładnie i patrzyła w dół na kielich białej lillii, który położył z szacunkiem na jej kolanach. Dotknęła go niezgrabnie związanymi rękami.

Gdy wjeżdżali głębiej i głębiej w mgliste, mroczne lasy, Matthews nie potrafił powstrzymać wspomnień tego dnia, kiedy ojciec zabrał go po raz pierwszy na pole.

- Nie, tato, proszę!

Wysoki, surowy James Matthews ciągnął jęczącego jedenastolatka za sobą ku sporej polanie za Katedrą wśród Sosen.

- Ruszaj się, chłopcze. Przemów do nas. Powiedz, co do ciebie mówi Jezus. O tak, o tak. On się boi, jest nieśmiały. Hej, pomóżcie wciągnąć go tam na górę, ludzie. Ruszaj, chłopcze. On się boi. Spójrzcie na niego. Chwyćcie się dla Niego za ręce! Głoście Jego chwałę!

- Boję się - szepnął.

Matthews senior zaciągnął chłopca na niską estradę i zwrócił twarzą ku tłumowi siedzącemu na polanie na tyłach Katedry wśród Sosen.

- Jest niemy niczym grzesznik! Spójrzcie na niego. Nieśmiały jak dziecko. Ale zrobisz to dla Jezusa, prawda?

Dla Jezusa? Niezupełnie. Ale kiedy masz jedenaście lat i otacza cię setka ludzi śpiewających niczym opętani szamani, zrobisz wszystko, co ci każą.

Ojciec uderzył syna w głowę dłonią ze złotym pierścieniem ozdobionym krzyżem, a chłopiec pomyślał, że zaraz zmoczy swoje najlepsze niedzielne spodnie. Poczł prze-sycony tytoniem oddech i ciężki uścisk na cienkim jak gałązka ramieniu.

- Masz się jąkać - szepnął starzec. - Zachowywać jak idiota. Masz ich wprawić w za-kłopotanie, spowodować, żeby tarzali się w prochu. Zapluwaj się. Opluj tych w pierw-szym rzędzie. Zesztywniej i tocz błędnym wzrokiem przez jakąś minutę. A potem zachowaj się tak, jakby Jezus cię uleczył. Zaśpiewaj im pieśń. Włóż w nią całe serce. „Jezus mnie kocha, to wszystko, co wiem”. I nie pochrań nic ze słowami, bo pas pójdzie w ruch.

- Boję się, tato.

- Ludzie, on się boi! Ten chłopiec nigdy nie mówi. Zapewniam was. Jego matka i ja byliśmy przekonani, że urodził się głuchoniemy. Głuchy jak kamień. Jak Kamień Wieków. Jąka się i wydaje dźwięki jak idiota, którym jest przez większość czasu. Mój syn się lęka, boi się, że demon chwyci go za gardło i wydusi z niego kłamstwa szatana!

W tej chwili ojciec wcisnął mu do ręki mikrofon i wypchnął go na skraj estrady.

- Oto on! Nigdy nie wypowiedział więcej niż tuzin słów naraz, po raz pierwszy stoi przed ludźmi. Nigdy go tu nie widzieliście, nieprawdaż?

- Nie!

- Dlaczego? Ponieważ wstydzi się, że nie może wymówić słów Pana. Zamierają mu w gardle. Bądźcie z nim. Zobaczcie świadectwo! Jest strasznym jąkałą, jest nieśmiały jak dziewczyna. Ale przemówi przeciwko diabłu. Pan wreszcie go wezwał. Ten idiota może zdoła nawet zaśpiewać pieśń, jeśli Jezus będzie łaskawy!

Młody Aaron stał śmiertelnie przerażony, ściskając tani mikrofon, którego sznur wił się u jego stóp niczym wąż.

- Ja... je-jestem synem wielebnego. Jestem Aaron - wyszeptał.

- Bądź błogosławiony! - zakrzyknął tłum.

- Jezus cię kocha, chłopcze.

- Urodziłem się niedaleko.

- Jąkaj się, do cholery, zasmarkańcu! - szepnął ojciec.

- Urodzony na świętej ziemi! Bądź błogosławiony! - dobiegły go głosy z głębi pola.

- Jest bezgrzeszny! Zobaczcie czystość Chrystusa na jego twarzy! Tak, tak, widzimy ją!

- Chcesz zarobić cholernym pasem? Jąkaj się!



Aaron ścisnął mikrofon, spojrzął na tłum oraz ojca i poczuł, że umiera i rozplywa się w powietrzu.

Po czym otworzył usta. Nie umiał się jąkać ani udawać idioty. Zatem zaczął głosić kazanie.

- Czuję coś - zaczął, a jego głos zagrzmiał donośnie. Ojciec zamrugał oczami zaskoczony. Tłum ucichł. - Czuję, że coś sięga do mojego serca! Co to może być? Co to może być?

Jego dźwięczny, wysoki głos wypełnił noc. Słowa stały się zdaniami, a potem akapitami i w końcu zgromadzeni dostali się pod ostrzał pełnego pasji kazania, które zawładnęło bez reszty ich duszami.

- Chwała Panu, chwała Panu... Czuję w sercu pokój niebios! Jest tam, tak, nie w świecie wokół mnie i was, nie przed moimi oczami, nie rozbrzmiewa echem w moich uszach, och, nie, nie, ale czuję go. Chwała Panu. Czuję go w moim sercu. Tak, tak!

Jakiś człowiek upadł na twarz i wił się jak wąż, ponieważ znalazł się w obliczu dzieła Bożego.

- Wy też, drodzy przyjaciele, możecie go poczuć. Bóg jest moją opoką i moim zbawieniem - jest moją tarczą. Nic mnie nie poruszy. Nie! Nic mnie nie poruszy! Śpiewajcie, chcę słyszeć wasz śpiew, drodzy, drodzy przyjaciele. Chcę słyszeć, co czujecie w waszych sercach! Chcę słyszeć, jak chwalicie Pana. Jestem opętany. Wypełnia mnie Pan. Przyjdźcie do nas, przyjdźcie do mnie, albowiem Bóg czyni samotnych rodziną.

- Co mamy śpiewać, Aaronie?

- Pragnę mocnej pieśni, pieśni o woli Boga, o Jego mocy. Nie chcę słabej pieśni. Nie żadnej pieśni w stylu „Jezus mnie kocha”... Zaśpiewajcie „Drabinę Jakubową”.

- Tak!

- Dlaczego chcę od was tej pieśni?

- Dlaczego, chłopcze, dlaczego?

- Ponieważ jesteśmy żołnierzami! Jesteśmy żołnierzami Krzyża!

Co to była za noc dla wiernych... Mężczyźni i kobiety pławili się w słowach zbawienia, tu na starym Południu, na mistycznym Południu, najstraszliwszym miejscu na całym kontynencie. Pocili się, drżeli i krzyczeli, śpiewając. Potem znów przemówił, a oni uczepili się słów chłopca niczym liny, kołysząc się i chwiejąc w rytm jego ekstazy, podczas gdy ojciec wpatrywał się w nich z ambony i stukał w Biblię niczym w bęben. Tyle tylko mógł zrobić; staruszek może i był gorliwy, ale głosił słowo Boże jak prezenter wiejskiego radia sprzedający nawóz.

Młodego Aarona naprawdę słuchali.

Od tamtego pierwszego dnia na polu przez następne dwanaście lat tłumy przychodziły niemal codziennie. Przychodzili niezależnie od tego, czy ich pocieszał, czy przypochlebiał im się, czy groził, czy wytykał im grzechy, wypełniając ich poczuciem winy - mężczyźni i kobiety trzy razy większych od siebie i sześć razy starszych. Nie potrafił pomóc na wykrzywione członki, zaćmę i ogromne guzy, ale to nie miało znaczenia (zabierzcie im choroby, a nie będą mieli nic, nic, nic). To nie miało żadnego znaczenia, ponieważ odsuwał w cień ich najgorsze zmartwienie - smutek płynący z milczenia w ich życiu. Które istnieje wszędzie i jest niezmienne. Mężowie, którzy przez cały dzień nie wypowiadają słów innych niż „Kiedy kolacja?”. Dzieci, które spoglądają ponuro za siebie, wychodząc z domu. Żony, które rozmawiają tylko z garnkami i rękami unurzanyymi w cieście.

On dawał im głos. Prowadzony po scenie przez ojca niczym tańczący niedźwiedź, Aaron wygłaszał kazania, które sięgały nieba, starzy ludzie opróżniali portfele sprawniej niż palce kieszonkowca, a prawdziwi starsi Kościoła z legalnych odłamów zielonoświątkowych w dolinie Shenandoah - ci, którzy naprawdę myśleli o zbawieniu - byli wobec tej dwójki bezsilni.

Tak było w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Kiedy ojca ogarnęło postępujące szaleństwo, Aaron uciekł z Katedry i usiłował wieść normalne życie. Ale zawsze



wracał do obozu, żeby głosić kazania. Jego powrót na stałe pięć lat temu zbiegł się z okropnym wypadkiem, w wyniku którego ojciec został aresztowany. James Matthews uciekł następnie z aresztu i nigdy nie został ponownie ujęty, nikt już nigdy go nie zobaczył w miejscu publicznym. Aaron ogłosił się wielebny i wziął na siebie zadanie przewodzenia zbłąkanym owieczkom z Blue Ridge. Robił to przez kilka lat, dopóki Katedra nie została zamknięta. Matthewsowi to nie przeszkadzało: w tym czasie otrzymał kolejne powołanie.

Żołnierze Krzyża...

Nagle nieziemski jęk wypełnił furgonetkę, aż Matthews podskoczył. Siedząca koło niego Megan zadrżała. Kiedy pokazał jej obraz, po chwili zaczęła krzyczeć i musiał podać jej więcej narkotyku, który właśnie przestawał działać. Jej spierzchnięte wargi mamrotały coś niezrozumiałego, a on odpowiedział, jakby zadała jakieś pytanie:

- Och, pokochasz mojego syna.

Odwróciła głowę.

- To dobry chłopak.

- Co...?

Kilka minut później wjechał w wąski przesmyk między stromymi wzgórzami i w głąb doliny, w której usadowiła się Katedra wśród Sosen. Podjechał do bramy i już zamierzał ją otworzyć, gdy usłyszał znów ten żalony głos.

- Kim... jesteś?

Odwrócił się do Megan i pogłaskał ją po włosach.

- Czemu to robisz... czemu mi to robisz? - Rozejrzała się dookoła i zaczęła się miotać. Sięgnęła do klamki. Nie trafiła i jej ręka opadła.

Nachylił się bliżej dziewczyny.

- Wszystko będzie dobrze. - Objął ją, pogładził, przejechał palcem po wargach. Odwróciła głowę. - On czeka na ciebie. Peter. Opowiadałem mu o tobie.

- Proszę.

- Sza.

- Nie! Już nie! - błagała. - Proszę! Nie!

Igła wbiła się w ramię, wstrzykną jej kolejną dawkę luminalu.

- Nie, proszę...

Powieki opadły niemal natychmiast. Potem zadrżała i jęknęła. Matthews zaniepokoił się, że może źle zareagowała na narkotyki. Chwycił ją w ramiona. Musi przeżyć do piątku. Jeśli umrze wcześniej, wszystko na nic, jeśli umrze od czegoś tak bezbolesnego jak lekarstwo...

Ale nie, wszystko w porządku. To tylko coś, co zobaczyła - mrugała oczami, wzrok utkwiała w jakimś punkcie za jego plecami.

- Co... Co to jest? - szepnęła, oszołomiona i przerażona.

Odwrócił się. Spoglądała na posąg.

- Mój ojciec to wyrzeźbił - odpowiedział. - To jest anioł.

- Gabriel - mruknęła, zamykając ponownie oczy.

Matthews ujął jej głowę w dłonie.

- Gabriel? - wyszeptał. - Nie, nie. To jest anioł śmierci. Lecący nisko, żeby zabrać dusze pierworodnych. - Pogładził ją po głowie.

Ale głowa Megan spoczywała już całym ciężarem na jego ramieniu, podejrzewał więc, że nie usłyszała jego słów.

Wszystko przez żółwia.

Mimo iż zaniedbanie sprawy Devoe - którą przydzielił mu kapitan Dobbs - było ryzykowne dla jego kariery, Konnie Konstantinatis za nic w świecie nie zrezygnowałby ze sprawy Megan McCall.

Ponieważ, jak stwierdził, wchodząc do głównego biura policji stanowej, to Tate Collier uratował go przed żółwiem.



Dwa lata temu, w pewien mglisty, szary poranek, tuż przed świtem, Konnie obudził się i ujrzał przerażający widok. Ogromny potwór, Obcy, Godzilla, laźł po masce samochodu, zmierzając w prostej linii ku gardłu policjanta. Konnie wyciągnął rewolwer służbowy i opróżnił magazynek w kierunku bestii, pudłując wszystkie pięć razy. Usiłował uciekać, ale pas się zaciął. Przeladuj, pomyślał w panice. Ale gdy po omacku szukał bębenka na wymianę na podłodze samochodu, uświadomił sobie, że naboje znajdują się - zupełnie jak on - trzy stopy pod wodą. Rozejrzał się dookoła. Samochód tkwił po maskę w Bull Run, a potwór okazał się sześciopalcowym żółwiem jaszczurowatym - owszem, drapieżnym, ale raczej nie ludojadem.

Ten dzień okazał się nieuniknionym finałem długotrwałego upadku człowieka, który był niegdyś najlepszym detektywem kryminalnym policji stanowej w Fairfax i Prince William. Doszło do kulminacji kilku lat przemykania oczu i akceptowania wymówek oraz stanowczo zbyt wielkiej tolerancji ze strony przyjaciół i kolegów po fachu.

W dodatku Konnie nie tylko popełnił kilka wykroczeń, wpadając po pijanemu do strumienia i używając broni bez potrzeby - ale również o mało co nie zabił kolegi policjanta.

Został przydzielony - w owym kwietniu dwa lata temu - do wspomaganie tajnej operacji w Burke. Doniesienie o melinie narkotykowej. Po trzech niewiarygodnie nudnych godzinach przekonał sam siebie, że nie będzie żadnej akcji i postanowił rozgrzać się tykiem ze sporej flaszki, która dziwnym trafem zaplątała się w schowku.

W chwili gdy rzekomy klient w budynku został rozpoznany przez czarne charaktery jako bohater pozytywny, Konnie włókł się drogą 66 w poszukiwaniu sklepu monopolowego, żeby zaopatrzyć się w nową flaszkę. Tajny agent wyskoczył przez okno i uciekał - pędził zaułkiem, w którym dopiero co stał samochód Konniego, wołając o wsparcie, które właśnie wpływało do Bull Run piętnaście mil dalej. Tuż obok miejsca, gdzie miał stać Konnie, agent został postrzelony w plecy, ale ponieważ noc była mglista i lekko mżyło, nikt nie mógł stwierdzić z pewnością, że nawet trzeźwy policjant by go zauważył. Agenta uratowała kamizelka z kevlaru i nic poważnego mu się nie stało. Niemniej to właśnie było najcięższym wykroczeniem i biuro potraktowało detektywa z pełną surowością.

Tate Collier był tym człowiekiem, do którego Konnie zadzwonił o świcie, i Tate Collier, prawnik z prywatną kancelarią, reprezentował Konniego i wywalczył złagodzenie kary do sześciu tygodni całkowitego zawieszenia w obowiązkach służbowych bez grzywny oraz dwuletniego okresu próbnego.

To właśnie Tate Collier wypchnął go na pierwsze spotkanie Anonimowych Alkoholików. I na inne spotkania też - te najtrudniejsze, po nawrotach.

Ocalił go przed żółwiem, jak obaj mężczyźni zwykli określać ten wypadek.

W ciągu swojej kariery Konnie zastrzelił jednego podejrzanego, sam zaś był postrzelony kilkanaście razy. Ale mimo tych ran nie przybliżył się do zrozumienia śmierci. Nie, Konnie znał śmierć z prawdziwego umierania. A to przydarzyło mu się kilka razy. Pierwszy raz, gdy w szpitalu ujrzał oczy tajnego agenta, który oberwał w plecy. Jego serce zatrzymało się wówczas na chwilę i nigdy już nie biło tak samo.

Umierał jeszcze raz: powolną śmiercią dwóch lat zawieszenia, kiedy odebrano mu ukochaną robotę.

Pierwsze doświadczenie zmieniło go w większym stopniu, ale drugie było cięższe.

Dwa lata błagania żony o to, żeby wróciła, albo myślenia o tym, żeby błagać żonę o to, żeby wróciła. Dwa lata w większości bezcelowych dochodzeń w wydziale do spraw nieletnich, wypełnionych biurokratyczną robotą dla opieki społecznej. Dwa lata niechętnego przybliżania się na powrót do jedynej rodziny, jaką miał: ojca, zacofanego Karolińczyka, który lękał się, że współobywatele - nieco mniej światli od niego - mogliby pomyśleć, że rodowe nazwisko jest arabskie albo karaibskie, a nie greckie.

A teraz, kiedy Konnie myślał o Collierze, zastanawiał się: A co z moją trzecią śmiercią?



Ta była najcięższa ze wszystkich. Ponieważ, w przeciwieństwie do pozostałych, pozostawała tajemnicą. Nigdy nie puścił pary z ust na ten temat - ani swoim kumplom z AA, ani byłej żonie czy terapeutce, a zwłaszcza Collierowi.

To właśnie ona popchnęła go do tropienia nieuchwytnego śladu Megan McCall, która zapewne uciekła, zabrawszy gotówkę taty i plastikową kartę mamy, i pojechała do Wielkiego Jabłka, żeby dać się przelecieć jakiemuś długowłosemu nowojorskiemu ogierowi, posłuchać muzyki, przespać ze dwie noce w schronisku YWCA, po czym wrócić z podwiniętym ogonem do domu.

Piątkowy termin się zbliżał i gniew ojca Anne Devoe, polityka, który wolał, żeby córka zginęła z ręki kogokolwiek, byle nie własnej, też był nieunikniony.

Konnie wszedł do swojego biura na posterunku, zgasił górne światło, usiadł przy biurku i ukradkiem wyciągnął teczkę z aktówki.

Wyniki ninhydrynowego testu odcisków palców na rozkładzie jazdy Amtraka: trzydzieści cztery ślady fragmentaryczne, osiem pełnych. Siedemnaście różnych osób, wśród nich Megan.

Skąd aż tyle odcisków, zastanawiał się Konnie. Zaczął fantazjować. Siedemnaście osób? Powiedzmy, że trzy w drukarni: drukarz, jego pomocnik i pakowacz. Jedna lub dwie osoby, które dostarczyły paczkę na dworzec. Jeden urzędnik, który podał broszurę na życzenie klienta - zapewne Megan. A nawet jeśli nie, to można sobie wyobrazić kilka osób, które miały rozkład wcześniej. Razem osiem, najwyżej dziesięć osób. Ale siedemnaście? Bez sensu.

Chyba że - co jest bardzo logiczne - ktoś chciał zdobyć rozkład, nie pokazując się w kasie. Wtedy wzięłby właśnie taki: zniszczony, walający się w poczekalni.

Zapisał w notesie: Rozkład jazdy - zasłona dymna?

Odciski palców na jej samochodzie: sto czterdzieści sześć fragmentarycznych, trzydzieści osiem pełnych. Większość należała do niej, dwa do Tate'a (w bazie danych znajdowały się odciski wszystkich pracowników stanowych z ostatnich dziesięciu lat). Ale co najmniej tuzin innych ludzi otwierało maskę, bagażnik, schowek i przykrywą baku. Konnie zauważył, że nikt oprócz Megan nie dotykał kierownicy, dźwigni skrzyni biegów i lusterka wstecznego. Co oznacza, że sama prowadziła samochód.

Zapewne.

Tyle że technicy znaleźli małą smużkę bezzapachowego talku na kolumnie kierownicy tuż pod stacyjką.

Pamięć Konniego odpowiedziała mu, że rękawiczki firm Surggrip, Hand-Sure Latex, Mediglove i oddziału medycznego Union Rubber Products są pakowane z cieniutką warstwą talku.

Przechylił rurkowaty klosz lampy biurkowej ku sobie, niczym kolumnę kierownicy, i sięgnął ku niemu, jakby zamierzał przekręcić kluczyk w stacyjce. Wewnętrzna część środkowego palca - część lateksowej rękawiczki, która miała spore szansę zachować nieco pudru - dotknęła klosza właśnie w tym miejscu, gdzie znalazł talk.

Zapamiętał to, ale i tak zanotował również w czarnym notesie. To będzie trudna sprawa, toteż chciał mieć wszystko udokumentowane (rozumował również tak: stanowczo za dużo gówna uderzy w wentylator, jeśli nie będę miał wszystkiego dopiętego na ostatni guzik).

Na biurko zza jego pleców padł cień, toteż Konnie niezbyt subtelnie przykrył teczkę potężnymi dłońmi.

Ale to nie był kapitan Dobbs.

W pokoju pojawiła się zawadiacka postać policjantki Genie. Trzydzieści cztery lata, kędzierzawe, jasne włosy. Była również na dwunastu krokach, ale ku skrajnemu oburzeniu Konniego wprowadzała na zebraniach ćwiczenia z aerobiku i jazdę na rowerze. Mimo obsesji na punkcie zdrowia Konnie często marzył o poślubieniu jej, żeby dorobić się trzech rozbrykanych córek i trzech krzepkich synów - wszyscy zostaliby policjantami.



- Mam dla ciebie ten raport. - Klasnęła w dłonie. - A więc w poniedziałek twój wielki dzień. Przejdziesz.

Chrząknął. Była do tego przyzwyczajona, nawet to lubiła.

- Raport? Jaki raport?

- Analizę grafologiczną.

Konnie zmarszczył brwi. Zamierzał zlecić analizę listu Megan. Ale ponieważ trzeba to było zlecić na zewnątrz, wymagało specjalnych zezwoleń, których nie miał szans dostać dla tej nieistniejącej sprawy, toteż nie zwracał sobie nawet tym głowy.

Ale Genie mówiła o czymś innym. Miała na myśli raport dotyczący samobójczego listu Devoe. Analizę, której Konnie nie zamawiał, ale Dobbs - owszem.

- Ach, tak.

Przejrzał raport. Jak w większości analiz grafologicznych pierwsza część była nudną wylizką pochyłeń, wznoszeń i opadań, kropek i przekreśleń oraz innych szczegółów. Przeszedł do ostatniego akapitu i parsknął.

- Piszą, że była pod wielką presją psychiczną, gdy to pisała. Niezwykle błyskotliwe.

- Albo że to było wymuszone - podpowiedziała Genie, która najwyraźniej przeczytała raport w drodze do biura. - Piszą, że to możliwe.

- Zastanówmy się - marudził Konnie. - Skoro dziewczyna zamierza rzucić się do Great Falls, to chyba jest pod pewną niewielką presją psychiczną? Ja bym tak pomyślał.

- Nie sądzisz, że została zamordowana? - Genie uśmiechała się jak elf.

Konnie znowu chrząknął.

- Powiedz, co wiesz.

Wzruszyła ramionami.

- No, jazda.

Wyjrzała na korytarz i zamknęła drzwi.

- Podśledzałam, jak oni rozmawiali.

- „Oni” to był film o wielkich mrówkach, na dodatek fatalny. Kim są oni, Genie?

- Kapitan i ktoś z biura Devoe.

- Interesujące.

- Nie, beznadziejne. A ty nie wyglądasz na w najmniejszym stopniu zainteresowanego. On cię sprawdza, tak poza wszystkim. Dobbs. Dlatego dostałeś tę sprawę.

- To nie nowina.

Kapitan Dobbs zrobił, co mu kazano, i przyjął Konniego do wydziału do spraw nieletnich, kiedy dwa lata temu skończyło się zawieszenie detektywa. Ale Dobbs nadal był zdania, że Konniemu należało zedrzyć order i złamać szpadę. Kapitan zamierzał wystawić pracy Konniego w wydziale uczciwą ocenę na rozprawie za tydzień od poniedziałku, ale bynajmniej by się nie zmartwił, gdyby Konnie przegrał i został wylany na zbity pysk.

- No, jazda - powtórzył Konnie. - Opowiedz, co wiesz.

- W niedzielę jest Wielkanoc.

- No i co z tego?

- Henry Devoe jest katolikiem. Razem z żoną należą do parafii Najświętszej Marii Panny. To najbogatsza parafia w Fairfax.

- Gratuluję. I co z tego?

- Staruszek nie ma ochoty iść w święto do kościoła, gdzie będą wszyscy jego ważni zwolennicy, i spojrzeć im w twarz po tym, jak jego córka zgrzeszyła.

- Zgrzeszyła?

- Samobójstwo jest grzechem śmiertelnym.

- Żartujesz. On się tym przejmuje?

- Jest bogaty, ale jego przyjaciele są jeszcze bogatsi. A on ich potrzebuje. W przyszłym roku wybory.

Konnie wiedział, że to prawda.

Genie rozejrzała się po biurze.



- Dlaczego zgasiłeś światło?
- Jestem stary i boją mnie oczy.
- Nie jesteś stary. Poza tym zamieszane jest VBI...
- Wiem, wiem. Elitarne Wirginijskie Biuro Śledcze.
- A do Dobbsa dzwoniło z Richmondu.
- Richmond? Ktoś konkretny. Mieszka tam sporo ludzi.
- Czy ty kiedykolwiek byłeś w dobrym humorze, Konnie? Mówiłam o telefonie z biura prokuratora generalnego. Devoe pociąga za sznurki.

Do piątku - jakieś trzydzieści sześć godzin od teraz - Konnie potrzebował teczek pełnej solidnych dowodów niezbitnie wskazujących na sprawę z paragrafu 60. Cholera.

Praca na miesiąc do wykonania w jeden dzień.

Cholera.

- Czy oni naprawdę tak myślą? Katolicy. O tym grzechu śmiertelnym?

- Dobrze wiesz, Konnie.

Podniósł analizę grafologiczną, wstał i ruszył do drzwi.

- Lepiej wezmę się do pracy - powiedział, z trudem opierając się pokusie wzięcia jej w potężne ramiona i pocałowania, po czym wyszedł z biura, zapalając przy wyjściu górne światło.

- Dziwny jesteś, Konnie - zawołała za nim.

Wsiadł do swojego taurusa i cisnął raport i teczkę podpisaną Devoe Anne na podłogę z tyłu, a teczkę z napisem McCall Megan położył na siedzeniu pasażera.

Na dworcu Union Station Konnie zaparkował na postoju taksówek i wszedł do hali, przywołując w pamięci passus z jednej z niezliczonych książek o dochodzeniach kryminalnych. Jeśli podejrzany/zbieg pragnie umknąć miejskiemu wymiarowi sprawiedliwości, najbezpieczniejszym i najefektywniejszym sposobem jest pociąg osobowy. Nie są tu wymagane dokumenty ani nie ma kontroli bezpieczeństwa, a bilety są znacznie tańsze od samolotowych, zatem dużo łatwiej je kupić za gotówkę. Jedyną skuteczną metodą wyśledzenia zbiega poruszającego się pociągiem jest wprowadzenie do akcji ogromnej liczby ludzi.

- Ogromna liczba ludzi. - Wypuścił powietrze z policzków i wszedł na dworzec, wyciągając z kieszeni na piersi fatalne zdjęcie Megan zabrane z domu Tate'a Colliera i swoją zniszczoną aktówkę.

Rozdział 14

Siódmy pasażer.

Nareszcie.

Na czas śledztwa Joshua LeFevre nie wybrał ani wymiętego policyjnego garnituru, ani ciuchów artysty, sympatyka ANC, ale włożył czarne dżinsy, biały podkoszulek opinający imponującą pierś i kurtkę z lśniącej czarnej skóry ze stojącym kołnierzem.

I ciemne okulary.

W pochmurny dzień.

Nieszczęsna kobieta nie miała żadnych szans.

- Psze pani?

Zatrzymała się - z torebką od Gucciego i torbą z zakupami w rękach; właśnie sięgała po kluczyki. Przez jej myśli przemknęły zapewne dane statystyczne dotyczące napadów. Pusty parking. Popołudnie. Dzień powszedni. Czarny mężczyzna poniżej trzydziestki.

Obrzuciła go ostrożnym spojrzeniem kobiety przyzwyczajonej do zawiadywania swoim małym kółkiem - dziećmi, mężem, klientami, klubem brydżowym.

- W czym mogę panu pomóc?

- Twoja gabłota stoi obok tej bryki. - Wielki palec dźgnął tempo Megan, a LeFevre zrobił krok w kierunku kobiety.



Ukryta w niej matrona z Clifton pozostała spokojna, mimo że zapewne rozważała, jak szybko uda jej się uciekać w tych bezsensownych bucikach od Joan & Davids. Postawiła torbę na ziemi i bawiła się kluczykami.

- I ta gabłota wala się tu od prawie dwóch godzin.
- Skąd pan wie? - zastanowiła się głośno. Czyżby ją śledził?
- To dwugodzinny licznik, a pani zostały już tylko trzy minuty.

Absolwent Oksfordu miał niejakie kłopoty z posługiwaniem się potocznym językiem.

- No to co? Byłam na zakupach. - Rzuciła okiem na torbę.
- Widziała pani kierowcę tej bryczki?

Zadawał to pytanie, znacznie uprzejmiej, już sześciu innym kierowcom. Potrząsali głowami i rzucali krótkie „nie” albo w ogóle go ignorowali. Dlatego LeFevre postanowił porzucić grzeczność. Styl swojaczka był znacznie skuteczniejszy.

- Owszem, widziałam, jeśli o to chodzi. Tak.

Nadgorliwość kazała LeFevre'owi ściągnąć ciemne okulary. Teraz będzie mogła go zidentyfikować. Będzie musiał ją zabić. Mimochodem rozejrzała się po parkingu w poszukiwaniu pomocy.

- Nawijaj dalej.
- Tu stała szara furgonetka. Nie wiem, jakiej marki. Stała...
- Nowa, stara?
- Nie pamiętam. Parkowała na tym miejscu. Kierowca...
- Który kierowca?
- Jedyne - wypaliła z lekkim poirytowaniem.

- Jest pani pewna, że jedyny? - Trudny do wyplenienia oksfordzki zaśpiew powrócił. Kobieta zamrużyła oczami. - Niech pani nie przerywa.

- Widziałam tylko jednego kierowcę. Furgonetki i tego samochodu. Tę samą osobę.
- No i?

- No i kierowca tempa wysiada, wyprowadza furgonetkę i wjeżdża na jej miejsce tym samochodem. Przenosi coś z samochodu do furgonetki.

- Co?
- Nie wiem. Pranie, torbę. Zapamiętałam tylko ze względu na tę naklejkę na zde-rzaku.

Tyłu pieszych... Tak mało czasu.

LeFevre pamiętał, jak kupił Megan tę nalepkę. Pocałowała go siedem razy.

- Dokąd pojechała furgonetka?
- Tamtą ulicą. Widzi pan? Do Nutley. Skręcił w prawo.

Serce LeFevre'a zabiło mocniej.

- Zapamiętała pani może numery rejestracyjne?
- Nie.
- A przyjrzała jej się pani?
- Jej?
- Kierowcy.
- To nie była kobieta, tylko mężczyzna.

Mężczyzna?

- Biały? Czarny? W jakim wieku? - zapytał.

Kobieta zawahała się. Spojrzała na niego z lekkim uśmiechem, podniosła zakupy i wyciągnęła kluczyk z obszernej skórzanej portmonetki. Podobny gest mogłaby wykonać Emma Vinton LeFevre. Prosty gest, staranny, w pełni kontrolowany. Wyjaśniający ponad wszelką wątpliwość, że od tej chwili szala przechyliła się na stronę tej niedużej kobiety. I stało się tak z jej wyboru. Matrona uznała, że LeFevre wyczerpał swoje możliwości.

Nie bała się już i - co ważniejsze - wiedziała z całą pewnością, że nie ma się czego obawiać. LeFevre zrozumiał, że jeśli raz zamilknie, nic nie zmusi jej do dalszego mówienia.



Ona też to wiedziała.

Poczuł zażenowanie i słabość.

- Proszę - powiedział. - Moja dziewczyna zaginęła.

- Czemu nie zawiadomi pan policji? Potrzebuje pan ćwierć dolara na telefon? - To drugie pytanie zadała po to, żeby zawstydzić go jeszcze bardziej.

Potrząsnął głową.

- Oni na razie nic nie zrobią. Muszą odczekać dwadzieścia cztery godziny.

- Był biały. Koło czterdziestki, szczupły. Szpakowate włosy.

- A tablica rejestracyjna? Może zauważyła pani przynajmniej, z jakiego stanu?

- Niestety nie. Nie mam więcej czasu. - Podeszła do swojego jaguara i wsiadła do środka. - Życzę powodzenia - powiedziała tonem, jakim zwróciłaby się do małego synka, który walczy z nowym zestawem farbek.

LeFevre stał obok tempa Megan i wpatrywał się w odjeżdżającego wolno jaguara. Czuł, jak wzbiera w nim niejasne uczucie porażki.

Niemniej chwilę później, gdy wpatrywał się w asfalt, jego uwagę przyciągnęły zabłocone ślady bieżników szerokiego samochodu osobowego lub ciężarowego, który musiał wyjechać z miejsca, gdzie stał teraz samochód Megan - zapewne tej furgonetki. LeFevre przyglądał się przez chwilę wzorowi, po czym wyciągnął szkicownik ze swojego starego volva. Położył zeszyt na ziemi obok śladu. Skopiował szybko ołówkiem rysunek - zakrętasy bieżnika, dokładną szerokość opony, miejsce, w którym w rowek bieżnika wbił się kamyk lub kawałek drewna w kształcie kieliszka.

Na pierwszym roku studiów na Sorbonie LeFevre rysował wyłącznie linie, kształty geometryczne i cieniował - wszystko w czerni i bieli. Spojrzał teraz krytycznie na rysunek opony, uznał go za doskonały i pomyślał, że warto by wysłać pani Becaud kserokopię z podziękowaniem za reżim potwornie pracochłonnych ćwiczeń, które uczyniły z niego bez wątpienia najlepszego rysownika sądowego.

Jak zgadnąć, dokąd ktoś pojechał, jeśli się nie wie, po co pojechał? - zastanawiał się LeFevre, wjeżdżając w którąś z rzędu uliczek Wienne odchodzącą od Nutley Road i bezowocnie poszukując śladów szarej furgonetki.

Listy do rodziców niewiele mówiły. Wyjaśniały, dlaczego jest na nich wściekła, ale nie dlaczego miałyby być do tego stopnia wkurzona, żeby wyjechać tak nagle. Megan gadała często o Janis Joplin i dzikim życiu, o southern comfort, mnóstwie alkoholu, życiu na krawędzi. Ale to nie była prawdziwa Megan.

Co nie oznaczało, że ktoś nie mógł wypchnąć jej na chwilę za tę krawędź. Na wystarczająco długo, żeby uciekła.

Dlatego LeFevre uznał, że trzeba się będzie dowiedzieć, kim była Emily - kobieta, która piła z Megan w poniedziałkowy wieczór. Wyglądało na to, że pojawiła się znikąd w poniedziałek, zostawiła Megan na wieży ciśnień i zniknęła nieco za szybko. Upiła Megan i omal jej nie zabiła, a potem - taka była jego teoria - spotkała się z Megan jakoś w środę, tuż przed wizytą u terapeuty. Może przeprosiła za wieżę ciśnień, zniechęciła Megan do wizyty u lekarza, a potem zaproponowała wspólną wycieczkę.

„Hej, zabawmy się w «Thelmę i Luisę». Ruszamy przed siebie, mała. Tylko my dwie. Twoi starzy? Pieprz ich. Zostaw wiadomość i walimy w długą”.

Może Emily była lesbą i od początku planowała uwiedzenie Megan. Ta kobieta musiała mieć jakiś plan.

Dojechał do parku, nad którym wznosiła się wieża ciśnień, gdzie znaleziono Megan. Potem zawrócił i sunął powoli jedyną ulicą sklepowo-barową, która dochodziła do parku. Zatrzymał samochód przed pierwszym napotkanym barem, wysiadł i wszedł do lokalu. Ciężkie drzwi zamknęły się, pozostawiając na zewnątrz blade światło kwietniowego popołudnia.

Czterech chłopaków uniosło głowy, przerwało grę w bilard i wpatrywało się w niego. Eleganciki, zapewne studenci starszych lat na George Mason. Albo jeszcze niepracujący



absolwenci. Przyjacielscy, jowialni, popijający lekkie piwo. Jeden zgarniał ze stołu bile. Dwaj pozostali spojrzeli na LeFevre'a i skinęli głowami.

Odwzajemnił się uśmiechem i podszedł do baru.

Barmanka była bardzo gruba i miała wyjątkowo ładną twarz. Wyglądała na dumną z obu cech, a szczególną radość sprawiła jej dwudziestodolarówka przesunięta przez LeFevre'a w jej kierunku.

- Pracowałeś w poniedziałek? - zapytał.

- Nie.

Niech to. Powinienem najpierw o to zapytać, pomyślał, widząc, jak wsuwa banknot do kieszeni obcistych dzinsów.

- Ale byłem tutaj. Z drugiej strony. Rozumiesz.

- Mogły tu wpaść dwie kobiety. Późnym popołudniem lub wczesnym wieczorem. Krążyły po barach. Wcześniej były w Coffee Shop. Jedna zapewne piła southern comfort. - Wyjął portfel i pokazał jej zdjęcie Megan. Było na samym wierzchu pod skórą od Cartiera - nad prawem jazdy, nad polisą ubezpieczeniową, przed zdjęciami matki, ojca i spaniela. Megan mogła wykreślić go ze swojego życia, ale on nigdy nie wyjął jej zdjęcia z portfela. Ani na jeden dzień, ani na godzinę.

- Chyba tak. Tak, pamiętam ją. Były jakieś kłopoty z dowodem. Wyglądała za młodo. Ale chyba Joanie, która wtedy miała dyżur, sprawdziła wszystko. Pamiętam ją, bo ludzie teraz nie zamawiają komforta.

- Wiesz, z kim była?

- Nie. Z drugą dziewczyną. Zdaje się, że blondynką. Po dwudziestce. Strasznie dużo gadały. Wyszły o siódmej czy ósmej.

Megan znaleziono na wieży, sto stóp nad ziemią, o dziewiętej trzydzieści.

- Były zalane?

- Nie. Wypiły ze dwa drinki każda, tak bym powiedziała, i wyszły. Wyrzuciłybyśmy je, gdyby coś było nie w porządku. Rozumiesz, odpowiedzialność prawna.

Ale Megan była pijana, gdy ściągnęli ją z wieży. Pamiętał, że znaleźli ją z butelką.

- Jest tu gdzieś jakiś sklep monopolowy?

- Na tej ulicy, trochę dalej. Nasza główna konkurencja. Wrzód na tylnej części ciała. Ale mamy wolny rynek, nie? Tak w każdym razie mówią.

- Dzięki.

- To ja dziękuję.

Ruszył w kierunku drzwi, gdy jeden z chłopaków oderwał się od bilardu.

- Jak leci?

LeFevre pokiwał głową.

- Jakoś leci.

Pozostali nadal uśmiechali się łagodnie i przyjacielsko. A jednak...

- Twoje okulary. Cool. Ray-Bany?

- Hmm, nie - odpowiedział zmieszany. - Kupiłem je w Lord & Taylor's. Nie mam pojęcia, co to za firma.

- Lord & Taylor's.

- Cudeńko - rzucił jeden z nich.

- Rewelacja. - Chłopak uśmiechał się.

- Moja dziewczyna tam kupuje. - To czwarty.

Do LeFevre'a dopiero teraz dotarło, że nabijają się z niego. I że tak było, odkąd wszedł do baru. Powinien się tego spodziewać: do tego doszliśmy w latach dziewięćdziesiątych w północnej Wirginii. Jesteśmy bardzo daleko od autobusów, szkół i sprawy „Miłość przeciwko stanowi Wirginia”, kiedy zakochana para została aresztowana, ponieważ prawo stanowe zakazywało mieszanych małżeństw. To wszystko naprawdę należy do przeszłości.

Ale serca się nie zmieniają.

Oto przed nim stało czterech młodzieńców, których zapewne mógłby bez trudu



sprać na kwaśne jabłko, ale tak naprawdę nic nie mógł zrobić. Byli nietykalni. Nie powiedzieli nic, co można by przeciw nim przytoczyć, nie padło żadne ostre, rasistowskie słowo. Przecież niby nawet nic nie skrytykowali. A jednak gdy patrzył im w oczy, gdy zaglądał w głąb ich serc, poczuł coś gorszego od pogardy, którą musieli znosić rodzice jego matki, ponieważ ta pogarda miała przynajmniej kręgosłup, nierzadko podparty mocą boskiej sankcji, nawet jeśli była fałszywa. W oczach tych chłopców dostrzegł tylko bezinteresowne okrucieństwo - przekonanie, że nie był wart nawet zniewagi.

- Miłego dnia - zawołał jeden z chłopaków.

- Lord & Taylor's - powiedział drugi.

Joshua wyszedł z baru, czując gniew. I czując się frajerem.

W sklepie podlegającym stanowej Kontroli Napojów Alkoholowych było zarazem łatwiej i trudniej. Sprzedawca udawał nieśmiałość.

Chudy, łysiejący mężczyzna za ladą powtórzył pytanie:

- Emily? Po dwudziestce? Blondynka? Southern comfort? - Oznajmił, że raczej nigdy nie widział takiej kobiety, ale nie miał pewności.

Co oznaczało: rozpocznaj licytację.

Dochodzenie, nauczył się LeFevre, opiera się na dwóch filarach - chciwości i strachu. Albo jesteś policjantem uzbrojonym w paragrafy, albo cywilem z kasą. Wyciągnął ponownie portfel.

Pokazał banknot dwudziestodolarowy.

Ale to nie wyleczyło amnezji sprzedawcy. Mężczyzna odwrócił się, by obsłużyć klientkę, która podeszła do kasy i poprosiła o bardzo dobre białe wino kalifornijskie.

- Nie prowadzimy wina, psze pani. No, chyba że wirginijskie. Tylko takie.

- Przecież to sklep monopolowy? Idziemy z mężem na przyjęcie.

- Po wino musi pani pójść do spożywczego.

- Ach, tak.

- Cakebread Vineyard Chardonnay - odezwał się obojętnie LeFevre. - Rocznik '90 lub '91. Zrobi wrażenie na gościach.

Sprzedawca zamrugał.

- Trudno kupić. Ale może pani wziąć '92.

- Będzie pani smakowało - zapewnił kobietę LeFevre.

Sprzedawca potaknął, wyraźnie będąc pod wrażeniem. Nie chciał być pod wrażeniem. Ale był.

- Ach, tak - powiedziała kobieta, wpatrując się w oprawki w kształcie łez. - Naprawdę?

- Niech pani zapyta w Food Lion po drugiej stronie ulicy - powiedział sprzedawca.

Gdy kobieta wyszła, LeFevre zwrócił się znów do sprzedawcy:

- Na czym to stanęliśmy?

- Zaglądaliśmy do pańskiego portfela.

Cena - ze zniżką dla koneserów wina - wyniosła sześćdziesiąt dolarów.

- Emily, jasne. Przychodzi tu raz w tygodniu. Czasem kilka razy. I miał pan rację z tym southern comfort. Nigdy wcześniej tego nie kupowała. A więc był pan w Napa i Sonoma?

- Spędziłem lato w dolinie Loary. Tamtejsi winiarze zawsze sprawdzają konkurencję. To bardzo podejrzliwy naród ci Francuzi.

- Loara. To kolejne miejsce, dokąd chciałbym pojechać.

- Jak ona ma na nazwisko?

- Emily? Nie mam pojęcia. Zawoziłem jej raz zamówienie, gdy miała grypę. Dlaczego chce pan się z nią spotkać?

- Mam do niej kilka pytań.

- Aha. Mieszka na parkingu dla przyczep Oak Ridge w Oakton. Byłem u niej jakiś rok temu. Nie pamiętam, która przyczepa. Jakoś na tyłach.



LeFevre wyciągnął jeszcze raz portfel i otworzył go nie na przegródce z zielonymi, ale na celofanowych przegródkach na zdjęcia.

- Czy była z nią ta dziewczyna?

Sprzedawca zrezygnował z wypytywania, o co chodzi.

- Tak, była - odpowiedział po prostu.

Pięć minut później LeFevre przejeżdżał między słupami tworzącymi bramę parkingu przyczep.

Wystarczyło zapukać do drzwi zaledwie dwóch ruchomych domów. Emily - osoba samotna, której nazwiska staruszka nie znała - mieszkała na końcu Maiden Lane, tam gdzie parking kończył się tuż przy podstacji elektrowni, z której rozchodziły się tysiące transformatorów i kabli.

LeFevre zapukał głośno do drzwi i zajrzał do środka. W maleńkich pomieszczeniach panowała ciemność, nikt się nie ruszał. Sięgnął do klamki, ale drzwi były zamknięte. Rozejrzał się i zauważył, że kobieta, która udzieliła mu informacji, przygląda mu się zza ażurowej firanki.

Jej obecność zniechęciła go do wybijania okna, toteż oddalił się od przyczepy. Zapukał do drzwi dwóch innych domków w pobliżu, ale żadna z gospodyń domowych, które mu otworzyły - każda z wyglądającym zdaniem LeFevre'a identycznie grubym białym dzieckiem na ręku - nie wiedziała, gdzie może być Emily. Zauważył krytyczne spojrzenia obu kobiet, gdy wymieniał imię - wyraz twarzy, który mógł znaczyć wiele, ale najpewniej to, że obie wolałyby, żeby kobieta pokroju Emily nie mieszkała w sąsiedztwie ich mężów.

Wrócił do przyczepy.

Co teraz?

Czy Konnie mógłby zdobyć nakaz rewizji?

Przez chwilę stał podparty pod boki, po czym dostrzegł nieco dalej ubitą ziemię w miejscu do parkowania, tuż za szpalerem drzew. Podszedł bliżej. Ziemia była wilgotna po porannym deszczu, widać więc było kilka świeżych śladów opon. Wyciągnął szkic, który wykonał na stacji Vienna i porównał go ze śladami w błocie. Nic.

Drugi ślad też nie pasował.

Ale trzeci...

Tak jest. Rysunek zgadzał się w najdrobniejszych szczegółach z ostatnim śladem na parkingu.

Pobiegł z powrotem do pierwszej przyczepy, przy której się zatrzymał, tam gdzie właścicielka wyglądała przez okno sypialni. Znikła natychmiast, gdy tylko się zbliżył. Kiedy zapukał ponownie do drzwi, wydało mu się, że słyszy przerażony oddech.

- Przepraszam panią. - Starał się mówić z oksfordzkim akcentem. - Czy przypadkiem nie widziała tu pani szarej furgonetki?

- Widziałam, owszem - odezwał się głos spoza podwójnych zamkniętych i z pewnością dobrze zaryglowanych drzwi. Zasłona w okienku lekko się odchyliła. Dostrzegł tylko jej dłoń.

- Widziała pani może kierowcę albo tablice rejestracyjne?

- Widziałam mężczyznę koło czterdziestki, ale nie tablice.

- A dziewczynę, blondynkę?

- Nie.

- Nie ma pani pojęcia, dokąd mogła pojechać ta furgonetka?

- Skręciła na zachód na Fredericks i nie jestem pewna, ale mam wrażenie, że jeśli się nie mieszka na tej ulicy, to jeździ się nią tylko do autostrady.

- Której autostrady?

- Sześćdziesiątej szóstej. Wjazd na zachód jest dwie przecznice stąd.

I-66. Biegająca przez cały cholerny kraj. Aż do Los Angeles.

- Muszę koniecznie zadzwonić.

- Zadzwonić - odezwał się przytłumiony głos.



Cisza. Drzwi się nie otworzyły.

- Tak, z pani telefonu. Bardzo króciutko. Rozmowa lokalna.

- Ach, mój telefon. Niestety. Zepsuł się.

- To bardzo ważne.

- Właśnie czekam na naprawę. Powinni przyjechać za kilka godzin. A może jutro.

Przepraszam, muszę sprawdzić piekarnik.

Zasłona wróciła na swoje miejsce.

Rozdział 15

Joshua LeFevre wrzucił ćwierćdolarówkę do automatu telefonicznego koło 7-Eleven i złapał Tate'a w domu. Opowiedział mu o wszystkim, czego się dowiedział.

- Joshua znalazł Emily - powtórzył Tate, najprawdopodobniej do Bett. I znów do słuchawki: - A więc jest i tajemniczy mężczyzna. Który może miał jej walizkę lub ubrania... Kolejna sympatia?

- Nie sądzę - odparł LeFevre. - Ale Megan nie opowiadała mi zbyt wiele o swoim życiu osobistym. - Poczł ukłucie w sercu na wspomnienie rozmowy w zeszłym miesiącu, kiedy chciał się z nią umówić, ale ona wykręciła się, mówiąc, że ma randkę z Bobbym.

Zazdrość to paskudne uczucie, prawda? - pomyślał.

- Czy pan Konstantynopol jest u państwa?

- Konstantinakis. Nie. Właśnie usiłowałem się do niego dodzwonić. Nie ma go też w biurze. Ale zostaw wiadomość, to oddzwoni.

Gdy się rozłączyli, LeFevre nagrał wiadomość w biurze policji stanowej, zostawiając numer automatu. Oparł się o budkę, skrzyżował ręce i zmarszczył czoło. Podszedł jakiś biznesman, spojrzał na LeFevre'a, zrezygnował z dzwonienia i zniknął.

Telefon odezwał się pięć minut później.

Nie potrafił się oprzeć.

- Kto nawija?

- Dalej wyglądasz jak pierdolona reklama markowych piżam?

- Mam działki za dziesiątaka, mam działki za miedziaka.

- Niech cię, LeFevre - rzucił szybko Konnie - wpakowałeś się w szambo. Ta linia jest monitorowana przez wydział do spraw narkotyków.

- Rany, człowieku, hej, panie władzo... - LeFevre zorientował się, że to żart, dopiero gdy usłyszał zduszony śmiech policjanta. - To nie było zabawne.

- Może nie - odpowiedział detektyw - ale ton twojego głosu był.

- Ma pan coś ciekawego? - LeFevre położył akcent na „pan”, żeby zasugerować, że on ma.

Konnie chrząknął.

- Owszem, zły humor - odparł.

- Mam się przejmować pańskimi humorami? - spytał ostrożnie, jeszcze nie do końca przekonany, że Konnie najbardziej lubi tych, którzy traktują go najgorzej.

- Wielkie gówno. Amtrak to całkowita ściema. Jeśli kupiła bilet, to nie na swoje nazwisko. Jestem teraz na National. I tu też nic. Tak na marginesie, pieprzony ruch w tym mieście.

- Ja coś mam. Trop. Tak to nazywacie, prawda?

- Naoglądałeś się seriali. A jak, do cholery, mielibyśmy to nazywać?

Opowiedział Konniemu o mężczyźnie w szarej furgonetce i o Emily.

- Nieźle, Sherlocku. Znasz jej nazwisko?

- Nie, tylko adres. Parking przyczep w Oakton.

Podał adres policjantowi.

- W porządku. Resztę znajdziemy.

- Mogła pojechać z tym gościem z furgonetki. Megan też.



- Znasz tablice?
 - Co?
 - Tablice rejestracyjne.
 - Nie.
 - Cholera. Z jakiego stanu? - warknął Konnie.
 - Nie wiem.
 - Niech to szlag.
 - Powiedz mi, jak mam dalej postępować, Konnie.
 - Tak, możesz się do mnie zwracać per Konnie, jeśli o to pytasz.
 - Nie o to.
 - A jak sądzisz, co powinniśmy zrobić?
 - Miałem nadzieję, że uda się zdobyć spis szarych furgonetek albo coś takiego.
 - Znasz model?
 - Cholera. - LeFevre uprzedził Konniego.
 - Och, jakże przydatne. Takie poszukiwanie da nam zapewne milutką listę około sześćdziestu tysięcy samochodów. Zakładając, że rzeczywiście była szara. A nie sinofioletowa, oliwkowa albo brudnobiała. Albo że jej nie przemalowano. Albo nie ukradziono w Trenton, Paoli czy Anchorage.
 - To dość ciężka robota, prawda?
 - Czemu przestałeś gadać jak Murzyn?
 - Możesz mówić: jak czarnuch, sam tak mówię.
 - Nie mam ochoty.
 - Bo studiowałem malarstwo w Yale, Oksfordzie i na Sorbonie.
 - To jakieś szkoły? Uczą tam ludzi?
 - Jesteś zabawny, Konnie.
 - Okej. Oto moja propozycja. Wydruk z bazy danych nic nie da, jeśli będziemy mieli do czynienia z tyloma samochodami. Trzeba tę liczbę zredukować.
 - Jak? Co mam zrobić?
 - Z twoim tropem?
 - Tak. Tate Collier mówi, że jesteś specem.
 - Zabierzmy się do tego razem. Mamy, twoim zdaniem, szarą furgonetkę. Która przypuszczalnie pojechała na zachód szosą I-66. Facet zapewne zaprowadził auto Megan na dworzec?
 - Tak sądzę.
 - A w środku są być może ciuchy Megan i kobieta, z którą piła tej nocy, kiedy wspięła się na wieżę ciśnień w Fairfax. Ty Tak Sądzisz. Oki-doki, zajmę się sprawdzeniem tej Emily. A twój przydział... Jesteś gotowy?
 - Mam nawet ołówek.
 - Nie będzie ci potrzebny. Zadam ci tylko jedno pytanie, które wskaże ci drogę.
 - A brzmi ono?
 - Czego potrzeba samochodom?
- Zabrało mu to dziesięć długich, bardzo długich sekund.
- Nie pomyślałem o tym.
 - Właśnie dlatego to ja jestem gliną, a ty dupkiem z włosami jak szczotki do przetykania rur. Muszę spadać.

Ten świat nie jest doskonały.

Ale czasami Bóg daje nam w życiu to, czego pragniemy najbardziej - wyjaśnienie rzeczy niewyobrażalnych. A gdy już to otrzymamy, znikają wszelkie zapory odcinające nas od szczęścia i zadowolenia. Oto przed nami jest przedmiot wszystkich naszych pragnień, przepustka do rozkoszy nieba.

Megan McCall była dla Aarona Matthews'a właśnie takim wyjaśnieniem.

Siedział koło jej bezwładnego ciała w mniszej celi, którą przygotował w głębi jedne-



go ze skrzydeł Katedry wśród Sosen. Leżała na sznurkowym łóżku. Bez prześcieradła, bez koca, bez poduszki. W pokoju było tylko łóżko i jedno krzesło. Nie zostanie tu długo.

Przyklęknął i pochylił głowę. Nie do modlitwy, ale żeby rozebrać dziewczynę.

Wszystkie okna budynku miały kraty, a drzwi zaopatrzone w mocne podwójne zamki. Nie wydostanie się z pokoju, nie mówiąc już o budynku. Będzie jednak musiał zostawić ją na chwilę samą, ponieważ ma jeszcze kilka niecierpiących zwłoki spraw do załatwienia, lecz odebranie jej ubrań zniechęci ją do wszelkich myśli o ucieczce.

Najpierw bluzka, potem stanik. Dżinsy, majtki i skarpetki. Jego oczy krążyły po jej ciele. Ale dotknął jej tylko raz - nie pogłaskał piersi ani pokrytego jasnymi włosami wzgórek łonowego, ale włożył jej palec między zęby i nacisnął język, różowy koniuszek języka. Cofnął palec i poczuł chłodny oddech na skórze i paznokciu.

Zostawił ją, zabrał ubrania, zamknął drzwi i przeciągnął wielką kłódkę przez skobel na zewnątrz. Następnie zszedł na dół, przeciął prymitywną kaplicę pokrytą pleśnią i zagłębił się w kolejną płataninę długich, ciemnych korytarzy. Słychać było głośnie kapanie wody. Spod jego stóp umykały szczury. Nie zwracał na nie uwagi (jeśli nie liczyć mrużanego pod nosem „Wszystkie stworzenia głoszą chwałę Pana”). Otworzył drzwi do dużego pomieszczenia i wszedł do środka. Zawiasy zaskrzypiały głośnie. Błysnęło światło, ukazując skomplikowany warsztat.

Zanim ojciec Aarona Matthews'a obrał ścieżkę Boga, był wynalazcą. Wybudował to pomieszczenie wiele lat temu, gdy jedyną budowlą na tej działce była maleńka szopa, w której mieszkał wdowiec z kilkuletnim synem. Mroczne, wilgotne, przesycone gryzącymi oparami oleju, środków czystości i pleśni, teraz wypełniały je rozmaite narzędzia do obróbki drewna i metalu. Ale zamiast transformatorów i bakelitowych osłon znajdowały się tu teraz przedmioty religijne - obrazy i dziwaczne konstrukcje z drewna, piór, metalu i gwoździ.

Gdy Matthews syn okazał się cudownym dzieckiem i przerósł swojego ojca, stary człowiek zmienił się, ale na gorsze. Prowadził nadal Katedrę niczym opętany manią wielkości arcybiskup, ale w jego twarzy widać było poczucie zdrady ze strony Boga, toteż zamilkł i wyrażał się głównie w rękodziele. Wykonywał krucyfiksy, tryptyki, ikony. Prymitywne średniowieczne malowidła przedstawiające sceny bardziej przerażające niż ilustracje Dorego do „Piekła”: ofiary z ludzi, inkwizytorzy okaleczający grzeszników, kobiety gwałcone mieczami, kastrowani mężczyźni. Biczowania i śmierć w ukropie. W tym właśnie czasie poświęcił dwadzieścia cztery godziny szaleństwa na wykonanie posągu anioła umieszczonego nad bramą Katedry.

W końcu starzec zajął się tym, co miało być jego ostatecznym wynalazkiem - telefonem tłumaczącym angielski na mowę Boga. Nie na hebrajski, aramejski czy jakiś indoeuropejski język, ale na mowę czystego dźwięku: tony bólu, tęsknoty, winy, błagania i duchowej ekstazy. James Matthews, przekonany, że Bóg go opuścił, niezdolny usłyszeć Jego głos, a co dopiero mówić tym głosem, uznał, że potrzebuje skrajnych środków do porozumienia się z Wszchemogącym.

Matthews stał teraz przy warsztacie, na którym jego ojciec odgrywał Aleksandra Grahama Bella dzwoniącego do bożego Watsona. Jego aktualny projekt nie był jednak tak wyrafinowany technicznie. Obrócił koło szlifierki i zaczął formować żelazny pręt w długi, ostry gwóźdź.

Złote iskry spadały na podłogę i oświeślały spoconą twarz. Miał wykonać trzy ostrza, ale nie spieszył się, ponieważ musiały być doskonałe - wystarczająco długie, żeby utrzymać ciało, ale nie za grube, żeby zbyt szybko nie wykrwawiła się na śmierć.

Megan McCall...

Dziewczyna, której śmierć wyjaśni niewytłumaczalne tajemnice życia Aarona Matthews'a, zapłaci za wszystkie niesprawiedliwości, jakie go spotkały.

Przykładając metal do karborundu, patrząc, jak wznoszą się języki ognia, Matthews pogрузzył się w marzeniu, wizji tego, co stanie się pojutrze, w piątkowy ranek.

Naga Megan zostanie przybita długimi gwoździami do krzyża wzniesionego w kaplicy.



Przez jakiś czas będzie wić się w męce, wrzeszcząc w wygłuszonym, szczelnie zamkniętym pomieszczeniu. Ale potem, wiedział to, przyzwyczai się do bólu. Zemdleje kilka razy, ale odzyska przytomność. Szczury zgromadzą się pod krzyżem i będą szczypać jej zakrwawione dłonie i stopy.

Później, tuż przed zachodem słońca - miał nadzieję, że wytrwa tak długo - gdy będzie zbliżał się koniec, on wsunie nóż nie między jej żebra, ale za jej zęby i tam wykona ostateczne cięcie. Uniesie swoje trofeum. A ona krzyknie i umrze.

I rzekłem: „Będę... zważał na ścieżki moje, abym nie zgrzeszył językiem”. I zamilkłem. Odwróciłem się od mowy. Moje męki zwiększyły się, a serce me spłonęło.

Umrze w cierpieniu, ponieważ jest kością z kości Tate'a Colliera. Jego pierworodną. Bóg wskazał mu, że tak będzie dobrze i sprawiedliwie. Tate Collier popełnił morderstwo. Tate Collier zgrzeszył.

Wyobraź sobie to, co najgorsze, i zejźdź głębiej...

Męką Colliera będzie to, że resztę życia przeżyje w niepewności. Nigdy nie dowie się, co spotkało jego córkę. Pozostanie mu tylko list od niewygodnego dziecka, jej ostatnie okrutne słowa skierowane do niego, i to pytanie powtarzane w nieskończoność: Gdzie ona jest? Gdzie ona jest? Gdzie jest moje dziecko?

Matthews przyłożył kolejny kawałek metalu do kamienia szlifierki.

Niepewność. Największym przekleństwem człowieka jest niewiedza. Czy Jezus wznosił się do nieba? Czy przyczaił się i ukrył gdzieś w Izraelu lub na Krecie? Czy ukrzyżowanie było tylko sztuczką?

Świat tego nie wie.

Tate Collier też się nie dowie...

I zamilkłem. Odwróciłem się od mowy. Moje męki zwiększyły się, a serce me spłonęło. Mój umysł zajął się ogniem i nie mogłem już strzymać. Zakrzyknąłem: „Panie, daj mi poznać mój koniec i liczbę dni moich. Ukaż mi, jak krótkie będzie moje życie”.

Zaczął pracę nad kolejnym ostrzem, a eksplozja iskier rozświetliła ciemne pomieszczenie.

Myślał o Megan.

Myślał: piątek piątek piątek...

Czego potrzebują samochody?

Dzięki, Konnie.

Joshua LeFevre zerknął na licznik. Przejechał starym zniszczonym volvem kolejne dwadzieścia mil I-66. Uchylił szyberdach i usłyszał wiatr jęczący wśród szprych i kabli roweru umocowanego na bagażniku.

No, pomyślał, patrząc przez okno, oto numer trzynaście. Może będzie szczęśliwy.

Ale sprzedawca na tej stacji benzynowej przy drodze 66 nie potrafił pomóc wiele więcej niż poprzednich dwunastu. Podejrzewał, że jeśli Megan z kimś uciekła, to zatanowali do pełna przed wyjazdem. A na pewno, jeśli ktoś ją porwał, to zatroszczył się o pełny bak przed robotą.

Ale szczegóły są najważniejsze, więc Joshua LeFevre zatrzymywał się na każdej napotkanej stacji benzynowej i pytał każdego sprzedawcę, czy widział szarą furgonetkę, której kierowca zatrzymał się po benzynę, olej, wodę, słodycze, by skorzystać z ubikacji... po cokolwiek.

Późnym popołudniem przejechał za Shenandoah i ujrzał przed sobą zamglone Blue Ridge. Nie były dziś stalowe, podpowiedział siedzący w jego duszy artysta, ale pokrywał je zielony szron wiosennej roślinności. Zatrzymał się na pięciu następnych stacjach; poczucie beznadziejności wciąż wzrastało, aż wyjechał za Front Royal i zatrzymał się na



stacji Shella. Głównie dlatego, że musiał iść do toalety.

Tu właśnie chudy, ponury sprzedawca z długimi, brudnymi włosami wystającymi spod bejsbolówki przypomniał sobie mężczyznę w szarej furgonetce.

Wydobycie z niego tego wspomnienia wymagało trochę wysiłku. Wygląd „groźny dla społeczeństwa” nie działał tu, w górach, toteż LeFevre musiał powrócić do osobowości w stylu Sidneya Poitiera, żeby złamać tego wroga nastawionego dupka. W końcu dowiedział się, że mężczyzna koło czterdziestki w szarej furgonetce zatrzymał się, za-tankował, przycisnął guzik płacenia kartą na dystrybutorze, po czym najwyraźniej zrezygnował z karty i zapłacił gotówką.

LeFevre uśmiechnął się szeroko, speszony, trzymając ciemne okulary w ręce, zapytał uprzejmie o szczegóły. Sprzedawca owijał sobie włosy wokół palca i gapił się na LeFevre'a wzrokiem, który mówił: Mogę ci dokopać, czarnuchu, kiedy i gdzie tylko zechcę.

- Czy w furgonetce był ktoś jeszcze? - upierał się LeFevre. Zachował pozory szacunku, ale postanowił zrezygnować z nadmiaru grzeczności. Sidney Poitier rzucił piorunujące spojrzenie Roda Steigera.

- Nie widziałem.

- Wrócił na autostradę?

- Nie. Chyba pojechał Parker Road, o tam - odpowiedział chłopak, usiłując wykombinować, dlaczego Murzyn, który mógłby być ciężarowcem, gada jak bohater jakiegoś pedalskiego zagranicznego filmu.

LeFevre podszedł do skraju asfaltu. Zapach benzyny mieszał się z zapachem wiosennej roślinności i gliniastej ziemi.

- To jest Parker Road?

- No.

Wijąca się ku górom droga znikła w cieniu sosen i szczwołów.

- Dokąd prowadzi?

- Donikąd. No, do paru domów. I są tam tylne wejścia do którejś z tych wielkich grot. Jakies stare kościoły. - Młody mężczyzna upchnął kosmyk włosów pod czapkę. - W sumie sześć mil. Dochodzi dość wysoko. Po czym zawraca jak wąż.

- Jak wąż. Mieszkają tam jacyś ludzie?

- Nie bardzo. Było tak, że jak ludzie tu przyszli, to mieszkali nawet na samej górze. Ale nie mogli utrzymać ziemi, przynajmniej większość. Kłopoty z kasą, kumasz? Zaczęli sprzedawać rządowi pod park albo bogatym, co chcieli mieć działki wypoczynkowe, a rodziny przeprowadzały się na dół. Teraz prawie wszyscy są w dolinie.

- Wspólny mianownik.

- Hę?

- I nie pomyślałeś, że to dziwne, że ta furgonetka tam pojechała?

- Niewiele myślę. Głównie o zmianie oleju i wyważaniu kół.

LeFevre zadzwonił do Tate'a i zrelacjonował mu nowość.

- I nikt nie widział Megan w tej furgonetce?

- Nie. Emily też nie.

Tate uznał, że nie wygląda to na ciekawy trop, a LeFevre przyznał mu rację. Doszli do wniosku, że powiedzą Konniemu i zobaczą, czy uda się sprawdzić szare furgonetki zarejestrowane we Front Royal albo okolicy. A LeFevre wróci do Fairfax i pomoże Bobby'emu Carsonowi rozmawiać z kolegami Megan.

Odwiesił słuchawkę i wrócił do samochodu. Wyjął kluczyki z kieszeni, ale nie otworzył drzwiczek. Patrzył na drzewa tworzące bramę nad Parker Road.

- Co pan powiedział?

- Tylko sześć mil - LeFevre powtórzył słowa, które, jak sądził, wypowiedział do siebie.

- Tylko, jak tylko.

Zdarzyło mu się przejechać na rowerze sto trzydzieści mil w jeden dzień.

A potem w nocy miał jeszcze dość siły, żeby kochać się z Megan.



- Chciałbym zostawić tu samochód na jakąś godzinkę albo dwie.
- Nie mamy parkingu.
- No więc proszę zmienić olej i wyważyć koła. - Wyciągnął z portfela trzy dwudziestodolarówki. - Ile czasu to zajmie?

Chłopak chwycił banknoty.

- Jakąś godzinkę albo dwie.

LeFevre podszedł do samochodu, zdjął rower z bagażnika i oparł go o samochód. Volvo było białe i rzucałoby się w oczy z odległości kilku mil. Rower był czarny i bezgłośny, a nawet pomalowany w kamuflujące plamy. Zdjął kurtkę skórzaną i znalazł w bagażniku granatową bluzę. Włożył ją. Już miał zatrzasnąć bagażnik, gdy zawahał się, sięgnął po wędkarski przyborek i wyciągnął skórzaną pochwę z nożem z hartowanej stali o siedmiocalowym ostrzu. Przypiął go do pasa, zastanawiając się, co zrobią miejscowe gliny z uzbrojonym czarnuchem włóczącym się po bocznych drogach.

Rzucił kluczyki sprzedawcy i postawił stopy na pedałach. Ruszając z miejsca - ulubiony moment w jeździe na rowerze - wskoczył na siodełko niczym John Wayne na konia. I zaczął szybko pedałować, aż beton, budynki i samochody zniknęły za nim, a świat wypełniła czarna kora, cienie i poruszające się ramiona poszarpanych konarów.

Błada jak albinos dziewczynka wpatrywała się w niego. Miała ogniste rude włosy, jasną skórę i ledwie widoczne brwi. Nie spuszczała z niego wzroku ani się nie uśmiechała.

LeFevre zahamował i zatrzymał się pod zwieszonymi gałęziami szczwołu. Przejechał już jakieś trzy albo cztery mile od stacji benzynowej.

Dziewczynka miała na sobie sukienkę z żółtego płótna. Nie potrafił określić jej wieku: równie dobrze mogła mieć siedem, jak siedemnaście lat.

- Dobry wieczór - powiedział.

Skinęła głową.

- Widziałaś tu może dziś samochód? Szarą furgonetkę?

Potrząsnęła głową.

- Czy ktoś tam mieszka?

- Nie mieszka. Ale jest tam miejsce. - Miała silny miejscowy akcent.

Nie spuszczała z niego wzroku, ale w jej oczach nie dostrzegł ciekawości, aczkolwiek z pewnością był pierwszym czarnym facetem z dreadami jadącym na rowerze za siedemset dolarów, jakiego widziała w tych lasach.

- Jakie miejsce?

- Obóz.

- Obóz harcerski?

- „Obóz” w tej okolicy znaczy tylko jedno, proszę pana.

- Odnowa religijna. - Emma Vinton LeFevre była dumna ze swojego dziadka, pastora baptystów. Miała stare nagrania kościelnego chóru z lat czterdziestych przebrane na taśmę i często je puszczała, zwłaszcza gdy na obiad przychodzili prawicowi politycy. - Opuuszczony?

- Podobno. Czasami czuć dym i widać światła. Ale nikt tam nie chodzi. Nawet ja, chociaż ja chodzę wszędzie. O każdej porze dnia i nocy.

- Myślisz, że ktoś mógł się tam wprowadzić?

- Tak mówią dzieciaki. Mówią, że jest tam stary. Nazywa się James Matthews.

- Kto to jest?

- Kupił tę ziemię w latach pięćdziesiątych i głosił tu kazania, ale to jego chłopak miał naprawdę dar, tak wszyscy twierdzą. Stary, mówi moja mama, zwariował. Wie pan, co zrobił?

- Powiedz mi - poprosił, przyglądając się bladym piegom na jej pozbawionej wyrazu buzi.

- Była taka dziewczyna, co grzeszyła w całym mieście, rozumie pan, była łatwa



dla chłopaków. Jej rodzice przyszli do wielebnego i prosili, żeby modlił się za jej duszę. Ale on tego nie zrobił. Wziął nóż i którejs nocy wszedł do jej sypialni. Zatkanął jej usta, ściągnął spodnie od piżamy i nieźle ją pochlastał. Pan rozumie, o czym mówię? Pociął ją tam, żeby nic nie czuła, jak będzie z chłopakami.

- Tak zrobił? - LeFevre wyszeptał przerażony.

- Tak. Zamknęli go, ale uciekł i zniknął. Cztery albo pięć lat temu. Policja myślała, że wrócił do obozu, ale nikt go nie znalazł. Ludzie myślą, że ciągle się tu włóczy. A może jego duch. Ja wierzę w duchy. Nie wierzyłam, póki mieszkaliśmy z mamą w Karolinie. Tam nie ma duchów. Ale jak tylko przeniosłyśmy się do Blue Ridge, zobaczyłam, że wokół nas są duchy.

- Myślisz, że ktoś mógłby się tam ukryć i zostać niezauważony?

- Mógłby. Ale nikt by nie chciał.

- Gdzie to jest?

- Jakaś milę stąd, może trochę więcej. Wygląda tak, jakby droga się kończyła, ale nie kończy się. Trzeba jechać dalej, jak się pomyśli, że to już koniec.

- Byłaś tam kiedyś na nabożeństwie?

- Nie, proszę pana. Wierzę w Jezusa i w to, że on jest mostem, po którym moja dusza przejdzie do nieba. Ale nigdy bym nie poszła do tamtego obozu. Jeśli to miejsce jest mostem, to nie do naszego Pana. Nie, proszę pana, nie. Muszę już iść. - Ze wzrokiem utkwionym gdzieś przed siebie ruszyła droga.

- Nie wiesz, czy jest tam ktoś teraz? - zawołał LeFevre.

Ale zanim skończył zdanie, zeszła z drogi i zniknęła.

Wsiadł z powrotem na rower i ruszył w górę stromego zbocza, silnie naciskając na pedały. LeFevre regularnie jeździł na stumilowe wycieczki rowerowe, ale ta droga wyciągnęła z niego energię. Głównie przez błoto. Ono było najgorsze.

Jego nogi poruszały się z zawrotną prędkością, gdy wjeżdżał we wznoszący się tunel o ścianach ze szczwołu i sosen roztaczających aromat w wieczornym powietrzu. Wokół kładła się mgła, wypełzając spomiędzy drzew i znad ziemi. Czuł się obserwowany. Pewnie przez sowy.

Droga znikła w chwili, gdy zbliżył się do wycięcia w wysokiej skalnej ścianie. Ale jechał dalej i gdy już wydawało się, że nie będzie dokąd jechać, chyba że sto stóp pionowo w górę, okrążył potężny głaz i zobaczył, że droga schodzi w szeroką dolinę.

Most do niebios...

Był spocony, kiedy dotarł do płaskowyżu i mógł zmienić przerzutkę, ale tylko część potu wzięła się z wysiłku.

Zobaczył to tuż przed sobą i zacisnął ręce na obu hamulcach tak mocno, że spadł z roweru i potoczył się w błoto. Oczekiwał napaści, spodziewał się, że jego serce eksploduje ze strachu, zapomniał o nożu, zasłaniał twarz oburącz.

Długa chwila ciszy.

I bezruchu.

LeFevre opuścił ręce i spojrzał przed siebie. To była rzeźba wznosząca się tuż nad nim, wykonana z pnączy, splecionych gałęzi i mchu. Wydawało się, że wyskakuje na niego spomiędzy drzew, ponieważ zlewała się z otoczeniem, a on nie zauważył jej, dopóki nie znalazł się tuż przy niej. Anioł. Uznał, że artysta, który to wykonał, miał talent, był pomysłowy i zupełnie chory.

Uspokoił się i spojrzał poza rzeźbę. Zobaczył siatkę zwieńczoną drutem kolczastym, stare zabudowania na polanie zalanej mgłą, ziemię pokrytą gnijącymi liśćmi i zwalonymi drzewami.

A na podjeździe stała szara furgonetka.

LeFevre ustawił rower pod wysokim krzewem szczwołu i wyciągnął nóż z za pasa, czuł radosne podniecenie i zdawał sobie sprawę z własnej głupoty, ale ruszył ku siatce.



Rozdział 16

Mieli zrobić drobiazgową rewizję pokoju Megan.

Była żona zaprowadziła Tate'a Colliera do swojego domu. Rzadko tu bywał - w tym małym piętrowym domu w angielskim stylu, z okapami, siatkami małych szybek zamiast okien, łukowatymi futrynami drzwi. W ciągu ostatnich dwóch, trzech lat tylko raz wszedł do środka. Na przyjęcie z okazji szesnastych urodzin Megan. Wygłosił przemówienie, został przez godzinę i uciekł.

Tate uważał, że pomysł Konniego z przeszukaniem pokoju był dobry: nie mógł uwierzyć, żeby siedemnastolatka tak dopięła na ostatni guzik plan ucieczki, by nie zostawiła żadnych śladów. W pracy prokuratora najbardziej fascynowało go zajmowanie się psychologią zbrodni, ewidentne błędy popełniane nawet przez recydywistów wydawały się celowe, jakby sprawcy pragnęli być ujęci.

Tate zatrzymał samochód i wysiedli. Dom wyglądał jak z bajki: obrośnięty oplątaną brodaczkowatą i niesamowitymi pnączami winobluszczu. I wszędobylskim gęstym kudzu, które zdaniem matki Tate'a - zapalanej ogrodniczki - miało romantyczną duszę, ponieważ łączyło rozdzielone na zawsze drzewa.

W pokojach paliły się słabe żarówki, okna zakrywały gęste firanki i grube kotary zamiast zasłon. Wszystko razem przypominało sklep newage'owy. Kryształ, piramidki, pentagramy. Spory zestaw kart do tarota. Unoszący się w powietrzu lekki zapach karczidełka. Za czasów ich małżeństwa Betty Susan McCall z entuzjazmem zgłębiała nauki tajemne.

- Jestem PKD, Tate - wyznała wiele lat temu. - Świetnie mi idzie odczytywanie tarota, ale gdy usiłuję w to uwierzyć, napotykam mur.

PKD. Porządna Katolicka Dziewczyna.

Tate rozglądał się po pokoju. Zauważył, że było tu mnóstwo ozdób. Interes Bett związany z wystrojem wewnątrz musi nieźle prosperować. Koło sofy stał wielki bukiet żółtych róż w kryształowym wazonie. Wykręcił szyję i przeczytał kartkę: Dla M2 - Z mnóstwem buziaków. B. Obok leżał paryski „Vogue” za szesnaście dolarów. Na czole dziewczyny z okładki przyklejona była cena.

M2?

Megan McCall.

To od Brada, uświadomił sobie Tate z dozą zniechęcenia. Narzeczony Bett wybrał idealny prezent dla siedemnastolatki, która spędziła noc w szpitalu. Tate pomyślał, że jego pluszowy miś musiał się wydać dziewczynie głupi.

Sprawa rodzinna.

Ależ on zazdrościł Sędziemu. Senior rodu Collierów zawsze umiał wziąć smutne dziecko na stronę, porozmawiać z nim i w cudowny sposób uleczyć młodą duszę. Sędzia kochał i rozpieszczał swoją zdziwaczalą żonę, zawsze ze współczuciem wysłuchiwał jej opowieści o przesądach i chorobach. Pożyczał braciom pieniądze i dbał o spłaty długów albo przedłużenie terminów weksli. Przewodniczył zjazdom rodzinnym podczas świąt, pogrzebów i narodzin. Sędzia zawsze był obecny, w przeciwieństwie do swojego syna - ojca Tate'a, który od rodziny wolał strumienie pełne pstrągów.

Tate czuł głęboką odrazę do ukochanej przez ojca samotności. Ulubionym filmem ojca był „Jeździec znikąd”. Samotnik. Marzeniem Tate'a było cofnąć się wstecz o pokolenie i odtworzyć dokładnie świat Sędziego. Ożenił się z Bett w przypływie namiętności, planował gromadkę dzieci, zbudował wielką wiejską posiadłość w samym środku pola kukurydzy.

Ale Tate nie dorównywał Sędziemu. Teraz żył samotnie, spotykał się z czarującymi laseczkami (jak określała je Megan) dla samej przyjemności i podreperowania ego, i czekał, aż wielka południowa rodzina w cudowny sposób wyrośnie wokół niego. Cekał na to prawie od dwudziestu lat.



- Dlaczego rewizja ma być drobiazgowa? - spytała Bett.
- Żeby nic nie przeoczono.
- Aha.

Od godziny Tate i Bett przeglądali dokładnie szafy, komody, biurko, materac, łóżko, kosz na śmieci i dziwaczne pudełka, które Megan kolekcjonowała. Nic nie znaleźli.

Ani pamiętników, ani listów od przyjaciół w Kalifornii, Londynie lub na Alasce, pełnych zapewnień, że Megan byłaby mile widziana. Żadnych sekretnych notatek ani numerów telefonów. Nic. Kartka od Amy przypięta do korkowej tablicy. Tate przyjrzał jej się. Z Bermudów. „Wszędzie chłopcy! A ja jestem ze starymi. Bez szans na p... nie na tej wycieczce. Buziaki, Amy”.

Pstryknął kartkę kciukiem i rozejrzał się po pokoju.

- Brak tajemnic - powiedział, podpierając się pod boki i przyglądając plakatowi z Richardem Gere.

- Popatrz.

Bett otworzyła papierową torbę i wyjęła mydelniczkę - porcelanowy koszyk ozdobiony fiołkami. Położyła ją na łóżku Megan.

- Może to prawda, Tate. Może właśnie jest tak, jak się nam wydaje - ona naprawdę nas nienawidzi.

To brzmiało tak gniewnie.

- Wiele ludzi się gniewa - odrzekł szybko. - Z tym daje się żyć.

- Ale to coś więcej niż gniew - zauważyła. - To... to niemal okrucieństwo.

Tak, w pewnym sensie miała rację. Ale Tate Collier uważał, że nie da się naprawdę kochać kogoś, nie poznawszy go całkowicie, a nie da się nikogo poznać całkowicie, jeśli nie doświadczy się jego okrucieństwa. Co się robi po doznanym okrucieństwie, pozostaje oczywiście wielką niewiadomą. Odejdzie się czy zostanie? Drogi rozejdą się czy połączą? Wszystko zależy od człowieka.

Myślał o pogrzebie.

Czy wszystko się do tego sprowadza?

Tak, podejrzewał, że tak.

Spojrzał na pocztówkę trzymaną w ręce.

- Chodźmy do niej. Do tej Amy. Przekonajmy się, dlaczego tak się zezłościła na Megan.

Bett wzruszyła ramionami.

- Zadzwoń do niej.

W drzwiach Tate odwrócił się i spojrzał jeszcze raz na łóżko Megan, na prawie puste ściany, porządek w szafach, czyste biurko.

- Amy jest w domu - zawołała Bett z dołu. - Ale możemy mieć problem.

- Dlaczego?

- Jeśli przyjdziemy, wezwie policję. Za żadne skarby nie będzie z nami rozmawiać. Powiedziała: „Możecie sobie, kurwa, darować”.

Tate zamknął drzwi pokoju Megan z cichym stukiem.

- Bierzymy mój samochód czy twój?

Aaron Matthews wyjechał z Katedry i minął posąg anioła w powrotnej drodze do hrabstwa Prince William. W taki ponury wczesny wieczór powinno być chłodno, ale kwietniowe powietrze ogrzało się za dnia, przepelniał je smród gnijących zeszłorocznych liści i rozkładających się szczątków jakiegoś zwierzęcia, które psy niedawno zagryzły.

Zamierzał właśnie przyspieszyć, gdy usłyszał trzask, a furgonetka przechyliła się na prawo.

Powietrze uchodziło z sykiem, gdy zahamował.

- Skurwysyn. - Matthews nigdy nie wzywał imienia Pana nadaremnie, ale nie miał problemów ze świeckimi przekleństwami.

Wysiadł i podszedł do tyłu furgonetki.



Spojrzał na cięcie zadane nożem w oponę i odwrócił się, żeby wyciągnąć pistolet ze schowka.

Za późno.

Młody mężczyzna trzymał nóż niezgrabnie, ale z wystarczającą determinacją, żeby Matthews zamarł i podniósł ręce. Chłopak miał potężne muskuły. Wyglądał na urodzonego boksera.

- Oddam portfel. A tu...

- Gdzie ona jest?

Aj. Mamy problem.

- Gdzie? - spytał chłopak.

Cóż za piękna mieszanka. Karolina, Karaiby, lekka domieszka soczystej Anglii łągająca tamte dwa. Ten facet mógłby uwieść każdą kobietę, tylko mówiąc jej, że jest piękna, niezależnie od tego, czy byłaby to prawda.

- Kto?

- Megan.

- Nie rań mnie - powiedział Matthews desperacko.

Iskierka niepewności pojawiła się w ciemnych oczach młodzieńca.

- Nie jestem pewny, czy potrafiłbym zabić, ale na pewno mogę cię niezłe pochłostać.

- Proszę! - Matthews pozwolił, by jego głos się załamał.

Kto to jest, zastanawiał się, wracając w myślach do sesji z Megan. Miał w pamięci zarys tego, co mówiła. Przez jakiś czas spotykałam się z Joshua. On mieszka w dystrykcie i jest superartystą. Ale zerwaliśmy. No dobra, to on mnie rzucił... Pojawił się znowu...

Istniał jakiś problem rasowy, przypomniał sobie. A więc to jest Joshua. Przyjrzał się dokładnie młodzieńcowi.

Dobra, zapytał milczący terapeuta siedzący w Aaronie, wcale nie jesteś bokserem, prawda? Dlaczego czujesz się winny, skąd ta niepewność?

Matthews miał w schowku pistolet, a w tylnej kieszeni nóż myśliwski. Ten chłopak, którego podkręcało zdenerwowanie, znajdował się zaledwie cztery stopy od niego i jeśli poczuje się zagrożony, zadźga go na śmierć, niezależnie od uprzejmych zapewnień.

Jak się tu dostał, Matthews nie umiał powiedzieć. W każdym razie znaczyło to, że ktoś - Collier, a może jego żona - nie uwierzył do końca w listy, tylko pomyślał, że Megan została wprowadzona.

- Zostawiłeś jej samochód na stacji i wzięłeś ten.

Matthews uśmiechnął się i opuścił ręce. Pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Ty musisz być Joshua.

Chłopak zmarszczył brwi.

- Znasz Megan?

- Oczywiście.

- No więc czemu tak dziwnie się zachowujesz?

- Hej, pomyśl no. Nikt nigdy nie groził mi nożem. - Matthews uspokoił się i zaczął spokojnie rozważać sytuację. Nie ma policji. Gdyby to było oficjalne śledztwo, spadliby na niego jak szarańcza. To tylko samotny najazd. Młodzieniec pewnie nawet nie dzwonił jeszcze do nikogo w Fairfax. Przypuszczalnie najpierw przyjechał tutaj, żeby zobaczyć, czy znajdzie jakiś trop. - Posłuchaj - powiedział spokojnie Matthews - odłóż tę zabawkę, pomóż mi zmienić koło i powiedz, czego chcesz.

- Nie ruszaj się.

Ponownie przyjrzał się chłopakowi. Dostrzegł inteligencję kryjącą się za pozorami buty, niepewność. Chociaż chłopak był potężnie zbudowany, widać było, że nie czuje się pewnie. Matthews przypuszczał, że ma przed sobą człowieka, który jest zdecydowany podreperować wątle ego.

- Gdzie ona jest? - powtórzył gorączkowo Joshua.



Matthews skrzyżował ręce. Nie uśmiechał się już.

- Czego ty dokładnie chcesz?

- Wiesz, gdzie ona jest!

Konfuzja.

- Oczywiście. - Och, alez będziesz cierpieł, zanim to się skończy. Matthews przechylił głowę i odezwał się współczująco: - Joshua, nie wyrządzaj sobie krzywdy.

Młodzieniec zamrugał oczami.

- Zapomnij o niej.

- O czym ty mówisz?

- Jechałeś tu za mną, tak?

- Tak.

Nieprawda, wiedział Matthews. Jakoś wyśledził furgonetkę, ale nie jechał za nim. Matthews był ostrożny, co piętnaście minut sprawdzał, czy ktoś nie siedzi mu na ogonie.

- Jak myślisz, dlaczego zatrzymaliśmy się na lotnisku Dullesa?

Wielka czarna dłoń zacisnęła się na kościanym trzonku noża.

- Nie widziałeś, jak ją wysadziłem?

- Ja...

- Jest już w połowie drogi do Kalifornii.

- Po co więc zamieniłeś samochody na stacji?

- Megan ma przyjaciółkę, Amy. - Zawahał się.

- Wiem - odpowiedział Joshua.

- Amy pożycza jej samochód. Zostawiliśmy go na parkingu i wzięliśmy furgonetkę.

- Nie, powiedziałyby mi o tym. Kłamiesz.

Matthews uniósł błagalnie ręce, tak jak zwykł czynić w obliczu grzeszników odrzucających zbawienie.

- Skąd wiesz, kim jestem? - spytał chłopak.

- Joshua, odłóż nóż i wracaj do domu. Zapomnij o Megan. Zapomnij o mnie. To tylko przysporzy ci bólu.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

- Słuchaj, ona wyjechała na trochę do Kalifornii. Może zresztą na stałe.

Niepewność i ból w jego oczach były rozkoszne.

- Dlaczego?

A więc jest uczuciowy. Co jest jego przekleństwem? Założę się, że gniew. Może boi się rodziców albo starszego brata?

Gniew jest drugą stroną strachu.

Joshua postąpił krok do przodu.

- Powiedz mi, ty sukinsynu, co tu się dzieje?

Matthews z rozszerzonymi ze strachu oczami oparł się o samochód i wyciągnął przed siebie ręce w obronnym geście. Udał, że potknął się o gałązkę i upadł ciężko na ziemię. Skulił się i przywarł do drzewa. Płonął gniewem.

- Niech to! W porządku! Chcesz znać prawdę? Megan cię nienawidziła.

Na twarzy młodzieńca odmalowało się niedowierzanie.

- Spotykała się ze mną od dawna - ciągnął Matthews. - Przez cały czas, odkąd chodziła z Bobbym.

- Nie! Powiedziałyby mi.

Matthews zacisnął usta.

- Nie, nie powiedziałyby. Ponieważ musiałyby ci powiedzieć, że sypialiśmy ze sobą, odkąd cię rzuciła.

Jęknął.

- Kłamiesz. Wiem, że kłamiesz.

- Nie wierzysz, że jesteśmy kochankami?

- Nie.

- Ach. Co powiesz o tym pieprzyku tuż pod jej lewym sutkiem?



Joshua nie wytrzymał drwiącego spojrzenia Matthews'a i spuścił wzrok na mech pokrywający przewrócony pień.

- A co powiemy o jej włosach łonowych? Jasne jak na głowie. A co lubi w łóżku? Lubi mężczyzn, którzy zajmują się nią przez całą noc. I lubi pieprzenie w tyłek.

Ale najwyraźniej nie w twoim wykonaniu. Matthews dostrzegł szok na twarzy młodzieńca.

- Przestań!

- Nie byłeś w niej zakochany - ciągnął drwiąco Matthews. - Nie mogłeś być. Nie odrzuciłbyś jej tak szybko. - Podniósł się na nogi i splunął. - Wiesz, jak cię nazywała? Kundlem.

Oczy zaszklily się, gdy skalpel dotknął mięśni gładkich jego duszy.

Wybornie.

- Byłeś wielkim mniejszościowym eksperymentem. Chciała pieprzyć się z czarnym. I postanowiła załatwić sobie grzmocenie.

- Do diabła z tobą!

- Chcesz znać prawdę? To przez ciebie wyjechała. Chciała wymazać ze swojego życia twoją żalostną facjatę. Nie dałbyś jej spokoju.

Wystarczy.

Zgodnie z przewidywaniem Matthews'a gniew w końcu eksplodował, ale o ile w kimś innym mógłby wyzwolić bezlitosne i przemyślane działanie, o tyle Joshua rzucił się szaleńczo na Matthews'a, wymachując na oślep pięściami, zapominając o tym, że miał nóż.

- Nie mogła tego powiedzieć! - krzyczał. - Nie mogła tego powiedzieć, nie mogła tego powiedzieć, nie mogła...

Tę żalobną litanię przerwał cios myśliwskiego noża Matthews'a wymierzony w nogę młodzieńca. Joshua wrzasnął i upuścił własny nóż. Matthews uskokzył przed pięścią, po czym ciął mocno w ramię. Joshua upadł na plecy, chwytając się za tryskającą krwią ranę, a Matthews dopadł go w kilka sekund.

Dźgnął go raz w gardło - ostrze zagłębiło się bez trudu w struny głosowe. Chłopak odepchnął Matthews'a, obrócił się i podniósł na kolana, krztusząc się. Krew tryskała mu między palcami. Matthews uderzył ponownie, ale Joshua wykręcił się zwinnie niczym węgorz i usiłował poczołgać się ku zabudowaniom.

Matthews wstał powoli i podszedł do tablicy kontrolnej. Nacisnął guzik i patrzył, jak brama się otwiera. Joshua pokuśtykał przez nią, przeszedł trzydzieści stóp po otaczającym budynku polu i upadł na kępę turzycy.

Matthews podszedł powoli do niego.

Zatrzymał się i spojrzał w dół. Pochylił się, wpatrzony w fontannę krwi tryskającą z szyi.

- Megan nie żyje, Joshua.

Z gardła chłopaka wydobyło się żalostne bulgotanie. Zaczął pluć krwią i wyszeptał coś. Podniósł się na czworakach i usiłował się odczołgać.

Matthews wrócił do bramy, zamknął ją i zagwizdał. Nadbiegły psy. Najpierw dwa, potem pozostałe.

Wyglodniałe zwierzęta skoczyły. Matthews się cofnął. Zbiły się w stado i powaliły Joshuę, zanim odczołgał się na dziesięć stóp.

Gdy psy otoczyły i zaczęły rozszarpywać chłopaka, Matthews pochylił się do przodu, z zachwytem przyglądając się walce młodzieńca. Nieźle walczył - cisnął jednym z psów o pień sosny.

Zwierzę boleśnie zawyło. Ale zaraz znów rzuciło się na ofiarę. Joshua nie był jednak godnym przeciwnikiem dla tych bestii. Gdy wielki samiec zacisnął wreszcie olbrzymie szczęki na jego karku i zaczął nim potrząsać, Joshua zadrżał raz i nagle opadł bezwładnie jak szmata. Zwierzęta zaciągnęły go do wybiegu. Widać było tylko warczące, zakrwawione pyski, które rozszarpują ciało.

Matthews otworzył bramę, wprowadził furgonetkę z powrotem między zabudowa-



nia i zostawił ją na podjeździe. Pobiegł do garażu po drugi samochód, wyprowadził go i zamknął za sobą bramę. Popędził na autostradę. Włączył radio i opuścił szyby, wpuszczając do środka ciepłe kwietniowe powietrze. Ale Aaron Matthews nie słyszał nic poza głosem w głowie, może własnym, może nie, cytującym Objawienie św. Jana.

Ja jestem alfa i omega, pierwszy i ostatni, początek i koniec. Byłem umarły, lecz oto żyję na wieki wieków i mam klucze śmierci i piekła. Byłem umarły, lecz oto żyję...

Myślał o tych, którzy pozostali w Fairfax, a ku którym zmierzał teraz anioł śmierci, których twarze miał musnąć wspianiałymi skrzydłami, tak miękkimi i chłodnymi.

- Może zdechnąć i pani też.

- Proszę...

Drzwi się zatrzasnęły.

Tate i Bett stali na progu dużego domu w zamożnej części Fairfax, w pobliżu Clifton. Dzielnicy bogatych polityków i biznesmenów oraz - najwyraźniej - ich niewychowanych dzieci.

- Może Konnie wystraszyłby tę małą sukę - zaproponowała Bett.

Tate nacisnął ponownie dzwonek.

- Amy, proszę.

- Odpieprzcie się! - odpowiedział stłumiony głos ze środka.

- Mógłby ją wrzucić na noc do więzienia - upierała się Bett.

Tate zrozumiał, że w tej debacie będzie miał za przeciwnika nie młodą dziewczynę, ale jej histerię. Najtrudniejszy rodzaj dyskusji.

- Amy, proszę - powtórzył.

Po chwili drzwi frontowe otworzyły się ponownie, ale między Amy i nimi pozostała zewnętrzna siatka. Tate wyobraził sobie, że Amy traktuje tak samo napalonych chłopaków po randkach - trzyma ich na dystans. Jednakże pamiętał kartkę znalezionej w pokoju Megan i uznał, że rzadko odgrywa rolę strony, która się broni.

- Czy moglibyśmy wejść? - spytał szczerze. - Na pięć minut. To bardzo ważne.

- Cholera.

Amy Walker, niższa nawet od Bett, okręciła kosmyk długich włosów na palcu grubym od pierścionków. Jej czerwona sukienka była bardzo krótka i tak opięta, że dziewczyna przypominała butelkę keczupu. Miała równomiernie opaloną skórę, ale jej pulchną twarz pokrywał przesadny makijaż, jak to u nastolatek. Paznokcie malowała na ostry czerwony kolor.

Jakim cudem te dziewczyny mogły się przyjaźnić? - zastanawiał się Tate. Amy była przeciwieństwem Megan.

- Rozmawialiśmy z Bobbym. Powiedział, że dzwoniłaś do niego.

- Ta suka przysłała mi list.

Bett zjeżyła się na to określenie. Chciała zaprotestować, ale Tate powstrzymał ją ruchem ręki.

- Co napisała?

- Nic. Mnóstwo cholernych bzdur. Chciała mnie zranić.

- Dlaczego napisała list, jak myślisz? Dlaczego nie zadzwoniła?

Amy nie odpowiadała. Zaciskała i rozluźniała dłonie.

- Dlaczego napisała coś, co nie jest prawdą? - spróbował Tate.

- Bo kłamstwo sprawia jej przyjemność.

- Martwimy się o nią. Jak myślisz, gdzie ona może być?

- Nie wiem, nie obchodzi mnie to.

- W poniedziałek piła z dziewczyną o imieniu Emily. Wtedy, gdy miała kłopoty. Sądzimy, że mogły razem wyjechać. Znasz tę Emily?

- Emily? Nie. Nie miała żadnej koleżanki o imieniu Emily, w każdym razie ja nie



słyszałam.

- Ona mieszka w przyczepie w Oakton.

Amy potrząsnęła głową.

- Nie mówiła o jakichś miejscach, dokąd chciałyby pojechać? - spytała Bett.

- Nie wiem. Czasem o Kalifornii. San Francisco.

- Ostatnio?

- Nie - przyznała dziewczyna.

- A może o kimś, z kim chciała wyjechać?

- Słuchajcie - Amy rozżłościła się nagle. - Ręce mi się trzęsą. Jutro mam klasówkę. Jak, do cholery, mam się uczyć? Nie mogę zaważyć historii. Ona wiedziała, że muszę dostać dobry. Dlatego to zrobiła!

Amy otworzyła torebkę, wyjęła kosmetyki, podeszła do lustra i zaczęła poprawiać makijaż.

- Może martwiła się czymś?

- Byłam jej przyjaciółką! Dlaczego mi to zrobiła? Nigdy nie myśli o innych, tylko o sobie.

- Proszę, Amy - łasił się Tate. - Martwiła się czymś?

- Bobbym. - Spojrzała na nich podejrzliwie. - To był jej chłopak.

- Wiemy.

- Zerwanie z nim było dla niej trudne.

- Coś jeszcze? Proszę.

- No - mruknęła dziewczyna. - Ciężko przeżyła Annie.

- Kogo?

- Tę dziewczynę, która popełniła samobójstwo. Annie Devoe.

Tate potrząsnął głową. Bett pamiętała tę sprawę i opowiedziała Tate'owi o córce członka parlamentu stanowego, dziewczynie, która utopiła się w marcu.

- Były przyjaciółkami?

- Niezupełnie. Annie wszyscy lubili. Nikt nie przypuszczał, że mogłaby się zabić. To było absolutnie niesamowite.

- Moglibyśmy zobaczyć ten list? - spytał Tate.

- Nie.

- To bardzo ważne - odpowiedział Tate.

- Nie! To prywatny list.

Bett poruszyła się niespokojnie, jakby zamierzała się odezwać. Ale Tate znów potrząsnął niemal niezauważalnie głową.

Wymyśl, dlaczego to konieczne, myślał Tate negocjator. Wymyśl potrzebę i podsuń jej.

- Amy - powiedział z naciskiem Tate. - My też dostaliśmy listy od Megan i jesteśmy na nią dość wkurzeni. Też mamy jej sporo do powiedzenia. Zupełnie jak ty. Ale najpierw musimy ją znaleźć.

- Nie obchodzi mnie, co się z nią stało - odparła, ale ogień jej gniewu przygasał.

- Jest twoją przyjaciółką.

- Nie po tym, co napisała. Już nie.

- A co napisała?

Odwróciła się ku nim na pięcie.

- Kłamstwa! - Wydęła dziecinną buzię.

- Proszę, pokaż nam to.

- O, niech to. Proszę.

Rzuciła list na stół i odwróciła się z powrotem do lustra.

Tate przebiegł list wzrokiem:

Nie mogę po prostu uwierzyć, że mogłaś dobrać się do Steviego właśnie tak i nie zapytać mnie, czy między mną i Steviem coś jest. Co za cholernie kurewskie postępo-



wanie! Jakbyś wbiła mi nóż w plecy...

Podsunał kartkę Bett, żeby też mogła przeczytać.

Ale nigdy nie wybaczę ci, że nie zadzwoniłaś do mojej mamy w poniedziałek, kiedy nie przyszłam, choć się umówiłam. Może pieprzyliście się ze Steviem, gdy ja byłam na wieży? Nawet o mnie nie zapytałaś. Mogłam zostać zgwałcona, zabita, a ciebie to nic nie obchodziło. Nienawidzę cię i nie chcę cię już nigdy widzieć.

Tate poczuł współczucie dla dziewczyny. Ponieważ słowa Megan to nie były kłamstwa. Kłamstwa można znieść, oszustwo to lekki grzech. Nie umiemy się bronić przed prawdą rzuconą nam w twarz.

Niewygodne dziecko...

- Nic nie zrobiłam! - krzyknęła z wściekłością Amy.

- Nikt nie twierdzi, że zrobiłaś, kochanie.

- Przyjaźniłyśmy się. Nie miała wielu przyjaciół. Była typem samotnika. Tak jak ja. Trzymałyśmy się we dwie przeciwko całej reszcie. Ma się tylko przyjaciółki. Chłopcy prześpiją się z tobą i odchodzą. Rodzice rozwodzą się i wyjeżdżają. Powinna pielęgnować naszą przyjaźń.

- Czy wspominała kiedykolwiek o facecie, który by się za nią włóczył? Starszym mężczyźnie?

Po policzkach Amy płynęły łzy. Gniew wyparował.

- Nie umawialiśmy się, że ona przyjdzie wtedy, gdy się upiła. Tak, Stevie przyszedł. Ale my nigdy nie planowałyśmy. To było tak: może zadzwonię, może nie. Naprawdę.

- Amy...

- Nie jestem jej siostrą. Zapomniałam o jednym cholernym telefonie. Dlaczego to ma być aż taka wielka sprawa?

- Znajdziemy ją, Amy - powiedział Tate. - Porozmawiasz z nią. Wszystko będzie dobrze.

Ale dziewczyna odwróciła się już do lustra. Czerwone dłonie oparła o półkę.

- Wszystko zepsute! Zepsute! - Tate nie potrafił powiedzieć, czy chodziło o Megan, czy o makijaż.

Idąc do samochodu, Tate poczuł podniecenie. Jak na polowaniu. Wracał do przeszłości - wczesnych etapów postępowania w sprawie kryminalnej, dochodzenia, odkrywania faktów. Humor zdecydowanie mu się poprawił. Była piąta. Postanowił zaprosić Bett do Starbucks na cafe mocha lub espresso.

Odwrócił się do niej i już miał się odezwać, ale napotkał lodowate spojrzenie.

- Co się stało? - zapytał.

- Jeśli chcesz, żebym się nie odzywała, to z łaski swojej poproś mnie o to. Albo przynajmniej uprzedź. Może niektóre z twoich młodych przyjaciółek reagują na komendy jak psy, ale ja nie jestem tak wytresowana.

- Nie zamierzałem...

- Ale udało ci się - odpowiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Kazałeś mi się zamknąć trzy razy. Dwa pierwsze odpuściłam. W barze i u Bobby'ego Carsona. Uciszałeś mnie ręką.

- Nie zamierzałem...

- Tak samo robiłeś, gdy byliśmy małżeństwem. Przypominało mi to tę protekcyjną postawę twojego dziadka wobec jego żony.

- Sędzia? I moja babka? On nigdy...

- Wręcz przeciwnie. Ty po prostu tego nie zauważałeś. Zawsze chciałam jej to powiedzieć. Powinam. Powinam także coś powiedzieć tobie.

Wsiadła i zatrasnęła drzwiczki.



Tate po chwili siadł obok niej. No tak, to jest nowa Bett McCall. Przez wszystkie lata ich małżeństwa nigdy mu się nie odgryzła, nigdy go nie poprawiła, nigdy się nie poskarżyła. Poczł dziwne ukłucie, a kiedy fala gniewu szybko minęła, odezwał się:

- No cóż, przepraszam.
- Przeprosiny przyjęte - odparła niedbale.

Jechali w milczeniu aż do 7-Eleven.

- Mógłbyś się zatrzymać? - poprosiła Bett.

Zerknął na nią szybko, myśląc, że nadal jest wściekła, chce wysiąść i zawołać tak-sówkę. Ale nie. Najwyraźniej mu przebaczyła.

- Pomyślałam, że warto by odsłuchać twoją sekretarkę.

Skinął głową. Zapytał, czy odsłuchają również jej sekretarkę. Wskazała na pager i wyjaśniła, że gdyby Megan chciała się skontaktować, zadzwoniłaby najpierw pod ten numer. Dziewczyna wiedziała, że to jedyny pewny sposób szybkiego złapania zapracowanej matki.

Tate zjechał na parking i podszedł do telefonu.

Wrócił do samochodu.

- Nic od Joshuy, Konniego i Carsona. Ale było jedno nagranie. Nie zgadniesz, kto dzwonił.

- Kto?

- Ten doktor Peters. Mówi, że martwi się o Megan i o nas, i pyta, czy nie wpadlibyśmy porozmawiać o tym, co się stało. Będzie w gabinecie za jakieś czterdzieści minut.

- To miłe z jego strony - powiedziała Bett, śmiejąc się zaskoczona. - Większość ludzi nie zadaje sobie nawet trudu, żeby zapytać, jak leci.

Rozdział 17

Kim on jest? Kim?

Megan unosiła się nad czarnym oceanem, a w jej myślach powracało to jedno, jedyne pytanie. Otworzyła oczy i chwyciła sznury, na których leżała. Pokój zakotłosał się i zachwiał.

Była senna i kręciło jej się w głowie. W ustach czuła bolesną suchość, przymknięte powieki były napuchnięte. Przewróciła się na plecy, ocierając skórę o sznury, i rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu. Przegniła tapeta, odpadający tynk, szafa bez drzwi. Sufit popękany, zwisające płyty tynku. Smród pleśni i... czegoś obrzydliwego. Co to było? Mięso. Gnijące.

Podniosła się szybko i poszukała światła. Nie znalazła. Pokój był ciemny, a niebo zasnuwane chmurami. Późne popołudnie albo wczesny ranek, nie miała pewności. Przez moment słodki zapach przytłumił smród, zerknęła więc na stolik przy łóżku. Biały kwiat... Tak, kwiat lilii. Podniosła go i wciągnęła zapach do płuc. Był znajomy... Pamiętała, że ktoś dał jej kiedyś taki. On? Peters, doktor Peters?

Nie, inne nazwisko. Jakie? Jak on sam siebie nazwał? Matthew...

Nie, Aaron Matthews.

Kim on jest?

I czego chce?

Ciszę rozdarł ryk, świat przed oczami Megan roztrzaskał się na czarne kawałki; dziewczyna opadła z powrotem na łóżko i zemdlała.

Jakiś czas później znów otworzyła oczy, zdołała usiąść, odczekała, aż miną mdłości, po czym pokuśtykała do maleńkiej łazienki. Usiadła na muszli klozetowej, rozsunięła nogi i w końcu odważyła się zbadać. Nic jej nie bolało. Westchnęła z ulgą, zrobiła siusiu, umyła ręce i twarz w umywalce, strząsnęła wodę z rąk - ręczników nie było. Napiała się lodowatej wody. Podnosząc się, dostrzegła własne odbicie w metalowym lustrze przybitym do ściany. Jęknęła na widok bladej, wyniszczonej twarzy, potarganych włosów i czerwonych, zapuchniętych oczu. Zezłościł ją strach malujący się na twarzy, dlatego



szybko odwróciła się od lustra.

Poszukała ubrań. Nic. Nie znalazła też niczego, w co mogłaby się owinać. Brakowało prześcieradeł czy zasłon. Gdy na całym ciele ujrzała czerwone odciski od sznurów łóżka, zaczęła płakać. Zwinęła się w kłębek i łkała, myśląc o mamie i tacie.

Zastanawiała się, jak długo była nieprzytomna. Dzień, tydzień? Nie była bardzo głodna, nie musiała błyskawicznie iść do toalety, toteż uznała, że wciąż jest środa. Tuż przed zmierzchem.

Czy ktoś jej szuka?

Czy ktoś wie, że zniknęła?

Rodzice, rzecz jasna. Nie przyjechała na lunch.

I Joshua też. Miała do niego zadzwonić w sprawie kolacji. Ale wcześniej dała mu kosza. Może więc pomyśli, że po prostu była sobą, że świadomie zmieniła zdanie.

Och, Joshua...

Nagle poczuła rozpaczliwą tęsknotę. Była na niego tak wkurzona, gdy z nią zerwał, że nie chciała go już nigdy widzieć. Pamiętała, jak z wściekłością wymazała tę zabawną odpowiedź, którą nagrał na jej sekretarce. Potrzebowała sześciu wypełnionych bólem miesięcy, żeby dać sobie z nim spokój. Pamiętała, jak niechętnie przyjęła propozycję spotkania się z Bobbym, po to tylko, żeby łatwiej zapomnieć o Joshu. Przypomniała sobie radość, gdy w zeszłym tygodniu zadzwonił. Jak walczyła ze sobą, żeby zachować spokój. Może chciał, żeby po prostu zostali przyjaciółmi? A może była jakaś szansa na coś więcej? Może wreszcie znalazł w sobie dość ikry, by powiedzieć tej wiedźmie, swojej matce, żeby się odchrzaniła? Powiedzieć jej, że będzie znów chodził z Megan, i tyle.

Stanąwszy przy łóżku, wyjrzała przez pozbawione zasłon okno na podwórze - wielkie pole wysokiej trawy i chwastów. Mnóstwo ściętych drzew wałało się i próchniało. Pośrodku pola znajdowała się zniszczona estrada, jakieś dwadzieścia na dwadzieścia stóp, zwrócona ku polanie między drzewami.

Cofnęła się przerażona, gdy potworny czarno-brązowy pies przebiegł pod oknem i zatrzymał się, wpatrując w nią. Z jego pyska zwisał kawał zakrwawionego mięsa, czerwony niczym strzęp rozdartego mięśnia. Oczy zwierzęcia były niesamowite - zbyt ludzkie - i zdawały się ją rozpoznawać. Nagle pies zamarł, obrócił się i zniknął. Wpatrywała się w dal, ale nie widziała go. Zastanawiała się, czy nie był przywidzeniem.

Przyjrzała się dokładnie oknu. Na zewnątrz znajdowały się żelazne kraty, tak gęste, że nie dałaby rady się przecisnąć.

Sfrustrowana cisnęła krzesłem przez całą długość pokoju.

Kim on jest?

Megan podeszła do drzwi, chwyciła i pociągnęła mocno. Oczywiście zamknięte. Znowu łyzy; potoczyły się na jej piersi o sutkach boleśnie sterczących od wilgoci i zimna, panującego w tym okropnym pokoju.

Usłyszała szuranie pod sufitem. Szczury, pomyślała. Spojrzała w górę i zobaczyła gromadę pajaków. Wielki czarny pająk najwyraźniej właśnie się rozmnożył. Co najmniej setka maleńkich czarnych kropek jego potomstwa rozpełzała się po ścianie jak czarna woda.

- Nie! - krzyknęła przejęta odrazą, czuła, jak dostaje gęziej skórki. Rzuciła się do drzwi, uderzyła w nie całym ciężarem, upadła na pełną drzazg podłogę. Czołgała się po brudnych deskach, odrywała te przegniłe, usiłowała znaleźć jakieś słabe miejsce. Wprawdzie była już prawie dorosła, ale często chodziła boszo; jej pięty i podeszwy stóp pokrywały żółtawe odciski. Usiadła na podłodze i spróbowała przebić się przez ścianę. Mury wprawdzie były nierówne i pochyłe, ale również bardzo mocne. Pod podłogą szafy słyszała pusty pogłos, ale drewno okazało się zbyt grube, żeby się przez nie przebić.

No jasne. To przecież człowiek, który myśli o wszystkim. Szczegóły, Josh. Przemyślał wszystkie szczegóły.

Szalonej Megan znów zbiera się na płacz.

Przez pół godziny ostukiwała sufit, ściany, podłogę. Wbiła sobie w palec twardą dę-



bową drzazgę i z jakiegoś powodu ta ranka doprowadziła ją na skraj rozpacz. Zwinęła się w kłębek na łożku, przybita, palec pulsował z bólu.

Po chwili zerknęła do łazienki, zmrużyła oczy i otarła łzy. Płyta o wymiarach mniej więcej dwanaście na osiemnaście cali była przybita do ściany obok toalety. I pomalowana z tuzin razy. Co może się za nią znajdować?

Weszła do środka, przykucnęła i przesunęła dłonią po krawędzi metalu. W narożnikach wyczuła trzy wcięcia i główkę śruby. Gdyby zdołała zdrapać farbę, mogłaby pociągnąć płytę do góry i albo zgąć metal i odłamać go, albo wykręcić śrubę.

Ale emalia była gruba, kleista, a jej paznokcie za krótkie, by uchwycić krawędź płyty. Pomyślała o Amy i jej zabójczych pazurach. Takie by się jej teraz przydały.

Przeszukała jeszcze raz sypialnię, ale nie znalazła niczego, co mogłoby posłużyć za narzędzie. Westchnęła i wróciła do łazienki, położyła się na podłodze i opukała metalową płytę. Odpowiedziała głucho, kusząc obietnicą pustego szybu po drugiej stronie.

Zaczęła walić w nią pięścią, aż knykcie jej posiniały i spuchły. Odwróciła się i kopnęła piętą. Środek płyty wygiął się nieco, a na krawędzi pojawiło się cieniuteńkie pęknięcie, toteż kopała i kopała, aż do chwili gdy stopa niemal jej pękła.

Odwróciła się znowu i spróbowała chwycić krawędź płyty krótkimi paznokciami, desperacko wbijając je w emalię. Nie były dość długie, żeby zaczepić o pęknięcie, dlatego Megan zawyla z rozpacz i rzuciła się do przodu, przycisnęła twarz do ściany i usiłowała wbić zęby w szczelinę.

Dziąsło pękło na szorstkiej farbie i gipsie. Szczeka eksplodowała bólem, usta zalała krew. I nagle z lekkim trząśnięciem jej przedni ząb wsunął się w szczelinę i odciągnął trochę płytę od ściany. Megan odchyliła się, ujęła twarz w dłonie i wypluła krew. Po czym chwyciła płytę i szarpnęła z taką wściekłością, że metal poddał się natychmiast, wyrwijąc śrubę ze ściany. Megan potoczyła się do tyłu.

Usiadła i gdy zobaczyła światło, krzyknęła z radości. Wsunęła głowę w otwór i zajrzała do sąsiedniego pomieszczenia. Płyta najwyraźniej zakrywała dawny szyb doprowadzający gorące powietrze. Po drugiej stronie znajdowała się cienka kratka, którą bez trudu wykopała. Kratka upadła na podłogę z brzękiem. Megan zamarła. Cicho, upomniała się.

Wsunęła się głową do przodu w otwór. Była szeroka w ramionach, ale w końcu zdołała się precyzyjnie przesuwać. Musiała sięgnąć ręką, drapiąc ramię, i osłonić piersi, żeby nie poranić ich o ostrą krawędź szybu. Posuwała się cal po calu. W końcu wysunęła głowę i przyjrzała się pomieszczeniu po drugiej stronie. Kraty w oknie. Ale drzwi nieco uchylone. A za nimi ciemny korytarz.

Przesunęła się do przodu, sześć cali, osiem i wreszcie...

Biodra. Zaklinowała się.

Bez trudu precyzyjnie przesunęła je przez otwór w łazience, ale wylot szybu po drugiej stronie był nieco węższy. Próbowowała więc się, napinać mięśnie, lizać palce i zwilżać skórę śliną, ale wciąż nie mogła się ruszyć - utknęła w połowie drogi między pomieszczeniami.

Nie ma mowy, pomyślała. Nie będę tu tkwić. Poczuli straszliwy napad klaustrofobii. Zwalczyła go, poruszyła się lekko i przesunęła może o cal do przodu, zanim ponownie zamarła, gdy usłyszała pisk i skrobanie pazurów.

O Boże, nie.

Serce waliło jej, jakby miało wyskoczyć z piersi.

Znowu pisk.

Tuż nad miejscem, w którym utknęła. Wyglądało na to, że szczury są dwa. A potem nadbiegło ich więcej: zbierały się w miejscu, gdzie ściana łączyła się z sufitem. Pewnie z tuzin.

Megan się rozplakała. Dźwięk małych czarnych stóp biegnących po kamieniu. Stłumiła krzyk, gdy coś - kawałek izolacji lub drewna - musnęło jej skórę.

Piski przybierały na sile. Zwierzęta gromadziły się tuż nad nią, ciekawskie i głodne. Pomyślała o małych pajakach. Setki okropnych stworzeń zmierzających ku jej unieru-



chomionemu ciału powoli, ostrożnie, ale nieodwołalnie.

Następne szczury.

Piski i tupot, coraz bliżej. Będą ze dwa tuziny. Wyobraziła sobie ostre jak szpilki żółte zęby.

Bliżej i bliżej. Przyciągał je zapach. W łazience nie było papieru toaletowego, toteż nie podtarła się po zrobieniu siusiu, a kilka dni temu skończył się jej okres. Wyczuwały krew.

Popędzą dokładnie w jej kierunku. Zaczną się wgryzać...

Zamknęła oczy i łkała przerażona. Wydawało się, że cała ściana się rusza. Dziesiątki, setki szczurów zmierzających ku niej. Coraz bliżej i bliżej.

Pi pi pi. Pi pi pi.

Megan wpiła się palcami w ścianę i pociągnęła z całej siły, rozpaczliwie kopiąc nogami. Jeden ze szczurów z odgłosem przypominającym wiertło dentystyczne skoczył prosto na jej pupę. Krzyknęła i poczuła, że serce jej zamiera ze strachu. Uderzała w ścianę, wijąc się wściekle. Zaskoczone zwierzę zeskoczyło, a ona poczuła ześlizgujący się po jej udach ogon.

- Och - zakrztusiła się. - Nie...

Gdy waliła pięściami w ścianę obok siebie, a nogami kopała w podłogę łazienki, kolejne zwierzę wyciągnęło ostrożnie łapkę i zeskoczyło na jej krzyż. Ten szczur był odważniejszy: jej rozpaczliwe ruchy wcale go nie wystraszyły. Poczuła cztery łapy. Zaczęły się ruszać. Mokry nos i wąsy dotknęły jej chłodnego ciała, gdy stworzenie węszyło w poszukiwaniu drogi w dół bioder i ku kroczu, wczepiając się boleśnie pazurkami.

Poruszyła obolałymi rękami i w tej samej chwili stopa znalazła oparcie na brzegu toalety w łazience, i Megan zdołała ruszyć się jakieś dwa, trzy cale do przodu. Wystarczyło, żeby uwolnić biodra. Szczur zeskoczył, a Megan wpadła do sąsiedniego pomieszczenia. Odczołgała się jak najszybciej do przeciwległego kąta, a cztery szczury wyskoczyły i znikły w uchylonych drzwiach.

Skuliła się, dysząc, obmacując się jak szalona, żeby mieć pewność, że nie uczepiło się jej żadne zwierzę. Po pięciu minutach się uspokoila. Powoli zbliżyła się do szybu i nasłuchiwała. Tupot i popiskiwanie. Zamknęła wylot szybu kratką. Reszta szczurów zniknęła w górze. Z dziury dobiegł gniewny syk.

O Boże...

Upadła na ziemię, usiłując odepchnąć od siebie okropne wspomnienie obmacujących ją drobnych pazurków, brudnych i wilgotnych.

Megan rozejrzała się po pokoju i dostrzegła w kącie stertę starych, pożółkłych gazet. Przez piętnaście minut rolowała je i przywoływała odwagę, żeby poutykać je wokół otworu. Potem, posługując się kratą jak strugiem, obskrobała gipsowe krawędzie szybu, poszerzając go o cal lub dwa. Zdmuchnęła gipsowy pył.

Upadła na ziemię, drżąc z wyczerpania niczym ogłuszony ptak. Gdy przyglądała się ścianom, jej uwagę przyciągnęła czarno-biała amatorska fotografia wisząca obok krucyfiksu. Wstała i nie spuszczać oczu ze szczurzej dziury, podeszła do zdjęcia, które przedstawiało dwóch mężczyzn stojących na niskiej estradzie - zapewne tej na podwórzu. Obaj mieli na sobie ciemne garnitury i wąskie czarne krawaty. Jednym z nich był Matthews, drugi wyglądał na starszego o jakieś trzydzieści lat. Matthews stał z przodu ze wzniesionymi rękami, jakby miał wygłosić mowę. Drugi mężczyzna siedział za nim i wpatrywał się biernie w obiektyw.

Zdjęła ramkę ze ściany i wyciągnęła zdjęcie. Z tyłu znalazła napis: Dla Prawdziwie WIELEBNYCH Jamesa i Aarona Matthewsów. Niech WAS Bóg błogosławi, ponieważ to dzięki WAM ujrzeliśmy Światło!

Pod spodem nabazgrany podpis.

A więc to miejsce to kościół. A Matthews jest pastorem?

Pastor mnie porwał?

Wróciła pamięcią do sesji, tuż przed tym, jak straciła przytomność. Powiedział:



„Bóg przysłał cię do mnie”. I ten hymn. Śpiewał stary hymn.

A James to pewnie jego ojciec. Megan wpatrywała się w podobną do czaszki głowę starca, który, jak uznała, był nie tyle bierny, ile szalony. Wzdrygnęła się i powiesiła zdjęcie z powrotem. Oparła się głową o ścianę, usiłując powstrzymać łzy.

Nie, nie. Pozbieraj się. Kontroluj się. Kontroluj się!

Szalona Megan wpakowała się w niezłe szambo. Teraz trzeba się z niego wydostać.

Wstała i wyjrzała na mroczny korytarz. Słabe, zamglone światło zmierzchu wpadało przez zakratowane i zasłonięte okiennicami szyby. Podeszła do jednego z okien i spróbowała oderwać kratę, ale mocno siedziała w ścianie. Spróbowała z innymi. To samo.

Megan zatrzymywała się co kilka kroków i nasłuchiwała, ale nie dobiegały żadne głosy. W jednym końcu korytarza znajdowało się spore pomieszczenie - coś jakby salon. Ciemna, śmierdząca stęchlizną jama. Zakrztusiła się pełnym kurzu powietrzem. Ściany wykonano z nagiego drewna, podłogę z nieheblowanych desek, na których leżały strzępy dywanu. Powietrze było wilgotne, ciężkie i coraz chłodniejsze. Gardło ścisnęło się jej bezwiednie, gdy poczuła odór gnijącego mięsa. I jeszcze jakiś zapach. Przypomniła jej dom pogrzebowy, w którym mąż cioci Susan spoczywał przed pogrzebem. Ten sam aromat: słodki jak jabłko, obrzydliwy jak zepsute jajko.

Po jednej stronie budynku znalazła kuchnię i jadalnię, w drugą stronę odchodziły dwa długie korytarze. Ciągnęły się esowato przez sto stóp, ale większość drzwi była zamknięta na głucho. W niezamkniętych pokojach były zakratowane okna, a z niektórych przejść dochodziło skrzypienie i kapanie wody.

Kościół i więzienie, pomyślała bezradnie.

Megan straciła cierpliwość do dalszych poszukiwań w tym miejscu i wróciła do salonu, by przyrzeć się solidnym kratom zamykającym okna i drzwiom zaryglowanym na potężne zamki. Pomieszczenie to było równie zaniedbane jak sypialnia. Kawałki dywanu wyblakły na słońcu, inne zachowały pierwotny kolor - tak jakby przez lata leżał na nich gruz, który dopiero co został uprzątnięty. Ściany były poplamione i pokryte pleśnią. Pęknięcia w drewnie załatano smugami niewygładzonego gipsu. Tynk i przegniła tapeta zachowały upiorne kształty zabranych stąd obrazów. Wszędzie czuć było odór odchodów zwierzęcych, rozkładu, pleśni i brudu.

W każdym pomieszczeniu co najmniej na jednej ścianie wisiał krucyfiks.

Przeszukała dokładnie kuchnię, ale nie znalazła noży ani innej broni. Żadnych narzędzi oprócz nietkniętego pudełka plastikowych noży, widelców i łyżek. Zrezygnowana wrzuciła je z powrotem do szafki.

Krótki korytarzyk prowadził do tylnych drzwi. Zatrzymała się przy nich. Gdy wyciągnęła rękę ku klamce, usłyszała szum elektryczności. Od klamki i zawiasów do sufitu biegły kable. Przewody elektryczne. Klamka była podłączona do prądu. Szum był głośny.

On myśli o wszystkim.

Przez szparę w drzwiach dostrzegła garaż. Był pusty.

Uznawszy, że Matthews wyjechał, nabrała odwagi i wróciła do korytarza prowadzącego do jej pokoju. Minęła go i przeszła następne pięćdziesiąt stóp do miejsca, gdzie natknęła się na szerokie kamienne schody wiodące do podziemi.

U stóp schodów pod łukowatym sklepieniem znajdowały się drzwi z grubego drewna. Wysokie na prawie dziesięć stóp. Popchnęła je. Otworzyły się ze skrzypnięciem i Megan znalazła się w kaplicy.

Była wielka jak cały dom jej matki. Przed stojącym na podwyższeniu ołtarzem ustawiono dziesiątki ławek. Megan rzadko bywała w kościele. Bett twierdziła, że wierzy w Boga, ale zbyt często była atakowana przez widmo katolicyzmu, żeby myśleć o przystąpieniu do jakiegoś kościoła. Gdy Megan w wieku pięciu albo sześciu lat była u Tate'a na Wigilii, zapytała ojca o Boga, a on wygłosił chaotyczną mowę o Wielkim Duchu. Słuchała, popijając ajerkoniak, nie rozumiejąc ani słowa, aż wreszcie przerwała mu pytaniem:



- Czy Bóg istnieje?

Zamrugnął oczami.

- Tak - odpowiedział i zabrał ją na pasterkę.

Megan zbliżała się teraz powoli do ołtarza, czuła tylko chłodny beton pod bosymi stopami i przeraźliwy strach. Czy zdoła stąd uciec? Ale tu nie było drzwi, a jedyne okna okazały się witrażami zawieszonymi na grubych kamiennych ścianach.

Spojrzała na ołtarz. Ciemne drewno, ozdobione prymitywnymi malunkami przedstawiającymi ludzi w długich szatach - może jakichś świętych, Jezusa, Mojżesza. Kto wie? Przypominały ten chory obraz, który Matthews postawił przed nią w furgonetce - ciała postaci były prawie normalne, ale twarze powykrzywiane.

Kolejne korytarze prowadziły dalej pod ziemię. Weszła w jeden z nich i usłyszała kapanie wody, tupot kolejnych szczurów, jęk wiatru.

Wariuję. Całkowicie, kurwa, wariuję. Zdusiła łyzy i obejrzała pomieszczenie, szukając drogi ucieczki.

Nic. Absolutnie nic.

Zamierzała wyjść, gdy za ołtarzem dostrzegła niewielki ruch.

Podeszła ostrożnie. Ciemnoczerwona draperia zakrywająca tylną ścianę poruszała się jakby na lekkim wietrze.

Powoli przeszła za ołtarz i chwyciła zasłonę. Odciągnęła ją w bok. Drzwi! Nad progiem poczuła ruch powietrza.

Błagam, powiedziała w duchu. Po czym ujęła klamkę oburącz i pociągnęła z całej siły.

Zaryglowane. Na amen.

Uderzyła ramieniem w drzwi. I jeszcze raz. I jeszcze. Na nic. Dębowe drzwi ani drgnęły. Megan obmacała całą ścianę, szukając słabych miejsc. Ściana wyglądała na niedawno wzniesioną - znów byle jaka robota, ale tym razem użyto zwykłych płyt gipsowych. Wiedziała, że są słabe, ale po dziesięciu kopniakach stało się jasne, że ściana nie podda się jej nagiej stopie.

Megan zamrugnęła oczami, odpędzając łyzy, i pochyliła się, by zajrzeć przez szparę pod drzwiami. Zobaczyła niewielki pokój i najwyraźniej następny zaraz za nim - spod kolejnych drzwi dochodziło bowiem słabe światło. Też mogą być zamknięte, pewnie, ale skoro te są, to tamte może nie.

W tej chwili usłyszała szuranie.

Odwróciła się i poczuła, że gardło zaciska jej się ze strachu, a płuca wypełnił znów ohydny smród tego miejsca. Kroki, powłóczące kroki. I cichy charkot jak uderzenia kruchych skrzydeł. Ktoś zbliżał się do kaplicy. Stuk, stuk, stuk - niczym ślepiec z laską.

Odskokzyła od ołtarza i skuliła się pod ławką. Przykryła głowę. Zimny beton wbijał się w odkryte piersi i brzuch, aż o mało co nie jęknęła z bólu.

Cicho. On prawie tu jest.

Szur, stuk. Szur, stuk.

Coraz bliżej.

Sprawał wrażenie bardzo starego - te kroki, świszczący oddech.

Bała się zamknąć oczy, bała się trzymać je otwarte. Poczowała, że wszedł do kaplicy i zawahał się. Drzwi zaskrzypiały. A może to jęk wiatru? Nie potrafiła powiedzieć.

Przybliżał się. Szur, stuk. Spod ławki nie widziała nic poza starymi zniszczonymi spodniami i skarpetkami poplamionymi moczem - tak to w każdym razie wyglądało - żółtymi i podartymi. Musiał być stary - szedł sztywno i rzeczywiście miał laskę. Megan omal nie krzyknęła, gdy ją zobaczyła - laska przypominała długą poźółkłą kość, kość z nogi zwierzęcia, popękana i zaostrzona na końcu.

Czy to ojciec Matthews'a? Megan wyobraziła sobie starego człowieka ze zdjęcia. Poczowała ulgę i zaczęła wychodzić ze swojej kryjówki. Ten człowiek jej pomoże. Odda jej ubranie, uspokoi ją, zapewni, że jego syn jest nieszkodliwy - chory, tak, potrzebuje pomocy, ale...



Nie, nie, nie...

Co ona wyprawia?

Megan wczołgała się z powrotem pod ławkę i schowała głowę.

Jeśli starzec tu mieszka, to Matthews musiał mu o niej powiedzieć. Cholera, pewnie zostawił tu ojca, żeby jej pilnował.

Megan objęła kolana rękami, walcząc z panicznym strachem, nieodpartą chęcią, żeby krzyczeć, uciekać. Zadrżała i zacisnęła zęby, by nie zaczęły szczekać.

Starzec kuśtykał koło niej, chodząc tam i z powrotem po nawach.

Stuk, stuk, stuk.

Oczywiście niewykluczone, że Szalona Megan właśnie zwariowała na amen.

Może wcale nie ma żadnego starca. Wszystko jej się śni, wszystko jest ułudą.

Nieziemski jęk wypełnił budynek.

To. Tylko. Pieprzony. Wiatr.

Zawył znowu, niczym zwierzę zwołujące stado. Nie było wątpliwości - to był głos.

Megan uderzyła głową o beton, rozległ się głuchy stuk. Zamarła, powstrzymując oddech. Dziesięć minut później - miała wrażenie, że godzin - uznała, że starzec sobie poszedł.

Wysunęła się spod ławki, podniosła powoli i rozejrzała. Nic. Pospieszyła ku drzwiom, które prowadziły na główny korytarz, i stanęła jak wryta.

Koło łukowatych drzwi dostrzegła starą drewnianą trumnę. Stała na stojaku za skrzydłem drzwi, dlatego nie zauważyła jej wcześniej. Była wykonana z ciemnego drewna, zniszczona i popękana. Pokrywa była zamknięta, ale na krawędzi zauważyła zaschnięte plamy krwi i strzępy starego ciała.

Wokół trumny ciągnęły się ślady stóp.

Nagich stóp starca okrążającego trumnę.

Co kryło jej wnętrze?

Stłumiła krzyk, gdy jęk wiatru dobiegł ponownie z ciemnego korytarza po drugiej stronie kaplicy, jedyne korytarza, do którego nie odważyła się wejść.

Tylko że teraz czuła w głębi duszy, że to nie wiatr. To znowu ten krzyk. Jęk gniewu i groźby.

Cicho: stukanie.

Coraz głośniejsze.

Megan wybiegła z kaplicy i popędziła schodami w korytarz, który wiódł do jej sypialni, a za sobą słyszała chrapliwy jęk starca i stukot jego dziwacznej laski.

Wbiegła do pokoju sąsiadującego z jej sypialnią i zaczęła przeciskać się przez szyb do łazienki. W połowie drogi uświadomiła sobie, że jej pupa jest doskonale widoczna.

Pomocy. Tate, Bett... Mamo, proszę...

Brnęła do przodu, pochlipując. Pięć cali, sześć, stopa, dwie. W końcu chwyciła muszlę klozetową i wysunęła się z szybu, a następnie umieściła metalową płytę na miejscu.

Nasłuchiwała.

Stukot przybliżał się i przybliżał, po czym się oddalił. Usiadła na lodowatej podłodze, przyciskając płytę rękami, aż całkiem zdrętwiała. Potem zwinęła się na podłodze i rozpłakała, modliła się o to, żeby miłosierny anioł śmierci przyszedł do niej we śnie, dotknął jej czoła i zaniósł ją na wieki w czarną spokojną noc.

Rozdział 18

Czekał na nich w słabo oświetlonym gabinecie. Była szósta po południu tego dnia, w którym wszedł w posiadanie przedmiotu swego pożądanego.

Aaron Matthews, znany również jako doktor James Peters, usiadł i przyglądał się regałom, zastanawiając się nad zadziwiającą drogą, którą przebył, by zostać psychoterapeutą.



Uciekł z Katedry wśród Sosen po dziesięciu latach nauczania - wraz z kobietą, która została jego żoną - i osiedlił się niedaleko Waszyngtonu. Zaczął pracować jako programista komputerowy (spokojna robota; pracował samotnie i brał nocne dyżury, kiedy tylko się dało) i przez jakiś czas dawał sobie nieźle radę.

A potem pojawiły się pierwsze objawy. Bezsensowność, dezorientacja, omamy.

I złość. Zadziwiająca wściekłość. Dostawał napadów szału i zanim się zorientował, co się dzieje, na podłodze leżały dziesiątki potłuczonych naczyń, a żona i syn albo koledzy z pracy patrzyli na niego przestraszeni i zdumieni.

Stracił pracę, stał się drażliwy i wredny, nie potrafił obcować z ludźmi. Żona zaczęła spędzać coraz więcej czasu poza domem, aż wreszcie odeszła od niego. Tylko syn, któremu brakowało pewności jak wszystkim dzieciom i który potrzebował opieki, dotrzymywał mu towarzystwa.

Rozpoczął cotygodniowe, a potem codzienne sesje terapeutyczne, wpadając w bagno klasycznej freudowskiej i jungowskiej psychoanalizy. Jego wynurzenia na koczach fascynowały lekarzy; były tak przepełnione archetypowymi wyobrażeniami, podawanymi jego najlepszym kaznodziejskim barytonem, że często przedłużali sesje, byle tylko móc go słuchać. Gdy stan Matthews'a się nie poprawił, wsadzili go w końcu na osiemnaście miesięcy do Szpitala Psychiatrycznego im. Lee w Fairfax.

Przed wszystkim patrz w oczy, dowiedział się Matthews w młodości. A potem słuchaj.

Dobry kaznodzieja musi nauczyć się słuchać. Nigdy nie wygłaszał kazań w gabinetach doktorów Crowna, Sadlera i Bellamy'ego, ale uważnie słuchał lekarzy. Uczył się, jakim oni są typem kaznodziejów. W pokoju leżał nieruchomo w łóżku, a kroplówka dozowała inhibitory MOA, lit lub thiorazynę, lub dręczyło go uczucie mrowienia, które zawsze przychodzi po elektrowstrząsach, i wtedy przetrawiał słowa lekarzy. Słuchał również, gdy pacjenci na spacerze zbierali się w grupy i rozmawiali o nim, tak jakby jego nie było, jakby unosił się nad nimi niczym anioł, jakby był kupą szalonego mięsa.

A on zawsze słuchał.

I przechowywał w pamięci wszystko, co usłyszał od lekarzy (dobry kaznodzieja musi wykształcić znakomitą pamięć: pamiętać, kto spośród zgromadzonych grzeszył, czym, jak często i - przede wszystkim - ile zamierza zapłacić za odkupienie).

Podczas tych godzin spędzanych u terapeutów Matthews miał wrażenie, że naprawdę równolegle odbywają się dwie sesje: jedna między lekarzem a nim oraz druga - prawdziwa - między dwoma Aaronami Matthewsami.

- Powiedzmy, że jesteś świadkiem katastrofy lotniczej albo wypadku samochodowego - mówił lekarz. - Jak zareagujesz?

- To zbyt przerażające, żeby wyrazić to słowami. - Krzywił się. A równocześnie wyobrażał sobie, jak chodzi od ciała do ciała, z radością wycinając języki ofiarom.

- Co sądzisz o swoim ojcu?

- To porządny człowiek. Trochę trudny, ale porządny. Sól ziemi w młodości. Żałuję, że nie mogłem zrobić więcej, żeby mu pomóc. Starość, rozumie pan.

- On zniknął, prawda? Po tym jak zaatakował tę dziewczynę i uciekł?

- Nigdy więcej go nie widziałem. Modliliśmy się o jego zbawienie.

Tymczasem prawdę chował głęboko w duszy.

Coraz więcej czasu spędzał w szpitalnej bibliotece, gdzie przeczytał od deski do deski trzecie wydanie „Kompedium diagnostyczno-statystyczne chorób psychicznych”, które pochłonęło go podobnie jak niegdyś Biblia. Następnie przeszedł do „Psychopatologii życia codziennego” Freuda. Przed wypisaniem pochłonął sporo książek: „Antyspołeczne zachowania dorosłych”, „Natura i wychowanie a kształtowanie się umysłowości przestępczej”, „Psychologia rozwojowa”, tom 5: „Patologia”, a także „Problemy rozwojowe w wieku kształtowania intymności (9-11 lat)”.

- Powiedz mi, Aaronie - zwrócił się raz do niego lekarz - co sądzisz o tym, że ojciec zatrudnił cię w tym obozie odnowy religijnej?



Zniszczył mnie, a nie zatrudnił, pomyślał chytrze Matthews, ale odpowiedział inaczej.

- Myślę, że dostrzegł mój talent i jestem mu za to bardzo wdzięczny.

- To bardzo dojrzała postawa, Aaronie. Nadzwyczaj dojrzała. To znak, że jesteś na najlepszej drodze do wyzdrowienia.

- Nie trzeba dodawać, że było mi bardzo ciężko dojść do tego przekonania - dodał szczerze pacjent. - To było bardzo bolesne, jak pan z pewnością wie. - Do oczu napłynęły mu łzy, co dla lekarza było dodatkowym dowodem na to, jak ciężkie przeżycia miał za sobą pacjent.

Pewnej nocy, wiedziony impulsem, wymknął się ze słabo strzeżonego szpitala i poderwał jakąś kobietę w barze. Uwiódł ją, wykonał szybki numerek i leżeli razem przez całą noc, rozmawiając, rozmawiając i rozmawiając. Mówił swoim łagodnym barytonem i kierował rozmowę na jej poczucie niepewności, lęki i rozczarowania - a ona otworzyła się przed nim bez zastrzeżeń, nie zdając sobie sprawy z tego, że pod pozorem pocieszenia podgrzewał te uczucia, przemieniał je w niewybaczalny grzech, zwracał je przeciwko niej. Do rana zdołał ją przekonać, że jest całkowicie bezwartościowa. Dwie godziny później policyjna grupa specjalizująca się w samobójstwach zdjęła ją z mostu. Matthews był niepokieszony. Gdyby przyjechali pięć minut później, mogła stać się jego pierwszą ofiarą.

Aaron Matthews był kaznodzieją duszy religijnej, a teraz stał się kaznodzieją duszy świeckiej: psyche. Bóg nie umarł, ale przeniósł swoją siedzibę z serca do umysłu. Tak więc po wypisaniu ze szpitala Matthews zrobił to, co robią wszyscy wielcy amerykańscy przedsiębiorcy. Wywiesił szyld i kusił klientów.

Karany w różnych stanach grzywnami za wykonywanie praktyki bez zezwolenia, przenosił się gdzie indziej i zaczynał od nowa. Fikcyjny doktor James Peters zawsze miał mnóstwo pacjentów, ponieważ ludzie robią wszystko, zapłacą dowolną sumę każdemu, kto naprawdę będzie ich słuchał, każdemu, kto będzie do nich mówił, każdemu, kto będzie wyjaśniał.

I pójdą za tobą, przekonał się Matthews, na krańce ziemi.

Tego popołudnia siedział oparty wygodnie w fotelu w swoim gabinecie, wpatrując się w regały z książkami i usiłując wybrać pomiędzy czwartym wydaniem „Kompedium diagnostyczno-statystycznym chorób psychicznych”, trzecim „Wielkiego podręcznika psychiatrii” a Biblią. Ściągnął wszystkie trzy z półki i zaczął czytać, obracając w kieszeni nóż myśliwski.

Czekał na nowych pacjentów.

- To miło z pana strony, że chciał się pan z nami spotkać.

Matthews skierował współczujące spojrzenie na Tate'a Colliera.

- Mieli państwo jakieś wieści od córki?

- Nie.

Matthews doznał dziwnego uczucia. Tate Collier gościł w jego myślach codziennie od lat. W podobny sposób geje myślą o AIDS, a księża o diable. A jednak gdy zobaczył go w prostej białej koszuli i ciemnych luźnych spodniach, szczupłego mężczyznę nieróżniącego się znów tak bardzo od niego samego, uznał, że to wcielenie nie odpowiada złu gnieżdżącemu się w sercu tego człowieka, a zatem Matthews właściwie w ogóle nie był w stanie dostrzec Colliera.

Bett z kolei to zupełnie inna sprawa.

Przyglądał się jej dokładnie. A więc to jest Matka. Czarownica. Zaklinaczka z makiżajem, młodymi narzeczonymi i kartami tarota. Niezbyt pewna siebie.

- Proszę usiąść.

Rozejrzała się po pokoju i wybrała krzesło najbliższe biurka Matthews'a.

- Co dokładnie powiedziała Megan, gdy do pana zadzwoniła, doktorze? - spytał zniecierpliwiona Collier. Ubiegł Matthews'a.



- Niewiele. Opowiedziała mi o wieży ciśnień. Słuchałem uważnie, żeby w razie czego wychwycić każdy ślad tego, że usiłowała zrobić sobie krzywdę. Uznałem, że nic z tych rzeczy. Potem powiedziała, że musi na trochę wyjechać.

- Ale powiedziała, że umówi się na późniejszy termin, prawda? - spytał Tate Collier, złotousty diabeł, który nigdy nie rozmawiał z córką.

- Niezupełnie. Powiedziała, że jeśli wróci, to zadzwoni.

- Jeśli? - Bett wyglądała na przerażoną.

Collier okazał się zbytnim stoikiem jak na gust Matthews'a, który chciał widzieć gwałtowną reakcję. Cierpią, owszem. Ale niewystarczająco.

- Powiedziała coś, co wskazywałoby na to, dokąd się wybiera?

- Nie - odparł. - Nic. Odniosłem tylko wrażenie, że to miało być daleko i że bardzo jej zależało na wyjeździe. Sprawiała wrażenie rozradowanej.

Bett wyraźnie zmarkotniała. Collier po prostu przyjął to do wiadomości i włożył informacje do odpowiedniej przegródki. Aaron Matthews uznał, że nienawidzi go nieco bardziej.

Posłał Bett pełne smutku spojrzenie.

- To musi być dla państwa bardzo przygnębiające. Dziecko, które znika... tak niespodziewanie.

Przeniósł wzrok na twarz prawnika. To było niespodziewane, Collier? Możesz powiedzieć, że nie, ale przeszłość jest pierwszym szkicem teraźniejszości.

Matthews przesunął krzesło tak, żeby siedzieć dokładnie naprzeciwko Bett i w naturalny sposób spoglądać na nią.

- Coś wyczuwam - odezwał się po chwili. Bett wytrzymała jego spojrzenie przez chwilę, po czym odwróciła wzrok. - Coś, czego państwo mi nie wyjawili.

- Jest coś, co powinniśmy panu powiedzieć. Dostaliśmy listy - wyznała Bett i opowiedziała niemal obojętnie o listach, które jej córka napisała w tym pokoju.

Collier rzucił ostrożne spojrzenie na swoją byłą żonę.

- Myślimy, że ktoś mógł pomóc jej napisać te listy - dodał. - Albo zachęcić ją do tego. Ktoś, kto chciał namówić ją do ucieczki. Może chciał, żeby spaliła za sobą mosty...

- On? Podejrzewacie kogoś?

Collier wzruszył ramionami.

- Po prostu mówię „on”. Nie jestem pewny. Była ta kobieta, z którą piła w poniedziałek wieczorem...

Żeby dodać rozmowie pikanterii, Matthews zapytał niewinnie:

- Czy córka państwa jest lesbijką?

Bett się nastroszyła.

- Oczywiście, że nie.

Ale na twarzach obojga odmalowała się przez chwilę niepewność.

Matthews zarzucił przysłowiowy haczyk.

- Cóż, jestem pewny, że jako rodzice znają państwo wszystkich przyjaciół, z którymi mogłaby wybrać się w podróż. Z pewnością znają państwo jej chłopaków, koleżanki, miejsca, gdzie bywa.

Poczucie winy odmalowało się głównie na twarzy Bett. Ku niezadowoleniu Matthews'a Collier pozostawał odporny na te słowa.

- Grupy rówieśnicze są bardzo ważne w jej wieku. Zacząłbym od jej kolegów. Porozmawiałbym z nimi. Przekonał się, co wiedzą.

- Już to zrobiliśmy.

- I jakie rezultaty?

Bett spojrzała na swojego męża, człowieka, który nie miał w domu ani jednej książki dla dzieci.

- Wygląda na to, że ktoś w furgonetce prawdopodobnie albo jechał za nią, albo odjechał z nią.

Może nie było aż tak źle, jak sądziłem.



Matthews wyobraził sobie pięć rottweilerów pożerających młodego Murzyna. Udał zaniepokojenie.

- Czy ktoś widział kierowcę tej furgonetki?

- Nie.

- Zawiadomili państwo policję?

- Mamy przyjaciela w policji stanowej. Pracuje nad tym.

Matthews uniósł brwi.

- Współpracuję z kimś z wydziału do spraw nieletnich. Jak się nazywa ten facet, do którego zawsze dzwonię? - Przerzucił kartki prawie pustego skorowidza.

- Pomaga nam detektyw Konstantinatis.

Pomaga nam. Interesujące. Zatem może to nie jest oficjalna sprawa. Matthews potrząsnął głową i dał spokój książce adresowej. Zapamiętał nazwisko policjanta.

- To nie ten. Jest dobry?

- Najlepszy.

- Jest jeszcze jeden z jej... - Bett zawiesiła głos.

- Nauczyciel angielskiego - wtrącił się Tate. - Rozmawia z jej kolegami z klasy.

Skąd to wahanie? - zastanawiał się Matthews.

- A nikt z jej przyjaciół?

- Mody człowiek, z którym kiedyś chodziła.

To będzie ten czarny dzieciuch. Martwy.

- No i my dwoje - dodał Collier.

Matthews rozważał te słowa. My dwoje. A zatem Collier wciąż myśli o nich jako o parze. Warto wiedzieć. Odchylił się w krześle i skrzyżował palce.

- Mogę myśleć na głos?

- Proszę bardzo - powiedziała Bett.

- Będą państwo szczerzy?

- Oczywiście.

- Czy był jakiś wypadek w przeszłości? Gdy była mała. Miała może siedem, osiem lat. Coś, co mogło wywołać jej gniew?

- To nie jest gniew - zaprotestowała szybko Bett, podnosząc głos. - To niepodobne do niej. Nie.

- Niech pani pomyśli o tych listach. Mówię o gniewie, którego ona nawet pewnie sobie nie uświadamia. Doszło do jakiejś konfrontacji? Może kiedyś podsłuchiwała jakąś rozmowę między państwem? - Pochylił głowę. - To mogło być bardzo dawno. Niech się państwo zastanowią. To może być ważne.

Ich pełne niepokoju oczy wpatrywały się przed siebie. Matthews pozwolił im przegryźć się przez to, po czym odezwał się znowu.

- Gniew... Ale na co? To mnie zastanawia. Albo na kogo? - Zwrócił się do Bett. - Ona mieszka z panią, prawda? Była pani kiedykolwiek świadkiem jakichś wybuchów złości, awantur?

- Nie.

Patrzył jej prosto w oczy.

- Jak pani się czuje?

- Bywało lepiej.

Na jego twarzy odmalowało się współczucie.

- Proszę mnie posłuchać. Muszą państwo chronić samych siebie. Są państwo w wyjątkowo trudnej sytuacji.

- Trudnej sytuacji.

- Nie można państwa winić - powiedział kojąco.

- To nie w porządku - powiedziała Bett, niemal się krztusząc.

Collier wysunął w jej kierunku rękę, ale odsunęła się. Niby przypadkowo, ale Aaron Matthews wiedział, że nie istnieje coś takiego jak zbieg okoliczności.

- Och, to absolutnie nie w porządku - zgodził się Matthews. Po czym zwrócił się



chłodno do Colliera: - Jak często pan się z nią widuje?

- Jestem bardzo zajęty. Mam farmę i kancelarię prawną w Prince William.

Popatrzył na Bett.

- Co kilka miesięcy - odpowiedziała. - Megan jeździ tam na weekend.

Matthews skinął głową. Gdy Bett się odwróciła, pozwolił, by spostrzegła, że podziwia jej ciało.

- Jakież większe zmiany w życiu Megan? W ciągu ostatnich pięciu lat?

- Nie - Collier wzruszył ramionami.

Matthews uniósł rękę.

- Zmiany w życiu kogoś z państwa? Nowy małżonek? Zmiana mieszkania? Zmiana pracy?

- Tate zmienił pracę - odrzekła Bett. - Odszedł z biura prokuratora stanowego i otworzył prywatną kancelarię.

- Ale - wtrącił prawnik - to nie miało nic wspólnego z Megan. Nie sądzę, żeby wtedy o tym wiedziała.

- Powiedział jej pan o zmianie pracy. - Matthews nie postawił pytania, ale stwierdził fakt.

- Niezupełnie. Nie od razu.

- Mnie też nie powiedział - dodała Bett. - Zadzwoiłam kiedyś, żeby zmienić datę odwiedzin Megan u niego i usłyszałam, że już tam nie pracuje.

Matthews spojrział na Colliera z pewnym zdziwieniem, gdy ten się odezwał:

- Zmęczyła mnie praktyka kryminalna. Chciałem czegoś, co daje większą satysfakcję.

Ależ to dla niego kłopotliwe.

- Nikt nie wiedział, dlaczego odszedł - dodała Bett.

- Właśnie z tej przyczyny, którą przed chwilą podałem - padła pełna irytacji odpowiedź. - Zmęczyły mnie oskarżenia w sprawach kryminalnych.

- A małomiasteczkowa praktyka nie nudzi pana? - spytał Matthews.

- Myślę, że oddalamy się od tematu.

Collier był teraz w defensywie. A Matthews z zadowoleniem stwierdził, że udało mu się złożyć - w przekonaniu Bett - winę za zniknięcie dziewczyny na barki męża, podczas gdy jej poczucie winy słabło. Och, jakże ona jest pazerna na aprobatę, na głaskanie po ślicznej główce i zapewnienia, że jest grzeczną dziewczynką. Że jest piękna, że ma twarz dwudziestopięcioletki. Starła się dobrze wychować córkę, a jedynym powodem, dla którego siedzi teraz w tym gabinecie, a jej córka zniknęła, jest mąż, człowiek, który oznajmił, że dziewczynka stanowi przeszkodę.

- Doktor twierdzi, że to ważne, Tate. Prawda, panie doktorze?

- Może być ważne - potaknął Matthews.

- Dlaczego? - spytał Collier.

- Wszelkie zmiany w życiu rodziców wpływają na dzieci w znacznie większym stopniu, niż jesteśmy skłonni przypuszczać.

Collier się zarumienił. Wcisnął się nieco głębiej w fotel - nieświadoma oznaka podania się, co wie każdy kaznodzieja.

- Musimy liczyć się z dziećmi, podejmując wszelkie decyzje. Inaczej dzieci zaczynają uważać się za odrzucane. Widziałem to wielokrotnie. To wystarczy, żeby wypędzić dzieci z gniazda.

Collier zerknął na zegarek. Matthews zwrócił się do Bett.

- Ale jedno trzeba koniecznie zrozumieć dla własnego dobra: nie jesteśmy odpowiedzialni za czyny naszych dzieci. Nie mamy całkowitej kontroli nad ich życiem. Wygląda na to, że wychowywała ją pani dobrze i dała jej tyle miłości, ile każdy potrzebuje. - Jej oczy były niewiarygodne. Rzuciły liliową poświatę w półmroku i pojawiły się w nich łzy, efekt poczucia winy.

Jej język był różowawy. Wyobraził ją sobie na krzyżu. Obie. Matkę i córkę. Tuż obok



siebie, umierające razem. Był to wspaniały obraz, a jego ciało uczciło tę wizję silną erekcją.

- Mój wniosek - powiedział w końcu - jest taki, że ona z własnej woli wyjechała na jakiś czas. Chciała uciec od czegoś, choć nie wiem dokładnie od czego. Nie sądzę jednak, żeby trzeba się było martwić o zabójców i uwodzicieli. Obojga płci. Tak więc... Przepraszam, obawiam się, że za chwilę mam następnego pacjenta.

Matthews przypuszczał, że jeśli którekolwiek z nich odpowie, będzie to Bett. Ku jego zaskoczeniu odezwał się Collier.

- Jeśli uważa pan, że powinniśmy jej na to pozwolić, to ja tego nie przyjmuję. - Wyglądało na to, że tego samego zdania jest również Bett. - Będziemy jej szukać. Nie wiem jak, ale będziemy.

- Niech Bóg was błogosławi - powiedział Matthews z ciepłym uśmiechem.

- Dziękujemy za rozmowę - odezwała się Bett.

W drzwiach położył rękę na ramieniu Colliera i wyprowadził go za próg, a następnie zwrócił się do Bett i ujął jej dłoń w swoją.

- Jeśli mógłbym w jakiś sposób pomóc, jakkolwiek, proszę do mnie dzwonić. - Wsunęła do torebki wizytówkę Matthews'a.

Tate Collier był już za drzwiami i nie zauważył tego.

Rozdział 19

Pierwszą lekcję policyjnego fachu Konnie Konstantinatis odebrał, obserwując własnego ojca, który wymykał się urzędnikom podatkowym niczym szop psom myśliwskim.

Jego staruszek był krętaczem, słabym i niebezpiecznym, skrzyżowaniem wiewiórki i łasicy. Był urodzonym kłamcą i miał nosa do ludzi. Zakładał destylarnie koło wędzarni, koło fabryk i na statkach, udając, że to kurniki. Ukrywał dochody w setkach drobnych przedsięwzięć. Raz przekonał poborcę, żeby zaarrestował jego Bogu ducha winnego szwagra i złożył w sądzie przysięgę, która kosztowała nieboraka dwa lata wykreślenie z życiorysu.

A zatem odkąd Konnie skończył lat sześć, zaczął uczyć się uników i oszustw, a potem nauczył się sztuki wykrywania oszustw.

Gdy był śledczym kryminalnym, jego skuteczność wynosiła blisko dziewięćdziesiąt cztery procent, a większość złapanych zostawała skazana lub musiała się bardzo dobrze bronić. Został dwa razy odznaczony, a raz ogłoszony Śledczym Roku przez „Law Enforcement Monthly”.

Ale teraz, gdy wrócił z dystryktu do Fairfax, jego szeroka twarz płonęła ze wstydu, kiedy myślał o własnej niekompetencji.

Najpierw ze wstydu, potem z przelotnego gniewu.

Konnie spędził ostatnie dwa lata na rozmowach z rodzicami o ucieczkach i podejrzanych sińcach, przyglądał się, jak zamierają ze wstydu, gdy pytał o ćwierć grama koki wepchnięte głęboko w kieszeń workowatych džinsów! Takie rzeczy mogły szokować porządnych rodziców z hrabstwa Fairfax, ale Dimitri G. Konstantinatisa śmiertelnie nudziły.

Co gorsza, rozleniwiwały go: spacer po pięknym Union Station i przepelnionym lotnisku National, wdychanie zapachu cappuccino i spalin odrzutowców, pytanie urzędników o bilety i czy widzieli tę dziewczynę.

Nie tak się to robi.

Dlatego z kogutem na dachu taurusa wrócił do biura na Chain Bridge, do swojego pokoju, dziękując sukinsynowi tatuśkowi za to, że odsiedział wreszcie trzy lata za oszustwa podatkowe, co przypomniało Konniemu, że nawet najsprytniejsi przestępcy popełniają błędy.

Powrót na pole startowe.

Załóżmy najgorsze - taką zasadę Konnie przyjmował podczas wielu śledztw w cięż-



kich przestępstwach kryminalnych.

Megan została porwana. Zapomnij o ucieczce, zapomnij o wyjeździe z ukochanym. Jeśli się mylisz, to tym lepiej. Ale na razie załóżmy istnienie sprawcy.

A zatem porwanie. Profil sprawcy?

Jego umysł był zamglony, gąbczasty po dwóch latach nieużywania. Konnie sięgnął do szuflady i wyciągnął notatniki z czasów, gdy był początkującym policjantem. Kiedy pracował do trzeciej rano, ślęcząc nad wykresami. Nad diagramami. Nad listami. W śledztwie potrzebny jest instynkt, ale też mnóstwo papieru.

Motyw.

Środki.

Okazja.

Pod motywem porwania napisane było: pieniądze, seks, przekonania polityczne/religijne, zachowanie psychotyczne, związek z inną zbrodnią (zakładnik, ucieczka po włamaniu, porwanie samochodu).

Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer.

- Halo...

- Czy ktoś ją śledził? - wypalił Konnie.

- Przepraszam, co? - spytał Tate Collier.

- Jacyś dziwacy kręcili się wokół niej?

- Ostatnio?

- Tak jakby zeszłoroczni dziwacy się nie liczyli! - burknął Konnie. - Kiedykolwiek!

Tate skonsultował się z Bett.

- Nie - odpowiedział.

- Związki z jakimiś sektami?

Nawet Konnie dosłyszał cierpkie „Oczywiście, że nie” wypowiedziane przez Bett.

- Któreś z was miało związek z czymś takim?

- Nie.

- Czy ktoś mający coś wspólnego z tobą albo z Bett wyjechał ostatnio na południe?

- Ja...

- Zanim odpowiesz, zastanów się nad wszystkimi dwudziestojednolatkami, którym obiecałeś złote góry, a które potem zrobiłeś na szaro.

- Żadnej się nie oświadczałem - odparł Tate, ale urwał nagle, a Konnie wyobraził sobie niezwykle zainteresowanie w spojrzeniu rzuconym mu przez Bett. Chwilę później Tate dokończył sztywno: - Nie, żadne z nas nie miało tego typu kłopotów.

- Tego typu - powtórzył drwiąco Konnie. - A może ktoś chciał się na niej odegrać?

Partnerzy w interesach któregoś z was? Klienci?

Znów narada.

- Nie.

Konnie chrząknął. Zapisał coś i odezwał się znów:

- Sprawdziłem tę Emily. Nazywa się Rostowski. Dwadzieścia pięć lat. Nic na niej nie ciąży, ale przegrała sprawę o opiekę nad dzieckiem trzy lata temu. Hospitalizowana po dwóch próbach samobójczych w ciągu ostatnich dwóch lat. Z zawodu aktorka, w każdym razie tak twierdzi. Coś wam się kojarzy?

- Nie. - Bett też o niej nie słyszała. - Można by zajrzeć do jej domu?

- Nie wygłupiaj się, Tate, nie aż tak dawno opuściłeś biuro prokuratora stanowego.

Na jakiej podstawie?

- Wiem. Miałem nadzieję.

- Ale będę do niej dzwonił. Aha, damę podsłuch na telefon.

- Czyj?

- Twój i twojej żony.

- Byłej.

- Uparcie to powtarzasz. Na wypadek gdyby był telefon w sprawie okupu.

- Myślałem, że to nie jest tego typu sprawa.



- Dla reszty świata nie, dla mnie tak.
- Jaka jest podstawa do zgody na podsłuch?
Wpieprzyłem się, pomyślał Konnie.
- Nie ma czasu na takie pierdoły, Tate. Włącz myślenie. W czasach prokuratorskich bywałeś na pierwszych stronach gazet. Przynajmniej w sezonie ogórkowym. Myślisz, że ktoś widział twoje zdjęcia i uznał, że jesteś VIP-em z córką, którą można porwać?
- Od pięciu lat nie pracowałem nad niczym z pierwszych stron gazet, Konnie. Pięć lat temu... och, tak, to była ostatnia poważna sprawa ich obu.
Zdecydowanie zbyt poważna.
Sprawa, która zmusiła Tate'a do odejścia z biura prokuratora stanowego, a Konniemu podpowiedziała podjęcie precyzyjnie powolnej formy samobójstwa, co doprowadziło do ucieczki jego żony z domu; punktem kulminacyjnym była nieudana próba unicestwienia za jednym zamachem żółwia i własnej kariery.
- Powiedz mi, co się stało dziś rano u ciebie w domu. I pamiętaj: dokładnie.
Tate opowiedział Konniemu, że Bett była w pracy, gdy Megan pojechała do doktora, a to musiało być około dziesiątej rano.
- Nie widziałeś jej u siebie w domu?
- Nie - odrzekł Tate. - Wróciłem do domu około jedenastej, może kwadrans po, ubrałem się i poszedłem sprawdzić przeciekającą rurę.
- Robotnicy byli na polu?
- Nie. Za bardzo padało. Dostali wolne.
- A więc jej nie widziałeś?
- Widziałem, jak gasiła światła trochę przed południem.
Ona albo ktoś inny, pomyślał Konnie.
- Wszystkie światła?
- Tak.
- Dlaczego?
- Nie lubi jasnego światła. Taka już jest.
- Padało, tak?
- To twoje określenie. Ja powiedziałbym, że lało.
- Większość ludzi potrzebuje trochę światła, tak mi się wydaje. Chyba że nie chcą być zauważeni z zewnątrz.
- To prawda.
- Cholera, Tate, zaczekaj. Po co ona miałaby jeździć do ciebie po plecak? Nie ma żadnych walizek u twojej żony? Przepraszam: byłej żony? Twojej rozwiedzionej małżonki?
Milczenie.
- Dobra uwaga.
- Rzadko widywaliście się z Megan - ciągnął policjant.
- Też prawda. Nie rozumiem, dlaczego zostawiła listy akurat u mnie. Może dlatego, że i tak miała przyjechać na lunch.
- Ale nie przyjechała. Wyjechała przed posiłkiem.
- Tak. Zgadza się.
- Ale wiedziała, że masz gotówkę - ciągnął Konnie, usiłując dopasować jakąś teorię.
- Zgadza się, tak. Pewnie dlatego przyjechała.
- Ale - powiedział detektyw - mogła podjąć pieniądze na kartę kredytową?
- Owszem.
- I byłoby to znacznie bezpieczniejsze, a tak ryzykowała, że wpadnie na kogoś, kogo zamierzała wkurzyć tymi listami.
- Zgadza się, Konnie - powiedział Tate. - Sęk w tym, że nie mam na to odpowiedzi.
Po co więc przyjechała na farmę?
- Masz kontakt z jej kolegami?
- Zajmuje się tym jej nauczyciel, Robert Carson.



- Nauczyciel? - spytał Konnie. - Skąd jego zainteresowanie?

- Po prostu martwi się o nią. Obiecał popytać w szkole. Nie mamy na razie wiadomości od niego. Aha, czy Joshua przekazał ci ostatnie informacje o furgonetce?

- Nie. Jakie są ostatnie?

Tate wyjaśnił, że kierowca furgonetki, która została zamieniona z samochodem Megan, mieszka być może w okolicy Front Royal.

- Doskonale! - powiedział radośnie Konnie. - To zawęzi poszukiwania. Zadzwoń zaraz do wydziału rejestracji. Dobry chłopak. Jak zmieni fryzurę i przestanie wyglądać jak pokręcony raper, załatwię mu pracę w biurze. A wy coś znaleźliście?

- Nie bardzo.

- Wiesz co, Tate, mój skarbie? W tej sprawie kluczem jest motyw - oznajmił tonem przechwałek Konnie. - Tak jest, zapisz to i przypnij nad biurkiem. Dobra, zabieramy się do roboty. I nie dzwoń na żadne party lines przez najbliższe trzy dni. Twoje dyszenie nagrałoby się na taśmie dowodowej.

Konnie się rozłączył.

Kluczem jest motyw, powiedział do siebie.

Ale brakowało im motywu. Wciąż brakowało. Przeszedł więc do następnych punktów.

Okazja i środki.

Okazja? W zbrodni z premedytacją zawsze jest okazja; wszystko zależy tylko od tego, czy chcesz ustrzelić prezydenta czy papieża.

A to zawiodło Konniego do środków. Tych dowodowych szczegółów, które tak kochał. Oświadczenia, włókna, odciski, łuski pocisków, plamy krwi, rekonstrukcje, portrety pamięciowe, ślady. Wszelkie dane, które pochłaniał i które w cudowny sposób układały się w idealny porządek w głowie pokrytej niechlujnym jeżem.

Niemniej w tej akurat sprawie było bardzo niewiele danych - ponieważ nie była to sprawa. Normalnie wysłałby najlepszych specjalistów od ekspertyz na miejsce zbrodni, żeby rozebrali samochód i przeszukali cal po calu domy Tate'a i Bett. Zrobili analizę grafologiczną listów. Określili rodzaj papieru i atramentu, włókien, przebadali wszystko promieniami ultrafioletowymi na obecność krwi, nasienia i innych płynów ustrojowych, przeczesali teren w poszukiwaniu świadków, przejrzeni archiwa szkolne i bazę danych zaginionych nieletnich.

Czuł, jak pięści mu się zaciskają z frustracji na myśl o tylu zmarnowanych szansach popchnięcia tej sprawy do przodu. Wciąż jednak mógł zrobić wiele rzeczy. Rzeczy, które nie wymagały natychmiastowej zgody porucznika „Rozkaz, Panie Komendancie” Dobbsa.

- Genie, słonko - odezwał się do słuchawki - szukam szarej furgonetki zarejestrowanej w hrabstwie Shenandoah, do tego potrzebna mi baza danych. Wszystko w okolicy szarości, może być szaroniebieskie, stalowe, popielate. Najchętniej zarejestrowane we Front Royal.

Gwóźdź do trumny, mruknął pod nosem Konnie. Nie myślał o Megan, ale o swojej karierze.

Tydzień od poniedziałku...

- Spoko - odpowiedziała szelmowsko. - Ale będzie ich kilkaset, zdajesz sobie sprawę.

- Potrzebuję to na godzinę temu.

- Zaraz zamówię. Ale ty będziesz to czytał. - Pauza na dwa uderzenia serca. - Jesteś pewny, że mam to zrobić, Konnie?

- Dobra. Dlaczego pytasz?

- Hmm. Mam meldować wyżej, jeśli zamówisz jakieś ekspertyzy.

- Jakiegokolwiek?

- Jakiegokolwiek. Wraz z numerem sprawy, do której je zamawiasz. I mam ci o tym nie mówić.



Cholera.

- Jaki numer ma sprawa Devoe? - spytał Konnie.

- Dziewięć - pięć - jeden - cztery - trzy.

- To właśnie ten numer, do którego zamawiam to wyszukiwanie. Ha. Zbieg okoliczności czy co?

- Konnie...

- Wiesz co za to dostaniesz, hę?

- Cholera, zamówię to dla ciebie. Mam tylko nadzieję, że wymyślisz jakiś dobry powód, dlaczego mnie tak wrobiłeś.

- Wyjdź za mnie. Wspieraj mnie. Miej ze mną dzieci. Co ty na to?

- Pa, wariacie - odpowiedziała.

Piętnaście minut później dokument leżał na jego biurku - lista 834 furgonetek i terenówek zarejestrowanych w hrabstwie Shenandoah, z czego 104 we Front Royal.

Wrzucił to do teczki z napisem McCall, Megan i wszedł do samochodu. Popędził na stację w Viennie. Dzięki wytrychowi dostał się do tempa Megan w dziesięć sekund; Konnie włożył lateksowe rękawiczki i zaczął przeszukiwać samochód z dokładnością chirurga poszukującego guza. Znalazł resztkę skręta, dwa kapsle od piwa, bilet na koncert, trzy puste puszkę po mrożonej herbacie. Srebrne pierścionki, z czego jeden w kształcie czaszki. Drewnianą pacyfę (gdy podnosił naszyjnik i wrzucał go do worka na dowody, przypomniał sobie sprawę Charlesa Mansona). Trzy pety z filtrami skręconymi w prawo, na jednym z nich sporo szminki, ten sam odcień, ale w mniejszej ilości na drugim, jeszcze mniej na trzecim - a zatem wypalone jeden za drugim, lecz nie przez kierowcę. Wrzucił je do osobnego worka.

Następnie za pomocą maleńkiej lupy będącej w wyposażeniu jego scyzoryka Swiss Army przyjrzał się smudze talku pod stacyjką. Uznał, że spokojnie mógł ją pozostawić palec w gumowej chirurgicznej rękawiczce.

Otworzył bagażnik; przejrzał go równie metodycznie i znalazł trzy włókna, które mogły pochodzić ze sznurka. Zauważył również, że cała zawartość bagażnika została przesunięta do przodu - po to, żeby zrobić miejsce dla czegoś większego?

Konnie wrócił do własnego samochodu, zapalił silnik i włączył klimatyzację.

Okej, Megan została porwana.

Jak to się stało? Wyobraź sobie. Ktoś porwał ją rano, gdy szła do samochodu, ponieważ nie dotarła do terapeuty. Zmusił ją do napisania listów, a potem pojechał na farmę Tate'a i zaczekał, aż prawnik wyszedł na pole, żeby sprawdzić to, co miał sprawdzić. Wtedy porywacz zakradł się do domu, posługując się kluczami Megan, zgasił światło i zostawił listy. A następnie przyjechał tutaj i zamienił jej samochód na furgonetkę.

I odjechał na zachód.

LeFevre umie myśleć.

Konnie ruszył i udał się najkrótszą drogą ze stacji na farmę Tate'a. A następnie powtórzył podróż, wybierając kolejną najkrótszą drogę i - jakby był przemytnikiem z czterdziestoma bańkami na mleko wypełnionymi bimbrem w bagażniku - jeszcze raz, ale tym razem okrężną trasą. Taką, którą wybrałby ktoś, kto nie miał ochoty natknąć się na radary, patrole policyjne i świadków.

Ale nawet ta droga nie była całkiem pusta.

Znalazł sklep meblowy bez klientów. Doskonale. Wsiadł z samochodu i przepytął dwóch sprzedawców, którzy popalali jednego papierosa przed sklepem, czy nie widzieli przypadkiem rano niebieskiego forda tempo. Oczywiście nie widzieli.

Trzy kolejne sklepy i dwie restauracje. Nic.

W barze 7-Eleven jeden sprzedawca twierdził, że zapamiętał taki samochód, ponieważ jego syn planował zakup tempa. Urzędnikowi wydawało się, że kierowcą był mężczyzna.

Ale nie przysięgłby. A już na pewno nie w sądzie.

Mimo to Konnie był podekscytowany, gdy wracał na farmę Tate'a. Zauważył na



podjeździe dwa samochody, ale zaparkował na drodze i poszedł energicznym krokiem przez błotniste pole ku domowi. Był wczesny wieczór, ponury i chmurny, toteż używał halogenowej latarki, żeby oświetlać drogę.

Zatrzymał się przy zaroślach bukszpanu, skąd każdy najpewniej szpiegowałby dom. Znalazł cztery ślady stóp należące do jednego człowieka. Rozmyły się jednak w deszczu i nie nadadzą się na dowód. Nie było petów, puszek po piwie, strzępów materiału, włókien. Przeszedł ku miejscu, które uznał za drugi dobry punkt obserwacyjny. Też nic.

Stanął i wpatrywał się w dom.

Gdy Konnie Konstantinakis stał tak, przyglądając się dopiero co zasianym polom, uświadomił sobie, że tylko częściowo przyjechał tu po ślady. Również dla zebrania odwagi.

Ruszaj i zrób to, powiedział sobie. Dalej.

Już miał zejść z pagórka, podejść do Tate'a Colliera i wyznać mu, co sprawiło, że umarł po raz trzeci w ciągu pięciu lat. Prawdę mówiąc, Konnie wierzył, że jedynym celem zniknięcia Megan było zmuszenie go do uczynienia tego wyznania.

Ale jeszcze nie był do tego zdolny.

Jaja. Brak jaj.

Śledzenie porywaczy i zabójców było znacznie łatwiejsze.

Przeniósł się więc w kolejne miejsce i stanął w koleinie wrytej kołami ciężkiego traktora, co zmusiło go do odwrócenia głowy w kierunku pól uprawnych. Brak śladów porwania. Ale nie wróci z pustymi rękami. Coś bowiem odnalazł: znane poczucie, za którym tęsknił tak długo - pragnienie, z którym rodzą się istoty ludzkie, pragnienie zrozumienia, odkrywania, ujawniania. A ku swojemu większemu zaskoczeniu odnalazł również wiarę - zmartwychwstałą pomimo trzykrotnej śmierci, przejść z butelką i jeszcze cięższych przepraw z wychodzeniem z nałogu, rozpadu małżeństwa i nawet strzelaniny z żółwiem - wiarę w to, że Bóg dał każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie cel. I że ich jedyną rolą na Jego ziemi było poszukiwanie tego celu, nawet jeśli zmęczenie, smutki i przedwczesny koniec miałyby dać im przeraźliwie mało czasu na wykonanie tego zadania, które On im przeznaczył.

Wrócił do samochodu.

Konnie nigdy nie widział Megan McCall. A jednak była ona teraz, właśnie w tym momencie, jedyną osobą na świecie, za której odnalezienie oddałby życie.

Rozdział 20

Musisz słuchać, ale najpierw przyjrzyj się oczom.

Koniecznieniu oczom.

Aaron Matthews oparł głowę o pień dębu i obserwował mężczyznę w średnim wieku, wspartego pod boki, uśmiechniętego, rozmawiającego z grupką dziewcząt w świetle latarni pod szkołą.

Robert Carson.

Zrozumiał, dlaczego Tate i Bett zająknęli się w jego gabinecie, gdy o nim mówili. Nauczyciel, to prawda. Ale również chłopak. Ten, z którym Megan niedawno zerwała. („Bobby? A kto to?”. Matthews przypomniał sobie pytanie, jakie zadał jej podczas sesji. I odpowiedź: zerwałam z nim). Niechlujny, charyzmatyczny, zapewne lubiący wypić, pielęgnujący wygląd, który gwarantuje ugodzenie każdej nastolatki prosto w serce.

Carson rozejrzał się wokół niepewnie, chwycił jedną z dziewcząt za ramię, żeby podkreślić jakieś słowa, i pochylił się, by usłyszeć odpowiedź.

Matthews nie słyszał słów. Ale to nie miało znaczenia, ponieważ dokładnie widział oczy Carsona kilka razy podczas tej godziny, gdy śledził go na szkolnym podwórku.

Robert Frost mówi o znaczeniu dźwięku. O tym, że aby się porozumieć, nie musimy słyszeć słów, ale możemy domyślić się znaczenia z samego dźwięku - dochodzącego na przykład przez grube drzwi lub ścianę. Matthews przeczytał o tym w bibliotece szpitala



psychiatrycznego i pomysł ten bardzo mu się spodobał.

Aaron Matthews głosił kazania w Katedrze wśród Sosen przez ponad dziesięć lat i doradzał pacjentom przez następne dziesięć. Nauczył się odrzucać ich słowa, odrywać się od tego, co słyszalne, i obserwować to, co naprawdę miała do powiedzenia dusza. Nierzadko różnica między przekazem a słowami była szeroka jak Morze Czerwone.

Wychylił się teraz do przodu i przyglądał się Carsonowi - nauczycielowi, który obserwował wszystkie dziewczęta.

Wspinamy się po drabinie Jakubowej...

Intuicja podpowiedziała Matthewsowi, co zrobić. Wszedł zza drzewa i przeszedł obok Carsona i grupy uczennic. Nauczyciel spojrział na niego, nie przestając uśmiechać się z powodu czegoś, co powiedziała któraś z dziewcząt. Matthews przelotnie spojrział na Carsona i dostrzegł niechęć, ponieważ uśmiech nauczyciela zniknął niczym światło wyłączonej żarówki.

A usta Matthews'a wygięły się w ledwie zauważalny łuk uśmiechu, jakby przyłapał Carsona na gorącym uczynku. Matthews poszedł w swoją stronę.

Wspinamy się po drabinie Jakubowej... Żołnierze Krzyża.

Retoryka, jak napisał Platon, jest uniwersalną sztuką zdobywania umysłów za pomocą argumentów.

Tate Collier w wieku lat jedenastu usłyszał tę definicję z ust Sędziego i uznał, że kiedyś będzie „robił retorykę”, cokolwiek miałyby to oznaczać.

Musiał czekać trzy lata na swoją szansę, ale wreszcie w szkole średniej wyblagał dla siebie (jakże by inaczej?) członkostwo w klubie debатовym, który teoretycznie przyjmował tylko ludzi z klas wyższych.

Tradycja turniejów debатовych sięga czasów kolonialnej Ameryki i Klubu Szpiegowskiego na Harvardzie we wczesnych latach XVIII wieku. Kobiety zostały dopuszczone do tych turniejów sto lat później, wraz z utworzeniem Stowarzyszenia Młodych Dam w Oberlin, ale setki mniej formalnych towarzystw i konkursów zawsze cieszyły się popularnością w koloniach. W czasie gdy Tate chodził do szkoły, debaty międzyszkolne stały się powszechną praktyką.

Tate brał udział w setkach Narodowych Turniejów Debatowych, a także w konkurencyjnej formie - turniejach Towarzystwa Krzyżowego Ognia Pytań. Był członkiem honorowych bractw: Delta Sigma Ro, Fi Ro Pi i Pi Kappa Delta, działał też aktywnie w Amerykańskim Towarzystwie Sądowniczym i w Amerykańskim Towarzystwie Czynnych Prawników.

W college'u - kiedy w modzie były nastroje antywojenne i antykorporacyjne - Tate odrzucił dzwony i kolorowe apaszki dla garniturów z wąskimi krawatami i białych koszul. W takim stroju doskonalił swoją technikę, logikę, rozumowanie. Jeżeli... to... przesłanka, założenie, wniosek. Walczył z marionetkami, pokrętną logiką i argumentami ad hominem wysuwanymi przez oponentów. Stawał w szranki z najlepszymi z uniwersytetów Wirginii, George'a Washingtona, Duke'a, Karoliny Północnej, Penn i Johns Hopkins - i zwyciężał wszystkich.

Z tym talentem (a dokładniej: z Sędzią jako dziadkiem) studia prawnicze były nieuniknione. Na ostatnim roku Uniwersytetu Wirginii był reprezentantem stanu w inscenizacjach podczas studenckich Federalnych Mistrzostw Sądowych w dystrykcie. Często wykładał na popularnych podyplomowych kursach dla adwokatów apelacyjnych, a jego taśma „Amerykańska Praktyka Procesowa” była bestsellerem w katalogu Izby Adwokackiej.

Nie istniał nikt, z kim Tate Collier nie mógłby się zmierzyć na słowa. Niemniej gdy była żona zamknęła lustro w jego mercedesie i zaczęła: „Okej, Tate, powiedz mi” - poczuł, że po raz pierwszy zawodzą go słowa.

- Powiedz mi - drażnyła - co się stało? Wtedy gdy zmieniłeś pracę? Czego nie powiedziałeś doktorowi Petersowi?



W domyśle: Czego nie powiedziałaś mnie?

- To nie ma nic wspólnego z Megan.

Zastanowił się nad tym i uznał, że to prawda. Nie rozumiał, dlaczego doktor Peters tak na to naciskał.

- Skąd to wahanie?

Ponieważ uważał, że jeśli jej powie, ona zniknie z jego życia równie szybko jak po pogrzebie. Jeśli powie, przetnie tę wątłą nić porozumienia, jaka dziś nawiązała się między nimi. I może już nigdy jej nie zobaczy.

Widział jednak, że nie ma wyboru.

- Pięć lat temu - zaczął - oskarżałem w sprawie mężczyzny, który zamordował swoją narzeczoną. To było morderstwo z premedytacją. Żądałem kary śmierci.

Poczuł, że Bett sztywnieje. Była zdeklarowaną przeciwniczką kary śmierci i czuła głęboki wstyd, że za czasów ich małżeństwa Tate posłał trzech ludzi na stanowe krzesło elektryczne.

- Oskarżony się nie przyznawał, ale dowody były niepodważalne. Narzędziem zbrodni był nóż kuchenny. Cały pokryty jego odciskami palców. Te same odciski znaleziono też na jej bransoletce i dwóch guzikach bluzki. Jego jedynym alibi było to, że pokłócili się tego dnia, po czym on wsiadł w samochód i pojechał przed siebie, żeby ochłonać, nie pamiętał nawet dokąd. Dziewczyna była z nim w ciąży. To stanowiło motyw. Chciał, żeby ją usunęła, ale ona się nie zgodziła. A kilka dni wcześniej odkrył, że przez cały czas okłamywała go, że stosuje środki antykoncepcyjne. Chciała zajść w ciążę. Zmusić go do małżeństwa.

- W którym była miesiącu?

- Siódmym.

- O Boże... A dziecko?

- Było nie do uratowania. Wszedł do jej mieszkania dzięki drugiemu zestawowi kluczy. Na nich też zresztą znaleziono tylko jego odciski palców. Twierdził, że mu je skradziono. Niezła robota policyjna - zresztą Konniego. Był głównym detektywem. Chłopcy z dochodzeniówki znaleźli nóż i klucze na dnie strumyka w pobliżu jej domu.

- No dobra.

- Widzisz, normalnie to nie byłaby sprawa kwalifikująca się do kary śmierci.

W Wirginii, wyjaśnił, pojedyncze morderstwo, nawet z premedytacją, nie jest karane śmiercią, chyba że spełnia kilka dodatkowych warunków. Na przykład zabójstwo policjanta albo wypełnianie zleceń. Osobna kategoria to masowe morderstwo.

Bett potrząsnęła głową, nie rozumiejąc. Nagle otworzyła szeroko oczy.

- Dziecko?

- Byłem cholernie sprytnym prawnikiem, nie? Stałem tam w swojej nieskazitelnej, wyprasowanej todze. Dziecko. Żywy płód. Tłumaczyłem, że zamierzał zabić dziecko, ponieważ namawiał ją na aborcję. Dwa zamierzone morderstwa. Ława przysięgłych kupiła to. Skazali go na śmierć.

Kodeks kryminalny definiował masowe morderstwo - podpadały pod to teksańskie strzelaniny w samo południe i napady na banki z karabinami maszynowymi. Gdy prawnik posłużył się paragrafem przewidzianym dla jednej sytuacji w innej, zupełnie odmiennej, zostaje okrzyknięty geniuszem.

- Oskarżony poszedł do Jarrett, gdzie czekał na krzesło - to było przed przejściem na zastrzyki z trucizną. Cóż, facet powiesił się przed urzędowym odwołaniem. Podczas śledztwa okazało się, że ktoś mu powiedział, cytując: „To szambo. Collier wygłosi mowę przeciwko tobie na rozprawie apelacyjnej, więc zapomnij, człowieku. Upaprałeś się. Już się smażyśz”.

- To nie wszystko, prawda, Tate? - Głos Bett był lodowaty.

Kontynuował opowieść. Dwaj świadkowie zeznali, że widzieli oskarżonego w Maryland w czasie, kiedy dokonano zabójstwa. Ale on ich rozbroił. Podważył ich zeznania, ich trzeźwość, ich charakter. Jeden wybiegł z sali sądowej z płaczem. Gdy zeznawał sam



oskarżony, Tate ujawnił w jego zeznaniu setki dziur. Zmusił go do przyznania, że był wściekły na narzeczoną, że pokłócił się z nią feralnego dnia, że nie pamiętał, gdzie się znajdował w chwili morderstwa. Maryland. Nie, Wirginia. Nie, Pensylwania. Ława przysięgłych obradowała przez dwie godziny. Wrócili z werdyktem: morderstwo pierwszego stopnia.

- Teraz przychodzi czas na drugą fazę procesu - okoliczności łagodzące. - Prokurator stanowy domaga się kary śmierci, a obrońca podważa jego argumenty.

Adwokat oskarżonego, podsumował Tate, przywołał argument, że ten człowiek nigdy nie miał konfliktu z prawem. Nigdy nikogo nie pobił. Nigdy nie został skazany. Ale Tate również odrobił zadanie domowe i znalazł problemy, jakie miał młodzieniec. Poważne zatargi z rodzicami w wieku dojrzewania. Problemy emocjonalne, wybuchy niekontrolowanej złości. Nienawidził swojej rodziny.

Tate był nieugięty.

- Zalecenie kary śmierci padło po czterogodzinnej naradzie. Wypowiedzi przysięgłych po werdykcie? - Tate roześmiał się ponuro. - Powiedzieli, że ich zahipnotyzowałem. Jeden z nich zamierzał iść na cmentarz i modlić się na grobie ofiary.

- A on był niewinny, prawda? - spytała Bett.

Prawa dłoń Tate'a zacisnęła się na kierownicy. Rozluźnił ją i wytarł w spodnie.

- Trzy dni po tym, jak się powiesił, policja stanowa w Marylandzie przejrzała taśmę z kamery przemysłowej na stacji benzynowej w Ellicott City. Cztery miesiące wcześniej było tam włamanie i znaleźli świadka. Puszczali mu tę kasetę. Jeden z policjantów zauważył samochód zaparkowany na dalszym planie. Kierowca kupował wodę mineralną. Rozpoznano markę samochodu i numer rejestracyjny. Przysłali wiadomość z hrabstwa Fairfax. Tak, kierowcą był ten człowiek, którego skazałem. Znajdował się o pięćdziesiąt mil od miejsca zbrodni niemal dokładnie w tej chwili, w której dziewczyna została zamordowana.

Człowiek może wątpić w to, co słyszy.

To, co widzi, też może podać w wątpliwość.

- Zagadałem tego chłopaka na śmierć, Bett. Zaczarowałem ławę przysięgłych. Po mojej stronie był dar, nie prawo.

Zniszczyłem rodzinę, pomyślał. Ale nie odważył się powiedzieć tego na głos.

Ale nie może wątpić w to, co robi.

Czekał na jej odrazę lub gniew. Albo na to, czego się spodziewał - uprzejmą prośbę o odwiezienie do domu, jako że w takiej prośbie zawarta byłaby uwaga: Mówiłam ci, że tak się to skończy, Tate.

Ale ku swemu zaskoczeniu, poczuł dotyk jej dłoni na kolanie.

- Przykro mi - powiedziała. Spojrzał na nią i nie dostrzegł litości ani wyrzutów, ale żał z powodu jego cierpienia. - Wywalili cię? Z biura?

- Och, nie. Po prostu oszczędłem. Straciłem żądę krwi.

- Nigdy nie słyszałam o tej sprawie.

- Biuro ją, rzecz jasna, zatuszowało. Naturalnie. Rodzina skazanego nigdy nie wniosła oskarżenia, nie powiadomiła prasy. Sprawa umarła na kolumnie lokalnej gazety. - Wpatrując się w szosę, wyznał wreszcie: - Chciałem ci powiedzieć. Kiedy dowiedziałem się o tej taśmie, sięgnąłem po telefon, żeby w pierwszej kolejności zadzwonić do ciebie. Przed rozmową z Konniem. Nie widziałem cię przeszło rok. Może nawet dwa lata. Ale właśnie tobie chciałem powiedzieć.

- Szkoda, że tego nie zrobiłeś.

- Nienawidziłaś mnie za te wyroki śmierci. Przed chwilą pomyślałem, że może w ten sposób jakoś to wyrównam. To znaczy, szukając z tobą Megan.

Nastała długa chwila ciszy, jakby Bett rozważała tę możliwość. Wreszcie odezwała się:

- Myślę, że wystarczająco długo siedziałeś w więzieniu z powodu tej sprawy. Większość więźniów ma możliwość ubiegania się o zwolnienie warunkowe, prawda?



Położył dłoń na jej dłoni i splótł palce z jej palcami.

Istoty ludzkie dotknięte są szczególnym przekleństwem: jako jedyni spośród zwierząt wierzymy w możliwość zmiany nas samych i tych, których kochamy. Ta zdolność może nas zniszczyć albo - jakże rzadko - uratować nasze przeklęte serca. Sęk w tym, że nie wiemy, w którą stronę to zdąża, aż często jest za późno.

- Co teraz, Tate?

- Czekamy - odparł po dłuższej chwili.

Ostrożnie, pomyślał Robert Carson.

Nie miał pojęcia, kim był ten człowiek, który przeszedł obok boiska i spojrzał na niego. Dostrzegł w jego oczach pogardę. Może z powodu mojego niechlujnego ubrania, bandziocha wskazującego na nadużywanie trunków, zmierzwionych włosów?

Ale może dlatego, że właśnie pogłaskał szczuplutkie jak u ptaszka ramię Carole.

Musi zachować ostrożność.

Znaczyło to jak zawsze: Kontroluj się, na litość boską.

Kontrola była zazwyczaj problemem. Ale nie tego wieczora, ponieważ dziś miał się czym przejmować. Rozmawiał już z blisko dwudziestoma uczniami w szkole - zaczął do późnego popołudnia i wczesnego wieczora, kiedy robiło się tu mniej tłoczno, a zagadywanie uczniów przechadzających się po korytarzach i boisku po zajęciach nadobowiązkowych powinno wyglądać naturalniej. Zaledwie kilku znało dobrze Megan, ale nikt nie słyszał, żeby wyjechała z miasta albo myślała o wyjeździe. Nikt nie potrafił pomóc.

Aż do rozmowy z Carole.

Carole o ślicznej twarzy i chłopięcej sylwetce. Pracowała w sklepie z kartkami w starej dzielnicy Fairfax, w pobliżu sądu. Megan też tam pracowała przez kilka miesięcy i dziewczęta się zaprzyjaźniły. Carole powiedziała, że widziała rano, jak Megan - najwyraźniej tuż przed zniknięciem - parkuje samochód na Maple Street.

- Zamierzałam ją zawołać i pomachać, wie pan. Ale wyglądała na strasznie wkurwioną.

- Jak to wkurwioną? - spytał Carson. Już dawno przestał go szokować język nastolatków.

- No tak jakby wcale nie chciała tam być - wyjaśniła dziewczyna.

- Co tam robiła?

- Wchodziła do domu. Jakiegoś, wie pan, małego biura.

Carson zapytał Carole, gdzie dokładnie widziała koleżankę, i dziewczyna opisała miejsce.

Po kwadransie zaparkował samochód dokładnie w tym miejscu, w którym Carole widziała Megan.

Przed gabinetem doktora Jamesa Petersa.

A zatem Megan jednak była u niego.

A to daje nam do myślenia, mruknął do siebie Carson, oddalając się od krawężnika.

Doktor skłamał, mówiąc, że Megan odwołała wizytę.

Kim dokładnie jest ten doktor Peters?

Carson wykonał zwrot i popędził do swojego bungalowu z prędkością, jakiej nikt by się nie spodziewał po jego samochodziku.

Rozdział 21

Wieczór.

Może ósma. Może dziewiąta.

Więzienie Megan wypełniało blade światło księżyca wznoszącego się nad wzgórzami za obozem.

Megan obserwowała, jak ciemność zakrada się minuta za minutą do jej pokoju, zalewając go jak woda, dusząc, grożąc utopieniem.



Zewsząd dobiegał szelest małych pazurków: szczury skradały się po ścianach i podgryzały gazety, którymi utkała swoją drogę ucieczki. Sprawiały wrażenie poirytowanych. Pewnie były głodne.

Pisk.

Podciągnęła kolana pod brodę i wyjrzała przez okno na niebo. I odpłynęła w świat halucynacji. Matowoszara materia przepływających chmur zaczęła przybierać kształty niedźwiedzi, aniołów, macek, owadów, czaszek...

Niedźwiedzi.

Przypomniał jej się ojciec.

Szepczące niedźwiedzie.

Potem przypomnieli jej się ojciec i matka.

Szukacie mnie, prawda?

Może matka nie będzie wiedziała, co właściwie robić. Pójdzie na policję i opowie wszystko nie tak, jak należy, będzie rozhisteryzowana i bezradna.

Ale w końcu jej wysłuchają.

A ojciec... sprytny i chłodny, z wszelkimi swoimi koneksjami - sędziami, policjantami, przyjaciółmi w Richmondzie - pociągnie za sznurki i rozpocznie pościg. Gdy czegoś chce, nie sposób go powstrzymać. Bett twierdziła, że gadaniem potrafiłby trafić do piekła i z powrotem. Złotousty diabeł...

Jasne, że ją znajdzie.

Megan skuliła się naga na sznurowym łóżku, wpatrując się w niebo, i nie wiedzieć czemu przypomniała sobie popołudnie sprzed wielu lat. Miała wtedy trzy lata. Za domem rodziców miało właśnie zacząć się przyjęcie. Było gorące listopadowe popołudnie. Halloween przeszło już jakiś tydzień temu, a na Dzień Dziękczynienia było jeszcze za wcześnie. Wszyscy sprawiali wrażenie smutnych. Mama wieszała lampiony na drzewie, Megan siedziała na ogrodowej ławce, układając faszzerowane jajka na półmisku.

Co się dzieje?

Ojciec wyszedł powoli z domu, przystanął na chwilę na tylnym ganku, przyglądając się Bett i Megan. Bett odwzajemniła spojrzenie i wróciła do wieszania lampionu. Megan poczuła się bezpiecznie. Mama była blisko. Ojciec przyglądał im się opiekuńczo. Wypatrywał czyhających niebezpieczeństw.

Megan zawsze wracała do tego wspomnienia, gdy miała pewność, że on jej nie kocha, gdy była samotna, gdy rozpaczliwie pragnęła szczęścia. Myślała wtedy: To, że do mnie nie mówi, nie znaczy jeszcze, że mu na mnie nie zależy. Ta myśl była niczym starożytna złota moneta - cenna i pocieszająca.

Ale potem uświadamiała sobie nagle, że wszystko zrozumiała opacznie.

Zrozumiała to jeszcze tamtego dnia wiele lat temu. Tate wcale nie patrzył na nią. Patrzył przez nią. Stało się coś niedobrego i on myślał tylko o tym. Pewnie nawet jej wtedy nie zauważył. Była niewidzialna.

Nie przejmował się mną wtedy, a teraz nie obchodzi go, że zniknęłam.

Miłość Tate'a Colliera do niej polegała wyłącznie na zamaszystym podpisywaniu rachunków za obiad. Kupował jej nieodpowiednie prezenty albo w ogóle nie kupował żadnych, czytał jej baśnie, które nie były baśniami dla dzieci. A potem porzucił ją i poszedł w swoją stronę.

Ojciec w najlepszym razie poprawny.

Stanowił jej jedyną nadzieję, ale powinna była wiedzieć od początku, że to bez nadziejne.

Niedźwiedzie nie umieją mówić.

Nie, nie przyjedziesz po mnie. Nie zależy ci, masz to w dupie. Drobną przeszkodą zniknęła z twego życia.

Szalona Megan płakała przez jakiś czas.

Aż w jej myślach pojawił się kolejny obraz. Megan siedząca na kozetce w gabinecie doktora Petersa. Płacze, spogląda na list leżący na kolanach, gdy doktor ożywia gniew



w jej duszy.

Gniew.

Teraz też go czuje.

Ale teraz zwrócony jest przeciwko niemu, jego kłamstwom, jego zdradzie.

Usiadła i otarła łzy. Zatem zrobię to sama. Włosy rozsypały się wokół jej twarzy, gdy zeskoczyła z łóżka. Schyliła się ku sznurom i wgryzła się w jeden z nich. Oddarła go i związała włosy w koński ogon, po czym - czując się mała i nieszczęśliwa - pobiegła do łazienki i raz jeszcze oderwała metalową płytę od ściany.

Nachyliła się i zajrzała do sąsiedniego pokoju. Panowała tam cisza, a pomieszczenie wydawało się puste, aczkolwiek starzec mógł stać przy otworze i czekać, żeby przebić ją ostrą kościaną laską.

Jeśli jest żywy, musi oddychać, a wtedy go usłyszę.

A jeśli jest duchem, nie może zrobić mi krzywdy.

W dziurze popiskiwały szczury. Spadajcie z drogi, małe cholery! Uderzyła mocno w gips i uciekły. Poczowała przyływ pewności siebie. Wystraszyła na śmierć przynajmniej jednego nieprzyjaciela.

Głęboki wdech. Raz, dwa, trzy...

Wpełzła w dziurę. Kark boleśnie otarł się o ścianę, ale zdołała jakoś odsunąć od siebie przerażającą wizję szczurów i starca. Pomogło przywołanie jednej myśli, czegoś, co pochłonęło całą jej uwagę - niczym mantry, które Bett powtarzała podczas medytacji. Ta myśl przywołała nawet słaby uśmiech na twarz Megan. Ponieważ nie myślała o starcu, szalonych kaznodziejach, szczurach ani szepczących niedźwiedziach. Ani nawet o rodzicach. Myślała jedynie i z pełną jasnością o czerwono-białej skrzynce pełnej małych plastikowych sztuczków, w cenie 1,39 dolara za sztukę plus VAT.

Umysł poety.

Irracjonalny, nielogiczny; siedlisko - prawa półkula.

Robert Carson był poetą, to prawda, ale też bardzo sprytnym człowiekiem. Żył wystarczająco długo, żeby docenić umiejętność kalkulowania - a miał taką słabostkę, że stało się ono konieczne.

W drodze do bungalowu instynktownie przywołał tę umiejętność i sformułował teorię wyjaśniającą, co się stało z Megan.

Ten doktor Peters musiał gdzieś widzieć dziewczynę - na imprezie, w restauracji, może w gabinecie jej internisty lub ginekologa - i dostał na jej punkcie obsesji. Jakoś doprowadził do tego, że się spiła tamtej nocy i umówiła się z nim na sesję terapeutyczną. Zachęcił ją lub zmusił do napisania tych listów, żeby upozorować ucieczkę, a teraz trzyma ją związaną w piwnicy swojego domu.

Carson potrafił recytować z pamięci „Cantos” Ezry Pounda i umiałby napisać wiersz heksametrem daktylicznym przez sen, ale czytał również namiętnie „National Enquirer”, a słowa, które nie przestawały go przesładować, gdy myślał teraz o Megan, brzmiały: niewolnica seksualna.

Istniały oczywiście pewne drobne szczegóły, które nie pasowały do ogólnej teorii. Ale jedną rzecz Carson rozumiał bezbłędnie - obsesję, a w szczególności obsesję na punkcie Megan McCall. Grzechy, które najszybciej dostrzegamy u innych, są zazwyczaj również naszymi grzechami.

Carson zatrzymał samochód na podjeździe i wbiegł ciężko do środka, nie zwracając uwagi na stertę poczty - broszury wydawnictw uniwersyteckich i katalogi ekskluzywnych publikacji. Był w połowie drogi do telefonu, kiedy zauważył, że w pokoju ktoś jest i mu się przygląda.

- Jezu! - krzyknął Carson. - Kim pan jest, u diabła? Jak pan się tu dostał?

Mężczyzna był mniej więcej w wieku Carsona, szczupły, bardzo poważny. Było w nim coś prostackiego. Miał brudne dżinsy, zniszczone wysokie buty i poplamioną roboczą koszulę. Żuł gumę lub tytoń.



To on! Mężczyzna, którego widział na boisku godzinę temu, ten, który mu się przyjrzał, gdy rozmawiał z Carole i jej koleżankami.

Serce Carsona zaczęło walić jak szalone.

To oznacza kłopoty, poważne kłopoty.

Zerknął w stronę telefonu, ale wiedział, dlaczego mężczyzna się tu znalazł, i policja mu w tej chwili nic nie pomoże.

- A więc to pan - odezwał się intruz z wyraźnym akcentem z gór. - Nic szczególnego.

- Kim pan jest?

- To pana jaskinia, hę? Nauczyciel nie zarabia wiele.

- Widziałem pana. Dziś pod szkołą. Pan mnie śledził.

- Obserwowałem przez jakiś czas.

Carson spojrzął na pogrzebacz leżący obok kominka. Mężczyzna uniósł koszulę, pokazując kolbę pistoletu.

- Jestem niezłym myśliwym i bez kłopotu dam panu radę.

- Czego pan chce?

- Niech mi pan coś powie, panie nauczycielu.

Carson nie odpowiadał.

- Jak było, tyle chcę wiedzieć.

Drobna iskierka zapłonęła w sercu nauczyciela. Niczym lont.

- Nie powiedziała mi, ile miała lat, gdy po raz pierwszy to z nią zrobiłeś. Powiedziała, że trochę bolało. Opowiedziała mi też różne inne rzeczy. Ma kompletny mętlik w głowie. Ale nie aż taki, żeby nie wyznać, że pieprzył ją nauczyciel.

Kim on jest? - zastanawiał się Carson. Oprócz Megan były tylko dwie. Sara? Jenny? Chwileczkę, już wiem. Jenny. Chuda z młodszej klasy. Chyba pochodziła z gór w Karolinie Północnej. I była dziewczicą. Wydawało mu się, że nie miała ojca, ale nie potrafił sobie teraz przypomnieć. Twierdziła, że ma osiemnaście lat, ale on zobaczył jej świadectwo i z przerażeniem odkrył, że jest o dwa lata młodsza. Doskonała uczennica, przeskoczyła drugą i szóstą klasę.

Jenny. Śliczna blondynka. Nawet teraz, mimo rozpaczliwej sytuacji, poczuł miłe ciepło na wspomnienie chwil spędzonych z nią w łóżku.

- Jak mogłeś? - Splunął ojciec dziewczyny. - Jestem mężczyzną i odwracam głowę na widok ładnej buzi jak każdy inny. Ale nie dziewczynek. To najgorsze, co mogę sobie wyobrazić. Nie wiem, jak ktokolwiek może coś takiego zrobić.

To samo pytanie dręczyło jakże często Carsona.

Opadł na stół.

- Ona jest teraz w szpitalu.

- Jenny? W szpitalu?

Mężczyzna potaknął.

- Najpierw dręczyły ją koszmary, potem przestała jeść i myć się. Mówią, że przechodzi załamanie. Moje dziecko... co ty zrobiłeś mojemu dziecku?

- Powiedziała mi, że jest starsza niż w rzeczywistości.

- Pierdu, pierdu - odpowiedział szyderczo tamten. - Nie chcę tego słuchać. Ona była dzieckiem. Ale ty jej to odebrałeś, skurwysynu.

Coś jest nie w porządku z jego oczami, pomyślał Carson. On nie jest zły, ale wyra- chowany.

- Ona uważa, że to wszystko jej wina. Usiłowała się zabić. Wiesz, co zrobiła? Wzięła benzynę. Chciała spalić sobie twarz, bo twierdziła, że czuje, jak spuszczasz się na jej policzki. Tak powiedziała.

- Nigdy tego nie zrobiłem!

A może jednak? Nie pamiętał. Benzyna?

O Boże, co ja zrobiłem.

- Znalazłem ją w chwili, gdy chciała zapalić zapałkę, i uratowałem.

- Boże, nie! - Carson zawsze był taki ostrożny. Wybierał tylko zrównoważone dziewcz-



czyny. Dojrzałe, inteligentne, niezależne. Osiemnastolatki lub prawie. To, co robił, było złe, grzeszne, ale starał się zachowywać ostrożność. Być pewny, że jeśli pojawiał się ból, to tylko taki, jaki jest do przyjęcia w każdym związku.

Niemniej gdzieś głęboko miał świadomość ryzyka.

Carson się rozplakał.

- Tak mi przykro.

- Myślałem, żeby cię zabić. Myślałem o szantażu. Myślałem, żeby powiedzieć wszystko w szkole i na policji, żeby obgryźli cię do kości. Ale to nie pomoże mojemu dziecku. A to jej chcę pomóc.

- Pieniądze? Jak...

- Pierdol się. - Mężczyzna splunął. - Myślisz, że przyjąłbym od ciebie jednego nędznego dolara?

- Przepraszam. - Carsonowi brakowało tchu. Sięgnął po butelkę szkockiej. Nalał sobie drinka i wypił go do dna. - Jak mogę pomóc?

- Ona powtarza, że to wszystko jej wina. Że zrobiła coś okropnego. Chce wypalić wszystkie miejsca, których dotykałeś. Chce zedrzeć z siebie skórę. Mówi tylko o tym.

- Biedactwo. - Łkając, Carson nalał sobie kolejnego drinka.

Ojciec dziewczyny spoglądał na niego z odrazą.

- Płaczesz jak dziecko. Co z ciebie za mężczyzna?

- Przepraszam.

- W porządku. - Głos tamtego złagodniał. - Przestań. Nie chcę tego słuchać. Oto dlaczego przyszedłem. Chcę, żebyś jej powiedział, jak bardzo żałujesz tego, co zrobiłeś.

- Już jadę. Gdzie...

- Nie, mój panie. Nie chcę, żebyś się do niej zbliżał. Muszą ją uspokajać za każdym razem, gdy myśli o tobie. - Mężczyzna nachylił się, oczy mu płonęły.

- Co mam zrobić?

- Powiedz jej, że to nie jej wina. Napisz do niej, przekonaj ją, że jest wartościową osobą, a to ty popełniłeś błąd. Jeśli to zrobisz, nie powiem nikomu. Jeśli odmówisz, pójdę na policję. Nie chcę tego, to dla niej będzie za trudne, gazety i tak dalej. Ale zrobisz to. Zrobisz, żeby ocalić moje dziecko.

Carson spojrział w mroczną przyszłość i ujrzał swoją karierę nauczycielską w gruzach, tę i każdą inną, jaką rozpocznie. Nauczyciel uwodzący uczennice - jedyna zbrodnia, która na zawsze zamyka bramy szkół.

Pojawiła się perspektywa ratunku.

- Oczywiście.

Wziął kartkę papieru i wyciągnął z glinianego kubka ołówki. Czarny ogryzek - taki, jakim pisał swoje wiersze, taki, jakiego używał Thomas Wolfe.

Ojciec Jenny wstał i zaczął się przechadzać.

- Co mam napisać? - spytał Carson.

Pociągnął trzy razy z butelki i otarł rękawem twarz. Usiłował powstrzymać drżenie rąk. Nie udało się.

- Napisz, że to nie jej wina. Że zrobiłeś coś okropnego, niewyobrażalnego. I że nie daje ci to zasnąć. Zżera cię w dzień i w nocy, rozdziera na strzępy. To nie jej wina. Ty ponosisz całą odpowiedzialność. I oddałbyś wszystko, byle to się nie wydarzyło.

- Tak, tak - mamrotał Carson, pisząc.

- Napisz to.

Bazgroły Carzona były zazwyczaj czytelne tylko dla niego. Ale gdy wyobraził sobie nieszczęsną dziewczynę leżącą na szpitalnym łóżku, starał się powstrzymać drżenie rąk. Pisał powoli, starannie. Każde słowo płonęło na papierze niczym czarny ogień.

Dopiero gdy napisał ostatnie zdanie i postawił pełen zawijasów podpis, uświadomił sobie, że karoliński akcent tego człowieka osłabł, prawie zanikł. Zmarszczył brwi. Chwilczkę, pomyślał. Ten prostak użył słowa „niewyobrażalne”?

Spojrzał na to, co właśnie napisał.



O Boże, nie...

Świszczący oddech uwiązł mu w gardle. Odwrócił się powoli, po policzkach płynęły mu łzy. Zrozumiał.

- Pan jest lekarzem Megan - szepnął. - Pan ją ma.

Mężczyzna wyrwał mu list palcami w gumowej rękawiczce i odezwał się zupełnie innym głosem, pozbawionym akcentu, całkowicie spokojnym i racjonalnym.

- Kiedy napominasz kogoś, aby ukarać jego grzech, sprawiasz, że to, czego pożąda, roztapia się. Każdy śmiertelny byt jest tylko tchnieniem wiatru.

Carson krzyknął i uskokzył, gdy poczuł na kolanach chłód lodowatego płynu.

- Nie!

Podskoczył, rozpaczliwie usiłując strzepnąć z siebie benzynę.

Tuż nad uchem usłyszał pstryknięcie zapalniczki. Zaczął krzyczeć.

Rozdział 22

Szalona Megan nie jest już szalona.

Jest wkurzona.

Ścisła w ręce pudełko plastikowych sztućców, stojąc w zagłębieniu mrocznego korytarza w połowie drogi do kaplicy.

Blade światło księżycy wlewa się przez zakratowane okna i tworzy geometryczne wzory na brudnej posadzce. Megan przemknęła się do mrocznej wnęki, po czym przylgnęła do ściany, nasłuchiwała.

Jest!

Usłyszała szuranie i stukot przeklętej laski starca. Może też szelest oddechu, trzepot skrzydeł.

Po czym doszła do wniosku, że nie ma znaczenia, czy on żyje w tym okropnym miejscu czy też w zakamarkach jej wyobraźni. Mógł ją zabić. Zniszczyć jej umysł strachem.

Kolejne szuranie, kolejny stukot.

Wciągnęła powietrze i zamknęła oczy, stojąc całkiem bez ruchu. To nie szaleństwo. To starzec. Jest prawdziwy. Cholera. Tuż obok. Ale gdzie? Gdzie on, do cholery, jest?

Urywany oddech zaraz koło niej. Jego oddech.

Megan przylgnęła do ściany i zaczęła w milczeniu przypominać sobie składankę Janis Joplin, utwór po utworze. Zapłakała bezgłośnie przy „Me and Bobby McGee”, po czym odzyskała odwagę, gdy doszła do „Down on Me”.

W końcu chłód zmusił ją do ruszenia się z miejsca. Zimne powietrze, w którym czuło się odór rozkładu, wirowało wokół niej, a zęby zaczęły szczełakać jej tak głośno, że musiała przygryźć język, żeby się uspokoić. Po dziesięciu długich minutach dotarła do kaplicy i wkradła się do środka cichutko, zaglądając w cienie za drzwiami.

Nic. Ani starców, ani duchów.

Omijając z daleka trumnę, pospieszyła ku ołtarzowi i wsunęła się za ciemnoczerwoną kotarę. Zatrzymała się, nasłuchując; brak kroków, stuków, chrzęstu obroży, straszliwego zawodzenia. Nic. Megan uśmiechnęła się, kładąc ręce na ścianie.

Płyty gipsowe.

Pamiętała dzień w domu ojca kilka lat temu. Spotykał się wtedy z kobietą, która miała trójkę dzieci. Jak zwykle myślał o tym, żeby się z nią ożenić, i posunął się nawet tak daleko, że zamówił ekipę remontową, żeby podzielić sypialnię na dwa mniejsze pokoje. Ale w połowie robót zerwał z nią i budowy nigdy nie dokończono. Ale Megan zapamiętała murarzy przecinających bez trudu płyty gipsowe niewielkimi piłami.

Wyciągnęła z pudełka plastikowy nóż. Był mały - prawie jak zabawka - i przez moment poczuła beznadziejność całego planu. Ale po chwili zaczęła ciąć. Tak! Po pięciu minutach wyryła w ścianie małą szczelinę. Nóż okazał się nadspodziewanie ostry.

Wyszeptała krótką modlitwę dziękczynną, zakładając, że jeśli Bóg istnieje, to na



pewno ma poczucie humoru i nie powinien mieć nic przeciwko temu, że okazała Mu wdzięczność za pomoc w wydostaniu się z kościoła.

Po kwadransie zaczęło jej iść całkiem niezłe. Po czym w jednej chwili ząbkowane ostrze stało się gładkie i tępe. Schowała nóż pod pulpit i wzięła następny. I znów zaczęła ciąć. Ale przy pierwszym ruchu jęknęła z niewiarygodnego bólu, jaki przeszył jej rękę. Upuściła nóż i dotknęła delikatnie swojej dłoni. Wybrzuszenie na rączce pierwszego noża otarło jej skórę w samym środku linii życia. Megan przyłożyła dłoń do policzka i poczuła wilgoć krwi lub płynu surowiczego z pękniętego pęcherza.

Sycząc z bólu, oparła głowę o gipsową ściankę i wdychała kamiennie-wilgotny zapach, który przypomniał jej Joshuę. Czasami malował na gipsowych płytach, ten ostry aromat przypominał więc jego pracownię. Łzy napłynęły jej do oczu.

Nie, powiedziała sobie. Nie myśl o nim. Nie potrzebujesz go. Nie potrzebujesz nikogo. Świetnie dajesz sobie sama radę. Podparła jedną rękę drugą i nacisnęła mocno. Czekając, aż ból zelżeje, zmierzyła szczelinę w ściance. Jakieś siedem cali. A więc osiem albo dziewięć noży powinno wystarczyć, żeby wyciąć dziurę, przez którą się prześlizgnie.

Ile czasu to zajmie? Cztery godziny? Pięć?

Tyle tylko, że nie wzięła pod uwagę dwóch rzeczy. Po pierwsze, jej prawa ręka jest bezużyteczna; przede wszystkim z powodu okropnego bąbla, ale też ze względu na skurcz pomiędzy mięśniami dłoni i przedramienia.

Po drugie, usłyszała samochód wjeżdżający na długi, wysypany żwirem podjazd przed budynkiem.

W panice Megan zgarnęła noże i wsunęła je pod pulpit, po czym zdmuchnęła gipsowy pył z podłogi wokół szpary. Sama szczelina była ukryta za aksamitną kotarą.

Rozległo się skrzywienie automatu otwierającego drzwi do garażu, ale nie słyszała starca. Najwyraźniej zasnął.

Chyba, że czekał na nią w korytarzu.

Albo pod jej łóżkiem.

Albo w jej łóżku.

Megan wybiegła z kaplicy i popędziła przez korytarz, trzymając się w cieniu. Gdzieś daleko w budynku trzasnęły drzwi. Rozległy się kroki.

Na czworakach zajrzała do swojej króliczej nory.

Kroki słyszała gdzieś za sobą, ale się zbliżały. Nie szuranie, tylko zdecydowane kroki.

Kroki człowieka, który myśli o wszystkim.

Nasłuchiwała, ale z jej pokoju nie dobiegał żaden dźwięk. Wzięła głęboki wdech i wpełzła ponownie do dziury. Przyciągnęła kratkę na miejsce i przycisnęła metalową płytę w łazience po swojej stronie szybu.

Kroki się zbliżały.

Słuchając ich, pomyślała ze łzami w oczach, że on ma na nogach buty.

Och, jak bardzo chciałyby mieć parę butów.

Bliżej. Megan wspięła się na łóżko, zwinęła się i zamknęła oczy.

Kroki zatrzymały się za drzwiami.

Nie-rusz-żadnym-mięśniem.

Co on robi? Wejdzcie do środka? Zgwałci, zabije, sfilmuje?

Oddychała tak szybko, że piersi podskakiwały jej jak sztormowe fale. Uspokój się. Uspokój się. Szczękała zębami z zimna i strachu. Jeszcze raz przygryzła język.

I nic.

Drzwi się nie otworzyły. Zapadła długa chwila ciszy, po czym kroki ruszyły dalej. Prawdopodobnie Matthews poszedł na poszukiwanie ojca. Żeby dowiedzieć się od starca, czy gość dobrze się sprawował.

Wciąż cisza. Spokój minął, Megan zaczęła się denerwować. Gdzie on jest? Co się dzieje? Cierpła jej skóra na myśl, że on jest na zewnątrz, ale jeszcze gorsza była nie-



wiedza, gdzie mógłby się podziwiać.

Minęło pięć minut. Dziesięć. Piętnaście. Konopny sznur wrzynał się w skórę. Ale bała się poruszyć.

Ty fiucie, pomyślała. Jak się stąd wydostanę...

I nagle nad głową, tuż za oknem, usłyszała ciche poruszenie. Oczy miała przymknięte, ale zauważyła wielką wronę, która przysiadła na oknie. Złożyła skrzydła. Ciemność wypełniła niebo nad jej głową.

Megan wciągnęła głośno powietrze ze strachu i zamarła.

Stał tuż nad nią i zaglądał do pokoju. Aaron Matthews. Miał na sobie długi czarny płaszcz. Oczy w szczupłej twarzy przyglądały jej się tęsknie. Łkała bezgłośnie, ale nie poruszyła żadnym mięśniem.

Cień zniknął.

Anioł śmierci, pomyślała.

Nie chciała, ale pomyślała.

Powoli podniosła wzrok i w świetle księżyca dostrzegła ciemną sylwetkę Matthews'a, który szedł przez podwórze, oddalając się od budynku.

Przycisnęła twarz do zimnego szkła. Zauważyła, że trzy albo cztery czarne psy, podobne do tego, którego widziała, zbiły się w stado na polance niedaleko domu. Wpatrywała się w to miejsce dość długo, aż uświadomiła sobie, że patrzy na szczątki czegoś, co kiedyś było żywe. Krzyknęła. Krwawe kości i strzępy materiału. Cokolwiek to było, zwierzęta obgryzły to do kości.

Poczuła, że zbiera się jej na mdłości.

Matthews wyszedł na dużą polanę, na której stała szara estrada. Spod niej wyciągnął coś dużego, rzucił to na ziemię i łopatą o długim trzonku zaczął kopać dziurę w miękkiej ziemi. Światło księżyca odbijało się niebieskawo od narzędzia i długich rąk Matthews'a. Gdy wykopał dół na jakieś dwie, trzy stopy, wy dostał się z niego i podniósł to, co wyjął spod prowizorycznej estrady.

Mój plecak, uświadomiła sobie Megan. Ten, który trzymała u Tate'a w domu. Wyglądał na pełny.

Kiedy on go zdobył? Po co?

Wrzucił plecak do dziury. I przysypał ziemią.

Następnie wspiął się na scenę i zaczął się przechadzać, spoglądając na trawę oszronioną poświatą księżyca. Uniósł ręce i wydawało się, że przemawia. Najpierw łagodnie, a potem z coraz większą pasją. Przypominał dyrygenta orkiestry.

Potem znów gwałtownie. Z zaciśniętymi pięściami. Paradował po scenie, grożąc palcem wyimaginowanym słuchaczom, uśmiechając się, marszcząc brwi i krzycząc.

I nagle, jakby zawołała go po imieniu, Matthews odwrócił szybko głowę i spojrzał prosto w jej okno.

Z jej ust wydobył się krótki krzyk.

On mnie widzi!

Księżyc świecił jej prosto w twarz, biało-niebieski, oślepiający. Jego oczy kryły się w cieniu, ale Megan wiedziała, że patrzy na nią. Opuścił ręce i odwrócił się do niej.

Anioł śmierci zszedł powolnym krokiem z estrady.

Upadła na łóżko, szlochając w panice.

Odejdź! Proszę! Niech on odejdzie!

Zwinęła się w kłębek, sparaliżowana. Bała się zamknąć oczy, boby nie wiedziała, gdzie on jest. Bała się trzymać je otwarte i ujrzeć go znów nad sobą.

Pięćdziesiąt stóp stąd?

Dziesięć?

Gdzie-on-jest?

Pozostawała bez ruchu, nasłuchując odgłosu kroków. Nic. Czekwała, że wfrunie przez okno, by przytrzymać ją, podczas gdy starzec zatopi w jej ciele swoją ostrą laskę. Czekwała, że wyniesie ją na pole i pochowa żywcem w płytkim grobie...



Nasłuchiwała, ale nie słyszała nic poza szumem krwi w uszach i urywanym oddechem.

Gdzie?

Nic nie słyszała.

Załkała i zwinęła się na podłodze, ukrywając głowę w ramionach.

Gdzie on jest? Gdzie, gdzie?

Tuż przed północą dali sobie spokój z wydzwanianiem do Joshuy LeFevre'a.

Tate i Bett usiłowali się do niego dodzwonić dziesiątki razy. Nie odbierał telefonu i nie odpowiadał na pozostawione wiadomości. Pojechali nawet do dystryktu, żeby porozmawiać z sąsiadami, ale nikt go nie widział od wczesnego popołudnia.

Przykleili na drzwiach karteczkę z wiadomością i wrócili do Fairfax. Ale gdy Tate zmienił pas przed zjazdem prowadzącym do dzielnicy Bett, zapytała:

- Czy moglibyśmy jeszcze trochę pojeździć?

- Jasne.

Pojechał dalej do Centreville, które jest mniej podmiejskie niż Fairfax, zjechał z autostrady i skręcił w pustą wiejską drogę.

- Tate - odezwała się Bett - jeśli ją znajdziemy...

- Kiedy ją znajdziemy.

- Co będzie, jeśli okaże się, że jest na nas tak wściekła, że nie będzie chciała wrócić do domu?

- Przekonamy ją - zapewnił.

- Myślisz, że potrafiłbyś to zrobić? Namówić ją na powrót do domu?

- Nie wiem. Myślę, że tak.

- Twoja praca polega na przekonywaniu ludzi do różnych rzeczy.

Roześmiał się.

Współczesny angielski czasownik to talk, mówić, pochodzi od staroangielskiego talian - dyskusja. Tate szanował wszelkich uczonych i sądził, że mają rację. Ale wołał wierzyć, że słowo to jest spokrewnione z łacińskim przodkiem słowa talon - szpon jastrzębia.

Czy będzie potrafił przekonać Megan do powrotu do domu?

Istnieje taki mistyczny moment w debacie, kiedy po stronie oponenta jest logika i fakty, a może nawet większość słuchaczy, a jednak ty wygrywasz. Prowadzisz go w określonym kierunku i zmuszasz do zbudowania całego wywodu na czymś, co się wydaje niepodważalnym fundamentem o nieskazitelnej logice, którą później nagle robisz.

Czujecie się, powtarzał Tate swoim studentom, zupełnie jak w szermierce, kiedy symboliczne serce zostaje dotknięte tępym ostrzem. Bez fint, zwodów czy silnych uderzeń, tylko proste, niespodziewane dotknięcie.

Wszystkie koty widzą w ciemności. Północ jest kotem. A zatem Północ widzi w ciemności.

Nie do podważenia.

Chyba że Północ jest ślepa.

Jak bardzo chciałby siedzieć teraz naprzeciwko Megan, tłumaczyć jej, że owszem, było ciężko, wszyscy popełnili błędy, życie nie potoczyło się zgodnie z oczekiwaniami, ale jeszcze nie jest za późno, na pewno nie.

- Sprowadzimy ją do domu - zapewnił Bett.

- Gdzie twoim zdaniem ona teraz jest? - zapytała po chwili. - Właśnie w tej chwili?

Co robi?

Nie odpowiedział.

Bett wyciągnęła lusterko, żeby poprawić makijaż. Tate powrócił nagle pamięcią do tej nocy, kiedy się poznali - na imprezie w Charlottesville. Odwiózł ją potem do domu i spędził pół godziny na przednim siedzeniu, usuwając ślady szminki.



Pięć tygodni później zaproponował, żeby zamieszkali razem.

Dwuletni romans na uczelni. Skończył prawo w tym samym roku, kiedy ona otrzymała licencjat. Opuścili sielankowe Charlottesville i przenieśli się do dystryktu; Bett znalazła pracę jako kierownik księgarni. Żyli zwykłym, prostym życiem, jakie Waszyngton oferuje młodym parom startującym w dorosłe życie. Pocięchą dla Tate'a była jego praca, dla Bett to, że wreszcie znajdowała się blisko swojej siostry bliźniaczki, mieszkającej w Baltimore, zbyt chorej, żeby podróżować do Charlottesville.

Pobrali się w maju.

Jego plantacja powstała następnej wiosny.

Megan urodziła się dwa lata później.

A po następnych trzech latach się rozwiedli.

Gdy spoglądał wstecz na ich związek, zawodziła go pamięć, którą zawsze miał doskonałą. To, co sobie przypominał, było jak ostre szczyty górskie wznoszące się nad wodą z olbrzymiego podmorskiego pasma górskiego. Eteryczna kobieta, którą poznał na zabawie, śpiewająca smutną żeglarską pieśń pożegnalną. Spacerowanie na wsi. Jazda przez Blue Ridge ku górcom Massanutten. Miłość w lesie w pobliżu jaskiń Luray. Tate zawsze lubił życie na świeżym powietrzu, pola kukurydzy i grilla w ogrodzie. Bett zaczęła interesować się światem za drzwiami domu dopiero o zmierzchu.

- Kiedy granica między światami jest najwęższa - powiedziała mu kiedyś, siedząc na werandzie zajazdu daleko w Appalachach.

- Jakimi światami? - zapytał.

- Ciii, posłuchaj - odparła, oczarowując go, mimo że doskonale wiedział, że to iluzja, która zapewne jest najmocniejszym istniejącym oczarowaniem.

Betty Sue McCall, bardzo przywiązana do swojej siostry, z którą łączyła ją jakaś mistyczna więź, irytująca racjonalistę Tate'a. Bett McCall, zachrypnięta piosenkarka folkowa, zbieraczka tego, co niewyjaśnione, tajemnicze, niewidzialne...

Tate nigdy nie zrozumiał, czy jej wysublimowany mistycyzm wyolbrzymił ich miłość do fałszywych rozmiarów, zaciemnił ją czy też stanowił istotę tej miłości.

W końcu przestało to oczywiście mieć jakiegokolwiek znaczenie, ponieważ rozstali się, odsunęli od siebie emocjonalnie, jeśli nawet nie fizycznie. Betty Susan McCall stała się dla niego tym, czym była, gdy po raz pierwszy go oczarowała: kobietą jego marzeń.

Dziś pstryknęła twarz w lusterku, potarła jakąś niewidzialną bliznę - pamiętał te ruchy. Zamknęła lusterko.

- Zatrzymaj się, Tate.

- O co chodzi?

- Po prostu się zatrzymaj.

Zatrzymał się przy wjeździe do skansenu „Pole bitwy pod Bull Run”.

Bett wysiadła z samochodu i weszła na łagodne wzgórze, uciszając stado cykad. Tate poszedł za nią, a gdy znaleźli się na płaskim szczycie, zatrzymali się i jednocześnie popatrzyli w górę na miliony gwiazd.

- O co chodzi, Bett? - spytał, ale nurtowały go inne pytania: Czym ona mnie tak trzyma? Co to za zaklęcie? - To nie chodzi o nią, prawda? - spytał ostrożnie.

- Nie.

Roześmiał się słabo, widząc, jak wpatruje się w nocne niebo.

- Szukasz spadającej gwiazdy, żeby dopomóc sobie w podjęciu decyzji?

Odwróciła wzrok od deszczu gwiazd nad ich głowami.

- To pewnie by pomogło, tak. Ale szczerze mówiąc, wolałabym ducha albo dwa.

- A więc to odpowiednie miejsce. Generał Jackson wypadł zza tych drzew i zatrzymał chłopców Unii. To właśnie tu zasłużył sobie na przydomek Stonewall, Kamienny Mur. - W oddali księżyc odbijał się w lufach armat Unii.

Bett odwróciła się nagle i przyciągnęła go do siebie, przylgnęła rozpaczliwie do jego twarzy i ucałowała go mocniej - tak mu się wydało - niż kiedykolwiek.

Odstąpili od siebie, oboje zaskoczeni, z oczami zwróconymi ku górze, i stali tak,



wpatrując się w niebo. Gdy nie pojawiły się żadne duchy, a błyskawice białego ognia nie przecięły nieba, otoczył ją ramieniem i poprowadził do samochodu. Wrócili do jego domu, gdzie poprowadził ją do łóżka i oboje zdumieli się, jak szybko obcość przemieniła się w bliskość, gdy zwarli swe ciała w rytmie, którego żadne z nich nie zapomniało. A potem, w ciemności wczesnego poranka, pogrążyli się we śnie, wtuleni w siebie, odychając równo, on z ręką na jej piersi, w pozycji, w której zwykli leżeć wiele lat temu.

CZWARTEK
Grzechy ojców

Słuchajcie niebios, i uważnie przysłuchuj się, ziemi!
Gdyż oto Pan mówi: Synów odchowalem i wypiasowałem,
lecz oni odstąpili ode mnie.

Księga Izajasza 1,2

Rozdział 23

Oto jak Tate wspominał ją, gdy wspominał pasję.

Potem.

Rano.

Biała skóra Bett na białym prześcieradle, grube pukle rudych włosów na poduszce. Światło poranka wpadało przez zasłony sypialni, którą razem zbudowali, malowało scenę w monotonnych pastelach.

Zamknął oczy i przez chwilę wydało mu się, że znikł cały szmat życia i oto obudził się w kwietniowy dzień w tym samym domu, w tym samym łóżku, ale prawie dwie dekady wcześniej, a między chwilą obecną i wcześniejszą nie było żadnych tragedii, radości, żadnych wydarzeń - jakby on i Bett znaleźli się w jakiejś cudownej fałdzie czasu. Życie czekało na nich, a oni mogli uczynić z nim, co chcieli.

Wstał z łóżka i podszedł do okna. Wyrzał na podwórze i pobliskie pole. Patrzył na tę ziemię tak, jakby widział ją po raz pierwszy.

Uprawy Tate'a Colliera były bardziej konserwatywne niż na większości piedmondzkich farm: cztery pola obsiewane na zmianę soją, kukurydzą i żytem.

- Posłuchaj, Tate - powiedziała by Sędzia.

Chłopiec zawsze słuchał.

- Co to są rośliny strączkowe?

- Groszek.

- Tylko groszek?

- No, fasola też, tak mi się wydaje.

- Groszek, fasola, koniczyna, lucerna, wyka... to wszystko rośliny strączkowe. Pomagają glebie. Jeśli co roku będziesz siał zboża, to co się stanie?

- Nie wiem, dziadku.

- Twoja gleba zmieści się w koszyku.

- Dlaczego, dziadku?

- Ponieważ strączkowe pobierają azot z powietrza, a zboża z gleby.

- Aha.

- Będziemy uprawiać odmianę Mamut na kiszonki, a także wirginijską soję. Wilson i Haerlandts są dobre na nasiona i siano. Jak przygotujesz ziemię?

- Tak, jakbym miał siał kukurydzę - odparł chłopiec zgodnie z wcześniejszą nauką.

- Będę siał szeroko z siewnika do pszenicy.

Sędzia ni stąd, ni zowąd spoglądał na chłopaka i pytał:

- Zdarza ci się przeklinać, Tate?

- Nie, dziadku.



- Masz. Przeczytaj. - Wsunął Tate'owi w rękę stary biuletyn wirginijskiego Departamentu Rolnictwa i Imigracji. Zakreślony artykuł ubolewał nad rosnącą wulgarnością języka młodych farmerów. („Nawet część naszych dziewcząt nabrała tego ubolewania godnego zwyczaju”).

- Będę o tym pamiętał, dziadku - powiedział Tate, przypominając sobie bez poczucia winy „niech to piorun trzaśnie” na meczu w zeszły czwartek.

Sędzia mówił dalej, spoglądając na pola.

- Jeśli kiedyś jednak uznasz za konieczne ulżyć sobie, to uważaj, czy w pobliżu nie ma kobiet. No, pora na kolację. Chodźmy do domu.

Tate mieszkał w domu dziadków równie często jak u rodziców i często tam jadał. Sędzia przewodniczył przy skrzypiącym drewnianym stole, a babcia Tate'a szeptała:

- Fasolę można siać tylko w Wielki Piątek.

- To przesąd, babciu - odpowiadał jej młody Tate. Była kobietą takiej łagodności, że brała brak zgody za komplement. - Soję możesz siać przez cały czerwiec.

- Nie, młody człowieku. Posłuchaj. - Zerkąła w górę, żeby upewnić się, że mąż nie słyszy. - Jeśli będziesz się śmiać głośno podczas siania kukurydzy, narobisz sobie kłopotów. Poważnych kłopotów. Ziemniaki i cebulę dobrze jest sadzić podczas nowiu, a kukurydzę wysiewać podczas pełni.

- To bez sensu, babciu.

- Wręcz przeciwnie. Bulwy i cebule idą pod ziemię, więc lepiej je sadzić podczas nowiu. Zboża rosną nad ziemię, toteż siej je przy świetle.

Tate musiał przyznać, że jest w tym jakaś logika.

- A zarzynanie knurów podczas nowiu przynosi nieszczęście.

- Knurom niewątpliwie - podsunął Tate.

Tego ranka Tate, gdy spoglądał na pola, usłyszał za sobą głos.

- Hej, dzień dobry.

Bett przewróciła się na bok i przykryła piersi prześcieradłem. Wrócił do łóżka. Chwyła go za rękę i ścisnęła, po czym odgarnęła włosy z twarzy.

- Co się stało? - spytała.

- Ziemia się poruszyła.

Roześmiała się i wtuliła w niego twarz w dziewczęcym geście, do którego się uciekała, gdy była zażenowana i szczęśliwa.

- Gdy dzieje się coś takiego - machnęła ręką - czy nie powinniśmy zapytać, co się między nami wydarzyło?

- Nawrót małżeński.

- Nawrót eksmałżeński.

Oznajmił, że nie sądził, że to musi obowiązkowo znaleźć się w rozkładzie dnia, a ona przyznała mu rację.

- A to co? Popatrz.

Spojrzał na ptaka, który przysiadł niepewnie na parapecie.

- To, jak sądzę, cytrynka czarnolica. Buduje gniazda na ziemi, a pożywienia szuka na drzewach.

Ptaka poderwał się na dźwięk jej śmiechu.

- Znasz wszystkie takie szczegóły. Skąd to wiesz?

Przyjaciółka, dwudziestotrzyletnia, lubiła obserwować ptaki.

- Dużo czytam - odpowiedział.

- O czym myślisz? - zapytała po chwili.

Pytanie, które wszystkie kobiety lubią zadawać, gdy leżą w łóżku z mężczyzną.

- O niedokończonej sprawie? - podsunął.

Zastanowiła się nad tym.

- Zawsze sądziłam, że między nami wszystko skończone. Ale potem zaczęłam myśleć, że to jak spisywanie testamentu, zanim wsiądziesz do samolotu.

- Nie rozumiem.



- Jeśli się rozbijesz, to wszystkie luźne wątki wskoczą na miejsce, ale czy nie wolałbyś jednak zostać tu jeszcze trochę?

Roześmiał się.

- Niezła metafora.

Bett przez chwilę lustrowała pokój.

- Pamiętasz, jak występowałeś przed Sądem Najwyższym pięć lat temu? Ta duża sprawa o prawa obywatelskie? A „Washington Post” napisał o tobie? Mówiłam wszystkim, że to mój eksmaż. Byłam z ciebie naprawdę dumna.

Zaskoczyła go.

- Wiesz, co mi przyszło do głowy, gdy o tobie czytałam? Że w czasie małżeństwa ty byłeś moim głosem. Nie miałam własnego.

- Rzeczywiście, raczej milczałaś - powiedział.

- To właśnie nam się przytrafiło. Przynajmniej po części. Musiałam znaleźć własny głos.

- A kiedy szukałaś... tak długo... Nie uznawałaś półśrodków, kompromisów, targowania. - Powiedział to szczerze.

Dawna Bett zamarłaby albo popadła w swoje tajemnicze milczenie. Ale ta kobieta, która teraz leżała koło niego, była kimś innym. Przytaknęła.

- Zgadza się. Byłam taka sztywna. Znałam wszystkie właściwe odpowiedzi. Jeśli coś nie było doskonałe, to po prostu to rzucałam. Praca, studia... mąż. Och, Tate, nie jestem z tego dumna. Myślę, że się zmieniłam. Megan... Cóż, kiedy ma się dziecko, wszystko się zmienia. Stajesz się bardziej...

- Rodzinny?

- Zawsze znajdziesz właściwe słowo.

- Nigdy nie miałem pojęcia, o czym wtedy myślałaś - rzekł.

Myśli Bett mogły dotyczyć obiadu. Króla Artura. Przypisu w pracy semestralnej. Mogła myśleć o ostatnim układzie kart tarota.

Mogła nawet myśleć o nim.

- Zawsze bałam się przy tobie odezwać, Tate. Czułam, że język mi staje kołkiem. Jakbym nie miała do powiedzenia nic, co mogłoby cię zainteresować.

- Nie kocham cię za twoje zdolności oratorskie. - Urwał, gdy zauważył, jakiego użył czasu. - To znaczy, nie to robiło wtedy na mnie wrażenie.

Przez długą chwilę wyglądało, jakby biła się z myślami, ale Tate uznał, że już wcześniej dokładnie rozważyła to, co powie.

- Coś mi przyszło do głowy w związku z tobą, Tate. Coś sobie pomyślałam.

- Co takiego?

- Co sądziłeś o swoim dziadku?

- Podziwiałem go. Wiesz o tym.

- A o ojcu?

- Do czego zmierzasz?

Milczała przez chwilę.

- Chciałeś być jak Sędzia, prawda?

Zastanowił się.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Chciałeś mieć dużą rodzinę.

- Oczywiście.

- Jak Sędzia.

- Zapewne - przyznał.

- Dlaczego twój ojciec został wydziedziczony?

- Nie został. - Zarówno ojciec, jak i brat Tate'a dostali udziały w sporym majątku powierniczym ustanowionym przez Sędziego. Ale jej nie o to chodziło. - Chodzi ci o to, dlaczego to mnie przypadła farma i tradycja rodziny Collierów?

- Tak, właśnie o to.



- Ponieważ Sędzia i ja byliśmy sobie bardzo bliscy. Tate zastanawiał się, do czego to prowadzi. Westchnął.

- No dobra. Prawda jest taka, że Sędzia chciał, żeby ojciec został prawnikiem. Adwokatem apelacyjnym. A tata nie miał na to ochoty. Pamiętasz go. Był samotnikiem. Kochał górskie strumyki, wędkowanie, psy. Był milczący.

- Sędzia pragnął syna, który byłby nim. A kiedy go nie dostał, zrobił się mściwy.

- Nie - odpowiedział Tate, ale w jego głosie brzmiała niepewność.

- To cię dręczy, prawda?

- Niezupełnie. No dobra, dręczy. - I pomyślał: O Boże, koło kogo ja leżę? Czy to ta sama kobieta, która ledwie się odzywała, gdy byliśmy małżeństwem?

- Czy coś się stało? Jakiś wypadek albo coś?

- Nie - odrzekł szybko.

Rzecz jasna, za szybko.

- Co to było, Tate?

- Nic wielkiego.

- Ale jednak coś? - podpowiedziała.

- Nic szczególnego. Ale raz... czasem wciąż o tym myślę. Miałem trzynaście lat. To były...

- Nie bój się, Tate.

- To były urodziny taty. Poprosił, żebym poszedł z nim na ryby.

- Nie lubisz wędkarstwa. Nudzi cię.

- Właśnie. I nie poszedłem.

- A co zrobiłeś zamiast tego?

- Poszedłem oglądać dziadka w sądzie. Toczył się ważny proces... Nie, właściwie nie taki znowu ważny. To była moja wymówka. Dla taty i mamy. I dla mnie. Przesłuchanie w sprawie naruszenia stref. Nudniejsze od wędkarstwa. Ale ja chciałem być z nim. Chciałem iść do sądu, oglądać jego znajomych, wrócić do domu, w którym moja babcia zrobiła wielką kolację, przebywać z moimi kuzynami, bratem i mamą.

- Zamiast z ojcem.

- Rodzina zawsze postrzegała ich dwóch jako serdecznych wrogów. Brat zawsze mówił, że Sędzia i tata byli jak koledzy z West Point walczący po przeciwnych stronach podczas wojny secesyjnej. Kochali się, ale gotowi się byli pozabijać, gdyby zaszła potrzeba.

- To na razie nie wygląda na wielką zbrodnię - powiedziała Bett. - Powiedzieliś ojcu, że nie interesuje cię wędkarstwo.

- Skazałem go na samotność w jego urodziny. - Tate zaczerwienił się na to wspomnienie.

Bett zastanawiała się nad tym przez moment.

- Chciałeś, żebym była jak twoja babcia. Chciałeś zaludnić ten dom małymi Collie-rami i zostać starym południowym dżentelmenem jak Sędzia. Tylko że to nie dla mnie. I nie sądzę, żeby tak naprawdę dla ciebie.

- Kochałem cię - oznajmił z zapałem.

- Ale czy to na pewno mnie kochałeś? Myślę, że jakaś część ciebie bardziej pragnęła czegoś innego. Albo tak jej się wydawało. Południowej plantacji. Myślę, że to był twój błąd, Tate. Zawsze uważałam, że jesteś bardziej podobny do ojca. Samotny wilk. Po prostu nie chciałeś się do tego przyznać.

Ojciec Tate'a, Wendall, został sprawozdawcą sportowym. Był inteligentny i lubił prawo w sensie teoretycznym, ale nie interesowała go praktyka, mimo iż Sędzia cały czas wywierał na syna presję, usiłując posłać go na studia prawnicze. Zatarg pogłębił się, gdy Sędzia uparł się, by jego najstarszy wnuk został nazwany imieniem jednego z Pięciu Nieśmiertelnych - senatorów uznanych przez Kongres za najlepszych mówców wszech czasów. (Stąd pełne imię Calhoun Tate Collier). A gdy Sędzia podarował Tate'owi farmę w dniu, kiedy wnuk uzyskał dyplom wydziału prawa Uniwersytetu Wirginii, po-



mijając własnego syna, podejrzewano, że teraz wojna rodzinna wybuchnie z całą mocą.

Tymczasem nie stało się tak. Jak na ironię, ojcu Tate'a najwyraźniej wcale na tym nie zależało, a Tate zastanawiał się teraz, czy w ogóle istniało cokolwiek, co byłoby zdolne pogodzić tych dwóch ludzi. W każdym razie z punktu widzenia ojca Tate'a. Tate otrzymał imię na cześć Johna Calhouna z powodu nacisku kogoś innego, ale ojciec zapewne uważał, że to ładne imię, w niczym nieumniejszające spokojnej miłości, jaką żywił do swojego syna. Ten człowiek miał dobre życie, skromne. Było w nim miejsce dla dwóch synów, kochającej żony, książek i gazet. Miał poza tym swoje strumienie i ryby, którymi chętnie by się dzielił z Tate'em i nawet parę razy tak się zdarzyło.

Tate pamiętał łagodny uśmiech na twarzy ojca, kiedy spotkali się po raz pierwszy po tym, jak Tate stał się właścicielem rodzinnej ziemi. Młody prawnik bał się reakcji ojca. Teraz domyślił się, że powściągliwy wyraz twarzy nie skrywał gniewu. Zapewne był dokładnie tym, czym się wydawał - skromnym wyrazem radości z powodzenia syna. Tate uświadomił sobie teraz, że aczkolwiek to Sędzia miał pozycję i charyzmę, z nich dwóch jego ojciec był szczęśliwszym człowiekiem.

- Wiesz, kiedy najbardziej za tobą tęskniłam? - odezwała się nagle Bett. - Nie w święta czy na piknikach. Gdy byłam w Cozumel...

- Co?

- Pamiętasz, że zawsze marzyliśmy o wyjeździe na Yukatan?

Czytali książkę o języku Majów i lingwistach, którzy podróżowali po dżunglach Meksyku i Belize, aby badać ruiny i odczytywać znaki indiańskie. Te tereny fascynowały ich oboje i planowali wycieczkę. Ale nigdy na nią nie pojechali. Najpierw nie mogli sobie na to pozwolić. Tate właśnie skończył studia i zaczął pracować w biurze prokuratora za mniejszą pensję niż sekretarki w kancelariach adwokackich. Potem budowali dom. Później Tate miał pierwszą rozprawę przed Sądem Najwyższym, co wykreśliło mu kilka miesięcy z życia. A potem, kiedy już zbierali wystarczającą kwotę, siostra Bett miała poważny nawrót choroby i o mało co nie umarła, toteż Bett nie mogła jechać. Wkrótce się rozwiedli.

- Kiedy tam byłaś? - zapytał.

- Trzy lata temu w styczniu. Megan ci nie mówiła?

- Nie.

- Byłam z Billem. Wiesz który to?

Tate potrząsnął głową.

- Dobrze się bawiłaś?

- Tak. Świetnie. Upał gorszy niż w piekle. Naprawdę gorąco.

- Ale ty lubisz upały. Widziałaś ruiny?

- No cóż, Bili nie przepadał za ruinami. Widzieliśmy jedno. Jednodniowa wycieczka. Ja... Wiesz, chciałam po prostu powiedzieć, że... żałowałam, że nie jesteś ze mną.

- Dwa lata temu w lutym - powiedział Tate.

- Co?

- Też tam byłem.

- Nie! Żartujesz? - Roześmiała się gorzko. - Z kim byłeś?

Miała kwaśną minę, gdy przez chwilę usiłował sobie przypomnieć imię swojej towarzyski.

- Z Cathy. - Uznał, że była to Cathy.

- A wy odwiedziliście ruiny?

- No, niezupełnie. To była raczej wycieczka żeglarska. Nie mogę w to uwierzyć... A więc w końcu tam pojechaliśmy. Rozmawialiśmy o takich wakacjach przez wiele lat.

- Nasza pielgrzymka.

- To fantastyczne miejsce - powiedział, zastanawiając się, jak bardzo nieszczerze to zabrzmiało. - Nasz hotel miał naprawdę świetną restaurację.

- Było fajnie - odpowiedziała z przesadnym entuzjazmem. - I ładnie.

- Bardzo ładnie.



- Czy nie byłoby zabawnie wpaść tam na siebie?
- Zbieg okoliczności. No, no.
- Jak to się skończy - rzekła nagle - jak już ją znajdziemy, pomyślimy o tej wycieczce?

- Do Meksyku?
- Tylko my dwoje.
- A co z Bradem? Ty masz kogoś.
- Będę musiała to przemyśleć.
- Zobaczymy - powiedział Tate. - Chyba mi się to podoba. Ale zobaczymy.

Zamilkli, a słońce znikło za ciężkimi chmurami. Tate usiadł. Bett sprawiała wrażenie, jakby chciała wstać z łóżka, ale się wahała. Skromność, pomyślał. Pamiętał, że w nocy wyłączała światło, zanim się rozebrała. Minęło piętnaście lat, odkąd widzieli się nawzajem nago.

Wstał, podszedł do szafy i położył na łóżku szlafrok, po czym odwrócił wzrok jak dżentelmen.

- Nadal umiem robić niezłą jajecznicę - powiedział. - Ale ty nie jadasz śniadań.
- Wystarczy kawa - odrzekła i wstała z łóżka nago. Spokojnie podeszła wprost do niego, pocałowała go mocno, przytuliła się do niego całym ciałem i udała pod prysznic, zostawiając szlafrok na łóżku.

Nacisnął dzwonek raz, potem drugi, następnie przytrzymał palec dłużej.

Daj spokój, Tate, widzę twój samochód.

Zaparkowany obok samochodu twojej byłej. O co nie zamierzam pytać.

Konnie otworzył zewnętrzne drzwi i zapukał głośno.

Z wnętrza dobiegły niewyraźne protesty.

Tate otworzył drzwi.

- Podaj mi jeden powód, dlaczego nie miałbym cię zastrzelić. Jezu Chryste, dopiero ósma rano.

Konnie wszedł do przedpokoju, mijając Tate'a. Nie uśmiechał się. Zerknął na Bett McCall - w takim samym szlafroku - i powiedział:

- On nie żyje.
- Kto? - spytała Bett.
- Robert Carson.

Drzwi zamknęły się z głośnym trzaskiem.

Bett jęknęła.

- Ktokolwiek to zrobił - powiedział Tate - ma Megan. Dzwon do wydziału zabójstw, Konnie.

- To było samobójstwo.

- O Boże. - Bett usiadła z wytrzeszczonymi oczami. Bezmyślnie gładziła się po policzku.

- Nie, nie było - odrzekł Tate. - Jakoś zostało upozorowane.

- Też tak myślę. Ale zostawił list samobójczy na szybie samochodu. A potem wszedł do domu i podpalił się. Napisał list do jednej dziewczyny, którą uwiódł. Jednej ze swoich uczennic. Rozmawiałem z dziewczyną i jej matką. Owszem, zrobił to.

- Nie obchodzi mnie, Konnie...

- Zaczekaj, panie radco, nie zaprzeczam twoim słowom. Zbyt dużo dziwnych rzeczy się tu dzieje. Usiłuję ci tylko powiedzieć, że w biurze słyszą to, co chcą usłyszeć.

- Nie żyje - szepnęła Bett. Splotła palce i wygięła dłonie w dziwacznym, nerwowym geście. - Och, Tate.

- A gdzie jest ten dzieciak z muskułami i fryzem?

- Joshua? Nie odpowiada na telefony. Zostawiliśmy mu wieczorem wiadomość w mieszkaniu.

- Gdzie był, kiedy dzwonił ostatni raz?



- We Front Royal. Wczoraj późnym popołudniem. Wyśledził furgonetkę aż tam i zniknął. Miał wracać.

Konnie zerknął na zegarek. Ósma trzydzieści.

Dwadzieścia cztery godziny na dostarczenie raportu o możliwej przyczynie śmierci Anne Devoe na biurko kapitana Dobbsa. Jak na razie nie wykonał w tej sprawie najdrobniejszego ruchu.

Jutro Wielki Piątek. Ukrzyżujcie mnie.

- Oto co zrobimy. Czy było to samobójstwo, czy nie, przyjmijmy najgorszą wersję. Wyobraźmy sobie, że Carson odkrył coś, co dla nas było dobre, a złe dla nich, kimkolwiek są. Co on robił? Dokładnie, Tate.

- Rozmawiał z kolegami Megan, miał się dowiedzieć, czy zamierzała pojechać w jakieś konkretne miejsce. Czy ktoś widział ją wczoraj. Czy jacyś nieznajomi dopytywali się o nią.

- Uczniowie, nauczyciele - podpowiedziała Bett.

- Powiedział wam coś konkretnego?

- Nie.

- Dobra. Pójdę po jego śladach i...

Konnie urwał na widok twarzy Bett. Była blada, wyglądała jak skulone dziecko. Gładziła się po policzku, ciemne paznokcie poruszały się tam i z powrotem.

- Nic ci nie jest? - spytał.

Spojrzała na niego.

Tate również odwrócił się do niej i spytał, czy wszystko w porządku.

- Wczoraj - powiedziała - gdy rozmawialiśmy z Carsonem, pomyślałam, że to okropny człowiek. To, co zrobił z Megan. I pamiętam, że pomyślałam, że życzyłabym mu śmierci. Nigdy tak o nikim nie pomyślałam.

- Bett...

- Pomyślałam - szepnęła - że dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby po prostu się zabił.

- Hej - odezwał się łagodnie Konnie - Bóg nie słucha takich modlitw.

Zaskoczył sam siebie tym szczerym współczuciem.

Bett wyjrzała przez okno na mżawkę rozlewającą się po brudnym szkle.

I wtedy Konnie popatrzył na Tate'a i pomyślał: powinienem mu powiedzieć. Natychmiast. Zrób to, a będziesz miał z głowy.

Trzecia śmierć, to o niej myślał. O wyznaniu.

Powiedz mu właśnie teraz. Przynajmniej przestaniesz umierać.

Pięć minut. Tyle to zajmie.

- Konnie? - odezwał się Tate, widząc utkwiony w sobie niepewny wzrok.

Ale znów nie potrafił tego zrobić. Nie teraz. Ponieważ skala długów była przechyłona na jego korzyść. Złożyłby wyznanie człowiekowi, który był mu coś winien, i wiedział, że prawnik musiałby powiedzieć: W porządku, Konnie. Wszystko w porządku.

Później, pomyślał. Zrobię to później.

Zły na samego siebie Konnie uśmiechnął się do nich łobuzersko.

- Musicie odszukać tego rowerowego artystę. Ja idę na boisko szkolne. Wiecie, po prostu uwielbiam przypiekać dzieci na ruszcie. Rzucić je na grill i słuchać jak skwierczą.

Rozdział 24

Za każdym razem, o jaki poszerzała się droga jej ucieczki wycięta w ścianie z płyty gipsowej, rozpacz Megan malała.

Myślała. Niedźwiedzie nie umieją mówić, nie, i nie mówiły do niej, ale może nie musi tak być. Nie zawsze. To, co jest prawdą dzisiaj, nie musi nią być jutro.

Pracowała teraz lewą ręką, na pewno i na niej zrobią się pęcherze. Kolana jej płonęły, podobnie jak czoło - przyciśnięte do ściany dla zachowania równowagi. Plecy również strasznie bolały. Ale Megan McCall czuła dziwne podniecenie. Myślała o życiu poza tym



więzieniem.

Zawsze zakładała, że w przyszłym roku wyprowadzi się z domu. Nie myślała o college'u. Chciała podróżować. Marzyła, że Joshua wróci do niej i będą wędrować razem. Nawet gdyby nie mieli zostać już kochankami, mogliby wyjeżdżać razem (aczkolwiek nie umiała wyrzucić z pamięci tych chwil, kiedy się kochali).

Tęskniła za nim bardziej, niż byłaby skłonna przyznać.

Co za błąd ten romans z Bobbym Carsonem. Wiedziała to od początku. Był czarujący - ta jego wiedza o latach sześćdziesiątych - tak różny od tych wszystkich powierzchownych chłopaków, z którymi chodziła. Ale to był błąd. Wielki błąd. Była dumna z tego, że poznała się na nim i go rzuciła.

Josh... co pomyślałeś, gdy nie zjawiłam się wczoraj wieczorem? Pewnie, że zrobiłam cię na szaro.

Wiedziała, co sądził o jej ojcu, i podejrzewała, że nie zadzwoni do jej rodziców, żeby dowiedzieć się, co się stało. Może zadzwoni za tydzień albo dwa, kiedy ona nadal nie będzie się odzywać. Tydzień albo dwa.

A do tego czasu ja...

Nie, pomyślała Megan. Do tego czasu będę bezpieczna w domu.

Cięta dalej.

Szczegóły, Josh. Myślę o szczegółach. Tym razem właściwych.

Tak jak wtedy, gdy pojechali z ojcem do Pentagon City w nagłym porywie żądzy zakupów i Tate pozwolił jej poprowadzić mercedesa w drodze powrotnej do domu. Powiedział tylko:

- Strzałka zatrzymuje się na stu czterdziestu. Mandat płacisz sama.

Złożyli dach i śmiali się przez całą drogę.

Jak wtedy, gdy razem z matką poszły na jakiś nudny newage'owy wykład. Po kwadransie Bett szepnęła: „Spadajmy stąd”. Wymknęły się ze szkoły tylnymi drzwiami, znalazły sanki na boisku i zjechały na nich, wrzeszcząc i śmiejąc się przez całą drogę ze wzgórza. A potem poszły do Starbucks na gorącą czekoladę i ciasteczka.

I jeszcze jej szesnaste urodziny - jedyny raz w ciągu ostatnich pięciu czy sześciu lat, kiedy widziała rodziców razem. Przez chwilę stali blisko, przy stole bufetowym; ojciec wygłosił piękną mowę, a Megan płakała. Rodzina tworzyła idealny trójkąt i przez jakieś sześć, siedem minut życie wydawało się normalne i pełne nadziei.

Jeśli wrócę do domu, pomyślała... Nie: kiedy wrócę do domu, porozmawiam z nimi. Usiądę z nimi. Wyobrażę sobie tę grupkę, jaką była moja rodzina podczas przyjęcia i...

Stuk, stuk, stuk...

Megan wciągnęła szybko powietrze, usłyszawszy zniecierpliwiony dźwięk.

Szuranie.

Nie!

Była nieuważna. Zatraciła się w marzeniach i nie usłyszała zbliżającego się starca. Był blisko, coraz bliżej, szedł jednym z korytarzy. Ale którym?

Podniosła się i omal nie upadła. Nogi jej ścierpły. Bolesne klucie przebiegło przez całe ciało.

Skąd dochodzi dźwięk?

Z tylnego korytarza, z tego korytarza z kapiącą wodą?

Megan pokuśtykała ku drzwiom wejściowym.

Nie! Właśnie stamtąd nadchodził.

Stała jak wryta.

Chować się czy uciekać?

Nie mogła uciekać. Ścierpnięte nogi o mało co znów się nie ugięły, gdy kuśtykała przed siebie, chwytając się ławek, omal nie krzycząc z powodu bolesnych skurczów.

Cień starca pojawił się na ścianie. Był coraz bliżej. Ujrzała ciemny zarys laski, strzępy łachmanów, łysą, podobną do czaszki głowę. Zbliżał się powoli.

Za kilka sekund wejdzie do kaplicy, a ona nie zdoła uciec w żadne sensowne miej-



sce. Z wyjątkiem...

Trumna.

Pokuśtykała ku niej. Dotknęła pokrywy. Jest pusta?

Stukanie rozlegało się tuż za drzwiami. Był tuż-tuż.

Megan uniosła wieko.

Brudna, ale pusta.

Wsunęła się do środka i ułożyła na zakrwawionym atłasie, kuląc się z obrzydzenia. Była bliska wymiotów i zemdlenia. Opuściła wieko. Dusząc się od kwaśnego odoru ciała, chwyciła mocno spód wieka i przytrzymała je resztką sił.

Nie daj się, nie zwymiotuj, nie rzygnij! Zaciśnęła powieki i usiłowała wdychać jak najmniej powietrza, walcząc jednocześnie z klaustrofobią.

Usłyszała ciche szuranie i stukot wokół trumny. Zatrzymał się, po czym przybliżył. Stał teraz dokładnie nad nią.

Puk...

Wciągnęła powietrze. Laska uderzała o ściankę trumny.

Kolejny stuk.

Poczuła, że usiłuje unieść wieko. Trzymała je zamknięte z całej siły, aż ścierpły jej ręce. Chwycił mocniej i spróbował jeszcze raz.

Usłyszała starca, nie mógł wziąć głębszego wdechu, nabrać powietrza do zużytych płuc.

Łzy nabiegły jej do oczu; łzy przerażenia, ale i bólu.

Boli, tak strasznie bolą mnie ręce.

Pociągnął mocniej wieko.

Usłyszała na zewnątrz urywane sapanie - szeleszczący szept starca.

Co powiedział? Czy to było moje imię? Pomyślała, że niewykluczone. Czy to oznacza, że on wie, że nie ma mnie w pokoju?

Nasłuchiwała, przestała już tak kurczowo trzymać wieko.

Pociągnął mocniej.

Nie!

W chwili gdy poczuła, że już nie da rady, kiedy ból eksplodował jej przed oczami żółtym światłem, uchwyt zwolnił się, starzec zostawił wieko w spokoju. Też je puściła i przycisnęła dłonie do ramion. Mógłby teraz bez kłopotu unieść wieko i przebić ją swoją laską. Nic na świecie by go nie powstrzymało. Jej dłonie nie nadawały się już do niczego.

Usłyszała kolejny dźwięk. Jęknęła cicho. Drapanie czymś twardym po wieku trumny. Nożem? Oстрыm końcem laski? Chwyciła raz jeszcze wieko, ale dźwięk zamilkł i usłyszała oddalający się stukot. Odchodził.

Odczekała pięć minut i uniosła wieko. Rozejrzała się po kaplicy. Nagle nabrała pewności, że starzec przycisnął się po drugiej stronie trumny i czeka tylko, żeby ją chwycić, gdy wyjdzie na zewnątrz.

Spanikowana wyskoczyła z trumny, obracając się, gdy tylko dotknęła stopami ziemi. Nikogo.

Chwyciła wieko, zanim upadło na miejsce. Zamknęła je cicho.

I skurczyła się ze strachu.

Och, nie...

Nie...

Nachyliła się, wyciągnęła rozpaczliwie rękę, żeby dotknąć liter, które wydrapał na wieku trumny.

Napisane przez kogoś wiekowego, artretycznego, o drżącej ręce. Ale kogoś dzierżącego śmiertelną broń: szpikulec laski, jak podejrzewała. Wyrzył jedno słowo w starym drewnie.

M-E-G-A-N

Wiedział, że tu była.



To było ostrzeżenie. Żeby wróciła do pokoju. Żeby się poddała.

Nic z tego, dupku.

Niemniej, gdy podbiegła do ołtarza, żeby kontynuować swoją pracę, stwierdziła, że nie da rady. Dłonie jej krwawiły, były śliskie od poszarpanych pęcherzy. Nie miała jak chwycić plastikowego noża. Poza tym potrzebowała odpoczynku, a niech i starzec nabierze przekonania, że ją przestraszył.

Megan wycofała się do korytarza i wróciła do swojej względnie bezpiecznej nory.

Aaron Matthews obserwował nieoznakowany samochód policyjny, który zaparkował przed szkołą. Wysiadł z niego wysoki detektyw.

Była to druga wyprawa policjanta do szkoły w ciągu kilku godzin, Matthews zaczął się więc martwić. Dlaczego on tak się uparł na to miejsce?

Może prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Carsona. Ale może chodzi o coś jeszcze.

Potężny detektyw rozmawiał tym razem z grupą chyba ze czterdziestu uczniów. Nie chciał dać spokoju.

Matthews podszedł bliżej i obserwował, jak funkcjonariusz indaguje dwóch młodych, nerwowych koszykarzy.

Oczy. Matthews przyglądał się oczom policjanta. Ale nie zobaczył w nich nic, co mogłoby mu się przydać. Ten człowiek sprawiał wrażenie zaciętego, pozbawionego poczucia humoru, cynicznego, nieustraszonego. Trudno dostępnego, niepodatnego na manipulacje. Najgorszy rodzaj parafianina i pacjenta.

W końcu detektyw wrócił do samochodu. Matthews ruszył za nim na zachód, w kierunku, jak się wydawało, starej części Fairfax.

Co tu się dokładnie dzieje, zastanawiał się Matthews.

Detektyw Konstantinakis pomaga przyjacielowi.

No cóż, żaden dobry uczynek nie powinien ujść bezkarnie, panie władzo.

Zaparkowali w pobliżu sądu. Gliniarz wysiadł i ruszył sztywno chodnikiem w kierunku Cards Plus, niewielkiego sklepiku z kartkami, gdzie Matthews wypatrywał Megan, gdy pracowała tu około Bożego Narodzenia. Detektyw zabawił w środku tylko minutkę, po czym wyszedł, zapisując coś w czarnym notesie.

Matthews dostrzegł twarz policjanta, malowała się na niej satysfakcja, żądza walki. Dowiedział się czegoś od dziewczyny za ladą. Matthews zajrzał do środka i z przerażeniem zobaczył tę samą dziewczynę, z którą wczoraj rozmawiał Robert Carson.

Detektyw zatrzymał się, spojrzął na zegarek, minął samochód i poszedł dalej chodnikiem.

Matthews, znajdujący się po drugiej stronie ulicy, przyspieszył nieco kroku, wysforował się przed policjanta i zerkał od czasu do czasu za siebie, przyglądając się twarzy detektywa.

Na co to zerkamy, panie władzo?

Nie na ładne studentki z George Mason, nie na ich sterczące piersi i krótkie spódniczki.

I nie na studentów z George Mason.

Policjant nie spojrzął na wystawę sklepu z ciuchami dla nastolatek. Księgarnia też nie przyciągnęła jego wzroku. Sklep ze sprzętem sportowym zwrócił jego uwagę na moment - zatrzymał się i obejrzał wędki. Ale to nie było dla Matthews'a żadną pomocą. Policjant ruszył powoli chodnikiem.

Czyżby ten facet był czysty? Bezgrzeszny?

Grzech jest peryskopem, który daje nam wgląd w duszę.

Nie przestawał obserwować policjanta. I wreszcie zobaczył. Zaledwie drobny ruch oczu - zerknięcie na wystawę sklepową. Po czym detektyw ruszył dalej.

Tylko jedno spojrzenie. Ale wystarczyło.



Rozdział 25

W małej restauracji Matthews podszedł do stolika.

Zatrzymał się i odetchnął głęboko. Czuł się nieswojo.

- Przepraszam pana?

Detektyw Konstantinakis spojrział w górę.

- Wie pan, właśnie byłem w tym sklepie tam dalej. Cards Plus, tak? - Przełknął ślinę i uśmiechnął się niepewnie. - Usłyszałem, że pytał pan o Megan McCall.

- Owszem - odburknął policjant.

Widelec zawisł nad puree ziemniaczanym.

- Nazywam się Henry Blakesly. Jestem pedagogiem w szkole w Fairfax. Pracowałem trochę z Megan. To jakiś zbieg okoliczności, że właśnie przyszedłem do sklepu kupić kartkę urodzinową, a oni mówili, że pan o nią pytał.

- Detektyw Konstantinakis, policja stanowa.

Matthews przybrał poważny wyraz twarzy.

- Czy z Megan wszystko w porządku?

- Proszę usiąść.

Usiadł niepewnie na krześle naprzeciwko policjanta i odsunął nieco na bok szklankę mleka, które pił detektyw.

- Niewykluczone, że uciekła z domu. Usiłuję dowiedzieć się, czy ktoś coś o tym wie.

- Megan? Uciekła? - Matthews zaczął się zastanawiać.

Policjant wpatrywał się w talerz, nie przestając jeść. Popijał każdy kęs mlekiem i ocierał białe wąsy trzykrotnym pociągnięciem serwetki.

- Mam wrażenie, że nie dziwi to pana. A może źle to interpretuję?

- Megan zawsze mówiła o wyjeździe.

- Naprawdę?

- No. Nie żeby powiedziała mi dużo. Jaki jest ten stek?

- Niezły.

Matthews zawołał kelnerkę.

- Poproszę piwo. Budweisera. A więc uciekła. To się często zdarza dziewczętom w jej wieku.

- Często.

Matthews spojrział na twarz detektywa, gdy ten zwilżył wargi językiem.

- Jej ojciec... jak on się nazywa? Tate McCall?

- Collier. Tate Collier.

- Ach, prawda. Sprawia wrażenie dobrego człowieka.

- Nie znam lepszego.

Kelnerka przyniosła piwo. Matthews uniósł kufel.

- Pańskie zdrowie.

Detektyw zawahał się, po czym trącił się szklanką.

Matthews wypił piwo do połowy, odetchnął z zadowoleniem i postawił kufel na stole.

- Upał jak na kwiecień, nie wydaje się panu?

- Ano - mruknął detektyw. A następnie zadał z tuzin pytań dotyczących dziewczyny, notując odpowiedzi w czarnym notesie.

Był inteligentniejszy, niż się wydawało, i bardzo dobry w stawianiu pytań. Dociekliwy. I trzymał się linii przesłuchania niczym bulterier. Matthews odpowiadał wprost, ale bez konkretów czy faktów tak szczegółowych, żeby dać się później przyspilić.

- Pan na służbie? - zapytał Matthews, gdy policjant zamilkł na chwilę, żeby przejrzeć notatki.

- Skąd to pytanie?

- Przerwa na lunch to chyba nie jest czas służbowy. Taki upał... Dopij pan to mleko, to postawię panu prawdziwego drinka. - Stuknął palcem w piwo.



- Nie, dziękuję.
- Ejże, nie ma to jak piwo w upalny dzień.
- Prawdę mówiąc, od kilku lat nie piję.
Matthews wyglądał na niepokieszonego.
- Och, przepraszam.
- Nie ma za co.
- Nie pomyślałem. Mężczyzna, który pije mleko w knajpie... Nie powinienem być tego zamawiać.

Policjant uniósł uspokajająco rękę.

- Nie ma problemu. Nie mam zwyczaju zmuszać innych do zmiany przyzwyczajień.
Matthews podniósł kufel.

- Może powinienem to wylać?

Gdy gliniarz popatrzył na piwo, jego oczy rozbłysły - zupełnie jak przed wystawą sklepu monopolowego dziesięć minut temu.

- Nie - odpowiedział. - Nie mogę udawać, że to nie istnieje. - Zjadł jeszcze trochę ziemniaków. - Było jakieś miejsce, dokąd Megan szczególnie chciała pojechać?

Matthews rozkoszował się każdym łykiem piwa. Detektyw zerkał na niego co chwila.

- Do jakiegoś dużego miasta, tak sądzę. Chciała znaleźć pracę. Może w Nowym Jorku. Może w Los Angeles. Myślę, że mniej ważne było, dokąd pojedzie, ważniejsze - skąd się wyrwie. Jeśli rozmawiał pan z jej kolegami, na pewno pan o tym słyszał.

- Niby o czym?

- O tym, że była wściekła na rodziców.

- Nie miała dobrych układów z mamą i tatą?

Matthews roześmiał się.

- Jej zdaniem nie dbali o nią. Twierdziła, że stanowiła dla nich przeszkodę. Proszę sobie to wyobrazić.

Błysk w oku powiedział Matthewsowi, że policjant czytał listy napisane przez Megan w trakcie sesji. Dopił piwo i rozejrzał się.

- Ależ upał. Niech pan sobie wyobrazi tę bitwę.

- Bull Run?

- Nazywam ją Pierwszą pod Manassas, ale to dlatego że pochodzę z Pensylwanii, detektywie Kon...

- Mów mi Konnie. Większość ludzi tak mnie nazywa. A jak już przy tym jesteśmy...

- detektyw odłożył widelec na biały talerz z głuchym brzękiem. - Dlaczego nie powiesz mi, co naprawdę tu robisz, Blakesly? Hę?

- Co masz na myśli? - Matthews aż się spocił, ale postarał się wyglądać na urażonego.

- Otóż śledziłeś mnie pod szkołą, a potem przyszedłeś za mną tutaj - rzekł policjant.

- I stawiam dolary przeciw orzechom, że nie kupowałeś żadnych cholernych kartek.

To brzmiało źle. Upozorował sytuację, którą bez trudu mogła obnażyć prosta próba policjanta o pokazanie dowodu tożsamości. Matthews miał w kieszeni nóż myśliwski, ale wokół było zbyt wielu świadków, a poza tym muskularny detektyw byłby paskudnym przeciwnikiem.

Musi pokonać tego człowieka. Natychmiast. A to jest możliwe tylko dzięki wyznaniu, które niebezpiecznie zbliży się do prawdy.

Zacznijmy od propozycji...

Matthews spuścił oczy i pociągnął łyk. Przełknął.

- W porządku, panie władzo. Nie byłem całkowicie szczery.

Policjant dał głową znak, żeby kontynuował, i wsunął do ust kolejny widelec pełen ziemniaków. Otworzył notes na pustej stronie i czekał.

- Słyszał pan o tym wypadku z wieżą ciśnień w poniedziałek? Wypadku Megan.

- Jasne.

- Miała w tej sprawie umówioną na wczoraj wizytę u psychoterapeuty Jima Petersa.



- Znasz tego Petersa?
- Pracowałem z nim kiedyś.
- Podsyłałeś mu pacjentów? - spytał ostro Konnie.

Ten policjant jest dobry. Za dobry. Matthews przełknął więcej piwa, rozpaczliwie usiłując poskładać myśli.

- Tak.
- Poleciałeś go Megan?

Matthews wciągnął głęboko powietrze.

- Prawdę mówiąc, tak. Przez opiekę społeczną.
- A co to ma do tego, że łazisz za mną jak jakiś cień?
- Pan tego nie wie... Megan często zakochuje się w starszych mężczyznach.

Błysk w oku poinformował Matthews, że Konnie już o tym wiedział. Słyszał o Robercie Carsonie albo coś podejrzewał.

- Gdy Megan poszła wczoraj na tę wizytę...
- Wydaje mi się - wtrącił detektyw - że Peters mówił, że się nie zjawiła.

Dobre pytanie, pomyślał instynktownie Matthews, czując, że obrał właściwą strategię.

- Skłamał - szepnął. - Była u niego.
- O dziesiątej trzydzięci?

Bez szczegółów, upomniał samego siebie Matthews. Nie wiesz wszystkiego.

- Nie wiem. O tej, o której byli umówieni.
- I co dalej?

- No, wczoraj w nocy Jim zadzwonił do mnie. Niepokoił się. Słyszał, że Megan uciekła, i podejrzewał dlaczego. Powiedziała, że podczas sesji Megan zaczęła zachowywać się, no, prowokacyjnie. Powiedziała, że właśnie z kimś zerwała, z jakimś starszym facetem, i że źle się z tym czuła. Był w tym wyraźny komunikat. Jim zrobił to, co należało - zakończył sesję. Megan rozgniewała się i oznajmiła, że wyjeżdża z miasta, a jeśli zamierzają ją wpakować do więzienia za wieżę ciśnień, to będą ją musieli najpierw złapać. Jim bał się, że rozejdzie się plotka, że w jakiś sposób odpowiada za jej zniknięcie. No i wymyślił, że powie wszystkim, że nie przyszła do niego.

- A ty usłyszałeś, że dopytuję się o Megan, i pomyślałeś, że może szukam twojego kumpla, doktora Jima. I postanowiłeś nieco powęszyć. Hej, niezła lojalność. Nie spotyka się tego w dzisiejszych czasach.

Cynicznemu uśmiechowi na twarzy policjanta trudno było się oprzeć. Co za umysł!

Matthews westchnął. Obrócił kufel niespokojnie w rękach i odpowiedział z rezygnacją:

- W porządku, panie władzo...

- Dlaczego nie wyznasz, co naprawdę powiedział twój kumpel? I tak go o to spytam. No, dalej. Nie wpakowałeś się w nic poważnego. Jeszcze nie.

- No więc mieli tę sesję, wszystko przebiegało jak należy, Jim mówił mi, że doszli do mnóstwa szczegółów dotyczących Megan i jej uczuć do rodziców. Powiedziała, że nabrała ochoty na wyjazd. Zamierzała zostawić im listy i wyjechać samotnie. Dlatego Jim zadzwonił do mnie i poprosił, żebym każdemu, kto będzie pytał, mówił, że nie była u niego.

- Dlaczego?
- Jim czuł się nieswojo w związku z tym, jak potoczyła się sesja.
- Dlaczego? - powtórzył Konnie.

- Terapeuci tak nie postępują. Nie gada się z pacjentem przez godzinę po to, żeby namówić go do pojechania na National i lot do Kalifornii.

Dobrze rzucić trochę szczegółów. Ale policjant, zgodnie z przewidywaniem Matthews, zignorował obiecujące szczegóły, zajmie się nimi później. Teraz miał przed oczami jeden cel.

- Zbliżamy się, ale ciągle nie dotarliśmy do sedna. Mów dalej - powiedział Konnie.



Toteż Matthews mówił dalej.

- Celem terapii nie jest ucieczka. Celem jest rozpracowanie problemu.
- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale celem terapii nie jest również sypanie z pacjentami w porze lunchu, prawda?

Matthews otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, zamknął je i wzdrygnął się.

- Nie zrobił tego.

- Jesteś pewny?

- Ja...

- Zastanów się dobrze, Blakesly.

- Powiedział, że nie.

- Nie pytam, co ci powiedział. Pytam, czy to zrobił.

Matthews zamówił kolejne piwo.

- Myślę, że to niewykluczone. Tak.

- I dlatego powiedział, że do niego nie przyszła?

Matthews przytaknął.

Konnie skinął głową.

- Mów dalej. Ciągłe nie powiedziałeś, dlaczego wpadłeś tu, żeby przyglądać się, jak wsuwam obiad.

- Martwiłem się o Megan. To oczywiste. Posłałem ją do terapeuty, który - być może - ją uwiódł.

Niech się tym zajmie. Jest do tego zdolny.

- Ale dlaczego to stanowi dla ciebie problem? To mnie zastanawia.

- Po prostu dręczy mnie sumienie.

- Sumienie? - spytał policjant, jakby takie słowo nie istniało. - Powiedz mi coś. Nie wiesz przypadkiem, czy twój kumpel zrobił coś podobnego w przeszłości?

O tak, on jest dobry.

Pojawiło się piwo i Matthews nalał sobie ćwierć kufla.

- Słyszałem o paru wypadkach, gdy praktykował w Nowym Jorku.

- I wysyłasz dziewczyny do takiego gościa? Nie świadczy to o tobie zbyt dobrze.

- Przysięgał, że to już historia.

- Zwłaszcza jeśli odpalał ci działkę za podesłanych pacjentów.

- Nie! - warknął Matthews, po czym rozejrzał się i zniżył głos. - Nigdy tak nie było.

Nigdy nie zapłacił mi ani centa.

- Powiedz mi, Blakesly, ty też masz prywatną praktykę, co?

Więcej piwa. Matthews przesunął palcem po krawędzi kufla.

- No dobra. On też podesłał mi kilku pacjentów.

- Kilku znaczy ilu?

- Może...

- Podaj liczbę.

- Nie wiem. Raz na miesiąc.

- Zatem przyjrzyjmy się temu. W zamian za to, że doktor Jim przysyłał ci pacjentów, ty posyłałeś do niego dziewczyny, choć wiedziałeś, że miał w przeszłości romanse z pacjentkami.

- W twoich ustach brzmi to tak, jakbym był alfonsem. Wiesz, w jakie tarapaty mogłem się wpakować, gdybym wiedział, co on zamierza?

Sekretem, którego nie znali zastraszeni parafianie Matthews w Katedrze wśród Sosen, było to, że jeśli przyznasz się do lekkiego grzechu, słudzy boży rzadko będą dążyć dalej w poszukiwaniu cięższych wykroczeń.

Matthews upił kolejny łyk piwa, wciąż patrząc w blat stołu.

- Kalifornia? - spytał Konnie.

- Przepraszam?

- Pojechała do Kalifornii?

- Jim twierdził, że z jakiegoś powodu chciała pojechać do San Francisco. Spędzić



tam kilka tygodni, a potem wrócić. Nic szczególnego.

- Nie uważał, że warto by powiadomić jej rodziców?

- Na jednej szali były ich uczucia, na drugiej jego kariera, jak sądzę.

- A to wszystko o tym, że była zła na starych, to tylko cholerne bzdury, które mają odciągnąć psy gończe?

- Nie - odrzekł z nagłym zapałem Matthews. - Przykro mi, ale nie. Tak naprawdę Megan to dziewczyna z problemami. Jest w niej dużo gniewu. W większości na rodziców.

Konnie wbił wzrok w swój talerz.

- Właśnie dowiaduję się, że Megan była jednak u Petersa. Zastanawia mnie, dlaczego to nie pasuje do tego, co on powiedział jej ojcu.

A więc był świadek. Carson i Konnie odkryli, że była w gabinecie.

- Ten Peters. Co wydarzyło się w Nowym Jorku?

- Nie wiem na pewno. Kilka drobnych romansów z pacjentkami. Dostał upomnienie od komisji etyki zawodowej i przeprowadził się tutaj.

- Coś gorszego poza tym? Tylko romanse?

- Gorszego?

- Śledził je, groził im?

- Jim? - Matthews się roześmiał. - Och, nie, on nie jest niebezpieczny. - Przybrał nagle poważny wyraz twarzy. - Proszę posłuchać...

- Nie rób takiej przerażonej miny, Blakesly, ja tylko wyświadczam przysługę przyjacielowi. Chcę znaleźć tę dziewczynę. Nie jestem z jakiejś choleralnej komisji etyki, ale jeśli jeszcze kiedykolwiek pošlesz kogoś do...

- Na pewno nie, proszę mi wierzyć. Już wcześniej tak postanowiłem. Nie zamierzam stracić pracy przez taką głupotę jak podsyłanie pacjentów.

- Za to ja muszę pogadać z twoim kumplem.

Konnie zamknął notes, wsunął go do kieszeni i zjadł jeszcze trochę ziemniaków.

- Nie zamierza pan... - zaczął Matthews.

- Twoje nazwisko nie pojawi się w tej sprawie.

- Dziękuję - powiedział Matthews, sącząc radośnie piwo i oddychając z ulgą. A po chwili dodał: - A więc skończył pan kurs?

- Że co?

- Dwanaście kroków.

Policjant zerknął na swoje wielkie dłonie.

- A tak, owszem. Dwa lata temu.

- Ja osiem.

Kolejny błysk w oku. Policjant zerknął na budweisera.

Matthews się roześmiał.

- Jesteś, gdzie jesteś, Konnie. A ja jestem, gdzie jestem. Piłem dziennie pół litra niezbyt eleganckich napojów. Co najmniej. A czasem zrywałem akcyzę z drugiej butelki zaraz po obiedzie.

- To cholernie mocne picie.

- O tak, tak było. Tak, chłopie. Wiedziałem, że to mnie zabija. A więc skończyłem z tym. Z tobą też było źle?

Policjant wzruszył ramionami i zaczął jeść groszek i ziemniaki.

- To zaszkodziło mojemu małżeństwu - odpowiedział Matthews.

Błysk.

- Mam wrażenie, że moje małżeństwo zabiło - odparł niechętnie policjant.

- Przykro mi - odrzekł Matthews, wzdrygając się na widok smutku w oczach drugiego mężczyzny.

- I przypuszczalnie pewnego dnia mnie zabije.

- Co popijałeś?

- Szkocką. I piwo.

- Ja też. Dewara i buda.



Oczy Konniego zwilgotniały w obliczu tego niespodziewanego braterstwa.

- A więc... co? - Policjant wskazał głową wysoką butelkę. - Co się stało? Nawrót, hę?

Matthews przybrał świątobliwy wyraz twarzy.

- Powiem ci świętą prawdę. - Wypił z rozkoszą łyk piwa. - Wierzę w przeciwstawianie się słabościom. Nie uciekam przed nimi.

Policjant mruknął z uznaniem.

- Całkowicie rzucić picie to zbyt łatwe. Uznałem to za tchórzostwo. Wszystko albo nic - w obu wypadkach słabość.

- Ma to pewien sens - powiedział powoli policjant.

Matthews nalał sobie więcej piwa i zakręcił nim obojętnie. Zapach był wspaniały.

- Rzuciłem całkiem na dwa lata. Tak jak postanowiłem. Wszystko zostało zaplanowane. Czasem było ciężko, nie ma co czarować. Ale Bóg mi dopomógł. Gdy tylko wszystko znalazło się już pod kontrolą, dokładnie co do dnia po dwóch latach wypilem pierwszego drinka. Szklaneczkę dewara. Potraktowałem ją jak lekarstwo. A potem nic przez następny tydzień. Potem znów szklaneczka i jedno piwo. I miesiąc przerwy. Nalałem szklanekę szkockiej. Postawiłem przed sobą. Patrzyłem na nią, wahałem, wypilem. I znów przez miesiąc nic.

Policjant potrząsnął głową z podziwem.

- Brzmi to tak, jakbyś był jakimś masochistą czy jak ich tam zwa.

Ale w jego śmiechu pobrzmiwała rozpacz.

- Uważam, że czasem należy tak robić, nieprawdaż? Znajdować to, co dla nas najtrudniejsze, ustawiać przed sobą i przyglądać się temu. Schodzić w głąb. Tak głęboko, jak się da. Na tym polega odwaga.

- Masz mój pełny szacunek.

- Przez ostatnie sześć lat piłem tyle, ile chciałem. Ale nigdy się nie upiłem. Pamiętasz to uczucie, kiedy pierwszy raz się napiłeś? Byłeś rozluźniony, spokojny, szczęśliwy. Wydobyło to z ciebie twoją dobrą stronę. Teraz też tak jest. - Matthews nachylił się i położył rękę na ramieniu policjanta. - Jestem z siebie dumny. Czuję, że postąpiłem słusznie w obliczu Pana.

- Twoje zdrowie. - Policjant stuknął w jego kufel szklaneką mleka i wypił. Jego wzrok prześlizgnął się po złotej powierzchni piwa.

O ty biedny, nieszczęsny głupcze, pomyślał Aaron Matthews. Nie masz do kogo ustworzyć, co?

- Czasami - ciągnął z namysłem - gdy mam poważny problem, gdy coś mnie gryzie, jakieś poczucie winy pali mi duszę... wypijam szklaneczkę. To wszystko zagłusza. Pomaga mi przetrwać.

Widelec skubał już znacznie mniejszą górę ziemniaków.

Zejdźmy w głąb.

Dotknij tego, co najbardziej boli...

- Gdybym znalazł się w takiej sytuacji, że kobieta, którą kocham, oddalałaby się z powodu tego, jaki się stałem - cóż, potrafiłbym stanąć twarzą w twarz z tym, co by ją odrzucało. W ten sposób dowiedziałbym się może, jak ją odzyskać. Albo znalazłbym inną i umiałbym ją zatrzymać. Kontrola. Oto klucz.

Twarz policjanta poczerwieniała i wydawało się, że w gardle urosła mu gęzówka, która przeszkadza oddychać. Matthews pociągnął jeszcze piwa.

- Nienawidziłem samotności. Budzenia się w niedzielne ranki. Marcowe niedziele, kiedy niebo jest szare... Samotne święta... Boże, jak ja tego nienawidziłem. Żona odeszła... Jedyna osoba na świecie, której potrzebowałem. Jedyna osoba, dla której zrobiłbym wszystko...

Detektyw siedział sparaliżowany.

Matthews ciągnął swe smętne rozmyślenia.

- Coś ci pokażę. Popatrz. - Zawołał kelnerkę. - Szklaneczkę dewara.



- Jedną? - spytała dziewczyna.

- Jedną.

Policjant w milczeniu patrzył, jak przyniosła szklanę.

Matthews teatralnym ruchem sięgnął po nią i podniósł do ust. Nachylił się, powąchał trunka, po czym wychylił maleńki łysek. Postawił szklanę na stole i podniósł ręce.

- To będzie wszystko. Jedyny mocniejszy trunka od dwóch czy trzech tygodni.

- Potrafisz tak? - W głosie policjanta brzmiało zdumienie.

- To łatwe, bezproblemowe. - Powrócił do swojego piwa i zawołał ponownie kelnerkę. - Wybacz, złotko. Zapłacę za to, ale zmieniłem zdanie. Lepiej zachowam świeżość umysłu na dzisiejsze popołudnie.

- Oczywiście, proszę pana.

Ręka policjanta była szybsza niż kelnerki. Dziewczyna zamrużyła zdziwiona gwałtownością gestu wielkiego mężczyzny.

- Mam to jednak zostawić?

Policjant zerknął na Matthews, po czym zwrócił błagalny wzrok na kelnerkę.

- Tak. I proszę przynieść jeszcze jedno piwo mojemu przyjacielowi.

- Dwa piwa.

- Oczywiście, panowie. Dopisać do pańskiego rachunku?

- Och, nie - uparł się Matthews. - Ja zapłacę.

Matthews w chirurgicznych rękawiczkach wyprowadził samochód Konniego za miasto. Policjant siedział na miejscu pasażera, ściskając butelkę szkockiej między nogami niczym drążek szybowca. Głowa obijała mu się o szybę taurusa.

Matthews zaparkował na bocznej drodze, zabrał Konniemu butelkę i wypił niewielki łysek.

- Jak się czujesz?

Wielki mężczyzna spojrzął ponuro na otwartą butelkę. Po drodze dramatycznym gestem otworzył okno, wyrzucił zakrętkę i zamknął okno. Deklaracja dobrych chęci, uznał Aaron Matthews.

W sklepie, gdzie kupili piątą butelkę, Matthews wyrzucił do kontenera na śmieci czarny notes policjanta, wydruk z bazy danych z listą furgonetek zarejestrowanych w hrabstwie Shenandoah i Front Royal, a także teczkę podpisaną McCall, Megan.

Pozostała już tylko jedna rzecz do wyrzucenia.

- No więc jak będzie, panie władzo? Ja wyznałem ci mój drobny grzech. Założę się, że i ty chciałbyś coś wyznać, nieprawdaż? Widzę to po twojej minie. „Wybacz mi, Ojczy...”.

- Nie chcę... nie chcę już więcej.

- Jasne, Konnie. O co chodzi? Coś nie daje ci spokoju. Widzę to. - Jego głos opływał miodem. - Możesz mi opowiedzieć.

- Nic. - Zamknięte oczy, głowa wsparta o okno.

Matthews się uśmiechnął.

- Nie jest łatwo mówić, co? Opowiadać ludziom o samym sobie. Nawet o dobrych rzeczach. Przyszło ci to kiedyś do głowy? Jak niełatwo jest powiedzieć komuś komplement? Podziękować? A gdy mamy powiedzieć ludziom coś złego o sobie, no, to chyba już nie ma nic trudniejszego.

Konnie przytaknął.

Matthews spojrzął policjantowi w oczy i upewnił się, że Konnie nie widzi nic poza miłością i współczuciem. Uniósł szybką piątą butelkę, a policjant wypił trunka niczym jagnię pijące z dziecięcej butelki w zoo.

- Trzecia śmierć... - wymamrotał.

- Śmierć?

- Umarłem trzy razy - szepnął policjant. - Moja trzykrotna śmierć... Em, trzecia śmierć. - W ciemnych oczach pojawiły się łzy. - Ludzie nie rozumieją.



- Czego nie rozumieją?

- Jakie szambo trzeba oglądać, gdy się jest policjantem. Tyle gówna... Rodzice krzywdzący dzieci, duzi mężczyźni bijący kobiety. Em, dzieci zabijające inne dzieci... za parę pieprzonych tenisówek. To może... złamać serce.

- A ty bardzo chcesz to naprawić.

- Naprawić? - warknął i roześmiał się chrapliwie. - Cholera. To jak próba utrzymania, em, głowy nad wodą. - Odwrócił się gwałtownie do Matthews.

- Mów do mnie. Pan ci przebaczy.

Matthews podniósł butelkę do swoich ust, wziął niewielki łyk, po czym oddał ją Konniemu, który pił długo.

- Nie chciałem tego. Gdyby, em, gdyby była inna droga... - Łzy spływały mu po policzkach.

Och, wznosimy się do najwyższego nieba, pomyślał Matthews.

- Co miałem zrobić? Miałem większość dowodów. Em, odciski palców, klucze, nóż...

- To była sprawa, nad którą pracowałeś?

- Tate i ja, pracowaliśmy razem. To był, em, wiesz, facet, który zabił swoją... cztery, pięć lat temu.

Matthews nachylił się.

- No i co z tą sprawą?

- Ten facet został, em, zaaresztowany za morderstwo.

- Kto?

- Jej narzeczony. Taak, taa. Ale były dowody! Ja niczego nie zmyśliłem. Niektórzy tak robią. Em, strzelają do kogoś, a potem wtykają mu w rękę pistolet. Ale ja nie... - Konnie zgubił wątek.

Ponieważ, Matthews wiedział to doskonale, takie myśli są nie do zniesienia. Ścisnął lekko ramię policjanta.

- Idź głębiej, Konnie. Dotknij tego, co boli najbardziej.

Zaszlochał.

- To boli.

- Tylko ból może przynieść rozgrzeszenie.

- No więc. Ja... dostałem faks z Marylandu o tej nocy morderstwa. Napisali, oni tam napisali...

- Tak?

- Ktoś doniósł... omal się nie zderzył z samochodem, który miał tablice rejestracyjne podejrzanego. W czasie morderstwa. Świadek, wiesz... Człowieku. Niedobrze mi.

- Miałeś świadka, który twierdził, że podejrzany rzeczywiście był w Marylandzie?

- Nie był pewny, em, pewny tego numeru, ale pamiętał markę samochodu. Nie... nie chcę już.

- Napij się, Konnie. Wszystko w porządku. Możesz przestać, kiedy tylko zechcesz. Policjant przechylił butelkę. Była w trzech czwartych pusta.

- Zadzwoń do Genie. Potrzebuję Genie.

- Genie?

- Nie, do mojej żony. Chcę zadzwonić do żony.

- Co z tym faksem, Konnie?

- O Boże, podarłem go. Widzisz, ja wiedziałem, że chłopak jest winny. Wiedziałem.

- Ale nie był.

- Nie, był niewinny jak cholera. Znaleźli tę pieprzoną taśmę z jego samochodem, z kamery przemysłowej. Ale to było, wiesz, już po jego śmierci. Po tym jak się zabił. To była jego tablica. Był w Marylandzie. - Łzy płynęły strumieniem. - O Boże. Gdybym powiedział jego adwokatowi...

- Rozumiem.

- Nie powiedziałem przyjacielowi. Temu, który oskarżał w tej sprawie...

- Tate'owi Collierowi?



Konnie potaknął. Uderzył głową w okno.

- Od chwili gdy chłopak się zabił, Tate już nie jest taki sam... Rzucił pracę... Moja trzecia śmierć. - Konnie pociągnął głęboko. - Chłopak umarł i Tate umarł, i ja umarłem. Co ja zrobiłem? O Boże, co ja zrobiłem?

Matthews pomógł Konniemu napić się jeszcze raz. Zajrzał w załzawione oczy policjanta i powiedział:

- Czy czas nie jest krótki? Och, z pewnością jest. Ale dzień może być równie dobry jak całe życie. Pomyśl o tym tak: rodzimy się rano, uczymy się trochę, wygrywamy w jednych sprawach, przegrywamy w innych, rozmawiamy z Bogiem i On nas słucha albo ignoruje, a my się dziwimy. A potem w nocy umieramy w Jego ramionach.

Głowa Konniego opadła do tyłu. Policjant jęknął.

Matthews włożył butelkę z powrotem w dłoń Konniego. Nachylił się nad nim nisko, wdychając pot, whisky i zapach włosów. Pocałował policjanta w policzek.

- Judaszu - szepnął. - Ty Judaszu.

Rozdział 26

Ted Beauridge był pierwszy na miejscu wypadku.

- Och, nie - wymamrotał. - O, dobry Boże.

Dwa radiowozy policji stanowej wpadły na pole niemal jednocześnie. Jeden należał do kapitana F. W. Dobbsa, jak się okazało. Przyjechał też turkusowy samochód policji hrabstwa Prince William, a za nim dwa z Fairfax. Wezwanie mówiło o wypadku samochodowym i ofiarach. Co nie jest niczym szczególnie nietypowym w Fairfax, krainie krętych dróg, testosteronu i sportowych samochodów.

Ale w tym wypadku wziął udział służbowy taurus detektywa policji stanowej, a zatem na wezwanie odpowiedziało kilka jednostek.

Dobbs podszedł do zgruchotanego samochodu. Przygarbił się, zamknął oczy w nietypowym dla kapitana wyrazie szacunku.

Wypadek był jednym z najgorszych, jakie Beauridge kiedykolwiek widział, a przez trzynaście lat w policji oglądał wiele straszliwych tragedii.

- Nie wiedziałem, że znów zaczął pić - powiedział Dobbs głosem pozbawionym emocji.

- Nie zaczął.

- Nie? - Tym razem w głosie Dobbsa brzmiała ironia: kapitan przyglądał się technikowi wynoszącemu w worku na dowody pustą piątą butelkę.

- Nic nie poczuli - mruknął drugi technik. - Przynajmniej tyle.

To zapewnienie, nieprzeznaczone dla kogokolwiek konkretnego, zaskoczyło Beauridge'a, ponieważ technicy policyjni widzieli już wszystko i powinni być odporni na jatkę.

Para młodych ludzi zginęła na miejscu, gdy samochód Konniego zjechał nagle na ich pas. Policjant musiał jechać siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt na godzinę, ale ponieważ nie hamował, nie można było ustalić rzeczywistej prędkości po śladach kół. Poduszki powietrzne w małym zagranicznym samochodzie tamtych dwojga otworzyły się, ale nie mogły obronić pasażerów przed wielką policyjną limuzyną, która przetoczyła się po masce ich mazdy, pozbawiając głowy zarówno męża, jak i żonę. Ręka kobiety zamarła wyciągnięta w kierunku, z którego nadeszła śmierć. Paznokcie wskazującego palca były pociągnięte lśniącem, opalizującym różem.

Policyjny samochód zatrzymał się tuż za mazdą. Konnie leżał rozciągnięty na przednim siedzeniu, ciężko ranny, ale żywy. Ekipa ratownicza usiłowała go wydobyć za pomocą piły łańcuchowej.

- Nie wierzę w to. Po prostu w to nie wierzę - szepnął znów Beauridge.

Kapitan Dobbs, człowiek, który przede wszystkim opierał się na namacalnych dowodach, najwyraźniej wierzył, ale był równie załamany.

- On nadal jest z żoną?



- Zostawiła go jakiś czas temu. Dlatego poszedł do AA.
- Ma kogokolwiek?
- Nie wiem.

Szary mercedes zatrzymał się tuż za kręgiem utworzonym przez samochody policyjne i karetki. Tate Collier podbiegł do samochodu Konniego. Chłodnym okiem ogarnął jatkę w maździe i odwrócił się do samochodu detektywa. Uskakując przed iskrami i lekceważąc protesty ratowników, wsunął głowę przez tylne okno i położył Konniemu rękę na ramieniu.

- Nie powinno go tu być - warknął Dobbs.

Ale Beuridge milczał, Dobbs nie drażył więc sprawy. Nie słyszeli, co mówił Collier, ale wyglądało na to, że Konnie płacze i macha ręką, jakby odganiał pszczołę. Collier ścisnął mocno ramię detektywa.

- Panie Collier - zawołał w końcu Beuridge - niech pan pozwoli im pracować.

Prawnik mówił jeszcze przez chwilę do Konniego, po czym odsunął się od okna i spojrzał na Beuridge'a i Dobbsa. Podszedł do nich.

- Jakie zarzuty?

- A jak pan myśli? - Dobbs zerknął na zgruchotaną mazdę. - Prowadzenie pojazdu pod wpływem alkoholu, zabójstwo. Prokurator stanowy pewnie zmieni kwalifikację na morderstwo.

Collier podał mu wizytówkę.

- Będę go reprezentował. Nie jest w stanie zrozumieć swoich praw. Pozwolę na przetrzymanie go w szpitalu przez dzień lub dwa przed aresztowaniem, pod warunkiem że nie będą czynione próby uzyskania zeznań pod moją nieobecność.

Dobbs skinął głową.

Zatrzymał się kolejny samochód, cywilna limuzyna z czerwoną lampką na dachu. Wyskoczyła z niego, nie zamykając drzwiczek, umundurowana policjantka o kręconych jasnych włosach. Genie Briscoe z biura. Podbiegła do samochodu Konniego, chwyciła go za rękę i nachyliła się nad nim, mówiąc coś szybko. Otarła łzę z policzka i jeszcze raz ścisnęła jego rękę.

Gdy odsunęła się od samochodu, Collier podszedł do niej i objął ją ramieniem. Rozmawiali przez kilka minut. Kiwała głową. Collier pochylił się, raz jeszcze zajrzał przez okno, mruknął coś do Konniego i wrócił do swojego samochodu, po czym szybko odjechał.

- To Collier? - spytał Dobbs, spoglądając za samochodem. - Znam skądś to nazwisko. Skąd?

Beuridge westchnął i odwrócił wzrok, woląc patrzeć na wrak, niż zmierzyć się z nieuniknionym.

- To jego córka zniknęła wczoraj.
- Boże, Konnie chyba nie zajmował się tą sprawą, co?
- Obawiam się, że owszem. Troszkę.

- Cholera. Zajmował się przez cały czas sprawą Devoe. To w każdym razie miał robić. Cholera.

- Zdaje się, że tylko pytał trochę tu i tam. Pod mazdą znaleźli zaskakująco dużo krwi.

- Mamy po uszy pracy, a ten jedzie i zabija dwoje ludzi podczas wykonywania roboty bez pozwolenia. Niech to diabli. Nieźle się to sprzeda w prasie.

- Może nikt...

- Zaczekaj, Ted. Ty nie byłeś w to zamieszany, prawda?

- Odebrałem tylko zgłoszenie o ucieczce. To wszystko. - Beuridge odwrócił wzrok.

- To wszystko, czego potrzebujemy. Pijany detektyw oddaje w godzinach pracy osobistą przysługę i wyskakuje na zieloną trawkę, żeby dokonać miłego zabójstwa na drodze. A nam siedzi na karku lokalny polityk.

- Konnie tego nie zrobił - wymamrotał Beuridge. - Tu się zdarzyło coś dziwnego.



Nie wiem co.

- Rany boskie, Beuridge - przejrzyj na oczy! Zajmiesz się tym, rozumiesz? Ty osobiście. I powiedz prokuratorowi stanowemu, że będziemy bardzo chętnie współpracować. Człowieku, ja muszę dzwonić do Devoe. Cholera. - Oddalił się do swojego samochodu.

A Beuridge utkwiał wzrok w ziemi, gdzie krew spod sportowego samochodu wsiąkała w kurz na poboczu, i myślał, że powinien coś zrobić dla kolegi. Ale nie potrafił wymyślić co. Odchrząknął i splunął z niesmakiem, po czym podszedł powoli do samochodu, żeby zadzwonić do biura prokuratora.

Teczka, którą ukradł, była niewłaściwa. Zatrzymawszy samochód niedaleko miejsca wypadku, sfrustrowany Tate uderzył dłonią w szarą teczkę.

- A niech to.

Bett była u niego w domu, bezskutecznie usiłowała odnaleźć Joshuę LeFevre'a. Tate zostawił ją, gdy wydzwaniała po szpitalach i posterunkach policji hrabstwa Shenandoah, ale chłopak przepadł bez śladu.

Tate przewyciężył przerażenie, które go ogarnęło na widok Konniego, i jeszcze raz otworzył teczkę.

Kiedy po raz drugi wsunął głowę przez okno samochodu przyjaciela, nie tylko go pocieszał, ale też zabrał akta, które powinny nosić imię Megan i zawierać wydruk z bazy danych oraz notes Konniego. Ale teczka nie miała nic wspólnego z Megan.

Nagle Tate zauważył nazwisko na okładce. Devoe, Anne.

Koleżanka Megan. Amy opowiedziała im o niej. Dziewczyna, która popełniła samobójstwo. Skupił się na zawartości teczeki.

Z uczuciem rozpaczycy stwierdził, że otworzyli ponownie tę sprawę, starając się o zmianę statusu z samobójstwa na morderstwo lub zabójstwo. A Konnie miał przygotować raport o tym, czy istniała przyczyna... O Boże, on miał to przygotować na jutro na dziewiątą rano. A zamiast tego pomagał nam.

A jego rozprawa jest za tydzień od poniedziałku.

Aczkolwiek po tym, co Tate zobaczył na drodze, rozprawa Konniego stała się zagadnieniem czysto akademickim.

Poczuł wzbierający gniew.

Coś się tu dzieje, pomyślał. Za dużo cholernych zbiegów okoliczności. Zniknięcie Joshuy, samobójstwo Carsona. Konnie zaczyna pić na nowo...

W tej samej chwili zauważył coś w aktach. Wśród policyjnych notatek znalazł zeznanie matki Anne Devoe. Przeczytał kserokopię starannego pisma.

W miesiącu poprzedzającym samobójstwo Anne odwiedzała trzy razy terapeutę.

Nazywał się James Peters.

Tate potrząsnął powoli głową, bezmyślnie kreśląc palcem spirale na zakurzonej tablicy rozdzielczej obitej niebieską skórą. Powrócił myślami do spotkania z gładkim doktorem Petersem. Och, Tate doskonale zdawał sobie sprawę z manipulacji, z taktyki zastosowanej w gabinecie. Zbyt długo uczestniczył w różnych debatach, żeby umknęło to jego uwadze. Ale złożył to na karb prostego faktu, że Peters uderzał do jego byłej żony. Tate zdziwił się, jaką poczuł zazdrość w trakcie tej rozmowy.

Ale to była krytyka ad hominem. Co Tate naprawdę myślał o Petersie? Zastanowił się przez chwilę i uznał, że doktor nie mógł być bezpośrednio zamieszany w zniknięcie Megan. Gdyby naprawdę był pedofilem albo sfiksował na jej punkcie, nie zaprosiłby jego i Bett na rozmowę. Na pewno nie przyznałby się, że jest jej terapeutą. Wcześniejszy związek ofiary i sprawcy jest kluczem do rozwiązania zagadek wielu zbrodni.

Zaczął się zastanawiać, czy jakiś pacjent Petersa mógł być w to zamieszany. Może ktoś, kto usłyszał o Megan od Anne.

To miało większy sens. Ktoś z obsesją na punkcie młodych dziewcząt. Tate pozwolił myślom płynąć swobodnie. Ta kobieta, z którą piła Megan - może to tylko przykrywka?



Emily. Może to ona zadzwoniła do Petersa, udając Megan, i odwołała wizytę? A potem porwała Megan, zanim ta doszła do gabinetu?

Wróćmy do poniedziałku. Kobieta spotyka Megan w barze.

I upija ją. Idą do parku. Umawia ją z Petersem, a następnie odwołuje wizytę.

Ale po co?

Dlaczego?

Przypomniał sobie słowa Konniego: motyw jest kluczem do tej sprawy.

Gdyby potrafił przewidzieć dlaczego, oni mogliby wymyślić kto. Z takiego właśnie powodu zazwyczaj aresztuje się podejrzanych. To jest główny powód, dla którego są skazywani na podstawie drobnych dowodów: motyw. Czasem sprytne oględziny miejsca zbrodni, niekiedy żmudne przesłuchania. Ale najczęściej jest to motyw. Zazdrośni mężowie zabijają żony, partnerzy zabijają partnerów w interesach, porywacze zabijają zakładników.

Jaki jest powód?

Nie umiał wymyślić żadnego.

Jeszcze nie. Ale gdyby zajrzał w akta pacjentów Petersa, mógłby się czegoś dowiedzieć. W budce telefonicznej sprawdził adres doktora. Facet miał mieszkanie w Fairfax jakieś pół mili od gabinetu. Tate uznał, że trzeba sprawdzić w obu miejscach. Wykręcił numer gabinetu i gdy po trzech dzwonekch usłyszał głos Petersa, odwiesił słuchawkę. A zatem najpierw mieszkanie.

Nie istnieje coś takiego jak absolutna tajemnica lekarska. Tate uznał, że potrzebny będzie podobny stosunek do nakazów rewizji jak w przypadku szkolnej szafki.

Rozdział 27

Szalona Megan wpatruje się w biały plastikowy nóż.

Falliczny kształt poplamiony krwią i płynem surowicznym z jej zmasakrowanej dłoni, przeznaczony do tak niewinnych zadań jak rozsmarowywanie masła orzechowego na herbatnikach podczas pikników.

Roześmiała się i wróciła do pracy.

Piłowała w przód i w tył, półprzytomna, z zaćmionym umysłem, usiłując zapomnieć o bólu - pęcherzach, ścierpniętych mięśniach, zadrapaniach i sińcach - który rozrywał jej ciało.

Po dziesięciu minutach przyjrzała się płycie gipsowej. Wycięła w niej półksiężyc o wymiarach mniej więcej dwie stopy na jedną. Wystarczy. Włożyła Megan obróciła się, oparła stopy o ściankę i pchnęła mocno. Kawałek płyty poddał się z głuchym trzaskiem i runął. Odwróciła się szybko i zaczęła wczołgiwać do środka. Poczowała uderzenie gorącego, zgniłego powietrza - o mało co nie zemdląła od smrodu gnijącego mięsa.

A więc to tu znajdowało się źródło odoru przenikającego budynek. Rozejrzała się. Pomieszczenie było ciemne, aczkolwiek pod następnymi drzwiami - w ścianie mniejszego pokoju - dostrzegłaienne światło.

Megan precyzyjnie się przez dziurę, starając się oddychać jak najpłycej. Umieściła kawałek płyty na miejscu. Wstała, patrząc wyzywająco na następne drzwi.

Proszę, nie bądźcie zamknięte.

Proszę, proszę, proszę.

Sięgnęła do klamki...

Zamknięte na głucho.

Cholera! Ciągnęła i ciągnęła, chociaż jej obolałe dłonie poddały się na długo przedtem, nim zużyła wszystkie siły. Upadła na kolana, szlochając. Wyciągnęła rękę, żeby uderzyć pięścią w drzwi, ale powstrzymała się w ostatniej chwili, gdyż przypomniała sobie, że starzec może błąkać się po kaplicy. Oparła czoło o podłogę i płakała cicho, aż wyczerpanie pozbawiło ją oddechu.

Omdlenie trwało jakieś dziesięć minut, a gdy minęło, podniosła się na kolana i wsta-



ła. Westchnęła i zaczęła powoli rozglądać się po pokoju. Był to magazyn, ale znajdowały się w nim tylko papiery; w większości książki religijne i sterty gazet. Miała nadzieję, że znajdzie jakieś narzędzia, ewentualną broń, ale nie dostrzegła nic ciężkiego ani ostrego. Zobaczyła długi, szary łańch, pobrudzony kurzem i bejcą, ale serce jej podskoczyło, gdy ściągnęła go z półki. Ubranie! Przyjrzała mu się. Było na tyle długie, żeby związać je w pasie jak krótką spódnicę. Albo przykryć piersi jak krótkim podkoszulkiem.

Ale nie miała wątpliwości, co zrobić. Przedarła szmatę na pół. Buty, pomyślała. Tego potrzebuję. Ludzie są najbardziej bezbronni na bosaka. Najbardziej nieludscy. Potrzebowała osłony dla stóp - żeby biec, żeby walczyć. Obwiązała stopy szmatą i poczuła, że wraca jej pewność siebie.

Zostały trzy noże. Trzeba wyciąć kolejną dziurę.

Bierzmy się do roboty.

Podeszła do zamkniętych drzwi i zajrzała przez szparę na dole. Tak, przez duże okno wpadało światło dzienne. Nie miała pojęcia, która może być godzina, ale światło sprawiało wrażenie bladego, jak przy chmurnym popołudniu, co z kolei przywołało wspomnienie dawnych dni. Kolejne miłe wspomnienie. Gdy zabrała się do wycinania dziury w kolejnej ścianie, błędziła myślami: Idzie z ojcem po jego dopiero co obsadzonym polu kukurydzy, on po jednej stronie niskich, ciemnozielonych roślin, ona po drugiej. On idzie, a ona skacze. Bawią się w nazywanie każdej rośliny po imieniu.

- Kuba, Piotrek - mówiła Megan, wskazując kolejne łodygi palcem. - Kaczor Donald.

- Konstancja, Gertruda.

- Kermit.

- Terminator - odparował ojciec, wskazując szczególnie wyrosniętą roślinę.

- Flip i Flap! - odpowiedziała Megan. - Jesteś głupiutki, tato.

- Oboje jesteśmy, kochanie.

Teraz ze łzami w oczach Megan zastanawiała się, gdzie kryły się te wspomnienia: nie myślała o tym przez lata. Zamknęła je najpewniej gdzieś razem z zakupami w Pentagon City i sankami. W gabinecie doktora Petersa mogła myśleć tylko o złych rzeczach. A oto kolejne miłe wspomnienie. Ona i Tate rozmawiają, śmieją się. Okruch pamięci. Zastanawiała się, czy wokół niego kryją się inne dobre wspomnienia - wcześniejsze lub późniejsze. Uznała, że na pewno.

Wróćmy do domu i przekonajmy się, pomyślała, piłując ścianę. Chwilę później poczuła, że pęka jej pęcherz na kolanie, a ból rozlewa się po całej nodze. Krzywiąc się, wstała i podeszła do sterty pożółkłych gazet. Wzięła leżącą na górze i rzuciła ją na ziemię, żeby na niej uklęknąć. Zauważyła, że gazeta nie była złożona zwyczajnie, ale otwarta na konkretnym artykule. Przeczytała.

Samobójstwo pacjentki Szpitala Psychiatrycznego w Fairfax

Kobieta przechodząca leczenie psychiatryczne w Szpitalu Psychiatrycznym Lee w Fairfax odebrała sobie wczoraj życie.

Roberta Parsons, lat 46, została znaleziona przez sanitariuszy w swoim pokoju, kiedy nie zeszła na śniadanie. Powiesiła się na linie wykonanej z prześcieradeł.

Rzecznik szpitala powiedział, że u pani Parsons stwierdzono depresję, ale rutynowe badania wstępne nie wykazały skłonności samobójczych. Parsons zostawiła list, w którym wyznała, że wstydy się swojego grzesznego życia.

Megan wróciła do sterty gazet i wyciągnęła kilka innych na chybił trafił. Przyklęła i podniosła jedną z nich do światła dochodzącego spod drzwi, nie zważając na ból w nogach.

Samookaleczenie w stanowym Szpitalu Psychiatrycznym Pacjentka Szpitala Psychiatrycznego Lee w Fairfax doznała dziś poważnych obrażeń, gdy usiłowała uciąć sobie język. Jej stan jest obecnie stabilny.



Dwudziestosiedmioletnia pacjentka, której nazwiska władze szpitala nie ujawniły, była leczona na poważną schizofrenię.

Nie wiadomo, skąd wzięła nóż do mięsa, którym się okaleczyła. Niektórzy z pacjentów mają dostęp do niestrzeżonej jadalni, gdzie używa się ostrych sztućców, ale okaleczona kobieta przebywała na strzeżonym oddziale i nie miała dostępu do niebezpiecznych narzędzi.

Kobieta zażywała przepisanej dawki thiorazyny, leku mającego łagodzić objawy schizofrenii, do których zalicza się omamy i irracjonalne, nierzadko niebezpieczne zachowanie.

Zaraz po wypadku kobieta napisała kilka listów, w których twierdzi, że musiała odciąć sobie język, ponieważ kilkakrotnie popełniła niewybaczalny grzech, uprawiała seks oralny. Oznajmiła, że Bóg kazał jej to uczynić.

Artykuł z gazety z Maryland sprzed trzech lat:

Grzywna za praktykę bez zezwolenia

James Peters z Baltimore, 39 lat, oskarżony o wykonywanie zawodu lekarza bez zezwolenia, zrezygnował z obrony. Został ukarany grzywną w wysokości pięciuset dolarów.

Peters, który przez ostatni rok prowadził gabinet terapeutyczny w Towson, kilkakrotnie oświadczył tajnemu agentowi udającemu pacjenta, że jest licencjonowanym terapeutą z dyplomami Harvardu i Yale. Policja twierdzi, że nigdy nie studiował na żadnej z tych uczelni i że nie składał egzaminu wymaganego przez Departament Zdrowia.

Rodzina byłego pacjenta złożyła skargę do prokuratury, gdy pacjent, który leczył się u Petersa na depresję, zaczął mieć myśli samobójcze. W akcie oskarżenia stwierdzono, że pacjent - występujący jako N.N. ze względu na anonimowość - jest gorliwym metodystą i nigdy wcześniej nie wykazywał skłonności samobójczych.

Megan zmrużyła oczy i spojrzała na fotografię ilustrującą artykuł. Widniał na niej mężczyzna wychodzący z budynku sądu. Miał brodę. Ale był to z pewnością ten sam James Peters, u którego miała sesję. Człowiek, który był również Aaronem Matthewsem.

Czuła, że powinna zabrać się do wycinania dziury, ale artykuły ją wciągnęły.

Samookaleczenie

Stan Irwina L. Campbella, lat 46, zamieszkałego w Luray, który odciął sobie członka, jest już stabilny.

Rzecznik Szpitala Hrabstwa Shenandoah powiedział, że Campbell, były kierowca ciężarówki, czuł się przygnębiony i „winny jak diabli”, ponieważ zadawał się z prostytutkami na parkingach dla ciężarówek w Wirginii Zachodniej, Wirginii i Tennessee. W zeszłym roku przyznał się do winy, oskarżony o molestowanie seksualne.

Według doniesień Campbell był związany z ruchem odnowy religijnej we Front Royal i uznał, że odcięcie członka będzie jedyną metodą uwolnienia się od popełnionego grzechu.

Lekarzom udało się przyszyć organ, ale wątpią w możliwość odzyskania przez Campbella zdolności seksualnych.

Megan wyciągnęła ze sterty następną gazetę. Sprzed czterech lat.

Samobójstwo Colby

Zastępcy szeryfa twierdzą, że Loretta Colby, 48 lat, zamieszkała we Front Royal, popełniła samobójstwo.

Panią Colby, wdowę, znalazła jej córka, która następnie bezskutecznie próbowała



przywrócić ją do życia. Zdaniem biura szeryfa przyczyną śmierci było przedawkowanie środków uspokajających i alkoholu.

Córka powiedziała, że miała się spotkać z matką na zakupach po jej powrocie z Katedry wśród Sosen, ośrodka odnowy religijnej na obrzeżach Front Royal, do którego pani Colby uczęszczała od piętnastu lat.

Wielebny Aaron Matthews, przywódca kościoła, który nie jest związany z żadnym oficjalnym wyznaniem zielonoświątkowym ani innym, oświadczył, że istotnie spotkał się z panią Colby tuż przed jej samobójstwem. Czuła się od jakiegoś czasu przygnębiona z powodu samotności oraz przekonania, że żyła w grzechu - powiedział, ale dodał, że nic nie wskazywało na to, że zamierzała odebrać sobie życie.

Megan odłożyła gazetę i wyciągnęła kilka następnych.

Samobójstwo we Front Royal

Policja stanu Wirginia ujawniła, że Janet Lynne Baker, lat 35, zamieszkała przy Cedar Grove Road 345 we Front Royal, popełniła w sobotę samobójstwo.

W pozostawionym liście, przyznała się do romansu, w którym oddawała się seksowi analnemu i innym „grzechom przeciwko Bogu i ludziom”. Oznajmiła, że jej śmierć będzie odpowiednią karą za winy. Zdaniem policji stanowej przyczyną śmierci było zatrucie i krwotok wewnętrzny spowodowany wypiciem butelki z płynem do udrażniania rur.

- Nie rozumiemy tej tragedii - powiedziała jej siostra, Alice Kent. - Dopiero co nawróciła się i została aktywnym członkiem miejscowego kościoła. Była dumna z ponownych narodzin. Nie wyobrażamy sobie, że mogła targnąć się na własne życie.

Megan wstała i zaczęła grzebać w pudłach, zrywając wieka i wyciągając osobiste papiery. Sporo zeznań podatkowych i dokumentów finansowych. Ale na dnie jednego z zapleśniałych pudeł znalazła grubą szarą teczkę, z pieczęcią Osobiste i tajne. Nie wynosić ze szpitala.

Na teczce widniało logo Szpitala Psychiatrycznego Lee.

Zawierała akta pacjenta Aarona Matthews. Znajdowało się tam jego zdjęcie. A więc to był fikcyjny doktor James Peters.

Megan przeczytała raport. „Przyjęty z diagnozą depresji, halucynacji o charakterze socjopatycznym, zachowań granicznych”. Zauważyła, że przez wiele lat leczyli go wszelkimi możliwymi medykamentami i że odbył sporo sesji terapeutycznych.

Znalazła zapisy sesji.

Matthews: Jak pan sądzi, gdzie w ciele przebywa grzech? W szyszynce, języku, penisie czy łechtaczce? A może w paluchu?

Dr Felling: Grzech to abstrakcja, Aaronie. Myślę, że można by powiedzieć, że mieści się w korze mózgowej. Jeśli musisz tak na to patrzeć.

Matthews: A więc jak go wytrzebić? Wyciąć jak guza? Bóg chce tego od nas. Wiem to na pewno.

Dr Felling: Czy słyszysz głos Boga, Aaronie?

Matthews (ze śmiechem): Nie, ale czytam Biblię. A pan nie?

Podejrzewała, że albo go zwolnili, albo uciekł, zabierając ze sobą akta. Był szalony. Jak seryjny morderca. Przekonywał ludzi, żeby zabijali samych siebie. A może namawiał ich do pisania listów samobójczych i ich mordował. Rzuciła okiem na kolejny artykuł.

Władze hrabstwa zamykają ośrodek odnowy religijnej.

W związku ze skargami parafian i zaleceniami ze strony kilku wirginijskich kościołów zielonoświątkowych władze hrabstwa zamknęły Katedrę wśród Sosen, obóz odnowy religijnej pod Front Royal.



Jako przyczynę cofnięcia kościołowi zezwolenia na organizowanie zebrań publicznych władze podały przypadki łamania przepisów bezpieczeństwa i higieny, ale z dobrze poinformowanych źródeł dowiadujemy się, że kościół przyciągnął uwagę władz, gdy czwarty parafianin popełnił samobójstwo.

- Policja sądzi - powiedział miejscowy pastor, który pragnął zachować anonimowość - że kościół miał zadatki sekciarskie. Jak sekta Koresha w Teksasie.

Założony przez samozwańczego wielebnego Jamesa Matthews w końcu lat 50. kościół stał się popularnym miejscem spotkań ewangelizacyjnych, odkąd syn Matthews, Aaron, zaczął głosić kazania w wieku jedenastu lat. Chłopiec został uznany za cudowne dziecko i przez dziesięć lat przyciągał ludzi do obozu.

Katedra wśród Sosen nie jest związana z żadnym oficjalnym wyznaniem chrześcijańskim.

Aaron Matthews od wielu lat nie był związany z kościołem, ale powrócił, gdy James Matthews zniknął pięć lat temu, niedługo po aresztowaniu w związku z napaścią na córkę dwojga swoich parafian. Do wszystkich samobójstw doszło po powrocie Aarona Matthews do głoszenia kazań i kontaktów z wiernymi.

- Nie wątpię w uczciwość wielebnego Matthews - powiedział miejscowy pastor - ale czasy kazań o ogniu piekielnym minęły. Byłem na kilku spotkaniach tego ruchu. On straszył ludzi, bardzo ich straszył. Rzucił im grzechy w twarz. Tego się już nie robi.

Aaron Matthews, którego chcieliśmy poprosić o komentarz w tej sprawie, był nieuchwytny.

W ręce Megan wpadła najnowsza gazeta i dziewczyna poczuła, że serce jej zamiera.

Nie była pożółkła jak pozostałe. Miała datę zaledwie sprzed miesiąca. Megan stłumiła szloch. Nie musiała czytać artykułu. Czytała go dziesiątki razy, znała go na pamięć. Wystarczył nagłówek.

Śmierć córki kongresmena Devoe - prawdopodobnie samobójstwo.

On to zrobił! Och, Annie... Dlaczego ty?

Megan przypomniała sobie rozwiane włosy dziewczyny, jej jasne oczy, łagodny głos. Dlaczego?

Matthews... ty skurwysynu...

Zaczeka na niego, postanowiła. Zerwie aksamitną zasłonę, żeby wiedział, gdzie jest, a sama schowa się za drzwiami. Gdy zajrzy tu, rzuci się na niego, krzycząc, i zada mu cios w plecy. On obróci się, a ona uderzy go w oczy, w twarz...

W tym przypiływie determinacji zacisnęła obolałe palce na jedynej broni, jaką miała - nożu. I pomyślała: Nie, to nie jest żadna broń, to lichey kawałek plastiku. Może mi pomóc tylko w wydostaniu się stąd.

Niemniej, gdy odwróciła się z powrotem do ściany, odetchnęła głęboko, żeby uzbroić się przeciwko bólowi, i zaczęła piłować; poczuła, że gniew w niej wzbiera. Nie wyparuje. Będzie pełzył po jej ciele, szukając miejsca, by się zagnieździć, zwinąć się i czekać. I może rosnąć.

Po pięciu minutach ostrze przebiło ścianę i Megan musiała użyć obu rąk, żeby chwycić plastik, ale zaczęła ciąć mocno, klęcząc i przyciskając czoło do płyty gipsowej. Przyszło jej do głowy, że wygląda nie jak uciekający więzień, ale pokorna pokutnica pogrążona w modlitwie.

Rozdział 28

Już prawie piątek.

Aaron Matthews nie myślał jednak o córce, ale o matce.

Bett McCall.

Było wokół niej coś tajemniczego. Megan nie miała do końca racji podczas sesji. Tajemniczość Bett nie była udawana, nie była tylko próbą podreperowania własnego



ego. Naprawdę dostrzegł w niej jakąś głębię. Piękność stanowiła jej część, na pewno. Jej milczenie? Tak, to zapewne też; była osobą zamkniętą, utrzymującą iluzję, że jest właśnie tą kobietą, której pragniesz, idealnym przedmiotem pożądania.

Pojął, dlaczego Tate Collier jej pożądał, i zrozumiał, że mógłby ugodzić go jeszcze boleśniej, gdyby odebrał mu również Bett.

Była prawie dziewiąta wieczór i Matthews pakował się w gabinecie, ponieważ następnego dnia zamierzał opuścić granice stanu. Usiadł na obrotowym krześle i zamknął oczy. Wyobraził sobie, że leży na Bett McCall. Że się kochają. Wyobraził sobie, że później wbija jej igłę w szyję. Rzecz jasna będzie się bronić, ale jest tak drobna, że bez trudu da jej radę - jej córka była większa, silniejsza, a uporał się z nią bez problemów.

I co potem?

Samobójstwo - nie. Nie po śmierci Carsona. Zbyt podejrzane.

Może wypadek.

Obrócił się na krześle w zamyśleniu. Nie, nie - wcale tego nie chcę. Wypadek samochodowy, upadek - to mógł łatwo zaaranżować. Ale tak naprawdę Matthews chciałby ją związać naga, wsunąć jej nóż do ust i wyciągnąć język, później by krzyknęła, a dusza uleciałaby z konającego ciała.

Chwył podpórki krzesła spoconymi dłońmi. Dlaczego nie? - pomyślał. Jutro wyjedzie na zachód. Opuści na zawsze ten rejon. Nie będzie już musiał dbać o pozory. Narazie nie będzie musiał martwić się o wyjaśnienia i zacierać śladów. Bett McCall może po prostu zniknąć.

Ale to nie będzie łatwe do zorganizowania. Pomimo tego, co Megan powiedziała mu podczas sesji, Tate i Bett sprawiali wrażenie nierozłącznych - w każdym razie podczas poszukiwań córki. Czy to nie za trudne? Nie odważyłby się narazić swoich planów związanych z Megan. Może będzie musiał odpuścić sobie Bett...

Poczytał przez dziesięć minut Biblię, studiując lirykę Psalmów. Zadzwoił telefon.

- Słucham?

- Doktor Peters? - W głosie kobiety pobrzmiwało wahanie.

- Tak. - Aż się wyprostował ze zdziwienia.

- Tu... tu Bett McCall. Matka... - powiedziała.

- Poznałem panią po głosie. - Matthews zamknął Biblię. Twarz mu płonęła niespodziewanym ogniem niecierpliwości. - Ma pani jakieś wiadomości od niej? - zapytał.

- Nie. Ale zastanawiałam się...

- Tak?

- Czy mogłabym wpaść do pana? Wiem, że już późno, ale zupełnie wariuję i nie wiem, co... - Głos jej się załamał. - Przepraszam. Po prostu bardzo się tym wszystkim martwię.

- Nie ma za co przepraszać. - Matthews usiłował stłumić nagłą erekcję. Denerwowała go. - Chętnie się z panią spotkam. - Urwał. - Tylko z panią?

- Mam nadzieję, że pana nie urażę, ale mój mąż jest nieco sceptycznie nastawiony do terapii. Chciałabym przyjść sama. - Chwila milczenia. - Zamierzałam mu o tym nie mówić. O ile uważa pan, że tak wypada.

- Nie ma żadnego problemu. Mam teraz wolną chwilę. Proszę wpaść.

- Czy potrzebuję polisy ubezpieczeniowej albo czegoś takiego?

- Zajmiemy się tym później - odpowiedział uspokajająco.

Żaluzje opuszczone, książki i czasopisma ponownie wypakowane i ustawione na miejscu, żeby niczego nie podejrzewała.

Matthews uśmiechnął się i wstał, przyglądając się dokładnie kobiecie. Miała na sobie obcisłe czarne dżinsy i czarny podkoszulek, ekstrawaganckie kolczyki się kołysały: sierpy księżycy i meteory. Wyczuł delikatny zapach perfum.

W jej ciemnych oczach malowało się dokładnie tyle niepewności, ile się spodziewał. Oczy. Zawsze oczy.

- Proszę bardzo. Proszę siadać. - Zerknął w stronę kozetki, ale ona wybrała krzesło.



- Cieszę się, że mnie pani złapała. Właśnie pakowałem się na weekend.

Strzykawka była już napełniona, czekała pod kserokopią artykułu z „Journal of the American Association of Psychopathology”.

Zaplanował dokładnie wszystkie działania. Zrobi jej zastrzyk, zawiezie ją w odludne miejsce w parku Bull Run, który jest po drodze do Katedry wśród Sosen. Tam rozbierze ją, zwiąże, otworzy jej usta i zabierze trofeum - prezent dla jej córki.

A miejscem spoczynku Bett będzie płytki grób.

Nóż myśliwski parzył go w udo. Uśmiechnął się ponownie.

- Jak się pani czuje?

- Bywało lepiej.

Potrząsnął głową.

- Gdy państwo tu byli, wyczułem, że pani cierpi najbardziej.

- Tate... - szukała słów.

- Mam wrażenie, że się nie przejmuję.

- Nie, to nie tak. Po prostu on nigdy nie był silnie związany z Megan.

- Istnieje związek rodzicielski.

- Ale miał pan rację co do jego odejścia z biura prokuratora. Chodziło o coś więcej, niż powiedział.

Matthews uniósł brew.

- Skazał niewinnego chłopaka, który popełnił samobójstwo.

- To smutne. - Matthews się skrzywił. - Czy jego ponowne pojawienie się w pani życiu jest źródłem problemów?

- Tak, trochę. Czuję zamieszanie.

- A więc nie przysłała pani tylko z powodu córki, tak?

Zawahała się. Po czym skinęła głową.

- Chyba tak.

- Muszę pani coś wyznać - powiedział Matthews. - Przyciągnęła pani moją uwagę, gdy tylko pani weszła wczoraj do gabinetu.

Spojrzała mu prosto w oczy. Ostrożnie, ale bez przykrości. Matthews widział to.

Roześmiał się.

- To nie grzecznościowa formułka. Moja reakcja na panią jest ważna, ponieważ po części dyktuje mi, jak postępować.

- Co jeszcze panu mówi?

- To się zobaczy.

- Pan mnie nie zna.

- Nie znam? Myślę, że znam. Wiem, że jest pani namiętna, że robi pani wszystko, co w pani mocy, żeby odnaleźć córkę, która panią odrzuciła, wiem, że mąż bardzo panią zranił, wiem, że potrzebuje pani miłości.

- Mówi pan jak wróżka. Spotkasz tajemniczego bruneta. Wyjedziesz w podróż. A co z moją reakcją?

- Na co?

Bett zawahała się.

- Na cokolwiek.

Co znaczyło: Na ciebie.

- To właśnie musimy zrozumieć, prawda? - Matthews odchylił się na krześle i spojrzał w dół, żeby upewnić się, że Bett nie może zobaczyć strzykawki. - Twierdzi pani, że córka jest zagniewana. Cóż, muszę przyznać, że jest. Ale powiedziałbym, że w pani też jest gniew. Na męża. - Podniósł rękę. - Czuje pani gniew w tym najbardziej kłopotliwym miejscu, w podświadomości. Musi pani coś z tym zrobić. Pani to wie, ale równocześnie się boi.

Zacisnęła usta, w oczy wkradł się chłód. Ale Matthews spodziewał się takiej reakcji. Chwilę później odezwała się zamyślona:

- Może to prawda. Nie wiem. Niewykluczone.



- Pani mąż wyciągnął coś na powierzchnię. Pani nie wierzyła w siebie jako kobietę, gdy byliście małżeństwem. Czy tak?

Boisz się odpowiedzieć, Bett McCall, ale twoje oczy mówią za ciebie.

- Ale nauczyła się pani niezależności - ciągnął. - Nauczyła się pani być kobietą, gdy zerwaliście. - Mówił łagodnie. Wstał i usiadł na kozetce koło niej.

Odrzuciła włosy - bardziej nerwowo niż uwodzicielsko. Ale troszkę uwodzicielsko.

Najpierw przeleci ją na kozetce. Przed zastrzykiem. A może później. To bez znaczenia.

- Nie powinnam była tu przychodzić.

Ilu ludzi mówi mi nie, mimo że jest to ostatnia rzecz, jaką chcą powiedzieć?

- Ależ powinna pani. Serce nas prowadzi. Jest mądrzejsze od wszystkiego innego: umysłu, duszy, zwierzęcego instynktu. Nasze serce.

Dziewczęcym ruchem owinęła sobie kosmyk włosów wokół palca.

Dotknął lekko jej kolana. Wyglądała na zaskoczoną, ale nie cofnęła się ani nie drgnęła.

- Myśli pan, że to serce mnie tu przywiodło?

Potaknął.

- Tak myślę.

- Dlaczego?

- Ponieważ w pani życiu czegoś brakuje. Nawet pani tego nie wiedziała, dopiero spotkanie z mężem to pani uświadomiło. Czy mogę panią pocałować?

- Nie - szepnęła.

Pocałował. Ich usta się rozwarły. Oddała pocałunek. Mocno.

- Ja... Nie, ja mam narzeczonego.

- I byłego męża - dodał Matthews. Jego ręka osunęła się na jej pierś. Wzdrygnęła się, ale nie z niechęci. - Ale przede wszystkim jest pani sobą.

- Tylko o tym nie wiem.

Pogładził dłonią jej sutek.

Krzyknęła na dźwięk elektronicznego dzwonka w torebce.

- Och...

- Pager cnoty - szepnął.

Roześmiali się oboje.

Wciągnęła głęboko powietrze, przeczesła ręką włosy, odsunęła się.

- Przepraszam. Mogę zadzwonić? To może być Megan.

- Oczywiście.

Odczytała numer z ciekłokrystalicznego ekraniku pagera i wykręciła.

Matthews usiadł na krześle, zerknął na kserokopię i zacisnął palce na strzykawce.

Wybierając numer, Bett McCall zerknęła w oczy Petersa, po czym odwróciła wzrok. Wiedziała, kto dzwoni. Tate Collier zakończył właśnie przeszukiwanie mieszkania doktora.

Tate opowiedział jej o dziwnym związku między Anne Devoe i Petersem, postanowili więc, że ona zatrzyma doktora w gabinecie, podczas gdy on przetrząśnie mieszkanie w poszukiwaniu akt pacjentów. Z początku czuła opór wobec takiego oszustwa, ale wyrzuty sumienia znikły.

Ten dupek lubieżnie mnie dotyka³.

I beznadziejnie całował.

Dwie rzeczy, które postanowiła ukryć przed swoim byłym.

Tate odebrał słuchawkę automatu.

- Bett?

- Tak, ja...

- Posłuchaj bardzo uważnie - powiedział głosem cichym i nagłym. - Nie jedź do niego.

Spuściła wzrok.



- Jak poważnie mam to traktować?
- Chyba nie jesteś tam, prawda? W gabinecie?
Zerknęła na doktora i skrzywiła się.
- Mój partner w interesach. Mamy na oku niezłą okazję. - Przysłoniła słuchawkę dłonią tylko częściowo, żeby Tate usłyszał. A do telefonu powiedziała lekko: - Nie moglibyśmy odłożyć tego do jutra?
- Uciekaj stamtąd. Natychmiast!
- Mam właśnie bardzo ważne spotkanie. - Nigdy jeszcze nie słyszała w jego głosie takiego ponaglenia. Czuła, że ręce się jej pocią.
- Posłuchaj - powiedział. - Znalazłem co nieco w tym mieszkaniu. Pamiętasz ten proces sprzed kilku lat? Ten, o którym ci opowiadałem, z tym chłopakiem, który powiesił się w więzieniu?
- Tak, chyba sobie przypominam. - Uśmiechnęła się i szepnęła na boku: - Tylko minutkę.
- Oskarżony nazywał się Peter Matthews.
- Tak? - spytała niewinnie. Czuła, że rumieni się z przerażenia.
- James Peters nie istnieje. Znalazłem paszport. To jest Aaron Matthews, ojciec tego chłopaka. Jestem pewny, że porwał Megan, żeby wyrównać ze mną rachunki.
Bett poczuła pustkę w głowie, chwyciła mocno słuchawkę. Matthews przyglądał się jej teraz z pewnym niepokojem.
- Tak, rozumiem - zmusiła się do odpowiedzi. - To trochę dziwne, zważywszy na okoliczności. Masz jakiś pomysł?
- Uciekaj natychmiast - odpowiedział Tate. - Wyjdz.
- Skoro to tak ważne... - Jej głos mógłby służyć za wzorzec zatroskanej bizneswoman. - Muszę przyznać, że to mi bardzo komplikuje sprawę.
- Powiedz mu, że musisz... - zaczął Tate. Rozległ się cichy trzask i nagle głos jej byłego męża, zniekształcony przez statykę, wypełnił cały pokój - ...wyjść do toalety i uciekaj gdzie pieprz rośnie!
Matthews nacisnął przycisk głośnika.
Z uśmiechem położył rękę na widełkach.
- No, no - powiedział.
Ich oczy się spotkały. Jego łagodny wyraz twarzy nie zmienił się, ale oczy w niesamowity sposób nabrały twardości stali, gdy powolnym ruchem podniósł strzykawkę z biurka.
Wstał z kozetki, wciąż powoli, i zakładając, że Bett rzuci się do ucieczki, stanął między nią a drzwiami.
To był błąd. Bett poczuła w sercu wybuch wściekłości na człowieka, który porwał jej córkę i z pewnością naszpikował tym samym lekiem, który zamierzał jej teraz zaaplikować. Udała, że biegnie do drzwi, a Matthews dał się nabrać. Skoczył w tym kierunku i zorientował się zbyt późno, że ona nie ma zamiaru uciekać. Cofnęła się w głąb gabinetu, chwyciła stojącą na biurku ciężką szklaną popielniczkę i rzuciła nią w Matthews'a. Uchylił się, ale uderzyła go rykoszetem tuż nad uchem, aż oparł się ogłuszony o regał, zrzucając książki.
Bett cisnęła niewielką ławą i trafiła go w żołądek. Upuścił strzykawkę i zgiął się wpół, chwytając za brzuch. Bett rzuciła się na niego, bijąc i tłukąc, drapiąc paznokciami, celując w oczy. Ale on był potężnym, wysokim mężczyzną, gdy więc pokonał ból, usiadł i odepchnął ją od siebie. Zamierzył się, by uderzyć ją w twarz. Gdy się zastłoniła, chwycił ją mocno tuż poniżej piersi. Przydusił ją i upuścił na ziemię. Podniósł się, dysząc ciężko, i otarł krew z policzka i oka.
- Gdzie ona jest? - wycharczała Bett.
- Niedługo ją zobaczysz - szepnęła Matthews z uśmiechem.
Wyciągnął rękę, chwycił Bett za włosy i postawił na nogi.
- Nie! Przestań!



Omdlała na chwilę, a kiedy rozluźnił uchwyt, wyrwała mu się i podniosła strzykawkę. Matthews wyciągnął szybko lewą rękę i chwycił ją za nadgarstek, ściskając mocno. Trzymała strzykawkę nieruchomo nad ich głowami. Prawą ręką wydobyl z kieszeni wielki składany nóż. Otworzył go zębami, a Bett z przerażeniem dostrzegła ciemne plamy na ostrzu. Matthews odwrócił nóż ostrzem do góry i - wciąż trzymając jej prawą rękę w górze - przycisnął Bett do ściany.

- W imię Ojca - szepnął - i Syna, i...

Nacisnęła tłoczek i trysnęła mu lekarstwem prosto w twarz. Krzyknął z bólu. Bett wyrwała rękę i uskoczyła w bok, a nóż minął ją o kilka cali.

Kopnęła stojącą lampę, która upadła z trzaskiem, i w pokoju zapadła ciemność. Matthews ruszył w kierunku dźwięku i uderzył ponownie. Bett uniknęła ostrza i pobiegła do drzwi. Otworzyła je szarpnięciem i dostrzegła na ścianie drugiego pokoju nie portret Freuda czy Junga, ale rozmodlonego świętego przebitego strzałami, a następną rzeczą, jaką zapamiętała, było dociśnięcie pedału gazu do deski. Wyskoczyła na jezdnię tak szybko, że mijająca ją ciężarówka zjechała na krawężnik i w krzaki.

Volvo rozpędziło się już do sześćdziesiątki, a światło na skrzyżowaniu mignęło jej przed oczami jak rozmazana czerwona spadająca gwiazda.

Rozdział 29

Collier: Panie i panowie, obrona powiedziała, że oskarżony Peter Matthews jest synem i wnukiem kaznodziejów związanych z ruchem odnowy religijnej. Że jego ojciec był człowiekiem o rozchwianej psychice, miewającym depresje i omamy, człowiekiem, który przez pewien czas wierzył, że przemawia przez niego Bóg.

Człowiekiem, którego ojciec został aresztowany za okaleczenie młodej dziewczyny, należącej do jego wiernych, ponieważ uważał, że zgrzeszyła przeciwko Bogu.

Ale wedle prawa jak syn nie jest odpowiedzialny za grzechy ojca, tak umysłowe problemy ojca nie usprawiedliwiają czynów syna. Peter Matthews miał dzieciństwo mniej sielankowe, niż można by pragnąć. A kto z nas nie miał? Niemniej reszta nas nie wykorzystuje przykrych wspomnień jako usprawiedliwienia dla zabijania.

Tate i Bett siedzieli pod gabinetem Petersa w jej samochodzie. Tate zadzwonił na 911, gdy tylko usłyszał dźwięk rozłączonego telefonu. Wezwał policję hrabstwa i stanową. Bett pognęła do budki telefonicznej w pobliżu mieszkania Petersa, gdzie mieli się spotkać, i zabrała go. Natychmiast wrócili do gabinetu, żeby czekać na policję.

Nie, oskarżony nie był doprowadzonym do ostateczności chłopakiem, który wpadł w sidła ślepej pasji. Nie mamy na to cienia dowodu. Jest inteligentny, opanowany, chłodny, racjonalny.

I do jakiego to celu wykorzystał oskarżony to swoje opanowanie 13 grudnia zeszłego roku?

Przyjrzyjmy się temu razem. Panie i panowie, zamknijcie oczy... Proszę. Zamknijcie oczy. Chodźcie ze mną. Jest 13 grudnia w Fairfax w Wirginii, dzień zimny, pochmurny, wilgotny. Wróćmy tam. Przejdźmy przez drzwi mieszkania Rose Marie Dobrith. To małe mieszkanie. Jedna sypialnia na Burke Station Road. Dzielnica zamieszkała przez rodziny i młodych ludzi startujących w dorosłe życie. Niedaleko jest kawiarnia, w której Rose Marie często je śniadanie przed pójściem do pracy w sklepiku na Chain Bridge.

Wchodzimy do wąskiego korytarza i saloniku. Rose Marie wprowadziła się dwa miesiące temu, ale bardzo chciała nadać temu miejscu osobisty charakter i ciężko nad tym pracowała.

Macie zamknięte oczy, wyobrażacie to sobie?

Na niewielkim stoliku z drewna klonowego stoją zdjęcia Rose Marie z jej ojcem Edwardem i matką Kendrick, która umarła sześć lat temu. Zdjęcie Rose Marie z przyjaciółką na wakacjach w Disneylandzie. Porcelanowy czarny kot z wyprężonym grzbietem. To prezent od narzeczonego - człowieka, który zamierza ją zamordować za dziesięć



minut.

Ten sam człowiek siedzi dziś w sądzie. Oskarżony Peter Matthews.

Jesteśmy w mieszkaniu Rose Marie w tę wilgotną noc 13 grudnia. Rose Marie siedzi na podróbce wschodniego dywanu. Jest północ. Rose Marie ma na sobie niebieski szlafrok, czesze długie rude włosy. Ogląda prezenty, które dostała dla dziecka od przyjaciół tydzień temu. Jest w ciąży od siedmiu miesięcy i czterech dni.

W drzwiach przekręca się klucz. Gdyby usłyszała pukanie, byłaby zaskoczona, zaniepokojona. Ale jest jeden człowiek, który ma klucze do tego mieszkania - oskarżony. Wstaje podekscytowana. Z jednej strony cieszy się, że go widzi, bardzo się cieszy. Jest w nim zakochana. Ale z drugiej strony - niepokoi się. Wcześniej tego dnia się pokłócili. Byli na zakupach i pokłócili się.

Na środku hali rozpląkała się z powodu okropnych rzeczy, jakie jej powiedział. Wyszła ze sklepu, zostawiając zakupy. Oskarżony krzyknął za nią: „Nie oddalaj się, dziwko!”.

Tak właśnie rozstali się po południu. A teraz Rose Marie podnosi wzrok i widzi go. Czuje ulgę. On czasami pije, ale dziś nie pił. Jest absolutnie trzeźwy. Ma niczym niezakłócony osąd rzeczywistości. Rose Marie także ma nadzieję. On ją przytula.

Rose Marie pozostało tylko osiem minut życia.

Co do siebie mówią? Nigdy się tego nie dowiemy. Wiemy, że dochodzi do bójki. Stół jest przewrócony, szklanki potłuczone. Ona drapie go po twarzy, usiłując się bronić. On kopie ją w powiększony brzuch, w którym spoczywa ich nienarodzona córeczka.

Czy macie oczy zamknięte, panie i panowie? Czy wyobrażacie sobie tę scenę?

Cztery minuty życia.

Oskarżony przechodzi do kuchni, bierze długi nóż. Ten, który oglądaliście. Nie, nie patrzcie teraz na niego. Nie otwierajcie oczu. Wyobraźcie sobie, jak oskarżony wraca do pokoju z nożem w ręce.

Rose Marie pozostały dwie minuty życia. Może krzyknęła: „Nie, nie krzywdź mojego dziecka!”.

Ale on zbliża się z nożem i uderza raz i drugi, i kolejny.

Widzicie ją, panie i panowie? Widzicie wyraz smutku na jej twarzy w tej ostatniej minucie życia?

Już! Otwórzcie oczy! Spójrzcie na oskarżonego, na człowieka, który zabił swoją narzeczoną i swoją córkę. Zabił je, ponieważ mogły stanowić przeszkodę w jego hulastycznym, zepsutym życiu. Nie mogliśmy pomóc Rose Marie, gdy błagała go, żeby przestał.

Ale możemy jej pomóc teraz. Możemy pomóc jej ojcu i siostrze. Możemy pomóc jej przyjaciołom. Możemy pomóc jej nienarodzonej córeczce, której nie dano żadnej szansy. Możemy ubiegać się o karę śmierci dla oskarżonego - karę, którą ludzie w stanie Wirginia wymierzają za zbrodnie takie jak ta, za jego zbrodnię, za zbrodnię nie do opisaną.

Dante pisze w „Boskiej komedii”, że najlepszą odpowiedzią na zacytowany uczynek jest milczenie czynów. Nie słowa, nie debaty, nie obietnice. Milczenie czynów. Proszę was, żebyście czynem odpowiedzieli na żądanie przez prawo stanowe sprawiedliwości, wydając wyrok śmierci.

Dziękuję, panie i panowie.

Bett poruszyła się, odrywając Tate'a od zapisu odtwarzanego w myślach.

- Gdzie oni są? - zapytał, mając na myśli policję.

Dzwonił dwa razy. Raz, żeby zgłosić napaść Matthews na Bett, drugi - żeby podać markę jego samochodu. Matthews najwyraźniej ukrył gdzieś szarą furgonetkę i jeździł teraz ciemnoniebieskim buickiem, aczkolwiek Bett nie dała rady spisać numerów podczas pośpiesznej ucieczki z gabinetu.

Matthews nie mógł uciec daleko. Wydadzą pełny list gończy i znajdą go. Czy ujawni, gdzie jest Megan, to już inna sprawa.

Jeśli dziewczyna żyje.



Fenomenalna pamięć Tate'a Colliera raz jeszcze przebiegła akta sprawy Stan Wirginia kontra Matthews, ogromną masę dokumentów. Podobnie jak akta spraw kryminalnych na całym świecie była ona godna podziwu, ponieważ - jako jedyna na świecie - zawierała ostateczną prawdę. W protokole wspólna opinia ławy przysięgłych zamienia się w świętą, niepodważalną prawdę.

Tyle że w przypadku syna Aarona Matthews'a niebiosy skłamały.

Argument: Zadrapania na twarzy Petera, które zdaniem Tate'a (przekonał o tym ławę przysięgłych) pochodziły z bójki z Rose Marie, mogły się pojawić, kiedy został schwytany przez policjantów podczas aresztowania. Pod paznokciami ofiary nie znaleziono śladów jego skóry.

Argument: Peter Matthews mógł mówić prawdę - czemu Tate zaprzeczył w pierwszym podejściu - gdy zeznał, że był z wizytą u narzeczonej na dzień przed morderstwem i zostawił odciski na nożu, przygotowując kolację.

Argument: Pani psycholog - jej zeznanie zostało podważone przez krzyżowy ogień pytań Tate'a - mogła mieć rację, gdy oznajmiła, że jej zdaniem chłopak tak tęsknił za normalną rodziną, że był niezdolny do przemocy wobec kogoś, kogo kochał. Raczej dałby się zabić kochance, niż skrzywdził ją w samoobronie, powiedziała, a kłótnia w supermarkecie była wyłącznie sprzeczką dwojga młodych ludzi.

Argument: Chłopak, niewinny jak Izaak, powiesił się w celi śmierci na trzy dni przedtem, jak Tate miał występować na jego procesie apelacyjnym w Richmondzie.

- Myślisz, że ona jest cała i zdrowa? - spytała cicho Bett.

Dotknął jej ramienia i nie odpowiedział. W milczeniu przytuliła się do niego. Włączyła radio. Bili Monroe i Bluegrass Boys zaintonowali piosenkę o niewiernych kochankach.

- Tate?

- Na pewno. Gdzie, u diabła, podziewa się policja?

W tej chwili w oddali zobaczył światła kogutów. Zbliżały się z obu stron. W ciszy. Bez syren. Wyłączył radio.

Trzy samochody zahamowały ostro przy chodniku, a pięciu potężnych funkcjonariuszy wyskoczyło z wyciągniętymi pistoletami.

Tate również wysiadł z samochodu, wskazując na gabinet Petersa.

- Dzwoniłem pół godziny temu! Gdzieście się podziewali? On ucieknie.

- Pan jest Tate Collier?

- Tak, to ja. Macie nakaz aresztowania? Myślę, że pojechał na zachód. Tam jest obóz odnowy religijnej, który założył jego ojciec, sądzą więc...

- Może pan tu podejść? - Policjant wskazał swój samochód.

- Nie ma czasu! Trzeba działać!

- Ręce proszę położyć na dachu.

- Co?

- Mam nadzieję, że nie będzie pan nam utrudniał pracy.

- Co wy, u diabła, wyczyniacie?

Nie odpowiedzieli. Nie od razu. Dwaj policjanci najpierw go obszukali. Następnie zakuli w kajdanki i odczytali mu jego prawa. Dopiero gdy skończyli, poinformowali go, że został aresztowany za morderstwo.

Aaron Matthews uwijał się w mieszkaniu, które wynajął jako James Peters. Pakował się.

Powrót tutaj był ryzykowny. Tate najwyraźniej przeszukał mieszkanie - może nawet Bett wykręciła z gabinetu ten numer. Ale nie miał wyboru. Chciał zabrać książki i obrazy ojca. A przede wszystkim chciał zabrać dziesięć tysięcy dolarów gotówką - część opłat wnoszonych przez parafian Katedry przez długie lata.

Ryzyko, owszem. Ale zabezpieczył się na wypadek odkrycia - właśnie wykonał anonimowy telefon na policję i doniósł na Tate'a. Oceniał, że ma jakieś pięć albo sześć godzin, żeby pozbierać dobytek i wrócić do Katedry. Żeby doprowadzić sprawę do końca.



Zatrzymał się i oparł o ścianę. Był wyczerpany, ale przede wszystkim rozczarowany. Ucieczką Bett McCall. I tym, że go zdemaskowali.

Że jego wielka intryga nie wyszła tak, jak sobie zaplanował.

Udało mu się zatrzeć ślady dziś wieczór, ale wkrótce wypuszczą Tate'a i wyślą policję do Katedry wśród Sosen.

Wyobraź sobie coś najgorszego.

Prawie dwa lata pracy i wszystko roztrzaskane w jeden dzień. Przygotowywał się na Megan, zabijał dla Megan. Była jego. A teraz...

Rzęsiste łzy popłynęły po policzkach. W gardle czuł pieczenie.

Myślę, o Panie, o tych wszystkich latach, zanim wpuściłem Cię do mego serca. Czy zmarnowałem je? Nie, nie zmarnowałem. Nie! Jeśli człowiek na łożu śmierci spojrzy w oczy anioła śmierci i powie: „Przyjąłem Jezusa do mojego serca”, jego życie jest odkupione od urodzenia. Jego wiara przemieniła wszystkie jego dni.

Nie, nie pozwoli, żeby jego dni poszły na marne. Zakończy robotę w Katedrze i po-
leci do Kalifornii. Świat potrzebuje nowego Davida Koresha, nowego Jima Jonesa.

Co jest najgorsze?

Żyć zawsze w niepewności.

Zajrzał w głąb swego serca i ujrzał, że wykonanie woli Boga wobec Tate'a Colliera było celem jego życia. Mówiło do niego, wzywało go. Nie potrafi się od tego odwrócić.

Megan...

Jaka jest druga najgorsza rzecz?

Odebrać człowiekowi dziecko.

To musi zrobić.

Ojciec pozna los Megan, nie będzie żył w niepewności. Ale Matthews uczyni z niej tak przerażający spektakl, że Collier nigdy nie zapomni tego obrazu. Przybije ją do krzyża, użyje noża, zostawi ją. I ucieknie.

Collier będzie oglądał setki kolorowych zdjęć z miejsca zbrodni z jej okaleczonym ciałem i każdej nocy do końca życia będzie go dręczyć pytanie, jak bardzo cierpiała.

Łazarzu, wróć do grobu. Wróć, wróć. Śpij.

Śpij na wieki, krwi i kości.

PIĄTEK

Milczenie czynów

W wędrówce życia, na połowie czasu,
Straciwszy z oczu ślad niemyślnej drogi
W głębi ciemnego znalazłem się lasu.

Dante Alighieri

Rozdział 30

- Powiem wam wszystko, co chcecie wiedzieć. Ale, na miłość boską, poślijcie kogoś na poszukiwanie mojej córki.

- Proszę zacząć od początku.

- Jestem pewny, że jest przetrzymywana w obozie odnowy religijnej gdzieś w pobliżu Front Royal. Przez człowieka, który nazywa się Aaron Matthews. Konnie Konstantinakis miał wydruk z bazy danych, listę szarych furgonetek zarejestrowanych w tym rejonie. Matthews jeździ właśnie takim samochodem i...

- Mamy własną listę zadań, panie Collier - odezwał się szorstko detektyw z wydziału zabójstw, tracąc cierpliwość. - Pozwoli pan. Możemy zacząć jeszcze raz od początku?



Jest mnóstwo rzeczy do omówienia.

Ich własna lista zadań. Och, oczywiście. Nawet taki prawnik jak Tate, który od pięciu lat nie parał się sądownictwem, potrafił się zorientować, że to podejrzana sprawa. Gdy Tate siedział już w radiowozie pod gabinetem Matthews'a, policjanci spisali oświadczenie Bett, w którym potwierdziła wszystko, co Tate powiedział o szaleńcu. A potem, niezbyt grzecznie, kazali jej się wynosić.

- Pani pojedzie do domu. To nie pani sprawa.

Popędzili na sygnale do głównego biura policji stanowej i zostawili Tate'a w pokoju przesłuchań prawie na dwie godziny, podczas których myślał, że zwariuje. Krążył po pokoju i zwracał się z błaganiem do lustra weneckiego. Nikt nie odpowiedział.

W końcu zaraz po północy w pokoju zjawili się dwóch detektywów, którzy rozpoczęli przesłuchanie, nie zwracając uwagi na uparte prośby Tate'a, żeby przynajmniej powiadomili policję hrabstwa Shenandoah.

Westchnął.

- Czy jest gdzieś w okolicy Ted Beuridge?

- Nie. Proszę od początku.

- Czy mogą mi panowie przynajmniej powiedzieć, o co chodzi?

- Otrzymaliśmy anonimowy telefon, że ktoś widział, jak zakopuje pan na swoim polu coś, co wyglądało na zwłoki...

- Zwłoki? Czy wyście poszaleli?

- Ofiara nazywała się Emily Rostowski. Sprawdziliśmy, że rozpytywał pan o nią. Bardzo zależało panu na tym, żeby ją znaleźć. Chyba wiemy dlaczego. Dlaczego ją pan zabił?

- Kiedy otrzymaliście ten telefon? Zaraz po tym, jak zadzwoniłem w sprawie Matthews'a. Nie widzicie? To on was zmylił! To wszystko zasłona dymna.

- Ten tajemniczy Matthews - mruknął policjant. I zwrócił się do drugiego: - To chyba diabeł wcielony.

- Musiał ją zabić i zakopać na moim polu. - Tate zawahał się i przypomniał sobie środowy ranek. - Proszę posłuchać, wydawało mi się, że ktoś obserwował dom w tym dniu, kiedy Megan zniknęła.

- Złożył pan doniesienie?

- Nie.

- Dlaczego?

Ponieważ gdy stał przy oknie, pijąc poranną kawę, pomyślał, że widzi Martwego Reba.

- Po prostu nie złożyłem. Ale może ta Emily była świadkiem porwania Megan i on dlatego ją zabił. Może była jego współniczką i nie chciał, by żyła. Gdy zrozumiał, że go rozgryzłem, zadzwonił, żeby donieść na mnie, a sobie dać czas na ucieczkę do obozu, gdzie zabije moją córkę.

- To bardzo wymyślne, proszę pana. A jak pan wytłumaczy fakt, że ta dziewczyna została zabita nożem kuchennym, na którym są pańskie odciski palców?

- Proszę porozmawiać z Konniem. On...

- Były detektyw Konstantinatis jest w szpitalu i nie może z nikim rozmawiać. Chyba zdaje pan sobie z tego sprawę.

- A więc z Beuridge'em. Jestem pewny, że Matthews włamał się do mojego domu w środę i podłożył listy, które rzekomo napisała Megan. Wtedy zapewne ukradł nóż.

- Przyczyną śmierci była utrata krwi po poderżnięciu gardła. Ach, poza tym miała wycięty język. To stało się, gdy jeszcze żyła.

- Obrzydliwy rodzaj zabójstwa - dodał drugi detektyw.

Tate czuł coraz większy niepokój. Myślał o twarzy Megan, jej ustach...

- Przeszukaliśmy pański dom...

- Zakładam, że mieliście nakaz.

- Mnóstwo nakazów - odpowiedział radośnie detektyw. - Stwierdziliśmy, że więk-



szość rzeczy córki jest spakowana. Jej pokój wygląda jak magazyn.

- Ona mieszka u matki.

- Nie ma żadnych jej zdjęć, ubrań, nic osobistego. Odnieśliśmy wrażenie, że chciał się pan z nią pożegnać już jakiś czas temu. Dlatego zastanawia nas cała ta historia o porwaniu przez wariata.

Tate zmarszczył brwi. Nakaz? Odciski palców? Tkwiący w nim prokurator zaczął się niepokoić sprawą. Procedury, które powinny trwać cały dzień, zajęły im godzinę albo dwie.

- Chwileczkę, panowie. Jaki był powód mojego aresztowania?

- Prawdę mówiąc, proszę pana - powiedział sztywno detektyw - to my prowadzimy przesłuchanie. Jeśli nie ma pan nic przeciwko.

- Właśnie zaczynam mieć - odrzekł Tate. - Kiedy otrzymaliście sądową ekspertyzę noża? Pół godziny temu? Aresztowaliście mnie z powodu donosu i ciała znalezione w okolicy mojego domu. To nie przejdzie, panowie.

Byli nieźli. Twardzi jak stal. Tylko jeden z nich okazał jakiegokolwiek emocje, drobny błysk w oku, który jednak szybko zniknął.

- Jeśli pan pozwoli...

- Trzymaliście mnie tu przez dwie godziny, czekając na ekspertyzę. Nie zwróciliście uwagi na oświadczenie mojej żony. I skleciliście jakąś bzdurę, żeby dostać nakaz przeszukania mojego domu.

Uśmiechnęli się, ale stracili nieco na pewności siebie.

- Sugeruje pan, że sfabrykowaliśmy dowody?

Tate nie potrafił przestać myśleć o obozie odnowy religijnej Matthews'a. Przypomniał sobie zeznanie Petera Matthews'a o tym niesamowitym miejscu: ojciec wygłaszaający kazanie do pustego pola o północy.

- Czy znał pan Anne Devoe? - Teraz policjanci przejęli inicjatywę. Co potwierdziło wszystko, co Tate powiedział na temat tej sprawy.

- Była przyjaciółką Megan. Matthews był również jej terapeutą.

- Do tej pory Matthews był kaznodzieją. Teraz stał się terapeutą.

- To ten sam człowiek. Udawał Jamesa Petersa. James to imię jego ojca. Peter był jego synem. On...

- Jasne. - Kazali mu jeszcze raz opisać wypadki tej nocy, kiedy zniknęła Megan.

- Skoro jestem aresztowany, mam prawo do adwokata.

- Oczywiście - odparł sennie młodszy z detektywów.

Tate wyobraził sobie Megan, związaną i zakneblowaną, leżącą gdzieś w zabudowaniach Matthews'a.

- Muszę powiedzieć, panie Collier, że wygląda pan na nieźle zdenerwowanego.

Tate wściekł się.

- Moja córka...

- Czy miał pan kiedykolwiek stosunek z Anne Devoe?

Powstrzymał gniew.

- Nigdy jej nie widziałem.

- W rzekomym liście samobójczym było napisane, że miała romans ze starszym mężczyzną. To był pan, prawda?

- Powiedziałem już, że nigdy jej nie widziałem!

- Czy wysłał pan gdzieś córkę, ponieważ wiedziała o pańskim romansie z Anne Devoe? I upozorował pan porwanie?

- Zwariowaliście?

- Czy zabił pan Anne Devoe?

Dołączył drugi detektyw.

- Czy zabił pan Emily Rostowski, ponieważ wiedziała, że zabił pan Devoe?

- To bzdury!

- Nie odpowiedział pan na pytania.



- Nie.

- Skąd wzięły się policyjne akta panny Devoe w pańskim samochodzie?

A więc o to chodzi. Tate zrozumiał w nagłym olśnieniu. Oczywiście. Gdzieś pojawiło się słówko, że Tate przyczynił się do opóźnienia ponownego postępowania w sprawie Devoe. A może był jedynym podejrzanym, jakiego w tej chwili mieli. Dzięki tej teorii spiskowej łatwiej im będzie oznajmić państwu Devoe, że nie udało im się znaleźć podstaw do oskarżenia kogoś o zamordowanie ich córki.

Pobawią się z nim przez całą noc, spiszą jedno czy dwa zeznania i jutro wypuszczą. Przepraszamy za kłopoty. Jeśli chce pan złożyć skargę, proszę skontaktować się z naszym przełożonym... Nawet gdyby zdołał ściągnąć tu prawnika, powiedzmy za pół godziny, procedura habeas corpus potrwa do rana. Nic nie mógł zrobić.

A z każdą mijającą minutą Aaron Matthews przybliżał się do Megan.

Postanowił spróbować współpracy.

- Wziąłem teczkę Devoe przez pomyłkę. Szukałem czegoś dotyczącego mojej córki.

- Jasne - odrzekł jeden z detektywów, a następnie zapytał, kiedy ostatnio prowadził samochód Megan.

- Jakiś miesiąc temu, jak przypuszczam.

- Tak wytłumaczy pan obecność swoich odcisków na klamce?

- Chyba właśnie tak.

W tej chwili Tate zerknął na kalendarz i poczuł przerażenie. Zobaczył tabelkę tygodni.

Jutro... Wielki Piątek. Nie! Już po północy. Dziś jest Wielki Piątek.

- Panie Collier, czy pan nas słyszy?

Peter Matthews powiesił się w Wielki Piątek pięć lat temu. Rozprawa apelacyjna była wyznaczona na dzień po Wielkiej Nocy. Tate naradzał się z adwokatem, który żartował coś o zmartwychwstaniu, gdy zadzwonił telefon z dystryktu, że chłopak nie żyje.

- Czy możemy jeszcze raz omówić wydarzenia sprzed jej zniknięcia?

- Sprzed?

- Powiedzmy z poprzedzającego tygodnia.

Tate westchnął. Spojrzał na drzwi i zmrużył oczy na widok czegoś, co tam zobaczył. Przeniósł wzrok z powrotem na detektywów.

- Dobrze już, dobrze. Olewam moje prawa i powiem wam wszystko, co przychodzi mi do głowy. Pełne zeznanie. Nie wyznanie, ale oświadczenie w sprawie Devoe. Ale potrzebuję kawy i będę musiał skorzystać z kibla.

Wymienili spojrzenia i potaknęli.

- Pójdę z panem - mruknął jeden z detektywów.

Tate się roześmiał.

- Byłem prokuratorem stanowym przez dziesięć lat. Nie ucieknę.

- On pójdzie z panem - odburknął drugi.

- Jak tam chcecie - mruknął Tate.

Wyszli z wydziału kryminalnego na zaniedbany korytarz, przypominający podmiejską szkołę. Zbliżyli się do męskiej toalety.

- Przepraszam - powiedziała kobieta, która wpadła na Tate'a i pospiesznie odeszła, stukając obcasami.

Tate nic nie odrzekł, patrzył tylko, aż znikła za rogiem z dwiema grubymi księgami pod pachą.

Dwaj mężczyźni weszli do łazienki i podeszli do sąsiednich pisuarów. Tate usłyszał rozpinanie rozporka spodni tamtego, odczekał pół minuty i przyłożył detektywowi do ucha pistolet, który Bett przekazała mu na korytarzu.

- O kurwa. Skąd to wzięłeś? - Policjant sprawiał wrażenie równie zdziwionego jak niezadowolonego.

Tate wyciągnął pistolet detektywa z kabury i wrzucił go do klozetu.



- Zapnij rozporek.
- To bzdury. Nie może pan...
- Cicho - warknął Tate.

Wepchnął policjanta do kabiny i posadził.

- Klucze. W której kieszeni?
- Pierdol się.

Tate znalazł kółko.

- Ten jest od kajdanek? - Wybrał mały kluczyk na łańcuszku.
- Popelnia pan karygodny błąd, Collier. Odsiedzi pan sporo lat.
- Uznałem, że i tak mnie to czekało. Jako mordercę i tak dalej.

Tate schował klucze i przykuł detektywa do rury. Zakneblował go papierowym ręcznikiem i obwiązał mu usta krawatem w paski.

Wyszedł szybko na korytarz. Ubrana w garsonkę Bett stała w pobliskiej wnęce, blada i zdenerwowana. Na jej piersi kołysał się jeden z jego starych identyfikatorów z biura prokuratora stanowego. Żeby dodać sobie wiarygodności jako prokurator, ścisnęła nadal pod pachą dwie potężne księgi, które znalazła na biurku w jego domu. „Kontrakty prawne”, tom pierwszy i drugi.

Gdy przechodzili koło dyżurnego sierżanta, machając mu sennie na dobranoc, Bett powiedziała:

- Przyjechałam tu twoim samochodem, Tate. Będą go szukać, prawda?

- Schowamy go gdzieś w pobliżu - odpowiedział, podnosząc klucze, które zabrał detektywowi. - A potem dodamy do naszej listy dzisiejszych wykroczeń niewielką kradzież.

Rozdział 31

Wielki Piątek, pomyślała Megan z ironią, wyglądając przez szparę w gipsowej ścianie.

Uciekam z kościoła w Wielki Piątek.

Przerwała na chwilę, zwinęła obolałe dłonie i przyjrzała się swojemu dziełu. Szpara w drugiej ścianie tworzyła spory półksiężyc. Dziura będzie nieduża, ale Megan miała nadzieję, że się przez nią przecisnie. Oparła nogę o gips i popchnęła. Rozległ się trzask. Serce podskoczyło jej, gdy zobaczyła pęknięcie - bez trudu się tędy przecisnie.

Został jej jeden nóż. Wsunęła go do szmacianego buta. Na wszelki wypadek.

I zaczęła mocno kopać.

Po pięciu solidnych uderzeniach gips poddał się i wpadł do następnego pomieszczenia. Przecisnęła się przez otwór i wstała, po czym niemal natychmiast przewróciła się, dusząc się i czując zawroty głowy od zgniłego odoru, który dosłownie wyżerał oczy. Zemdliło ją. Zajrzała do środka z drżeniem. Było zbyt ciemno, żeby zobaczyć cokolwiek poza słabą poświatą padającą zza okien, które sprawiały wrażenie niemytych od wielu lat.

Okna bez krat!

Przesuwała się wzdłuż ściany. Wspaniale! - pomyślała. To pomieszczenie było kolejnym magazynem pełnym narzędzi. Wybrała duży sekator i podeszła do okna.

Otoczył ją ponownie obrzydliwy, duszący smród zgnilizny. Ruszaj się, ponagliła samą siebie, zapomnij o smrodzie, zapomnij o wszystkim poza ucieczką. Wzięła ze stołu długi żelazny pręt i odchyliła się jak pałkarz przygotowujący się do odebrania szybkiej piłki.

Żegnajcie, świry, pomyślała. Usmażcie się w piekle.

Szkoło rozprysło się z cudownym muzycznym brzękiem, kawałki poleciały dookoła. Megan odskoczyła, gdy żelazny pręt uderzył w betonową ścianę po drugiej stronie szyby i odbił się w jej stronę. Przykucnęła i zdusiła krzyk.

Nie!



To było okno, owszem, ale nie otwierało się na przykład na podwórze. Ktoś zamurował je betonową ścianą, która łączyła się z murem kaplicy jakieś pięć czy sześć stóp nad oknem. Poświata, którą widziała, pochodziła z niewielkiej żarówki zwisającej nad drzwiami prowadzącymi do dalszych pomieszczeń w piwnicy, teraz również zamurowanych.

Jej wymarzone słońce stanowiło tylko iluzję.

Megan rozplakała się, chwyciła ponownie pręt i uderzyła w ścianę, niepomna rozdzierającego bólu w dłoniach. Rozległ się brzęk, po czym pręt upadł na podłogę. Megan osunęła się na kolana i zaszlochala. Mięśnie jej zwiotczały i po chwili leżała na ziemi.

Po jakimś czasie odwróciła się w nadziei, że znajdzie kilof albo cokolwiek, czym przebiję ścianę.

I wtedy zobaczyła.

Podniosła się z jękiem.

Nie. O Boże, nie.

Potknęła się, chcąc się cofnąć. Krzyczała.

- Nie, nie, nie!

Pomocy, proszę...

Światło żarówki wpadało przez strzaskane okno. Oświetlało zakurzoną podłogę pełną śladów nienależących do niej. Wyciągało z półmroku narzędzia i warsztat, poplamione ściany i stare mahoniowe rzeźby ołtarzowe. Krzyże, Biblie, bicze i prymitywne obrazy religijne.

I padło na wznoszące się nad nią dwa krucyfiksy rozmiarów człowieka, z figurami spoglądającymi na nią smętnymi oczodołami. W całej swojej przerażającej chwale. Gdy przedostała się przez ścianę, znajdowały się w cieniu.

Przyglądała im się, czując, że uchodzą z niej resztki siły i woli, przemieniając się w paniczny lęk. Z jej gardła wydobył się zduszony krzyk.

Figura po lewej przypominała posąg anioła na dziedzińcu. Miała sześć stóp wysokości i wisiała na starym, zniszczonym krzyżu z nieheblowanego drewna. Przez dłonie i stopy przechodziły czarne, przerdzewiałe gwoździe. Ale między tą figurą a tamtym posągiem była zasadnicza różnica. Ta była kiedyś żywym człowiekiem.

Wychudłe ciało, wysuszone i skurczone, pociemniałe z wiekiem, ubrane w rozpadającą się przepaskę biodrową, odpadające, zwisające kawałki ciała. Puste oczodoły spoglądające ku dołowi, do nagiej czaszki przybita rdzewiejącymi gwoździami korona cierniowa. Ciało składało się z mchu, materii i pajęczyn, które niegdyś były żywą tkanką. Musiało tu wisieć od lat, uświadomiła sobie Megan. Skóra skurczyła się i odpadała od gwoździ, pozostawiając blizny jak po ostrych cięciach.

Z ust tego człowieka, rozciągniętych w grymasie bardziej przypominającym uśmiech niż zastygłe oblicze śmierci, zwisało coś, co wyglądało jak język - ale nie tego mężczyzny. Został wepchnięty do jego ust niedawno, szary, rozkładający się... Pokryty stadem much i pajaków.

To był starzec. Ojciec Matthews. Wciąż rozpoznawalny, nawet teraz.

Na drugim krzyżu wisiało ciało dużo młodszego mężczyzny. On również nie żył od kilku lat. Ciało było wyschnięte i napięte.

A potem zobaczyła kolejny krzyż, trzeci, leżący na podłodze między tamtymi. Jeszcze niezbity.

To dla mnie, uświadomiła sobie z przerażeniem. Wielki Piątek...

To dla mnie.

Potykając się, Megan ruszyła z powrotem ku dziurze w ścianie - ku drzwiom, które miały ją ocalić. Drżąc w panice i szlochając, precyzyjnie się z powrotem, raniąc sobie policzki i ręce, i rzuciła się na podłogę po drugiej stronie. Leżała na boku na zimnej posadzce magazynu, łapiąc spazmatycznie powietrze.

Nawet nie podskoczyła z zaskoczenia, gdy jakaś ręka zaczęła delikatnie gładzić ją po włosach. Otworzyła oczy i zobaczyła, że wewnętrzne drzwi, te do kaplicy, są otwarte.



- Nie - wyszlochała.
- Widziałaś ich? - odezwał się Aaron Matthews. - Widziałaś? To mój ojciec i syn.
- Proszę, nie...

Odwrocił ją. Krzyknęła na widok jego twarzy. Była przerażająca, poplamiona zakrzepłą krwią spływającą z rany nad uchem. Włosy też miał sklezione, a oczy dziwnie zaczerwienione. Wyglądał jak dzikie zwierzę, jak hiena. Chwycił ją za ręce, a na jego usta wypełził szalony grymas.

- Spójrz na swoje dłonie! Stygmaty! Czyż Bóg nas nie zaskakuje?

Otworzył drzwi do pomieszczenia z krucyfikami i popchnął ją.

- Nie, nie każ mi tam wracać. Proszę! Zrobię, co zechcesz - szlochała. - Proszę, nie, ja nie mogę... Nie mogę.

Znow ją popchnął. Upadła na ziemię u stóp krzyża, na którym wisiał ojciec.

- Był głupcem - powiedział Aaron, spoglądając na wiszącego mężczyznę. - Gdy uciekł policji, wrócił tutaj. Naprawdę myślał, że będę go ukrywał. Kazałem mu pracować nad jego telefonem. Chciał osobiście rozmawiać z Bogiem. Był już wtedy całkiem szalony. Nie zauważył, że wprowadziłem pewne zmiany w okablowaniu. Upiekł się żywcem. Potrzeba było pół roku, żeby pozbyć się smrodu.

Odwrocił się do drugiego krzyża.

- A Peter... mój syn. Ty i Peter stworzycie doskonałą parę. Wiedziałem, że go polubisz.

Matthews chwycił Megan za ramię, przyciągnął ją do ściany, skrępował jej ręce i przywiązał do rury.

Po czym podszedł do leżącego na podłodze krzyża i zaczął przybijać poprzeczną belkę do pionowej.

- Wspinamy się po drabinie Jakubowej... - zaśpiewał.

Megan zamknęła oczy. Jęczała i szlochała przy każdym uderzeniu metalu o metal.

Rozdział 32

Wjeżdżając do Shenandoah, przenosimy się w inny czas - nie wojny secesyjnej, jak można by się spodziewać, ale epoki zawieszony w jakimś okresie zdecydowanie wcześniejszym niż teraźniejszość, choć niezupełnie przeszłym. Zwłaszcza o trzeciej rano. Wychudłe psy zerkają niespokojnie na zielone łąki za skrytymi w cieniu domami. Porzucane budowle. A na zboczach wzgórz: czarne okna prowadzące w labirynt jaskiń, które ciągną się pod całymi pasmami Shenandoah i Blue Ridge.

Tate i Bett pędzili ukradzionym samochodem wzdłuż ścian złowrogiego lasu - wyniosłych sosen, karłowatych dębów, turzycy, młodego kudzu i winobluszczu. Tate przysiągłby, że widział oczy wyglądające spomiędzy drzew i pomyślał o Martwym Rebie.

Ale nieszczęsny konfederata nie mógł zajść tak daleko na zachód, upomniał się w duchu Tate.

- Joshua mówił, że dzwoni z jakiejś stacji benzynowej we Front Royal.

- Pewnie są ich dziesiątki.

- Ale on jechał sześćdziesiątką. To pewnie będzie ta, którą zobaczył z autostrady. To dobra wiadomość. Takie stacje są otwarte przez całą noc.

- Jak sądzisz, co się z nim stało? - spytała Bett. - Mam na myśli Joshuę.

Tate się nie odezwał; oboje znali odpowiedź.

Była druga rano. Nie sądzili, że dyżur będzie miał ten sam sprzedawca, który powiedział Joshui, że widział szarą furgonetkę w środe. Mieli jednak nadzieję, że może ktoś słyszał o Aaronie Matthewsie.

Ale nikt nie słyszał.

Młody chudy pomocnik z wielkim złotym krzyżem na szyi roześmiał się, gdy spytali o obozy odnowy religijnej.

- Te wzgórza są nimi usiane. Dosłownie usiane. Jeden z tych kaznodziejów wyleczył



moją babcię z raka, a szkoda, że państwo nie widzieli, jakiego miała wielkiego guza.

Dziesięć minut później, już głębiej w Blue Ridge, Tate zjechał na starą stację benzynową Sunoco. Starszawy sprzedawca przyjrzał im się podejrzliwie, gdy zapytali o obóz wielobnego Matthews.

- Matthews, hę? Jesteście jego kumplami?

- Niezupełnie. Coś nie w porządku?

- Niby wszystko w porządku. Jeśli nie liczyć całej rodzinki. Dałbym se rękę uciąć, że James Matthews był całkiem pomyłony, jak go aresztowali za to, że się na dziewczuskę z nożem rzucił. - Tate i Bett wymienili spojrzenia. - A ten jego chłopak, Aaron... gdy przejął interes, to zamknęli kościół.

- Gdzie to jest?

- Podjedźcie do stacji Shella jakieś trzy mile stąd. Zaraz za stacją skręćcie w prawo w Parker Road. Potem będzie z pięć, sześć mil w góry. Jak się droga skończy, to jedźcie dalej. Nie ma żadnych znaków, trza jechać na wyczucie. Kiedyś była taka wariacka rzeźba przy wejściu. Coś jakby anioł. Nie chciałbym tam jechać o tej nocnej porze, nie, proszę pana, ale chcieliście wiedzieć, jak dojechać, a nie, co o tym sądzę.

Tate podał mu banknot dwudziestodolarowy i wrócił na szosę.

Zaledwie kilka minut później usłyszeli jakieś ćwierć mili za sobą syrenę. Rozejrzeli się. Lokalny patrol. Kogut rozjarzył się, a samochód przyspieszył.

- Myślisz, że wie, że to my? - spytała Bett.

- Nie przekroczyłem prędkości. Musieli się domyślić, że zabraliśmy samochód. - Stopa Tate'a zawahała się nad pedałem gazu. - Co mam zrobić?

- Pruč przed siebie - podpowiedziała Bett.

Posłuchał jej.

Pruč jak szalony przez jakieś dwie mile.

Szwedzi robią niezłe samochody, ale nie mogą się one równać z silnikiem pościgowego plymoutha.

- Nie dam rady - powiedział Tate.

Zdjął nogę z pedału gazu.

- Pogadam z nim. Może przynajmniej pośle samochód do obozu.

- Nie - odparła Bett.

- Że co? - Tate skierował samochód ku żwirowemu poboczcu.

- Oni nie wiedzą, że jestem z tobą, prawda? - spytała.

- Chyba nie. Co zamierzasz?

Bett otworzyła torebkę i zaczęła w niej grzebać. Zawahała się, odetchnęła głęboko i wyprostowała się, zerkając w lusterko i gładząc policzek charakterystycznym dla siebie gestem.

Co ona robi? - zastanawiał się Tate.

Nagle rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Bett trzymała w ręce ostry kawałek lusterka z puderniczki.

- Bett! - krzyknął Tate.

Uniosła odłamek do twarzy, krzyknęła i oparła się o drzwi. Z głębokiej rany na policzku popłynęła krew.

- Oj - jęknęła żałośnie Bett. - To boli.

Tate zatrzymał samochód na poboczcu i patrzył na krew płynącą po jej ustach, podbródku, spadającą na dekollet.

- Wysiadać z samochodu! - rozległ się metaliczny głos w prostokątnej paszczy głośnika na dachu.

Młody funkcjonariusz stanął przy otwartych drzwiach radiowozu, mierząc Tate'owi w głowę z rewolweru, który wydawał się nieduży w wielkiej dłoni policjanta. W drugiej ręce trzymał mikrofon.

- Wysiadać z samochodu. Ręce do góry.

Przez moment nikt się nie ruszył.



A potem drzwi po strone Bett otworzyły się szybkim ruchem - tak szybko, że Tate pomyślał, że kolejny zastępca szeryfa podkradł się do nich niezauważony.

Krzyknęła głośno i stoczyła się na trawę pobocza. Nadgarstki miała owinięte paskiem torebki, jakby związane. Uderzyła mocno o ziemię, nie mogąc sobie pomóc rękami. Kurz mieszał się z zaskakującą ilością krwi spływającej z jej policzka.

- Pomocy! - krzyknęła. - On mnie porwał!

- Nie ruszać się! Nikt się nie rusza! - zawołał policjant, przesuwając pistolet w kierunku Bett. Tate siedział bez ruchu, z rękami na kierownicy.

Bett podpełzła do policjanta.

- On ma nóż! - krzyknęła. - Pomocy, proszę. Skaleczył mnie. Jestem ranna. Pomocy! - Jej lament przypominał płacz przerażonego dziecka; czołgała się w stronę radiowozu. - Zamierzał mnie zgwałcić! Zabierzcie mnie stąd! Proszę, och...

Policjant uległ instynktowi.

- Wszystko będzie w porządku, tutaj, proszę pani. To ten gość z Prince William, tak? Ten, który zabił tamtą dziewczynę? Gdzie jest nóż?

- Ma go za pasem. Zabrał mnie z baru przy autostradzie - płakała. - Porwał mnie, dotykał.

- Wyżej ręce - zawołał policjant do mikrofonu. - Ale już!

Tate uniósł ręce.

- Co się stało? - policjant zwrócił się do Bett, która była już całkiem blisko.

- Skaleczył mnie... zgwałcił... potrzebuję lekarza... - Słowa ginęły w szlochu.

- Ty w samochodzie. Trzymaj prawą rękę tak jak teraz, a lewą sięgnij do okna i otwórz drzwi. Nie ruszaj prawą ręką.

Tate się nie ruszył.

- Nie będę powtarzał. Mam...

- Odłóż to! - wrzasnęła Bett tuż za jego uchem. Pistolet Tate'a dotykał lufą szyi policjanta.

- A niech to.

- Już.

- Mam go na celowniku, proszę pani. Jeśli pani coś mi zrobi, to już po nim. Zastrzele go. Przysięgam... - Ale powiedział to ze wstydem, a nie zdecydowaniem, toteż kiedy Bett krzyknęła:

- Szukamy córki i, do cholery, zabiję cię, jeśli będę musiała! - Niechętny pomruk policjanta poprzedził stuk jego wielkiego smitha & wessona o ziemię.

Bett odsunęła się od górującego nad nią mężczyzny, który zmartwiał na widok dzikości malującej się na jej twarzy; może zastanawiał się, jak blisko śmierci się znalazł.

Policjant oparł się o samochód.

- W porządku - mruknęła Bett. - Proszę się położyć na ziemi. Na brzuchu.

Tate wysiadł z samochodu i podbiegł do nich.

- Jadą następne samochody, proszę pani. Będą tu za dwie minuty.

- Tym bardziej musimy się pospieszyć.

Dał za wygraną. Bett podała Tate'owi rewolwer policjanta.

- Zostań tu - zwrócił się do niej Tate. - Zatrzymaj go, a gdy przyjedzie reszta, postaraj się przekonać ich, żeby posłali przynajmniej jeden samochód do obozu.

Skinęła głową, przyciskając lewą rękę do okropnej rany na policzku.

- Posłuchaj - ciągnął z powagą. - Gdy przyjadą, połóż pistolet na ziemi i podnieś ręce. Będą zdenerwowani i gotowi strzelać. Rób dokładnie to, co ci każą. Zrozumiałaś?

Potaknęła. Dotknął jej policzka, ocierając nieco krwi.

- Jedź, Tate. Jedź i znajdź ją.

Ucałował ją w czoło i pobiegł do samochodu.

Docisnął pedał gazu, obryzgując patrolowy wóz zwirem i pyłem. Przejeżdżając przez wzniesienie na drodze - prędkościomierz zbliżył się do czerwonego półksiężyca ostrzeżenia - zobaczył jeszcze we wstecznym lusterku Bett, która kucała obok wyciągniętego



na ziemi policjanta i bez wątpienia szczerze go przepraszała. Niemniej pistolet, który mocno ścisłała oburącz, nadal był wycelowany w jego twarz.

Ojciec po lewej, syn po prawej.

Ja w środku.

Megan przyglądała się, jak Matthews pospiesznie miesza beton na cokół trzeciego krzyża.

- Zabiłeś Annie - szepnęła. Nie dosłyszał albo udał, że nie słyszy, powtórzyła więc te słowa.

- Wiedziałem, że się przyjaźniłyście - wyjaśnił. - Gdy cię śledziłem, często widywałem was razem. Zaczepiłem ją któregoś wieczora i porozmawialiśmy trochę, namówiłem ją na terapię. Musiałem dowiedzieć się paru rzeczy o tobie. Annie miała swoje grzeszki, lęki, winy, jak każdy. Ja tylko pomogłem jej to zrozumieć.

Megan krzyknęła cicho i szarpnęła sznur. Ręce miała unieruchomione.

Matthews wziął z warsztatu młotek i trzy długie gwoździe. Położył je obok krzyża, podszedł do niej i zaczął rozwiązywać sznur.

Przytuliła się do ściany.

- Proszę, nie...

Ostatni kawałek sznurka trzasnął w jego silnych dłoniach.

Pociągnął ją w kierunku krzyża, rzucił na kolana. Wyciągnął z kieszeni coś białego i miękkiego.

Kielich lilii. Wpiął go w jej włosy.

- Dla ciebie nie ma korony cierniowej - powiedział łagodnie, gładząc szlochającą po włosach. - Sadziłem lilię, kiedy zadzwonił strażnik, że Peter się powiesił. Zawsze o tym myślę, gdy patrzę na lilie. Teraz myślę również o tobie.

Podniósł jeden z długich ostrych gwoździ.

I wtedy przez swój szloch Megan usłyszała wznoszący się dźwięk.

Wiatr?

Tak. Nie.

Dźwięk układał się w słowa. Nie, w jedno słowo. Jej imię.

- Megan...! - Niosło się po zabudowaniach. - Megan! - Upiorny, nieludzki.

Starzec, pomyślała. Nie, to niemożliwe. On nie żyje. Co to jest?

Matthews również zmarł. Odwrócił głowę w kierunku, skąd dochodził dźwięk, otwierając szeroko oczy. Po raz pierwszy na jego twarzy odmalowała się niepewność. I przerażenie.

I wtedy uświadomiła sobie, że całkowicie zwolnił uchwyt.

Upadła na ziemię, zanim zdążył zareagować, i chwyciła młotek w obie ręce. Uderzyła go mocno tuż pod klatką piersiową. Osunął się na kolana, chwytając za brzuch. Megan zamachnęła się ponownie młotkiem, ale on już się podniósł i wymachiwał gwoździem ostrym jak sople lodu. Straciła równowagę, upuściła młotek i rzuciła się do drzwi.

Nie biegła w żadnym konkretnym kierunku. Pędziła przed siebie gnana paniką - wybiegła z kaplicy, w górę schodami, potem w dół, jednym z niekończących się korytarzy w zabudowaniach. Jej nogi wreszcie chroniło prymitywne obuwie.

Szarpała wszystkie drzwi, ale były zamknięte. Dobiegła do końca korytarza, ogarniała ją coraz większa rozpacz. Minęła okno. Ale było zakratowane jak wszystkie pozostałe. Biegła dalej. Korytarz skręcił w lewo, po czym skończył się niespodziewanie kolejnymi drzwiami. Oczywiście zaryglowanymi. Uderzyła rękami w drewno. Twarde jak stal.

Wracaj, wracaj!

Odwróciła się. I stanęła w miejscu jak wryta.

Stukot straszliwej laski.

Szuranie.

Megan wcisnęła się we wnękę.

Świszczący oddech, flegma w płucach. Potwór się zbliżał.



- Megannnnn - zawołał swoim niezwykłym szeptem. - Megan...

Rozdział 33

Mijał właśnie zakratowane okno i światło nędznej żarówki rzuciło jego cień na ścianę naprzeciwko Megan.

Piętnaście stóp. Dziesięć.

Przycisnęła się do drewna, drżąc, usiłując powstrzymać szloch.

Zobaczyła rosnący cień, gdy zbliżał się do zakrętu korytarza. Chudy kształt, zgięty w pół, poszarpane ciało zwisające z rąk i nóg, zaostrzona laska. Oparła się mocniej o ścianę, a pod jej stopą skrzypnęła deska.

Nie!

Zatrzymał się. Przechylił głowę i uniósł kościaną laskę niczym miecz.

Proszę, nie...

Zbliżył się w ciemnym rozbłysku.

Megan przycisnęła dłoń do ust, kiedy ich oczy się spotkały. Krzyknęła nie ze strachu, ale z przerażenia i smutku.

- Josh! - szepnęła. - O Boże, Joshua!

Joshua LeFevre zniżył laskę, oparł się o ścianę. Wyciągnął ku niej rękę, po czym opuścił ją.

Cząstka Megan wrywała się, żeby go objąć. Ale nie mogła, tak bardzo odstręczała ją jego widok. Trudno go było rozpoznać. Potwornie zmasakrowany - pocięty i posiniaczony, rany pokryte zaschniętą krwią, zabrudzona chustka owinięta wokół szyi niczym bandaż. Spuchnięte oko całkowicie zamknięte. Większość dredów wyrwana z głowy, pokrytej błotem i strupami.

Upadł na posadzkę.

Megan podeszła do niego, uklękła i wzięła go za rękę.

W zasadzie jego słowa to były upiorne, urywane jęki. Uniosła zaimprovizowany bandaż. Miał na szyi straszliwą ranę, ale nóż nie trafił w tętnicę, a brzegi rany były suche. Gdy oddychał, powietrze z sykiem wydobywało się zarówno przez usta, jak i ranę.

- Wydawało mi się, że usłyszałem twój krzyk. Przed chwilą. Czy - wycharczał - czy to ty byłaś tu przez cały czas?

Przytaknęła.

- Myślałem, że cię zabił... - Chwycił go kaszel. - Myślałem, że to ktoś inny. - Kołysał się jak szalony, usiłując oddychać. Spróbował się uśmiechnąć. - Modliłem się, żebyś to była ty. Nie odpowiedziałaś, gdy... gdy napisałem... twoje imię na trumnie? Miałem nadzieję, że zostawisz jakąś wiadomość wśród kurzu.

- Nie wiedziałam, kim jesteś. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Nie mogłem pozwolić, żeby oni... - z trudem pokonywał ból - ...dowiedzieli się o mnie.

- Jak się tu dostałeś?

Wyjąkał wyjaśnienie: Matthews rzucił go psom na zewnątrz. Ale zanim go wykończyły, w pobliżu pojawiła się młoda łania i pognały za nią.

Jego piękny głos, pomyślała Megan, szlochając. Stracony. Nie była w stanie patrzeć na jego twarz.

Znalazł złamaną kość jelenia, która nadawała się na laskę, i doczłapał do budynku, żeby poszukać telefonu. Ale tu nie było telefonów, a poza tym szybko zorientował się, że drzwi nie otwierają się od wewnątrz, że znalazł się w więzieniu. Usłyszał kogoś w środku i założył, że to albo mężczyzna z furgonetki, albo Emily. Spędził półtora dnia, usiłując ukradkiem wyśledzić, kto to.

- Szukałem... jakiegoś śladu, że żyjesz.

Dotknęła delikatnie okropnej rany na jego twarzy. Bała się, że on nie przeżyje.



- Czy byłaś... Nie byłaś jego kochanką, prawda?
- Co? - krzyknęła.
- Powiedział, że byłaś. Powiedział... powiedział, że chciałaś się ode mnie uwolnić.
- Och, Josh, nie. To... cokolwiek on mówił, było kłamstwem.
- Kim on jest? - wycharczał LeFevre.
- Nie ma teraz czasu. Możesz iść?
- Nie. - Odetchnął z trudem i skrzywił się, zamykając oczy. - Nie dam rady już nic zrobić.

Wciągnęła go głębiej do wnęki, żeby go ukryć.

- Zaczekaj tutaj.

- Dokąd... idziesz?

Gdzieś głęboko w Megan narastał gniew. Teraz się rozwinął, stał się czymś ostrym i straszliwym, jak kość jelenia, którą podniosła z ziemi. Pomacała jej ostrze kciukiem.

- Leż spokojnie, Josh. Nie odzywaj się.

- Zaczekaj - powiedział, przyglądając się jej. Najwyraźniej dopiero teraz zorientował się, że jest naga. - Weź... weź moje spodnie. - Zaczął ściągać dżinsy. Pomogła mu.

Włożyła je. Miała teraz buty i spodnie. Podarte i zakrwawione, niewiele więcej niż strzępy materiału. Ale czuła się tak, jakby miała na sobie zbroję.

Ucałował ją w czoło.

Gdzieś w dalszej części budynku trzasnęły drzwi.

Miejsca jak to...

Tate Collier widział wiele takich miejsc.

Podczas oględzin, na zdjęciach dowodowych.

Miejsca jak to, pełne złości, która wybucha w jednej chwili, a wystarczają dwa słowa o zimnej kolacji lub zepsutym telewizorze. Miejsca jak to, z których worki z ciałami wynoszone są z największym szacunkiem, na jaki stać pomocników koronera, miejsca, w których nocą słychać krzyki dzieci, ale rankiem nie znajdziesz żadnych dzieci.

Zerknął na rzeźbę anioła - odrażającą, ale nieodparcie fascynującą. Ruszył dalej błotnistą drogą wzdłuż ogrodzenia, szukając jakiejś wyrwy, przez którą mógłby się dostać do miejsca nazywanego Katedrą wśród Sosen. Przedostał się na tyły zabudowań i jechał przez jakiś czas wzdłuż strumyka, po ziemi porośniętej spletanymi dzikimi różami i forsycjami. Pomyślał, że chyba łatwiej byłoby przepłynąć ten strumyk. Woda była ciemna, więc domyślał się, że jest tu dość głęboko, ale nie głębia trzymała go na lądzie, tylko fale tworzone przez przepływające jadowite węże.

Po pięciu minutach znalazł się za domem i wspiął się po stromej skarpie. Upadł na brzeg, usiłując złapać oddech. Uznał, że od tej strony może się zbliżyć praktycznie niezauważony. Okien było niewiele, a teren porastały kępy drzew, wśród których mógłby się ukryć.

Podczołgał się do ogrodzenia z siatki. Drut kolczasty wyglądał groźnie, ale sama siatka była dość luźna; Tate uznał, że da radę rozciągnąć ją na tyle, żeby przejść górą. Spojrzał poprzez oka siatki na zabudowania.

Gdy wyciągnął rękę w kierunku ogrodzenia, usłyszał buczenie. Ręka zamarła. Spojrzawszy pod nogi, dostrzegł charakterystyczny zielony osad w miejscach, gdzie rosa gromadziła się na metalu. Pięćdziesiąt stóp od niego, za ogrodzeniem, znajdował się transformator.

Odskoczył od ogrodzenia i pobiegł wzdłuż siatki w poszukiwaniu furtki. Wiedział, że jakaś musi być - widział gruz i śmieci wyrzucane na brzeg potoku. Rygiel będzie można otworzyć patykiem lub rozbić kamieniem. Dwadzieścia stóp dalej trafił na furtkę.

Była zamknięta z drugiej strony na kłódkę.

Cholera. Nie ma jak do niej sięgnąć.

W tej właśnie chwili usłyszał wycie dobiegające z wnętrza budynku.



Ogarnął go szal. W jednej chwili. Z metalicznym trzaskiem lodu pękającego nocą na jeziorze.

Aaron Matthews zatrzasnął drzwi do pokoju za ołtarzem i wrzeszczał z frustracji, wściekłości i szaleństwa.

W głowie miał tylko jedną myśl: Zabij ją, zabij, zabij. Sięgnij do jej ust, tnij nożem, przybij jej białe dłonie i stopy do żywicznego drewna... Słuchaj jej niemego krzyku, patrz, jak pluje krwią, jak krew tryska w powietrze, tworząc mgiełkę.

Megan, Megan...

O Panie, który mi pobłogosławiłeś, który dotknąłeś mojego gorącego czoła Swoimi wargami...

Wyjął z kieszeni nóż myśliwski i otworzył.

Och, widzę ją, jak wisi na krzyżu, delikatne dłonie przebite gwoźdźmi, stopy złożone razem, przebite razem, kości strzaskane.

Krzyczy.

I krew - mnóstwo krwi tryskającej z jej ust.

Może chce się napić? Ocet na gąbce.

Jej krzyk...

Pokuśtykał w głąb korytarza.

Nie daj mi grzeszyć językiem...

Podszedł do drzwi pokoju Megan i otworzył je kopniakiem. Nie było jej. Poszedł dalej do kuchni, otwierając na oścież wszystkie szafki, w których mogła się schować. Nie ma jej.

Nie mogła wydostać się na zewnątrz. Gdzie...

- Aaron - odezwała się niskim, spokojnym głosem.

Odwrócił się. Była tu. Włosy związane, podarte spodnie, stopy obwiązane szmatami. W ręce trzymała długą zaostrzoną kość, niczym włócznię. Skąd ona to wzięła?

- Otwórz te cholerne drzwi - powiedziała spokojnie - i wypuść mnie stąd.

Wcześniej mógł się z nią bawić. Mógł szydzić z niej, kadzić jej i przekonać ją do zrobienia wszystkiego, co tylko zechciał. Ale teraz się nie kontrolował. Wydał kolejny przenikliwy wrzask wściekłości i rzucił się do przodu.

Sądził, że Megan cofnie się, rzuci do ucieczki, a wtedy on chwyci ją od tyłu. Ale ona, zupełnie jak jej matka kilka godzin wcześniej, skoczyła do przodu, ku niemu. Ostry koniec kości wbił się w jego bok - nie zranił go poważnie, ale ból był przejmujący. Matthews zachwiał się i upadł z jękiem. Megan runęła na niego, mierząc ostrzem w twarz. Uderzył ją między piersi, pociągnął w dół, a sam się podniósł.

Ona też szybko wstała. Okrążyła go, celując żółtobiałym ostrzem kości w jego oczy.

Teraz Matthews skoczył do przodu, wyciągając rękę. Uderzyła mocno, a kość odbiła się od jego szyi, ogłuszając go na chwilę. Ale był na to przygotowany. Wyrwał jej kość z ręki i pociągnął ją na środek salonu, podczas gdy ona waliła go na oślep pięściami w twarz i klatkę piersiową.

- Przestań, ty skurwielu!

Chwyciła go za rękę, wbijając mu paznokcie w skórę. Nic nie czuł. Rzucił ją na kanapę; upadła na plecy bez tchu. Leżała, dysząc ciężko.

Wielki Piątek.

Chwała Panu.

- Otwórz usta - szepnął, przykładając ostrze do jej warg.

Samochód stał koło makabrycznej figury, dziesięć stóp od bramy.

Gdy Tate usłyszał szaleńcze wycie we wnętrzu, wrócił biegiem do samochodu i zatrzymał go tutaj.

Nie ma czasu do namysłu, powiedział sobie. Zrób to.



Odwrócił samochód, wrzucił wsteczny bieg i nacisnął pedał gazu. Rozpędził się i roztrzaskał bramę z prędkością prawie czterdziestu mil na godzinę. Iskry wzbily się w powietrze. Celował dokładnie we wjazd do garażu. W ostatniej chwili wyprostował się, zniżył nieco i oparł mocno głowę o zagłówek.

Tylny zderzak z głośnym hukiem wyrwał drzwi garażu z zawiasów. Zapadły się do środka, a samochód przejechał po nich, miażdżąc warsztat, po czym zatrzymał się ze wzniesioną maską i obracającymi się szaleńczo kołami.

Tate wyłączył silnik. Drzwiczki po stronie kierowcy nie dały się otworzyć, więc wyczołgał się od strony pasażera.

Szybko, szybko, szybko!

Przeskoczył nad maską, wyciągnął rewolwer z kieszeni i pobiegł ku wejściu do budynku. Po rozbiciu się o drzwi garażu zabawa w subtelności nie miała sensu. Wpadnie do pomieszczenia i wypali Matthewsowi w nogi - dwa, trzy razy. Nie będzie się wahał. Bez ostrzeżenia. Bez targów. Po prostu pociągnie za spust.

Milczenie czynów...

Chwycił klamkę lewą dłonią.

Oślepiające światło, uderzenie jak z bicia. Tate wirował po niebie, które wypełniło się niespodziewanie w cudowny sposób drutami przypominającymi węże, zimnymi oczami zaworów i woltomierzy, krążącymi wokół niego, tornadem gruzu. Uderzył w skałę, drzewo albo potrzaskany bok samochodu Bett i upadł na ziemię.

Spojrzał na osmaloną klamkę, ale zanim zemdłał, wyczuł zapach spalonego ciała.

Rozdział 34

Poczuł na włosach dotyk czyjejś ręki.

Tate powoli otworzył oczy, piekące ostro od potu. Usiłował skupić wzrok na twarzy przed sobą. Przez moment myślał, że delikatne palce należą do Bett; była pierwszą osobą, o której pomyślał, gdy odzyskał świadomość.

Patrzył jednak w oczy Megan.

- Hej, słonko - jęknął. - Ale heca, że się spotkaliśmy.

- Tato.

Znajdowali się w dużym salonie zapuszczonego domu, leżeli na kanapie. Tate miał ręce związane za plecami grubym sznurem, jedna z nich pulsowała bólem po oparzeniu klamką będącą pod napięciem. Wzrok miał zaćmiony. Spróbował usiąść i o mało co nie zemdłał z bólu, który eksplodował w jego skroniach. Jęknął i opadł z powrotem na kanapę.

Aaron Matthews siedział na krześle w pobliżu; ubranie miał w nieładzie, włosy potargane i zakrwawione. W ręce trzymał długi nóż o poplamionym ostrzu. Fascynujące czarne oczy, pomyślał Tate.

Oparł głowę na ramieniu Megan. Gdy ból zelżał, podniósł wzrok.

- Chyba udało ci się wreszcie zrzucić te pięć funtów - zwrócił się do dziewczyny.

Matthews przyglądał się im, spierzchnięte wargi wygięły się w grymas.

- Tylko wypełniałem obowiązki - odezwał się w końcu do niego Tate. - Na procesie Petera. Były dowody. Przysięgli uwierzyli...

Matthews sprawiał wrażenie, jakby go nie słuchał.

- Nie wiesz o tym, Collier, ale śledziłem cię. Po tym, jak Peter powiesił się, chodziłem na twoje procesy. Siadałem z tyłu na galerii. Patrzyłem na ciebie. Byłeś bardzo podobny do mnie, gdy stałem tam, na polu. Ty miałeś dwunastu przysięgłych, ja miałem swoją owczarnię.

Tate nie odpowiedział.

- Och, tak, przyglądałem się. Nauczyłem się kilku rzeczy o prawie. Mens rea. Stan umysłu zabójcy - musi zamierzać zabić, żeby być winnym morderstwa. Pomyśl o tym. Zamordowałeś Pete'a. Zrealizowałeś swój zamiar.



- Moim obowiązkiem było prowadzić oskarżenie najlepiej, jak umiałem.
- Skoro to prawda - głos Matthews'a wzniósł się do potężnego barytonu - to dlaczego zrezygnowałeś z oskarżania? Dlaczego podwinąłeś ogon i uciekłeś?
- Ponieważ żałowałem tego, co się stało - odparł Tate.
- Ponieważ - szepnął Matthews, nachylając spoconą twarz - poczułeś moc i wiedziałeś, że to może się znowu zdarzyć. Spojrzałeś na mojego chłopca i powiedziałaś: „Jesteś martwy”. Stanałeś w sądzie i poczułeś, że przepływa przez ciebie moc Boga. I spodobało ci się to.

Tate rozejrzał się po pokoju. Zakratowane okna, podwójne zamki w drzwiach.

- Ty to wszystko zrobiłeś? Z zemsty?

- Przez dwa lata byłeś całym moim życiem, Collier. Od dnia, gdy zamknęli kościół.

- Obserwowałeś mnie. Obserwowałeś Megan.

Matthews skrzywił się lekko, gdy dotknął zakrwawionej rany pod koszulą; prezentu od Megan, pomyślał z zadowoleniem Tate.

Dziewczyna nagle wstała. Tate poczuł, że się zaczyna.

- Megan, nie!

- Ty dupku! - Rzuciła się z krzykiem na Matthews'a, mierząc w oczy. Uderzył ją otwartą dłonią w twarz; upadła na kolana, chwyciła się za nos i zaszlochała. Osunęła się na podłogę.

- Czego chcesz? - spytał Tate obojętnym tonem. - Powiedz mi.

- Sprawiedliwości. Tylko, tylko.

- Nie sądzę, żebyś mógł otrzymać sprawiedliwość, Aaronie. Przez wszystkie moje lata w sądzie...

Matthews zaśmiał się ponuro.

- Och, już to słyszę. Giętki język, gładkie słowa. Będziesz usiłował nakłonić mnie, żebym was wypuścił...

- Nie będę próbował cię do niczego nakłaniać, Aaronie. Nie wyglądasz na człowieka, którego można do czegokolwiek nakłonić.

- Przestań! To nie podziła! Nie ze mną. Zapominasz, że jestem równie dobry jak ty. Prawnicze sztuczki. „Personalizacja dyskursu”. To sprytne, Tate. Postaraj się, żebym pomyślał o tobie jako o konkretnej istocie ludzkiej, Tate. Ale to nie zadziała. Bo zrozumię: pogardzam istotą ludzką, która nazywa się Tate Collier.

- Peter był twoim jedynym dzieckiem?

- Ech, Collier, po co w ogóle próbujesz?

- Daj spokój, Aaronie. Porozmawiajmy. Jestem zamożnym człowiekiem. Zapłacę ci.

- Wyciągasz najslabszy argument. Czyżbyś już przegrał?

- Widziałeś mój dom, moją ziemię - ciągnął Tate, nie zwracając na niego uwagi. - Wiesz, że mam pieniądze.

Na twarzy Aarona pojawił się wyraz pogardy.

- Ile chcesz?

- Posługujesz się retorycznym błędem. Odwołujesz się do fałszywej potrzeby dla odwrócenia uwagi. Nie zrobiłem tego dla okupu. To chyba oczywiste.

- No cóż, jakikolwiek był twój motyw, Aaronie, okoliczności się zmieniły. Teraz policja wie już o tobie. Ale masz szansę na ucieczkę z kraju. Mogę dać ci ćwierć miliona gotówką. Od ręki. Jeszcze więcej, jeśli sprzedam dom.

Matthews nie odpowiedział, tylko krążył powoli po pokoju, wpatrując się w Megan, która odwzajemniała mu się odważnym spojrzeniem.

Tate wiedział oczywiście, że nie chodzi o pieniądze, zdawał sobie też sprawę, że propozycja ucieczki nic nie pomoże. Bezpośrednim celem było wyłącznie sprawienie, żeby Matthews stał się choć trochę niezdecydowany, żeby jego opór zmałał.

- Nie uczynię cię bogaczem, ale będziesz wiódł wygodne życie - dodał po chwili milczenia. - Wyznam ci, Aaronie, że przeżywałem śmierć twojego syna każdego dnia, odkąd dowiedziałem się, co się stało. Wiem, że twój ból jest po stokroć większy...



Trzy kroki wystarczyły, żeby Matthews znalazł się tuż koło Tate'a i zdzielił go w twarz ręką noża, przewracając na podłogę. Megan krzyknęła i skoczyła ku szaleńcowi, ale ten popchnął ją z powrotem na ziemię.

- Wiesz? - wrzasnął na Tate'a. - Wiesz, tak ci się wydaje? Nie masz zielonego pojęcia! Całymi tygodniami mogłem tylko leżeć na plecach, wpatrywać się w sufit i przypominać sobie proces. Wiesz, co widziałem? Nie widziałem twarzy Petera. Widziałem twoje plecy. Stałeś na sali sądowej odwrócony plecami do mojego syna. Posłałeś go na śmierć, ponieważ nawet na niego nie spojrzales! Dla ciebie na sali byli tylko sędziowie przysięgli, prawda?

Nie, pomyślał Tate. W całym wszechświecie byli tylko sędziowie przysięgli.

- Bardzo mi przykro.

- Nie potrzebuję twojej pieprzonej litości.

- Niczego w ten sposób nie osiągniemy. Czy pozwolisz nam odejść?

- Konkretna prośba, którą oponent może spełnić, pytanie o rozstrzygnięcie. Twoje zdolności retoryczne są nadal w świetnej formie, Collier. Ale moja odpowiedź brzmi: nie. - Przez jego twarz przebiegł kolejny grymas wściekłości.

Matthews chwycił Tate'a i znów rzucił go na podłogę, były prokurator wylądował na plecach. Megan krzyknęła i ruszyła ku niemu, ale Matthews przycisnął nóż do warg Tate'a.

- Nie! - krzyknęła.

- Otwórz.

Tate się nie opierał.

Matthews wsunął mu nóż między zęby. Tate poczuł na języku chłodny dotyk ostrza i smak metalu. Nie poruszył żadnym mięśniem. Oczy Matthews'a zmrużyły się, błysnęła w nich radość. Usta poruszyły się, jakby mówił sam do siebie. Cofnął ostrze.

- Nie, Collier. Nie ciebie chcę. Dziewczyna musi umrzeć. Ty będziesz żył długo, tyle że bez niej.

Matthews wstał powoli i zaczął krążyć po pokoju z wyrazem troski na twarzy.

Tate tak samo chodził, gdy przygotowywał się do rozprawy. Wrócił myślami do procesu syna Matthews'a. Widział salę sądową. Był gorący wiosenny dzień, podobnie jak w tegoroczną Wielkanoc. Pamiętał, jak krążył po sali, mówiąc do przysięgłych na procesie Petera Matthews'a, pamiętał, że myślał o dziadku i cieszył się, ponieważ proces odbywał się w tej samej sali, w której oglądał Sędziego w roli oskarżyciela - w procesie białej kobiety zatrzymanej za zabójstwo czarnego mężczyzny, który „wodził oczami” za jej córką. Sędzia przegrał tamtą sprawę. Ale Tate tej nie przegra. Silny młody mężczyzna zabił nożem bezbronną ciężarną narzeczoną? Och, nie, Tate ją pomści. Ślepa sprawiedliwość jest po jego stronie.

- Weź mnie, a ją puść wolno - zwrócił się teraz do Matthews'a.

- Nie do przyjęcia.

- Obawiam się, że jednak tak, Aaronie. To dla ciebie jedyne wyjście.

- Jedyne wyjście dla mnie?

- Ponieważ dokładnie wiem, czego pragniesz - odpowiedział Tate ze spokojem. -

I dlaczego to wszystko zrobiłeś.

- Niby dlaczego?

- Pragniesz zemsty, tak? Żeby ulżyć bólowi.

Matthews poruszał ustami, jakby rozmawiał ze sobą lub z Bogiem.

Człowiek często wątpi w to, co słyszy.

To, co widzi...

Tate nachylił się ku niemu, pokonując ból w głowie i dłoni.

- Pomyśl o tym, Aaronie. Pomyśl. To bardzo ważne. Co będzie, jeśli potem zrobi się jeszcze gorzej? Jeśli zabójstwo Megan zwiększy ból?

- Sztuczka retoryczna! - krzyknął Matthews. - Tworzysz ułudę. To, co mówisz...

- Zastanawiałeś się nad tym kiedykolwiek?



- ...ma mnie tylko rozproszyć!
- Straciłeś człowieka, którego kochałeś. Leżałeś godzinami na plecach, sparaliżowany przez ból. Obudziłeś się o drugiej nad ranem i pomyślałeś, że wariujesz. Tak? Matthews milczał.

- Mnie też się to przydarzyło. - Tate nachylił się jeszcze bliżej, a autentyczny ból malujący się na jego twarzy był równy cierpieniu Matthews'a. - Przeżyłem to. Straciłem kogoś, kogo kochałem nad życie, straciłem żonę, i tak właśnie się czułem. Widzę to na twojej twarzy. Tak, widzę! To nie sztuczki, Aaronie. Wiem, o czym mówię.

Matthews stukał palcem w trzonek noża.

- Jak żona mnie opuściła, został mi tylko Pete. Było tak mało ludzi, z którymi mogłem porozmawiać. Ale Peter... Spędzaliśmy razem całe dni na rozmowach. Wiesz, jak to jest? Znaleźć kogoś, z kim naprawdę możesz porozmawiać? A potem Rose Marie go uwiodła. Rzuciła na niego jakiś cholerny czar i zabrała mi go... Była diabłem. Tak jak ty.

- Spojrzał na ostrze noża. - Zatrzaszczyłem się o nią. Zatrzaszczyłem się o nią i wszystko miało być tak pięknie! I byłoby. Gdyby nie ty. Musiałeś się napatoczyć i zabrać mi go.

Tate zmarszczył brwi.
Zatrzaszczyłem się o nią...
Odczuł szok fizycznie, jak uderzenie.

- O czym ty mówisz? To ty ją zabiłeś? Rose Marie... narzeczoną swojego syna? Niewinny chłopak zginął przez własnego ojca.

- Nie sądziłem, że go za to zaarrestują, że go skażą. Myślałem, że był w Marylandzie, w odwiedzinach u kolegi. Myślałem, że to będzie alibi. Nie wiedziałem, że kiedykolwiek dotykał noża, którego użyłem. Nie przypuszczałem, że policja znajdzie jego klucze - zabrałem je z jego mieszkania, żeby dostać się do środka... I nie zdawałem sobie sprawy, że ty będziesz tak bardzo pragnął posłać mojego syna do piekła.

- Pozwoliłbyś, żeby trafił na krzesło?
- Oczywiście, że nie. Zrobiłbym coś przed egzekucją. Wyznałbym, że to ja. Nie przypuszczałem, że się zabije. Nigdy.

- Dlatego pragniesz Megan.
- Bóg kazał mi odebrać ci ją! - krzyknął. - Bóg mi tak powiedział. Zabrałem Peterowi jego kobietę, teraz więc posyłam mu Megan. Ofiara. Twoja pierworodna dla mojego...
- To ja jestem odpowiedzialny - powiedział Tate z emfazą. - Jeśli zabierzesz mnie, twój ból minie.
- Tatusiu...

Być może po raz pierwszy od dziesięciu lat usłyszał z jej ust to słowo.

Tate przypomniał sobie wydarzenia ostatniego tygodnia i uświadomił sobie cały prawdziwie diaboliczny plan Matthews'a. Oczywiście to Matthews namówił Konniego na alkohol. Może nawet sam wpakował taurusa detektywa na sportowy samochód. Zabił Emily i zakopał ją na farmie. I doprowadził Carsona do napisania rzekomego listu samobójczego, po czym spalił go żywcem.

Niemniej w całej tej jatce widać było dążenie do celu. Matthews nie był przypadkowym zabójcą. Wszystko, co robił, miało swoją przyczynę.

A zatem prawnik musiał kontynuować.

- Ja za twojego syna, Aaronie. Uczciwy układ. Jeden za jednego. Wypuść ją.
- Tatusiu... - Szarpnęła go za nogę, ale nakazał jej gestem milczenie.

Matthews potrząsnął głową.
To, co człowiek widzi...
- To uczciwe. To jedyne wyjście.
- Nie! - krzyknął Matthews. - Czy ty nie słuchasz? Ona jest ofiarą. Tak kazał mi Bóg. Ty masz żyć bez niej. Oko za oko.
- Jesteś pewny, że tego chcesz? Jesteś pewny, że to układ?
- Tak! Tak musi być.

Tate odwrócił wzrok od przegniłego, brudnego dywanu. Odchrząknął.



- A zatem wygrałem.

Matthews spojrział na niego podejrzliwie.

Tate westchnął.

Prawdopodobnie wiedział przez cały czas, że do tego dojdzie. Ale co za moment, co za miejsce.

Ale nie może zwątpić...

- Tatusiu? - odezwała się Megan. - O co chodzi?

...w to, co robi.

Tate otworzył usta. Głos uwiązał mu w gardle. Zaczął jeszcze raz.

- Twoja logika jest bez szwanku, Aaronie. Jest tylko jeden szczegół. - Spojrzął teraz w oczy Megan, a nie ich oprawcy. - Nie jestem jej ojcem.

Rozdział 35

Matthews zatrzymał się. Wydawało się, że na nich patrzy, ale widzieli tylko jego sylwetkę na tle witraża, więc Tate nie był pewny, w którą stronę miał zwrócone oczy.

Megan, blada w mętłym świetle, ukryła poranioną twarz w dłoniach.

Matthews się roześmiał, ale Tate wiedział, że jego lotny umysł przetwarza dane i wyciąga ostrożne wnioski. Przez chwilę Tate poczuł podziw dla ich porywacza - z takim umysłem i rzadkim darem mówienia ludziom dokładnie tego, co chcieli usłyszeć, musiał być fantastycznym kaznodzieją, musiał pieścić dusze owieczek.

- Jestem rozczarowany, Collier. To oczywiście i prostackie. Kłamiesz.

- Ile razy widziałeś nas razem? - spytał Tate.

- To nic nie znaczy.

- Jak długo nas śledziłeś?

- Zacząłem rok temu w Boże Narodzenie.

- Ile weekendów ze mną spędziła?

- To nic...

- Hę? - spytał twardo Tate. - Bett sama ci powiedziała w gabinecie.

- Bardzo mało.

- Włamałeś się do mojego domu, żeby podłożyć te listy, prawda?

- Tak.

- Ile jej zdjęć widziałeś?

- Tatusiu...

- Hę?

- Żadnego - przyznał wreszcie Matthews.

- Jak wyglądał jej pokój?

Kolejne wahanie.

- Jak magazyn.

- Ile czułości widziałeś między nami? Czy ja wyglądałem na ojca?

Gdy Matthews nie odpowiedział, Tate przemógł oślepiający ból w głowie i ręce i przyciągnął Megan do siebie.

- Ja mam ciemne włosy i oczy. Ona jest blondynką, na miłość boską. Czy ona jest do mnie podobna?

- Nie wierzę ci.

- Nie, tato, kłamiesz!

Ale Matthews uwierzył.

- W moim gabinecie... zobaczyłem twarz twojej żony. To nie był gniew i żal do ciebie, ale do siebie samej. I poczucie winy.

- Zgadza się - powiedział Tate. - Winy.

Matthews spoglądał to na jedno, to na drugie.

- Osiemnaście lat temu - zaczął powoli Tate, zwracając się do Megan - byłem prokuratorem w Wirginii. Wyrabiałem sobie nazwisko. „Washington Post” nazwał mnie naj-



gorliwszym młodym prokuratorem w stanie. Przyjmowałem każde zlecenie, jakie przychodziło do biura. Pracowałem osiemdziesiąt godzin tygodniowo. Wracalem do domu, do twojej matki, w najlepszym razie co drugi weekend. Wyjeżdżałem na trzy, cztery dni i nawet nie dzwoniłem. Usiłowałem stać się moim dziadkiem. Prawnikiem-farmerem-patriarchą. Miejscową sławą. Z dużą rodziną. Ze starym domostwem. Niedzielne obiady, zjazdy rodzinne, święta...

Pragnąłem tego, czego nie chciała Bett, zrozumiał wreszcie Tate po ich rozmowie parę dni temu.

- Właśnie wtedy twoja ciocia Susan miała poważny atak serca. Najgorszy. Spędziła miesiąc w szpitalu, a potem właściwie zawsze była przykuta do łóżka.

- O czym ty opowiadasz? - szepnęła zimno Megan.

- Susan była mężatką. Pamiętasz jej męża.

- Wujek Harris.

- Miałaś rację w swoim liście, Megan. Twoja matka poświęcała mnóstwo czasu opiece nad swoją siostrą. Razem z Harrym.

- Nie - powiedziała ostro Megan. - Nie wierzę w to.

- Chodzili razem do szpitala, na obiady i kolacje, na zakupy. Czasem Bett gotowała mu obiad w jego mieszkaniu. Sprzątała tam. Twoja ciocia cieszyła się z tego. Ja też byłem zadowolony. Mogłem bez przeszkód zajmować się swoimi sprawami, a twoja matka miała towarzystwo.

- Ona ci o tym opowiedziała? - spytała Megan.

Jego twarz była pozbawiona wyrazu jak maska, gdy powiedział:

- Nie. Harris mi powiedział. W dniu swojego pogrzebu.

Tate był na górze tego ciepłego listopadowego popołudnia piętnaście lat temu.

Pogrzeb się skończył, goście jechali na farmę Collierów. Susan była zbyt chora, żeby grać rolę gospodyni stypy. Bett miała ją zastąpić.

Stojąc w oknie sypialni, Tate spoglądał na łąkę. Gorące powietrze, pył zeschniętych liści.

Trzyletnia Megan siedziała na ławce ogrodowej. Wyglądała na podnieconą i szczęśliwą, aczkolwiek oczywiście zupełnie nie rozumiała, czym jest pogrzeb.

A Bett stała na taborecie i zawieszala lampiony.

Tate wyszedł na górę, żeby otworzyć okna i przewietrzyć na drugim piętrze pokoje dla gości mających zostać na noc. Okno się zablokowało. Zdjął marynarkę, żeby lepiej je chwycić i usłyszał szelest papieru w kieszeni. Podczas pogrzebu jeden z prawników Harrisa wręczył mu kopertę zaadresowaną odręcznie do Tate'a. Osobisty list. Zapomniał o tym. Teraz otworzył kopertę. Przeczytał krótki list.

Tate skinął głową, złożył list, zszedł na dół i wyszedł przed dom.

Zapamiętał, że z wieży stereo płynęła piosenka Loretty Lynn.

Zapamiętał, że usłyszał szelest wiatru wśród pożółkłej trawy i turzycy, poruszającego pędy dyń i odpady z tegorocznych zbiorów kukurydzy.

Zapamiętał, że przyglądał się Bett rozwieszającej lampiony i Megan patrzącej na niego z ławki. Potem przeszedł na tył podwórka. Zatrzymał się i patrzył na pole ciągnące się z boku, na różnobarwne cukierki halloweenowe rozrzucone po wyblakłej trawie. Patrzył i patrzył...

Dużo później, gdy goście odjechali albo położyli się do łóżek, Bett sprzątała i zdejmowała lampiony z drzew. Tate podszedł do niej od tyłu i zamiast objąć żonę ramieniem, jak zrobiłby mąż o późnej godzinie nocnej w domu żałoby, podał jej list.

- Musimy porozmawiać - szepnął.

Przeczytała i skinęła głową. Nie zaprzeczyła niczemu, o czym mówił list: wielkiej miłości Harrisa do Bett, trwającemu rok romansowi, ojcostwu Megan, temu, że odmówiła rozwieść się i wyjść za Harrisa, groźbie, że odbierze mu całkowicie dziewczynkę, jeśli Harris powie jej siostrze o ich zdradzie. Pod koniec słowa przemieniły się w szaleńczy bełkot i rozpaczliwie szczere wyznanie, że ból jest nie do zniesienia.



Żadne z nich nie płakało, gdy tego wieczora Tate spakował walizkę i odjechał. Nigdy później nie spędzili wspólnie nocy pod jednym dachem. Aż do przedwczoraj.

Pomimo obecności szaleńca z nożem zaledwie kilka stóp od nich, uwaga Tate'a była skupiona wyłącznie na dziewczynie. Ku jego zdumieniu, na jej twarzy odmalował się nie szok czy gniew, ale współczucie. Pogłaskała go po nodze.

- To ty zostałeś zraniony. Tak mi przykro, tatusiu.

Co się robi z cudzym okrucieństwem? Odchodzi się czy zostaje? Ludzie stają się sobie zupełnie obcy czy nadal są razem? Decyzja należy do ciebie.

Tate spojrział na Matthews'a.

- Właśnie dlatego muszę wygrać, Aaronie - powiedział bez triumfu, za to ze smutkiem w głosie. - Odebranie mi jej nic nie da.

- Nie! - krzyknął Matthews. - Musi! Bóg tak mi powiedział!

- Czy znasz klasyczne powody karania zbrodni, Aaronie? - spytał Tate. - Żeby zniechęcić do złego zachowania - nie skutkuje. Jako środek zapobiegawczy - nic nie daje. Żeby resocjalizować - kiepski żart. Żeby chronić społeczeństwo - no cóż, gdyby tylko można złoczyńców zamknąć na zawsze. Wiesz, jaki jest prawdziwy powód, dla którego karzemy? Wstyd nam to przyznać. To barbarzyńskie, tak, ale jakże skuteczne. Stary dobry biblijny odwet. Krwawa zemsta jest jedynym uczciwym motywem kary. Dlaczego? Ponieważ jej celem jest zmniejszenie cierpienia. Ty skrzywdziłeś mnie, ja skrzywdzę ciebie. Widzisz, Aaronie, twoje założenie jest w porządku. Twoja logika bez zarzutu. Ale w tym wypadku nie działa. Nie możesz odebrać mi dziecka, ponieważ go nie mam.

Megan chciała coś powiedzieć, ale Tate potrząsnął głową.

Niech milczenie zakończy rozprawę.

Matthews oparł głowę o okno. Jęcząc, wyglądał na zewnątrz. Słońce stało już wysoko i jego światło wpadało do wnętrza w rozbłyskach, gdy sine chmury przetaczały się szybko na wschód. Mamrotał coś do siebie. Potem odwrócił się do nich. Skinął głową dziwnie oficjalnie.

- Przyjmuję twoją propozycję. Twoje życie za jej, Collier. Dziewczyna może odejść. Megan usiłowała protestować.

Ale Tate wiedział, że wygrał. Cokolwiek teraz by powiedziała lub zrobiła, nie zmieni jego decyzji.

- Zagonię psy, wracam za pięć minut. - Zamknął drzwi; zamki zatrzasnęły się za nim.

Rozdział 36

- Czy to prawda?

- Tak - odpowiedział.

- Nigdy nic nie mówiłeś.

- Bett błagała, żebym tego nie robił. Aż do śmierci Susan. Lekarze dawali jej rok albo dwa życia. Zgodziłem się.

- Ale... - szepnęła Megan.

Uśmiechnął się słabo.

- Och, tak. Ona nadal żyje. Dlatego wciąż udajemy, że jesteś naszym wspólnym dzieckiem.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Ciocia Susan nie musiałaby wiedzieć.

Tate przyglądał się uważnie straszonym ranom na jej dłoniach.

- Minął właściwy moment - powiedział w końcu.

- Przez wszystkie te lata - krzyknęła - sądziłam, że to moja wina! - Roześmiała się i złożyła mu głowę na ramieniu, dokładnie tak samo jak Bett przedwczoraj rano w łóżku. - Musiałam być dla ciebie strasznym ciężarem. Okropnym przypomnieniem.

- Kochanie, chciałbym móc zaprzeczyć, ale nie mogę. W połowie byłaś osobą, którą kochałem najbardziej na świecie, a w połowie tą, której najbardziej nienawidziłem.



- Powiedziała coś kiedyś - zaczęła, szlochając cicho. - Spędziłam u ciebie weekend i mama zapytała, jak było. Odpowiedziałam, że bawiłam się nieźle, ale czegoż można oczekiwać, jak ma się zaledwie poprawnego ojca. Myślałam, że mnie spierze. Dostała zupełnego szału. Powiedziała, że jesteś najlepszym facetem, jakiego kiedykolwiek spotkała, i że nie wolno mi nigdy więcej tak mówić.

Tate się uśmiechnął.

- Poprawny ojciec dla niewygodnej córki.
- Dlaczego nigdy więcej nie spróbowaliście razem?
- Minął właściwy moment - powtórzył.
- Musiałeś ją bardzo kochać!

Tate roześmiał się gorzko na myśl o ironii losu. Dziecko, które kiedyś ich rozdzieliło, teraz zbliżyło ich do siebie - przynajmniej na jedną noc.

Jak bardzo miłość jest skąpa, pomyślał. Jak rzadko składa się wszystko: przysięga, pewność, potrzeba, okoliczności, próżna chęć dzielenia czasu z drugim człowiekiem. I cenna rozpacz. Wydaje się to niemożliwe, cudowne.

Przyjrzał się Megan. Obie, jego ekszona i zastępcza córka, będą się miały dobrze. Skoro prawda wyszła już na jaw. Długo to trwało, ale lepiej późno niż wcale. Och, tak, będzie im dobrze.

Kroki na żwirze się zbliżały.

- Posłuchaj, Megan - powiedział szybko. - To bardzo ważne. Zadzwoń do Archiego Bella w biurze prokuratora stanowego. To mój stary przyjaciel. Powiedz mu, że twoja matka jest prawdopodobnie w areszcie we Front Royal...

- Co?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. Ale Bett tam jest. On przyśle jej prawnika. Będzie potrzebowała dobrego obrońcy.

Dziewczyna skinęła głową.

- Pobiegnę - powiedziała. - Sprowadzę pomoc. Policję i lekarza dla Josha.
- Josha?

- On tu jest. Żyje, ale jest ciężko ranny. Zdołasz powstrzymać przez chwilę Matthews?

Nie pozwoliłby jej odejść z przekonaniem, że umrze za dziesięć minut, toteż odparł:

- Powstrzymam go przez jakąś godzinę. Pędź jak szalona. Mam nadzieję, że masz jeszcze kondycję po tych wszystkich lekcjach baletu, za które płaciłem.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Podskoczyli oboje. Matthews wszedł ostrożnie, w wyciągniętej ręce trzymał wielki nóż.

- Żegnaj - zwrócił się do Megan.

Ucisnęła mocno Tate'a. Poczuł, że jej dłoń prześlizguje się po jego ręce i chwytą mocno związane dłonie. Zmarszczył brwi, gdy wcisnęła mu coś do ręki. Ale ciało miało pozbawione czucia po porażeniu prądem, dlatego nie mógł zgadnąć, co to.

- Trzymaj się tego - szepnęła. - I nie słuchaj go, cokolwiek będzie mówił. Pamiętaj... - przycisnęła usta do jego ucha - ...niedźwiedzie nie umieją mówić.

Po czym wstała chwiejnie, a Matthews wypchnął ją za drzwi, które zamknęły się za nią z trzaskiem. Przez brudne zakratowane okno Tate widział, jak zbiegła po podjeździe i zniknęła za bramą.

Matthews wsunął rewolwer Tate'a do kieszeni i postawił prawnika na nogi.

Rozdział 37

Niedoskonały świat, tak.

A zatem będzie musiał wystarczyć niedoskonały pokój.

Znajdowali się na zewnątrz budynku w wietrzny wiosenny poranek Wielkiego Piątku; żółta kula słońca właśnie wysunęła się nad horyzont. Dość szybko szli ramię w ramię wśród wysokiej trawy, a nad ścieżką krążyły ważki. Koniki polne odbijały się od nóg



mężczyzn, pozostawiając na ubraniach brązowe plamki.

Psy biegły niespokojnie za nimi, obwąchując grunt i odbijając się od siatki ogradzającej wybieg, usiłowały wyrwać się i rzucić na intruza, który szedł u boku ich pana.

- Przyjrzyj się temu miejscu - odezwał się Matthews tonem konwersacji. Zatoczył łuk ręką. - Pamiętam, jakby to było wczoraj: tłumy, pieśni, modły, ludzie na kolanach...

Gestem nakazał, żeby się zatrzymali. Tate nadal miał związane ręce, dlatego Matthews pomógł mu wspiąć się na estradę. Potem wszedł za prawnikiem, który przyglądał mu się spokojnym wzrokiem. Pogodził się z losem. Wiedział, że jest martwy. Ta pewność sprawiała, że był szczęśliwy. Oczywiście świętego oczekującego na męczeństwo.

I będzie rządził na wieki...

Przegnięte drewno przechylnego pulpitu zwróciło uwagę Colliera.

Matthews kopnął pulpit, który przewrócił się ciężko. Roześmiał się.

- Ojciec raz w życiu zabrał mnie na wycieczkę, na Times Square w Nowym Jorku. Żeby zobaczyć Billy'ego Grahama. To było w latach sześćdziesiątych. Jedyne nasze wspólne wakacje. „Jak wielkie są dzieła Twoje...”. Wiesz, Collier, Bóg co trzydzieści lat wybiera swojego rzecznika. George Whitefield we wczesnych latach Ameryki. Charles Finney i Dwight Moody w dziewiętnastym wieku. Billy Sunday podczas pierwszej wojny światowej. Aimee Semple McPherson. Graham, oczywiście. Tym właśnie jestem. Jego wybranym.

Bóg wszechmogący panuje.

Nie zostało wiele czasu, uzmysłowił sobie Matthews. Szacował, że ma jakąś godzinę albo dwie do przyjazdu policji. Wystarczy, żeby tu skończyć, dostać się na lotnisko Dullesa i zdążyć na samolot do Los Angeles. Wciągnął głęboko powietrze. Samo odcięcie języka nie zabije Colliera w tak krótkim czasie. Ale zemdleje z bólu i zadławi się własną krwią. A Matthews tymczasem...

Matthews zauważył, że Collier się śmieje, uniósł brew.

- Rzecznikiem? - spytał Collier. - Tak właśnie myślisz?

Matthews nie odpowiadał.

- Jakże bardzo się mylisz, Aaronie. Bóg nie ma dla ciebie czasu.

Żółte światło poranka padało na ich twarze.

- Słyszałem, jak do mnie mówił - wyjaśnił spokojnie Matthews.

- Nie, Aaronie. Nie wiem, co słyszałeś, ale na pewno nie był to Bóg.

- Uczynił mnie swoim rzecznikiem.

- Zabijeś swojego syna i usiłujesz zrzucić na mnie winę. To nazywasz boskim odwetem?

Matthews nachylił się, tak że jego twarz znalazła się kilka cali od Colliera.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Słyszałem Jego słowa. Otwierałem usta i płynęły Jego słowa. To cud!

- Nie, Aaronie. Słyszałeś szaleństwo swojego ojca. I swoje. Tylko to słyszałeś. Szaleństwo, które zabiło twojego syna.

- Nie masz pojęcia...

- W porządku, ktoś do ciebie przemówił. Ale to nie był Bóg. To był szalony starzec, który okaleczył dziewczynę i kradł przestraszonym ludziom pieniądze w imię Boga. Pamiętam zeznanie twojego syna podczas procesu. O tym, jak twój ojciec zaciągnął cię na pole, gdy miałaś dziesięć czy jedenaście lat, jak chciał oszukać tłum. Zobaczcie mojego syna Aarona, przygłupa, którego język wiję się dla Jezusa, głoście chwałę Pana, alleluja.

Nie! Matthews poczuł gniew. Całe moje dzieciństwo, całe moje życie opierało się na założeniu, że Bóg mnie wezwał. Jeśli nie, to...

- Zmarnowałeś życie. - To niesamowite, jak dokładnie Collier dokończył jego myśl.

Matthews przewrócił go na deski.

- Nie!

Prawnik zdołał się podnieść z powrotem.

- Mogę tego dowieść - powiedział. - Czysta logika. Nie do odrzucenia. Chcesz po-



słuchać?

Matthews wpatrywał się w niego.

- Jako niewierzący nie masz prawa mówić o Bogu.

- Błąd, Aaronie. Wierzę w Boga. Jest On miłosierny i właśnie z Jego powodu przestałem posyłać ludzi na śmierć. Wierzę w Boga ze względu na to, co powiedział Wolter. Powiedział, że musi istnieć Bóg, ponieważ nie można sobie wyobrazić zegarka bez zegarmistrza.

Matthews posłużył się kiedyś tym samym konceptem w jednym ze swoich kazań.

- Myślę jednak również - ciągnął Collier - że zegarek, niezależnie od tego, jak doskonały i skomplikowany, nigdy nie pojmie swojego twórcy. Gdy twierdzimy, że się nam to udało, efektem jest szaleństwo.

- Nic mi nie udowodniłeś. Mówiłeś o logice. Nie widzę tu żadnej logiki.

- A więc posłuchaj: jeśli Bóg istnieje, musi pozostawać dla nas całkiem niepoznany. Nie zgadzasz się z tym? Nie? - naciskał Collier. - Bóg, którego potrafilibyśmy zrozumieć, byłby wybrakowany, ponieważ my nie jesteśmy doskonali. Bóg musi być doskonały.

Matthews milczał.

- Otóż twierdzisz, że Bóg kazał ci porwać Megan, jako moją pierworodną, dla dokonania zemsty. Ale Megan nie jest moją pierworodną. Skoro Bóg nie może się mylić, nie mógł kazać ci jej porwać. Nie do obalenia.

Logika tego wywodu otoczyła Matthews'a niczym wodorosty nogi pływaka.

Ale nie, nie, Bóg przysłał ją do mnie, pomyślał ze złością Matthews - był to miłosierny uczynek, który objaśnił wszystkie tajemnice jego życia, tłumaczył, że jego syn nadal żyje pomimo zimnego dowodu na coś przeciwnego, dowodził, że Bóg jest miłosierny i sprawiedliwy, że dzieciństwo Matthews'a, które upływało w cieniu starego szaleńca, nie poszło na marne.

- Jesteś głupcem, Matthews. Całe twoje życie było kłamstwem.

- Przestań! - Matthews skoczył i chwycił Colliera za przód koszuli. - I powiedziałem: Będę zważał na moje ścieżki, abym nie zgrzeszył językiem.

Psy szalały w pobliżu, rzucały się na ogrodzenie wybiegu, wyginając siatkę.

Matthews sięgnął do kieszeni po nóż myśliwski.

- Kiedy napominasz kogoś, aby ukarać jego grzech, sprawiasz, że to, czego pożąda, roztapia się. Każdy śmiertelny byt jest tylko tchnieniem wiatru.

Matthews zamrugał, widząc białe piórko wznoszące się w powietrze dokładnie za głową Colliera. Co to jest?

Nie żadne piórko, tylko kawałek plastiku. Biały plastikowy nóż! Jak te, którymi Megan przebiła się przez ściany. Podrzuciła mu ostatni. Zaskoczony Matthews uświadomił sobie zbyt późno, że Collier mówił tylko po to, żeby odwrócić jego uwagę, żeby opóźnić, żeby przyciągnąć go do siebie.

Jedna z silnych rąk Tate'a chwyciła prawe ramię Matthews'a, druga zaś zwinęła się w pięść i wylądowała kilka razy na jego brzuchu. A potem na nosie. Pocięła krew; Matthews zawył z bólu i zsunął się z estrady, przewrócił się i upuścił nóż, gdy wysunął rękę, żeby złagodzić upadek. Upadł ciężko i wyciągnął rewolwer z kieszeni.

Collier zeskoczył z tyłu estrady i pobiegł po trawniku w stronę ogrodzenia, jeszcze bardziej rozwścieczając psy. Szczekały i wyły, rzucały się całym ciałem na siatkę.

Zanim Matthews zdążył wstać i wycelować, Collier wpadł między sosny i wysoki żywopłot z bukszpanu. Szaleniec wystrzelił dwa razy, ale dwukrotnie chybił.

Matthews wbiegł na polanę i zatrzymał się, nasłuchując kroków. Nagle usłyszał głośny dzwonek. Kilka razy.

Bramka z tyłu płotu...

Pobiegł w tamtą stronę. Była otwarta. Collier rozbił kłódkę kamieniem i przepłynął strumień na tyłach posiadłości. Teraz wspinał się po skarpie. Wyraźny cel. Matthews strzelił ponownie, ale kula zrykoszetowała po siatce. Przebiegł przez furtkę, rzucił się na kolana i strzelił jeszcze raz.



Collier skoczył i znikł mu z pola widzenia.

Ledwie dysząc, Matthews skoczył do wody, przepłynął i zaczął wspinać się na skarpę po drugiej stronie, a za nim szczekały psy i rzucały się na siatkę ograniczającą wybieg. Słońce zaczęło przeganiać poranny chłód.

Rozdział 38

Tate nie upadł daleko.

I zdołał wylądować na nogach, gdy przetoczył się po gładkim kamiennym podłożu jaskini, pięć albo sześć stóp poniżej otworu.

Słyszał świst kuli nad głową i uznał, że gdyby nie wpadł do groty właśnie w tej chwili, pocisk trafiłby go między łopatki.

Przykucnął, łapiąc oddech, i rozejrzał się. Tunel nie był robotą człowieka. Podejrzał, że to jeden z setek korytarzy, które razem tworzą gigantyczną sieć jaskiń Luray i innych podobnych w tym rejonie. Pieczary były dość bezpieczne, w każdym razie te przy oznakowanych szlakach. Niemniej od czasu do czasu w prasie pojawiały się notatki o ludziach, którzy zaginęli lub utknęli i których ciała znaleziono na pół pożarte przez zwierzęta.

A tu z całą pewnością nie było oznakowanych szlaków.

Collier nasłuchiwał, przechylając głowę ku otworowi. Z początku nic nie słyszał. A potem: ostrożne szuranie stóp o suchą trawę i liście na zboczu.

Rozejrzał się. Jego oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Tunel biegł od otworu prosto w głąb góry. Wydawał się płaski, nie wspinał się ani nie opadał, ale znikał w kompletnej ciemności zaledwie dwadzieścia stóp od miejsca, w którym znajdował się Tate.

Kroki się zbliżały.

Nie miał wyboru. Nie w obliczu szaleńca z pistoletem. Wszedł w czarną dziurę tunelu i powoli zaczął wyczuwać drogę na gładkiej powierzchni.

Zrobił nie więcej niż dwadzieścia kroków, gdy usłyszał za sobą stukot spadających kamyków i głuchy odgłos stóp lądujących na kamieniach, po czym rozległy się ostrożne kroki pościgu.

Panowała absolutna ciemność. Kompletnie nic nie widział. Mógł iść przed siebie, jedynie macając dłonią ścianę, ciężar opierał na stopie pozostającej w tyle, przednią zaś wysuwał niczym laskę, by upewnić się, że tunel nie zapada się nagle, nie zmienia kierunku albo nie staje się półką biegnącą pięćdziesiąt stóp nad podziemnym strumieniem.

Za sobą słyszał ciche szuranie. Stuk upadającego kamyka.

Poruszanie się w tej atramentowej ciemności przepełniało go dziwnym uczuciem. Przed oczami w niewytłumaczalny sposób wirowały kolory, żółty i czerwony. Upierne kształty - oczy i twarze - pojawiały się i znikały. Był pewny, że zobaczył wiszącego przed sobą głową w dół wielkiego nietoperza. Gdy podszedł, wyciągając przed siebie rękę dla obrony, stwór okazał się tylko szczeliną w ścianie.

Szuranie przybliżyło się, toteż Tate przyspieszył.

Oceniał, że zabrnął jakieś ćwierć mili w głąb góry. Zgubił się całkowicie. Po drodze minął kilka rozgałęzień, ale chcąc zachować jakieś poczucie kierunku, trzymał się tego, co uznał za duży główny tunel. Teraz jednak uświadomił sobie, że skręcał parę razy w lewo i w prawo, i że nie ma pojęcia, czy kręcił się w kółko, czy szedł przed siebie. Zauważył jednak, że podłoże zdecydowanie się obniża.

W oddali usłyszał szum wody, minął też coś, co wydawało się niewielką szczeliną w skale, po jej drugiej stronie dostrzegł słabą żółtawą poświatę. Fosforyzujące skały, uznał. Szedł dalej.

Szurające kroki Matthews'a wciąż się przybliżały.

Tate przyspieszył.

Aż wreszcie ściany zbliżyły się do siebie na tyle, że tunel nagle okazał się nie do



przejścia. Kroki za nim posuwały się nieubłaganie, a raz i drugi Tate usłyszał stuk metalu o kamień, coraz bliższy.

Usłyszał wciąganie powietrza i dźwięk odbezpieczanego pistoletu. Sądząc po odgłosach, kaznodzieja znajdował się o jakieś piętnaście stóp od niego.

Tate zatoczył ostrożnie koło, szukając w kamiennej ścianie jakiejś szczeliny, w którą mógłby się wcisnąć. Nic. Tylko sześciocalowy otwór między ściśniętymi niespodziewanie ścianami tunelu. Brak drogi ucieczki.

Tate zaczął się wycofywać i usłyszał - bardzo blisko - głuchy stuk, gdy Matthews wpadł na ścianę. Cztery albo pięć stóp od niego.

Tate przywarł do ściany i zamarł w bezruchu, otworzył szeroko usta, żeby oddychać jak najciszej.

Gdzie on jest? Jak blisko?

Włączył się szósty zmysł, niczym radar - może jakaś zmiana natężenia dźwięku - i Tate z przerażeniem stwierdził, że mężczyzna znajduje się zaledwie o krok od niego. Czuł, że mięśnie zaczynają mu drgać z napięcia i z trudem zachował bezruch.

Bez ostrzeżenia Matthews krzyknął i zamachnął się nożem w prawo. Uderzył w skałę kilka cali obok głowy Tate'a, krzesząc pomarańczową iskrę. Tate powstrzymał się od jakiegokolwiek reakcji i powoli przykucnął, obmacując podłoże tunelu w poszukiwaniu kamienia, który mógłby wykorzystać jako broń. Nic nie znalazł.

Matthews zamierzył się ponownie. Tym razem ostrze uderzyło w skałę tuż nad głową Tate'a, właśnie tam gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się jego brzuch. Przykucnął jeszcze bardziej.

- Collier! - Ten krzyk sprawił mu fizyczny ból. Cięcie po skale. Ostrze skrzesło snop iskier. Tate zamknął oczy. Miał wrażenie, że dzięki temu lepiej słyszy - a może budzi zwierzęcy instynkt. Był pewny, że mężczyzna się oddalił. Odczekał chwilę, aż nabrał pewności, że szuranie oddaliło się ku wejściu.

Tate wyczołgał się na czworakach z zagłębienia, w którym się cował, i zaczął wycisnąć drogę powrotną.

Zaledwie kilka jardów przed sobą słyszał szuranie stóp Matthews'a, który szukał drogi na zewnątrz. Mężczyzna westchnął i najwyraźniej usiadł. Zaczeka tu, aż głód albo pragnienie zmuszą ofiarę do wyjścia. Tate podejrzewał, że Matthews był zdolny zostać tu na wieki; dla kogoś, kto słyszał, jak Bóg przemawia przez jego usta, długie czuwanie w tunelu to pestka.

Właśnie w tej chwili twarz Tate'a, który wciąż się czołgał, owiał chłodny powiew. Jego ręka wyczuła pustkę po prawej stronie - mniejszy tunel zbiegający w dół. Zmrużył oczy i wydało mu się, że zobaczył światło, bardzo słabą żółtawą poświatę odbijającą się od sklepienia grotu.

Z trudem wcisnął się w otwór, usiłował zorientować się, w którą stronę biegnie tunel. Wkrótce średnica korytarza zmniejszyła się do dwóch stóp, a tunel powoli zaczął się wznosić. Tate podążał nim w milczeniu.

Jakieś dwa kroki.

Potem podłoga wąskiego korytarza nagle zniknęła.

Krzyknął, spadając z wysokiej półki i lecąc głową w przód po zboczu o prawie czterdziestopięciostopniowym nachyleniu. Zsuwając się, rozsunął szeroko nogi, żeby zahamować pęd, ale nie przyniosło to żadnego efektu - poruszał się coraz szybciej. Jechał po żwirze, zdzierając skórę z dłoni i łokci, porywając ze sobą kamienie, które otoczyły go niewielką lawiną. Krztusił się od pyłu. A ściany i sklepienie tunelu zbliżały się do siebie, aż wreszcie Tate nie mógł nawet wyciągnąć w bok krwawiących łokci. Musiał trzymać ręce przed sobą niczym w skoku do wody.

Utknie głową do przodu.

Wyobraził sobie powolne duszenie się, szaleństwo ogarniające go w skalnym więzieniu. Żywcem pochowany.

Pomyślał o Bett, a potem o Megan.



Nagle otoczyło go złote światło niebios i poczuł, że wiruje w powietrzu. Wylądował ciężko na warstwie osadów wapiennych, które zamortyzowały upadek, zmiażdżone jego ciężarem niczym żółte koralowce. Leżał zamroczony, spoglądając na fosforyzujące zielono i żółto osady, oświetlające ogromną jaskinię, do której wleciał.

Usiadł, masując rękę. Złamany nadgarstek spuchł tak, że gdy Tate pociągnął za mankiet, guzik odpadł pod naporem nabrzmiałego ciała. Zamroczyło go na chwilę, ale spuścił głowę, żeby nie zemdleć.

Po czym usłyszał szuranie nad głową; kamień uderzył go w ramię, a za nim poleciał żwir.

Matthews przybliżał się tunelem.

Tate jęknął z bólu i chwycił w lewą rękę kamień wielkości grejpfruta. Zważył broń w ręce, czekał, aż Matthews zjedzie na dół.

Przykucnął. Kolejna porcja żwiru z otworu. Tate rozejrzał się za lepszą bronią, jakimś odłamkiem skały przypominającym maczugę.

Pocisk minął go o kilka cali. Huk wystrzału poderwał chmurę nietoperzy, które krążyły teraz szaleńczo, tworząc żywą mgłę w całej jaskini. Echo powtórzyło huk dwa razy, po czym umilkło, stłumione przez trzepot skórzastych skrzydeł i wysokie piski nietoperzy.

Tate odskoczył i zobaczył Matthews'a w wylocie tunelu. Udało mu się zejść powoli i teraz zezował na Tate'a, usiłując wymierzyć z pistoletu w chmurze nietoperzy.

Kolejny strzał.

Tate odczołgał się i wspiął na ogromny stalagnit, z którego skoczył na półkę znajdującą się piętnaście stóp nad ziemią, posługiwał się przy tym tylko jedną ręką. Przykucnął pod przewieszoną skałą, tutaj nie sięgną go pociski Matthews'a.

Oszalałe nietoperze utworzyły tak gęsty wir, że wydawało się, że w jaskini nie ma powietrza, tylko chmura skrzydeł, małych pazurków i wilgotnych, blisko osadzonych oczu.

Matthews odganiał nietoperze i spokojnym krokiem zmierzał ku stalagnitowi.

Tate wcisnął się głębiej w szczelinę skalną. Uderzył złamaną ręką o występ i omal nie zemdlął. Dwa nietoperze odbiły się od jego głowy. Spojrzał w dół. Matthews wspinał się po skale, twarz miał zakrwawioną, a w oczach błyszczało mu szaleństwo. W dłoni trzymał pistolet.

Lewą ręką Tate cisnął w jego stronę spory kamień, potem następny. Matthews wycofał się za stalagnit. Wspinał się dalej. Za kilka sekund będzie w doskonałej pozycji do strzału.

Tate działał szybko.

Podszedł do krawędzi skały i w chwili gdy Matthews rzucił się ku niemu, krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił:

- Niech Bóg mi wybaczy, Aaronie!

Wysiłek poraził bólem jego rękę. Osunął się na kolana i omal nie spadł z półki.

- Niech Bóg mi wybaczy Aaronie niech Bóg mi wybaczy Aaronie niech Bóg mi wybaczy Aaronie...

Echo tego głosu dobiegało ze wszystkich stron i Matthews odwrócił się, przekonany najwyraźniej, że Tate zdołał jakoś dostać się za niego. Szalenie stracił oparcie i zsunął się dziesięć stóp po stalagnicie na podłogę jaskini. Upuścił rewolwer, ale nic mu się nie stało. Podniósł się powoli.

Tate usiłował wstać, ale ból w ręce był zbyt dotkliwy. Leżał, stanowiąc doskonały cel, gdy Matthews podniósł broń i podszedł do skały.

Tate trzymał oczy szeroko otwarte. Matthews podniósł rewolwer, poruszając lekko ustami. Modlitwa? - zastanawiał się Tate. Rozgrzeszenie? Raczej pożegnanie.

Wymierzył w klatkę piersiową Tate'a.

W tej samej chwili z wejścia wystrzelił czarny kształt.

Wrzaski nietoperzy przybrały na sile o sto decybeli i chmura zawirowała w sza-



leńczej ucieczce od potwornego wycia. Następny kształt. Trzeci. Matthews zmarszczył czoło, opuścił lufę i odwrócił się w stronę zawirowania. Tate dostrzegł pomieszanie czerni, brązu i czerwieni, gdy rottweiler skoczył w powietrze, chwycił nietoperza i rozerwał go na kawałki.

Trzy psy kręciły się w poszukiwaniu ofiar, po czym rzuciły się do przodu, wściekłe, oszalałe od pościgu i niesamowitych dźwięków wydawanych przez nietoperze. Wyrwały się z wybiegu, złapały trop Tate'a na polu i teraz, wyjąc i szczekając, usiłowały wdrapać się na skałę, i wpadały w coraz większy szal, gdyż nie udawało im się to i spadały na skalne podłoże grotu.

Może przybiegły tu, ścigając Tate'a, ale w końcu, gdy ich szaleństwo przebrało miarę, zwróciły się przeciwko swojemu panu.

Matthews wrzasnął, gdy jeden z psów rzucił się na jego nogę, a drugi chwycił rękę. Krępe łby trzęsły się szaleńczo, tak szybko, że zmieniły się w rozmazaną masę wśród pękających delikatnych ludzkich kości. Matthews upadł. Pistolet wystrzelił raz, kula uderzyła w fosforyzujący osad na sklepieniu jaskini, rozpryskując kaskadę zielonych, niebieskich i żółtych iskier, które opadły niczym świąteczne fajerwerki wśród chmury nietoperzy.

Warczące psy szarpały miotające się ciało Aarona Matthews'a. Był silny, uderzał zwierzęta w brzuchy i kopał je po pyskach, ale one zachowywały się jak oszalałe. Jeden chwycił Matthews'a za szczękę i potrząsnął mocno jego głową; przenikliwy wrzask wypełnił jaskinię. Odrywały kawałki mięsa z jego ramion i brzucha. Inny zerwał but i wgryzł się kłami w stopę.

Powoli krwawy kształt zamierał. Tate domyślił się, że Matthews nie żył w chwili, gdy trzeci wielki rottweiler skoczył i zacisnął szczęki na jego gardle. Ale może nie, ponieważ wydało się, że Matthews zawołał coś, błagał lub modlił się; głęboki baryton wypełnił jaskinię. Tate nachylił głowę, nasłuchując, ale słowa zginęły w warczeniu psów, szaleńcym trzepocie tysięcy nietoperzy i bólu, który dźwięczał w jego własnych uszach.

Epilog

Plaża Bahia de Cristo w Belize jest jedną z najpiękniejszych w Ameryce Łacińskiej.

Nawet teraz, pod koniec kwietnia, powietrze było gorące. Niemniej bryza owiewała hordy turystów ciągnące bez końca od klimatyzowanych barów i restauracji oferujących owoce morza do basenów i plaży i z powrotem. Windsurfing, lądujące parolotnie i narty wodne nie pozwalały powierzchni turkusowej wody uspokoić się ani na chwilę. W jednej zatoczce setki nurków zanurzały się w wodzie w swoich eleganckich, a zarazem dziwacznych kostiumach.

Ten kurort jest również znanym punktem wypadowym dla tych, którzy pragną zwiedzać ruiny Majów - w odległości dwóch mil od głównej promenady Bahia znajdują się dwa doskonale zachowane miasta.

Caribe Inn jest najbardziej luksusowym hotelem w mieście - zbudowany w stylu kolonialnej hiszpańskiej hacjendy, otrzymał cztery gwiazdki w kategorii Mobila i pochwały od różnych innych firm; wszystko dumnie wywieszono w recepcji, przy której stał teraz Tate, mając nadzieję, że recepcjonista mówi po angielsku.

Okazało się, że mówi, Tate wyjaśnił więc, że ma rezerwacje, po czym wyciągnął paszporty i kartę American Express.

- Ile pokoi...? - zapytał recepcjonista.

- Dwa.

Oczywiście, odpowiedział recepcjonista, zerkając na zabandażowane dłonie Tate'a i zdartą skórę na jego ramieniu. Tate wypełnił kartę meldunkową niezgrabnym pismem.

- Ach, pan jest z Wirginii - zauważył recepcjonista.

- Si, cerca Waszyngtonu DC - odpowiedział niepewnie Tate, kartkując słownik i spodziewając się, że jego wymowa skieruje konwersację na inne tory, jeśli nie urazi recep-



cjonisty.

- Byłem tam kilka razy. Szczególnie podobało mi się w Smithsonian.

- Si - powtórzył Tate, nie pamiętając słów, by odpowiedzieć pełnym zdaniem, a przecież ćwiczył w samolocie. Jak na człowieka, który kroczył przez świat dzięki słowom, jego znajomość języków była rozpaczliwa.

Zauważył, że recepcjonista przygląda się formularzowi rezerwacji z lekkim zdziwieniem na ciemnej, przystojnej twarzy. Tate sądził, że wie dlaczego. Mężczyzna dokładnie obejrzał przed chwilą atrakcyjną kobietę, która weszła do hotelu razem z Tate'em, i chociaż - ze względu na specyfikę zawodu - widział pary połączone wszelkimi możliwymi zdarzeniami losu i pożądaniami, za nic w świecie nie potrafił wymyślić, dlaczego ci dwoje żądają osobnych pokoi.

Mężczyzna jest w końcu mężczyzną...

Megan odłożyła słuchawkę telefonu w holu i podeszła do recepcji w chwili, gdy urzędnik pokazywał Tate'owi wolne pokoje. Tate wskazał dwa, najpierw niewielki pokój wewnętrzny, potem większy, na rogu, z widokiem na plażę.

- Ja wezmę ten, a moja córka narożny.

- Nie, tato, ty weź ten ładniejszy.

- To pańska córka? - spytał recepcjonista, którego ciekawość została wreszcie zaspokojona. - Oczywiście, powinienem był się domyślić.

- Przepraszam? - spytał Tate.

- Chodzi mi o podobieństwo. Młoda dama jest bardzo do pana podobna.

Jego podejrzliwość odżyła, gdy zobaczył, że goście wymieniają szybkie spojrzenia i usiłują powstrzymać śmiech. Tate pomyślał, że powinien potwierdzić pokrewieństwo, ale w końcu uznał, że nie ma się co przejmować.

A poza tym, doszedł do wniosku, tajemnica ma urok, którego zawsze będzie brakować udokumentowanym faktom.

Uzgodnili pokoje, a kiedy recepcjonista sprawdził kartę Tate'a, ruszyli za boyem przez ogromną werandę.

- Josh mówi, że ma świetnego nowego rehabilitanta - powiedziała Megan.

- Miło słyszeć.

- W zasadzie rehabilitantkę. Myślisz, że jest gruba i stara?

- Wracamy za sześć dni. Sama się przekonasz. Możesz mi przypomnieć, kiedy mówi się de nada?

- Gdy ktoś ci podziękuje. To znaczy „nie ma za co”.

- Gracias... de nada - powiedział Tate i powtórzył wszystko kilka razy.

- Dzwoniłam też do Bett. Cieszy się, że przyjechaliśmy bez problemów. Kazała zrobić mnóstwo zdjęć.

- Zadzwoń do niej później.

- Ona, hmm, wybierała się wieczorem do Brada. Nie przeszkadza ci to?

- Nie. A powinno?

- Pewnie nie. Powiedziała, że rozmawiała z Konniem i on przyjdzie do ciebie do biura we wtorek o dziewiątej, żeby porozmawiać o sprawie.

W zeszłym tygodniu Tate pojawił się w sądzie kryminalnym po raz pierwszy prawie od pięciu lat - na odczytanie aktu oskarżenia Konniego. Odpowiedział na proste pytanie sędziego równie prostymi słowami: „Niewinny, wysoki sędzie”. Nie była to jego najbardziej wyszukana mowa. Ale wystarczyła.

Miał przygotowaną linię obrony. Nazwał ją „sprowokowanym odurzeniem”. I chociaż obiecał Megan, że spędzą ten tydzień, zwiedzając i bawiąc się, schował w walizce trzy książki prawnicze i spodziewał się zakończyć podróż co najmniej z gotowym początkiem oświadczenia dla ławy przysięgłych. Jeśli nie wręcz z jednym lub dwoma zestawami pytań do świadków.

Znaleźli pokoje.

- Gracias de nada - powiedział Tate i wsunął boyowi do kieszeni przeraźliwie wysoki



Pół godziny później wyszli spod pryszniców i przebrali się w szorty khaki, podkoszulki i słomkowe kapelusze. Los turistas w każdym calu. Zeszli do recepcji i zapytali, jak dostać się na rowerach do najbliższych ruin. Recepcjonista załatwił wypożyczenie rowerów i wytłumaczył, jak jechać. Było tuż po południowej sjeście i większość gości zdążyła ku białej piaszczystej plaży. Ale Tate i Megan zdjęli ze stojaka dwa zniszczone rowery i skierowali się w przeciwnym kierunku.

- Którędy? - zawołała.

Wskazał jej kierunek i wsiedli na rowery.

Pomimo sporego pieszego ruchu i niesamowitego upału popędzili po spękany asfalcie prosto ku gęstej, pachnącej dżungli, stając na pedałach i goniąc się nawzajem, jakby liczyła się każda chwila, jakby dzień miał się już ku końcowi, jakby stracili mnóstwo godzin przeznaczonych na poznawanie świata i musieli je nadrobić.

DTP by SHADE

